

„Mistrzowska powieść!” HARLAN COBEN
„Jeden z najlepszych kryminalistów roku.” LEE CHILD

CANDICE FOX

**MIASTECZKO
CRIMSON LAKE**


AMBER

CANDICE FOX

**MIASTECZKO
CRIMSON LAKE**

Przekład
**ANDRZEJ JANKOWSKI
JOANNA NAŁĘCZ**



Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie autorki
Adrian Cook

Tytuł oryginału
Crimson Lake

Copyright © 2017 by Candice Fox
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6650-3

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Prolog

Miałem bardzo mroczne myśli, kiedy znalazłem Kobietę. Jedynym moim towarzyszem od miesięcy był pistolet, a pistolety po jakimś czasie, jeśli przebywa się z nimi dostatecznie długo, zaczynają mówić do człowieka. Broń patrzyła na mnie czarnym okiem, kiedy tłukłem się po pustym domu, widziała, że całymi dniami nie rozpakowuję pudeł z korytarza. Leżała na boku i osądzała moje picie. Pewnej nocy, w połowie butelki Wild Turkey, zacząłem pytać pistolet, jaki ma, kurwa, sposób na to wszystko, skoro jest taki mądry. Pistolet miał tylko jedną odpowiedź.

Poprzedniego wieczoru, zanim znalazłem Kobietę, przez okno wpadła kolejna cegła. Trzecia, odkąd przyjechałem do Crimson Lake. Tym razem nie chciało mi się nic robić z oknem. Przez dłuższy czas patrzyłem na szkło, potem poszedłem na tylny ganek. Usiadłem, a słońce zaczęło zachodzić. Patrzyłem, jak mruga czerwienią spoza mokradeł, jak tańczy na szarym piasku. Dom i tak się rozpadał, dlatego tak tanio go dostałem. Poprzedni właściciele jednak porządnie odremontowali tylną werandę. Stała tam szeroka drewniana ława i mocne krzesła. Druciany płot na końcu podwórka, który chronił mnie przed krokodylami, był nienaruszony.

Płot miał też w sobie coś znajomego. Przywykłem do oglądania świata przez ostre druty.

Siadywałem tam wieczorami i zastanawiałem się, czy poprzedni właściciele też przed czymś się ukrywali, rozkoszując się przewidywalnością zmroku tak jak ja. Lepkość. Rozwielmożnione życie owadów. Krokodyle, które zaczynają poszczekiwać w ciemności i ukryte, ślizgając się po wilgoci, wywachuują mnie na werandzie.

Między samozwańczymi stróżami prawa od frontu, a krokodylami od tyłu,

czułem się, jakbym znów siedział w więzieniu, co nie było takie złe, bo tam było bezpiecznie. Nie musiałem myśleć o ucieczce, bo już nie mogłem uciec przed swoim przestępstwem. Potem pistolet, który leżał na suchym, popękany drewnie, przypomniał mi, że nadal mam drogę wyjścia. Patrzyłem na broń i zgadzałem się z nią trochę. Właśnie łykałem ostatki bourbona, kiedy pod płotem usłyszałem ptaka.

Z początku myślałem, że to łabędź. Dźwięk, jaki się z niej wydobywał, nie przypominał niczego, co wydobywa się z ptaka: jakby rozkaszalany zgrzyt, jakby miała kamień w gardle. Polazłem w dół przez długą trawę, a ona – niewiarygodnie – podeszła do mnie z drugiej strony płotu, tak że mogłem zobaczyć bandę małych, szarych i żółtych gąsiątek, które kłębiły się i niezgrabnie wokół niej biegały, kiedy z trudem do mnie szła. Gęś jakby ponownie się zastanowiła, czy podchodzić i kuśtykając, odeszła z sykiem, machając jednym wielkim białym skrzydłem.

– Jezu Chryste, zwariowałyście? – zapytałem.

Tak robię, kiedy jestem pijany. Gadam do rzeczy. Do pistoletu. Do ptaków. Najwyraźniej zwariowała. Ranna i tłusta łąziła po brzegu pełnego krokodyli bagna Cairns. Spojrzałem na wodę i otworzyłem furtkę.

Jeszcze jej nie otwierałem. Kiedy przed miesiącem wprowadziłem się do zniszczonego domu, zapytałem agenta nieruchomości, dlaczego poprzedni właściciele ją wstawili. Jeśli nie mieli łodzi, a nie wyglądało na to, żeby ją mieli, to w wodzie za płotem nie było niczego poza pewną śmiercią. Agent nie miał odpowiedzi. Wyszedłem z wahaniem, gołe stopy zapadły mi się w piasek, zabulgotały krabie norki.

– Chodź tutaj. – Machnąłem na ptaka, trzymając się furtki. Gęś zamachała skrzydłem i zagęgała. Jej dzieci zbiły się w kupkę, w przerażoną gromadkę puszek. Znów spojrzałem na wodę i zobaczyłem sto czarnych zmarszczek, które mogły być oczami krokodyli. Słońce zaszło. To był ich czas. – Chodź tutaj, ty głupia dziwko.

Wessałem mnóstwo powietrza, runąłem naprzód i rzuciłem się na ptaka, chybiłem, znów się rzuciłem i złapałem go wpół, do góry nogami, za płataninę kostek, nóg, pazurów i piór. Szczypała mnie w nos, w ucho, w brew, drapała do krwi. Gąsięta rozproszyły się, zmieniły szyk, gęgały i piszczały, infantylnie powtarzając odgłosy wydawane przez matkę. Odwróciłem się i wrzuciłem gęś na podwórko. Gąsięta poszły za nią, pospiesznym rządkiem, jakby ciągnęła je jakaś

żyłka wędkarska instynktu. Zatrzasnąłem furtkę, przebiegłem podwórko i chwyciłem ręcznik wiszący na balustradzie werandy. Pistolet zostawiłem na schodku.

Po drodze do weterynarza, z kartonowego pudła, w którym upchnięte były wielki ptak i jego gąsiątka, docierało do mnie biadolenie. Była to rozdzierająca serce syrena rozpaczy.

– Jezu, zamknij się kobieto! – ryknąłem.

Chyba od tej chwili zacząłem nazywać ją Kobieta.

W sterylnym świetle gabinetu weterynarza ptak wydawał się jakoś mniejszy. Patrzył z dna pudła na człowieka, który otworzył przede mną drzwi. Gęś z gąsiątkami wyjęto razem, dyszącą w ciemności kupkę pokrzywionych piór. Teraz wszystkie były cicho. Stałem trochę dalej, żeby weterynarz nie poczuł mojego oddechu, ale po jego lekceważącej minie, kiedy przyglądał się, jak partacko zaparkowałem i jak na bosaka, uwalany piachem szedłem podjazdem, poznałem, że poczuł. Założyłem ręce i próbowałem nie zajmować swoją masą zbyt wiele miejsca w maleńkim gabinecie. Weterynarz chyba mnie jeszcze nie rozpoznawał, więc skorzystałem z okazji i odezwałem się, kiedy krzywiąc się, bo szczypnęła go w kołnierz, wyjmował z pudła opierającą się Kobietę.

– Ona nie może chodzić na tej stopie – powiedziałem.

– Tak. Wygląda na złamaną. Skrzydło też.

Przyglądałem się, jak doprowadza gęś do pierwotnego kształtu, składając od nowa ledwie powstrzymywany, panikarski bałagan, którym była, póki stopy nie znalazły się pod grubym, okrągłym korpusem, a skrzydła nie zaczęły płasko przylegać do boków. Ptak rozejrzał się po pokoju czarnymi, wielkimi, przestraszonymi oczami. Weterynarz obmacał ją delikatnie, podniósł ogon i zajrzał w puszysty zadek.

– To chyba zostawię ją u pana? – palnąłem na podsumowanie i wystraszyłem ptaka.

– Cóż, to zależy od pana, panie...?

– Collins – skłamałem.

– To zależy od pana, panie Collins, ale zdaje pan sobie sprawę, że nie dysponujemy środkami na bezpłatne leczenie?

– Hm, nie. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.
– Cóż, nie możemy leczyć tego ptaka za darmo.
– Ale ja ją znalazłem. – Podrapałem się w głowę.
– Tak – zgodził się weterynarz.
– Hm, to znaczy, że ona nie jest moja. Nie należy do mnie.
– Pan tak mówi. – Weterynarz pokiwał głową.
– Więc to nie moja gęś. – Pokazałem Kobietę, próbując poprawić niewyraźną wymowę, na wypadek gdyby z tego powodu mnie nie zrozumiał. – One też nie są moje. – Pokazałem gąsiątka. – Chyba je... wyrzucono. Porzucono. Czy wy, ludzie, ratujecie porzucone zwierzęta?

– My, ludzie?

– Weterynarze.

Popatrzył na mnie przeciągle.

– To nie jest występująca naturalnie australijska gęś. To gęgawa. Gęś udomowiona. Ten gatunek sprowadzono do Australii. Obawiam się, że obrońcy dzikiej przyrody też nie będą jej leczyć.

– Hm, no to co pan z nią zrobi? – zapytałem. – Gdybym po prostu zostawił ją u pana?

Weterynarz znów na mnie popatrzył. Zamrugalem pod światłem świetlówek. Łagodne brzęczenie wypełniało pokój jak gaz.

– Chryste – powiedziałem. – No dobrze. To przecież biznes. Nie może pan biegać i ratować wszystkiego za darmo. – Wyjąłem portfel i przekartkowałem czerwone i purpurowe banknoty. – Ile za wyleczenie połamanej gęsi?

– Mnóstwo, proszę pana – powiedział weterynarz i znów ścisnął Kobietę za podstawę jej długiej, smukłej szyi.

Siedemset dolarów później jechałem do domu roztrzęsiony i chory jako nowy właściciel rodziny gęsi domowych. Trząsałem się nie dlatego, że teraz miałem dokładnie pięćdziesiąt dziewięć dolarów. Weterynarz zauważył, że nazwisko na karcie kredytowej brzmiało Conkaffey, a nie Collins. Ludzie go nie zapomnieli. Minął dopiero miesiąc, odkąd pełno go było w krajowych mediach. Widziałem, jak rysy twarzy mu stwardniały. Widziałem, jak zmarszczki wokół ust pogłębiły mu się, jak potem zaczął podnosić wzrok. Chwyciłem za pudło z ptakami i wyszedłem,

zanim zdążyłem zobaczyć wyraz jego twarzy.

Niedobrze mi się robiło od takich wyrazów twarzy.

1

Nie wiedziałem, że Sean tu jest, dopóki nie znalazłem się w jego cieniu. Podskoczyłem, schwyciłem za pistolet. Zasnąłem jak zwykle na werandzie, rozwalony na starym kocu pod ścianą. Przez chwilę myślałem, że zbliża się atak.

– Co za przykry widok – powiedział mój adwokat. Za nim już połyskiwało poranne światło.

– Wyglądasz jak anioł – powiedziałem.

– Dlaczego śpisz na dworze?

– Jest cudownie – jęknąłem, przeciągnąłem się. To była prawda. Gorące noce na werandzie pod siatką na komary były jak marzenie senne. Dudnienie odległego grzmotu. Śmiechy dzieci rozpalających ogniska na odległym brzegu. Stary koc był prawie tak gruby jak materac, który miałem w izolatce.

Sean rozglądał się za krzesłem, na którym mógłby usadzić swój kosztownie odziany tyłek. Nie znalazł żadnego, podszedł do schodków, postawił na deskach kawy, które miał ze sobą i torbę niesioną na zagięciu łokcia i zaczął czyścić sobie miejsce. Nawet w wilgotnym Cairns w jego garniturze jak zawsze było trochę jedwabiu. Usiadłem i dołączyłem do niego. Podrapałem się w głowę, żeby się obudzić. Kobietę i jej małe umieściłem w kartonowym pudle postawionym na boku w kącie werandy. Z ręcznika zrobiłem drzwi. Wielka gęś zaczęła syczeć, kiedy nas usłyszała spoza ręcznika, a Sean gwałtownie się odwrócił.

– Nie mów mi...

– To gęś – powiedziałem. – *Anser domesticus*.

– Och, myślałem, że to wąż. – Adwokat chwycił krawat, rozprostował go i pocieszył głaskaniem. – Po jaką cholereę ci gęś?

– Właściwie to gęsi. Długa historia.

– Z tobą tak zawsze.

– Co tutaj robisz? Kiedy tu przyjechałeś?

– Wczoraj. Jadę do Cairns, więc pomyślałem, że tu wpadnę. Mam oskarżonego o napaść na tle seksualnym, który nie stawił się w sądzie po zwolnieniu za kaucją. Mam zamiar przemówić mu do rozsądku. Wszyscy uciekają na północ.

– Jak masz się schować, to lepiej tam, gdzie jest ciepło.

– Zgadza się. – Sean popatrzył na mnie. – Ted, słuchaj, dobra wiadomość. Nie tylko przywożę mojemu ulubionemu klientowi paczkę żywnościową, ale od dzisiaj rana twoje aktywa zostają oficjalnie odblokowane.

Siwowłosey adwokat wręczył mi plastikową torbę z pysznościami. W środku były dwie książki w miękkich okładkach i trochę jedzenia. Nie miałem serca, żeby mu powiedzieć, że nie mam lodówki. W torbie była gruba jak słownik koperta z formularzami. Wziął jeden z kubków z kawą i podał mi go. Kawa ładnie pachniała, ale nie była gorąca. W promieniu dwudziestu minut jazdy od domu nie było niczego, a już na pewno niczego, gdzie robiono kawę. To nie miało znaczenia. Przeróżające formularze i zimna kawa nie były w stanie ostudzić mojej radości, że widzę Seana. W Australii było około dwudziestu jeden milionów ludzi, którzy wierzyli, że jestem winien. I jeden odziany w jedwab adwokat, który nie wierzył.

– Domyślam się, że w tej kopercie jest coś od Kelly – powiedziałem.

– Poprawki do ugody rozwodowej. Znowu. Sprawy semantyczne. Ona przeciąga sprawę.

– Prawie jakby nie chciała się ze mną rozwodzić.

– Nie. Chce widzieć, jak się wijesz.

Łyknąłem kawy i popatrzyłem na moczary. Były gładkie jak szkło, a za nimi góry, niebieskie w porannej mgiele.

– Jakiś znak, że... – odchrząknąłem.

– Nie, Ted. Ani słowa o opiece nad dziećmi. Ale ona nie musi się spieszyć, może to zrobić, kiedy zechce.

Pogładziłem się po twarzy.

– Może zapuszczę brodę – powiedziałem.

Kontemplowaliśmy horyzont.

– Cóż, spójrz na siebie. Jestem z ciebie dumny – zauważył niespodziewanie Sean. – Jesteś samotnym, przystojnym, trzydziestodwuletnim mężczyzną zaczynającym wszystko od nowa. Masz dom i trochę za dużo domowych

zwierzątek. Naprawdę nie jest ci dużo gorzej niż wielu miejscowym facetom.

Parsknąłem.

– Masz urojenia.

– Poważnie. To twoja okazja, żeby zacząć od nowa. Czysta tablica.

Westchnąłem. Nie przekonał ani mnie, ani siebie.

– Więc to są gęsi stróżujące? – zapytał, zmieniając temat.

Musiałem chwilę pomyśleć, zanim zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Hitlerowcy używali gęsi do pilnowania obozów koncentracyjnych – wyjaśnił.

– Naprawdę?

– Mogę popatrzeć?

Machnąłem ręką. Ostrożnie podszedł do pudła, kucnął i uniósł ręcznik wymanikowanymi palcami. Nosił skarpetki w pepitkę. Zapewne z alpaki. Usłyszałem pisk Kobiety dochodzący z mrocznych głębin. Sean roześmiał się.

– Służbistki.

– Wszystkie żyją? – zapytałem.

– Na to wygląda.

– Chyba je zjem. Ją upiekę, a z małych zrobię kanapki.

– Nadałeś im już imiona?

– Nie, ale popatrzmy. Może Białe, Zakwas, Razowe, Wielozziarniste.

– Miejmy nadzieję, że dźwigniesz dupę, zanim będzie aż tak źle. – Wrócił i usiadł obok mnie. – Szukasz pracy?

– Jeszcze nie. Za wcześnie.

Gąsiątka zapiszczały i zaczęły łązić wokół pudła. Łapkami chwytaly się kartonu.

– Mogę cię prosić o przysługę? – zapytał Sean.

– Chyba tak.

– Mógłbyś znaleźć w miasteczku dziewczynę, która nazywa się Amanda Pharrell?

– Czy mógłbym znaleźć dziewczynę? – Popatrzyłem na niego.

– Kobietę. – Sean westchnął i popatrzył na mnie przepraszająco. – Zechciałbyś złożyć wizytę kobiecie w miasteczku?

– Kim ona jest?

– Po prostu kobietą. – Sean wzruszył ramionami.

– Po co ta wizyta?

– Zadajesz mnóstwo pytań. Przestań pytać. Po prostu zrób, co ci mówię. Będzie dla ciebie w sam raz. Tyle. Żadnych randek. Po prostu spotkanie.

– Więc w tym nie ma nic romantycznego.

– Nic – rzekł Sean.

– Więc o co, do diabła, chodzi?

– Jezu, Ted – roześmiał się, a potem użył porzekadła, którego często używał podczas przygotowań do rozprawy. – Jestem twoim adwokatem. Nie pytaj dlaczego. Po prostu zrób to.

Do niczego się nie zobowiązałem.

Siedzieliśmy przez dłuższy czas i rozmawialiśmy o tym, co on robi w Cairns i jak długo tu zostanie. Sean pocił się w lnianych spodniach. Jego pozbawiony porów nos już był spalony przez podstępne tropikalne słońce, które powoli gotowało nieświadomego mieszkańca Sydney w wilgotnym powietrzu. Ja w miesiąc spaliłem się na orzechowo od samego łożenia po działkę i chodzenia do centrum handlowego po Wild Turkey. Miałem nadzieję, że w końcu przestanę się wyróżniać. Hodowałem opaleniznę dla bezpieczeństwa, żeby nie można było rozpoznać mężczyzny, który do niedawna uświetniał tygodniami okładkę „Telegraph”, upiora o szerokich barach, w garniturze, stojącego ze zwieszoną głową przed gmachem sądu, bladego więzienną bladością. Broda by się przydała, pomyślałem. I czas. Będzie mi potrzebne mnóstwo czasu.

2

Oto, co pamiętam. I jest to kłamstwo. To wspomnienie kompozytowe, zbudowane z rzeczy, które naprawdę zapamiętałem, z tego, co usłyszałem podczas procesu, co przeczytałem w gazetach, i tego, co wyszeptano do mnie w więziennej celi, kiedy siedziałem w areszcie. Niektóre kawałki i okruchy na pewno pochodziły z moich koszmarów – możliwe, że burza nie była taka straszna, a jej oczy takie wielkie i piękne. Ale pamięć tych pechowych chwil jest nieprawdopodobnie jasna. Raczej wymysł niż historia. Narracja utkana została z wielu kolorowych sznurków. Nie można ich teraz zerwać, nawet kiedy drobne włókienka z latami rozszczepiają się i rozplątują. Wierzę w to. Chociaż wiem, że to nieprawda.

Stała na poboczu szosy, dokładnie tam, gdzie słupki oznaczające barierę drogową, a słupki były niewiele mniejsze od niej. Miała trzynaście lat. Wyglądała na dziesięć. Dziewczynka była tak blada, a jej włosy tak zalane płonącym popołudniowym słońcem, że prawie zrównała się z jednym z tych słupków – biały strażnik odgródzonej autostrady, nieruchomy jak kamień. Z początku jej nie zauważyłem. Zobaczyłem przystanek autobusowy i mocno wyjeżdżone ślady wielkich pojazdów w suchym błocie. Zwolniłem, zjechałem z autostrady i zatrzymałem się na przystanku, jakieś dziesięć, piętnaście metrów od dziewczynki.

Przejechał niebieski hyundai getz, zmierzał na południe. Wiózł Marilyn Hope, trzydzieści siedem lat, i jej córkę Sally, lat czternaście. Zeznają, że widziały, jak mój samochód zatrzymał się „nagle” na autostradzie, „blisko” dziewczynki. Była 12.47. Sally Hope podała dokładny czas, kiedy zjechałem z drogi, bo gdy przejeżdżały, spojrzała na zegarek i pamiętała, jak obliczała, że zostało im trzynaście minut, żeby dojechać na jej lekcję tańca.

Wysiadłem z samochodu i dopiero wtedy zauważyłem, że tam stoi blada

dziewczynka. Patrzyła na mnie, jej różowy plecak stał na ziemi obok niej.

Moja pierwsza myśl: skąd się tutaj wzięła?

Moja druga myśl: ustalić źródło hałasu.

Wędka stuknęła o tylną szybę mojej corolli. Otworzyłem tylne drzwi z lewej strony samochodu, wysiadłem jedną nogą i przyciągnąłem wędkę razem ze skrzynką na narzędzia w swoją stronę, tak że uchwyt wędki ześlizgnął się w lukę za fotelem pasażera, a jej koniec odsunął się od okna.

Autostradą przejechał czerwony commodore zmierzający na północ. Jechał nim Gary Fisher, pięćdziesiąt jeden lat. Gary był trzecim świadkiem. Będzie zeznawał, że widział mój samochód zaparkowany obok dziewczynki, a tylne drzwi od strony pasażera były otwarte. Drzwi najbliższe dziewczynki.

Zauważyłem przedłużenie ubezpieczenia mojego samochodu, otwarte i pomięte, w masie papierów i pojemników na jedzenie na wynos. Leżało na podłodze za fotelem kierowcy. Podniosłem jasnozielony papier i obejrzałem go. Nadal byłem trochę poza samochodem, trochę w samochodzie.

Kierowca ciężarówki Michael Lee-Renalds, czterdzieści osiem lat, przejeżdżał autostradą w stronę południa. Świadek numer cztery. Wsparł twierdzenie Gary'ego, że widział mnie, parkującego obok dziewczynki, z otwartymi drzwiami od strony pasażera. Wysoki mężczyzna, szeroki w barach. To odpowiadało mojemu wyglądowi, jedną nogą był w samochodzie, drugą na zewnątrz, przy tylnym siedzeniu.

Wychyliłem się z samochodu, poprawiłem ubranie i wetknąłem ubezpieczenie do kieszeni dżinsów. Popatrzyłem na dziewczynkę. Przez cały czas mnie obserwowała. Zaczął padać lekki deszczyk, z lekka zawiewało. Kropelki tworzyły wokół niej mgiełkę. W słońcu wyglądały jak maleńkie złote owady. Kopała w ziemię bucikiem i bawiła się obrąbkiem ciemnozielonej sukienki. Potem odwróciła się. Była chuda. To prawie wszystko, co o niej zapamiętałem, wszystko, co potem powiedziałem policji. Była chuda, koścista i biała. Resztę wspomnień o dziewczynce, która zniszczyła mi życie, uzupełniłem zdjęciami podczas procesu. Zobaczyłem jej wielkie zęby z fotografii „przed napaścią”. I jak marszczył się jej nosek, kiedy się uśmiechała.

Stałem przy autostradzie w ten straszny dzień i patrząc na ciemnofioletowy horyzont za drzewami, zamknąłem drzwi samochodu.

– Idzie niezła ulewa – powiedziałem.

Czerwona kia przejechała na południe z siostrami Jessicą i Dianą Harper, odpowiednio trzydzieści cztery i trzydzieści sześć lat. Świadkowie numer pięć i sześć zeznali, że widzieli, jak rozmawiam z dziewczynką.

Nie potrafili uzgodnić, czy lewe tylne drzwi mojego samochodu były otwarte, czy zamknięte. Była 12.49.

– Tak – powiedziała dziewczynka.

– Zaraz nadjedzie twój autobus? – zapytałem.

– Za chwileczkę – odparła i uśmiechnęła się. Zmarszczyła nosek. A może nie zmarszczyła. Sam już nie wiem.

– W porządku – powiedziałem. Przejechały dwa kolejne samochody pełne świadków, którzy nie potrafili jasno zeznać, czy kiedy machałem do dziewczynki, to była moja prawa ręka z rozprostowaną dłonią, w geście „do widzenia”, czy w istocie machałem na nią lewą otwartą dłonią odwróconą w moją stronę, w geście „chodź tutaj”. Zeznania co do dokładnej natury gestu „do widzenia” czy „chodź tutaj” trwały trzy dni.

W końcu wszyscy się zgodzili, że uczyniłem jakiś gest, kiedy stałem przy tylnych, lewych drzwiach mojego samochodu. Przy drzwiach najbliższych dziewczynki.

Przeszedłem przed maską wozu, usiadłem na fotelu kierowcy, włączyłem silnik i odjechałem. Nie oglądałem się.

O 12.52 przyjechał autobus dziewczynki. Dokładny czas zapisał się na GPS-ie wozu. Plecak leżał na ziemi. Co do tego zgadzali się kierowca i wszyscy pasażerowie autobusu.

Ale dziewczynki nie było.

W tamto niedzielne popołudnie Claire Bingley została porwana z przystanku autobusowego przy Mount Annan, ze skraju autostrady. Zawieziono ją do kępy krzaków jakieś pięć minut dalej zakurzoną wiejską drogą rozdzielającą farmy hodowlane i puste działki. W ciemnym lesie została brutalnie zgwałcona, a potem duszona, aż straciła przytomność. Napastnik musiał pomyśleć, że nie żyje. Ale dzięki niewytłumaczalnej wytrzymałości i odporności, którą mają niektóre dzieci, dziewczynka, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie umarła. Przez kilka

godzin leżała w ciemności, przysłuchując się odgłosom z otaczających ją krzaków, przerażona, że napastnik jest w pobliżu. Zapadła noc i horyzont znów się rozświetlił. Dziewczynka wyszła z krzaków i oszołomiona poszła jak zombi do autostrady. Pojawiła się przy niej jakieś dziesięć kilometrów na południe od miejsca, w którym zniknęła. Była szósta rano następnego dnia. Claire zaginęła na jedenaście godzin.

Stary mężczyzna, który jechał do Chifley, żeby pomóc synowi przy przeprowadzce, zauważył ją, jak naga kucała na poboczu. Twarz miała tak zakrwawioną, że z początku myślał, że nosi czerwoną maskę. Gardło miała uszkodzone do tego stopnia, że nie była w stanie wyjaśnić, co się jej stało.

Media społecznościowe wpadły w szal, który zaczął się wieczorem poprzedniego dnia, około dwóch godzin po zniknięciu dziewczynki. Najświeższe wydanie wiadomości o ósmej podjęło to dokładnie między programami *The Project* i *MasterChef*. Cały kraj to zobaczył. Jej rodzice podkreślali panikę, aż dotarła do wszystkich sieci z wiadomościami, a szybko zaprojektowany plakat z zaginioną Claire był oglądany online osiemset tysięcy razy w miejscach tak odległych, jak San Francisco. Claire została uprowadzona. Wiedzieli. Zniknięcie było całkowicie sprzeczne z charakterem ich córki. Rodzice Claire, w głębi duszy, wiedzieli, że stało się coś strasznego. Mieli rację.

O podejrzanym po raz pierwszy wspomniano w dziale komentarzy jednego z mediów społecznościowych. Pod zdjęciem Claire, oblepionym prośbami, żeby je rozpowszechnić, jeden z kierowców, który był tamtego dnia na autostradzie, napisał: „Chyba widziałem tego faceta”.

Tym facetem byłem ja.

3

Poszedłem w deszczu do sklepu na rogu. W Cairns czasem tak jest. Zaczyna padać bez ostrzeżenia, krople dudnią jak kule i nie dają spokoju na drodze, pasie gołęb ziemi między połączeniami trzciny cukrowej, wysokiej na sześć metrów, ciągnącej się kilometrami, jak mury ukrytego miasta.

Koniki polne we wszelkich możliwych kolorach skaczą i tańczą z radości na gorącej ziemi. Setki jaskółek siedzą na zwisających drutach. Wdychałem parę i patrzyłem, jak front chmur od godziny wlecze mi się nad głową.

Nie wybrałem Crimson Lake jako kryjówki, rzucając strzałką w mapę. Po prostu pojechałem z Sydney na północ ze swoimi rzeczami w samochodzie i paniką w gardle. Byłem pewien tylko jednego, że nie mogę zostać tam, gdzie byłem. Towarzyszyło mi niejasne przekonanie, że przestanę uciekać, kiedy poczuję się bezpieczny, kiedy ludzie przestaną mnie rozpoznawać. Pięć, sześć dni, które spędziłem w Sydney po wypuszczeniu z więzienia, było grą w kotka i myszkę z prasą pałętającą się wokół każdego hotelu, w którym się zatrzymywałem. Denerwowali właściciele, a ci wyrzucali mnie wreszcie na ulicę. Kelly nie wpuściłaby mnie do domu bez policyjnej eskorty, więc mogłem wrócić tylko na krótko, żeby zabrać parę rzeczy. Ludzie w mieście byli wściekli. Mówiono o mnie na każdym kanale telewizyjnym. W każdej stacji radiowej. Byłem na pierwszej stronie każdej gazety. Ledwie mogłem jeść. W połowie przypadków, gdy wpadałem do restauracji z fast foodem, żeby coś wrzucić na ruszt, personel za ladą rozpoznawał mnie. A w połowie przypadków nie wchodziłem, bo za bardzo się bałem, że mnie rozpoznają.

Łatwiej się żyło w miasteczkach na północy. Im dalej, tym rzadziej ludzie wtrącają się w cudze sprawy.

Kiedy dotarłem do Crimson Lake, ludzie nie tylko nie byli zainteresowani

„wiadomościami z wielkiego miasta”, ale okolica wydawała się taka, jakby czas się w niej zatrzymał, kawałek fundamentów cywilizacji próbującej wygrać z dżunglą, która chce je połknąć. Mech i pnącza rosły na każdej dostępnej powierzchni. Wzdłuż rzeki przykucnęły walące się domy z ziejącymi odrzwiami, a spoza bujnego listowia nie widać było ani kawałka cegły czy drewna budowlanego. Miasteczko wchłaniało wszystko, co złe w życiu człowieka. Nieustanna wilgoć, regularne deszcze, rzeki i jeziora nabrzmiwające, wgrzające się w pobocza dróg, zmywały historie, oczyszczały grzechy. To miejsce próbowało pochłonąć samo siebie. Wpadłem w jego ramiona.

Dom znajdował się na skraju jeziora, od którego miasteczko przyjęło nazwę, wielkiego, szklistego lustra wplątanego w mokradła. Właściciele odziedziczyli go, ale byli za starzy, żeby przyjechać i w nim zamieszkać. Od lat stał w zapomnieniu. Kiedy przywieziono mnie, żebym obejrzał posiadłość, poszedłem na werandę i popatrzyłem na drugi brzeg jeziora. Farmerzy uprawiający trzcinę cukrową wypalali pola, a ostre słońce przedzierało się przez dym jak przekrwione oko i zostawiało odbicia na wodzie.

Teraz, w przemoczonych dzinsach, stałem od jakiegoś czasu na ganku najbliższego sklepu i czytałem miejscowe ogłoszenia. Karma dla kur i drut do sprzedania. Rzeźnik na telefon. Lekcje gry na gitarze i czyszczenie basenów. Pogrzeb sprzed pół roku: kobieta zginęła w wypadku samochodowym. Teresa Miller, nieodżałowana matka i żona. Kiedy wszedłem, nad drzwiami zabrzączał dzwonek. Usiadłem przed rzędem starych, beżowych komputerów stojących pod oknem. Obok leżał stos gazet. Unikałem ich.

Za dziesięć centów kupiłem czas w Internecie i krążyłem po nim, unikając wyszukiwania Amandy Pharrell, kobiety, z którą chciał mnie skontaktować Sean. Nie starałem się wydusić ze starego informacji, czemu miałyby służyć to spotkanie. Obaj wiedzieliśmy, jakim głupstwem byłyby teraz romanse. Więc jeśli to coś innego, to tego czegoś innego powinienem raczej unikać. Czy była adwokatką? Czy kimś, kogo fałszywie oskarżono, zaciągnięto na osiem miesięcy do więzienia, a potem wypłuto z powrotem na wolność? Czy Sean myślał, że opowiemy sobie historie o tym, jak broniliśmy się przed gwałtem pod prysznicami? Czy była specjalistką od zatrudnienia dla przestępców seksualnych, która znajdzie mi przyjemną pracę z dala od ludzi, żeby nie zrobili mi krzywdy za moje rzekome

przestępstwo? Nie miałem pojęcia, kim może być Amanda Pharrell i czy mi się to spodoba. Prawdę mówiąc, nie miałem już ochoty na spotkania z nieznajomymi. To było zbyt niebezpieczne.

A jednak byłem ciekaw. Wszedłem w Google i znalazłem ją. Na pierwszej stronie były tylko informacje prasowe. Wszedłem w nie i przejrzałem, powtarzając sobie, że mnie nie interesują:

Nastolatka zabita. Tragedia w Kissing Point.

Jedna dziewczyna przeżyła koszmarną noc na górskim szczycie.

Policja ściga zabójcę z Kissing Point.

Dziewczyna aresztowana za morderstwo w Kissing Point.

Przejrzałem artykuły i zmniejszyłem je. Wgapiłem się w tapetę pulpitu przedstawiającą plażę, w te kilkadziesiąt ikon. Pomyślałem, że to chyba krój czcionki tytułów doprowadza mnie do wymiotów, a nie fragmenciki przeraźliwej historii, które wyskakiwały przede mną. Jakież to było znajome. Niewinność nastolatki. Więzienne kraty. Zarzuty. Rodziny wypłakujące się w dłonie za wypolerowanymi drewnianymi balustradami. Zacząłem trzeć rękami oczy. Przestałem dopiero wtedy, kiedy usłyszałem, jak skrzypią krzesła stojące obok mnie. Dotarł do mnie znajomy zapach skóry, dopiero potem zobaczyłem dwóch policjantów. Skrzypienie i szczęknięcie pasów i klamer. Pierwszy odezwał się grubszy, z włosami przylepionymi do czoła w ciemnych, skierowanych w dół szpicach.

– Muszę wiedzieć, co się dzieje w miasteczku, prawda Lou?

Najwyraźniej rozmowa zaczęła się na zewnątrz. Nabrałem ukradkiem powietrza i otworzyłem strony ze sportem.

– Kolego, tutaj niewiele znajdziesz. W tych okolicach mało co się dzieje – powiedział Lou do swojego partnera. Spojrzałem na jego odbicie w ekranie komputera. Kolejny spaślak proszący się o zawał. Młoda, brzoskwiniowobiała twarz.

– Cóż, Lou, nam to na rękę, prawda?

– No jasne.

– Lubię, jak w naszym miasteczku jest miło i spokojnie, miło i bezpiecznie.

Wytarłem deszczówkę spływającą mi ze skroni, gorącą od potu, który zebrał mi się we włosach. Klikałem w galerię zdjęć sportowych. Oglądałem grających

w krykieta, którzy z opuszczonymi głowami wpatrywali się w trawę.

– Chcemy, żeby nasze staruszki i nasze małeńkie dzieciątka były szczęśliwe i bezpieczne.

– Nie chcemy niespodzianek dla naszych.

– Zgadza się, Steve – powiedział Lou. – Szczególnie dla małych dzieci. – Policjant przestał być tajemniczy, odwrócił się i spojrzał na mnie. Odchrząknąłem i zmaksymalizowałem informacje o Amandzie Pharrell, kliknąłem i zamknąłem je. Przez ekran przemknęła strona, której nie czytałem. Nacisnąłem „drukuj” i jak najszybciej ją zamknąłem. Wiedziałem, że kroją mi się problemy, chciałem wstać, ale nie tak, żeby wyjść z pustymi rękami.

Skazana zabójczyni otwiera agencję detektywistyczną.

Niezręcznie przecisnąłem się przez podwójną barierę z policyjnych ciał, rzuciłem kilka monet na kontuar i wyrwałem papier z drukarki.

4

Sny przychodziły, a kiedy już nadeszły, nie było sposobu, żeby się od nich uwolnić.

Morris i Davo krążyli wokół mnie jak rekiny w małym pokoju przesłuchań. Frankie, w drzwiach, nie wykazując zainteresowania, przyglądała się uważnie swoim paznokciom, jakby na nich coś było, czego wcześniej nie zauważyła. Patrzyła wszędzie, byle nie na mnie.

Moi koledzy. Przyjaciele z pracy. Faceci, którzy pili ze mną piwo, przy zatłuszczonym grillu na moim podwórku. Razem wywalaliśmy drzwi. Razem chodziliśmy do pubów. Razem pilnowaliśmy demonstracji, kiedy jeszcze byliśmy w służbie patrolowej. Frankie i moja żona, Kelly, chodziły czasem na kawę, pisywały do siebie esemesy. Nasze wspólne życie powoli odpływało. Teraz siedziałem na krześle, po niewłaściwej stronie stołu do przesłuchań. Byli nerwowi. Winni. Przerażeni słowami, które wypowiadali, chociaż wychodziły z ich ust.

– Możecie powiedzieć, o co chodzi? – zapytałem.

– Niedzielne popołudnie – powiedział Morris. – Mount Annan. Autostrada, tuż za warsztatem samochodowym. Jechałeś tam corollą około 12.45?

– Tak. Już mówiłem.

W brzuchu jakbym miał cegłę. Już od trzech godzin, może dłużej, zadawali w kółko te same pytania. Co robiłem rano, dwunastego kwietnia? O czym rozmawialiśmy z Kelly? O co się posprzecaliśmy? Jak długo trwała kłótnia? Którędy jechałem po wyjściu z domu? Co widziałem po drodze?

Zegara nie było, ale czułem, jak mijają minuty. Dwie minuty dla Burke'a, który przyszedł, zabrał mnie z biurka i powiedział, że szef chce mnie zobaczyć. Dziesięć minut czekania w gabinecie szefa, w samotności, aż szef przyszedł i osobiście, w milczeniu, zaprowadził mnie do pokoju przesłuchań. Czterdzieści pięć minut

tutaj, w samotności, ze wzdychaniem. Dowcipas, czy co to było, zaczynał mnie denerwować. Godzina to o wiele za długo na dowcip. To nie były moje urodziny. Ale czterdziestka majaczyła już na horyzoncie. Może w listopadzie nie będzie kogoś ważnego, więc przyspieszyli party. Nie, to nie było to. Czy dostałem awans? Więc ja tutaj siedzę, a oni wieszają chorągiewki w pokoju z automatem na kawę i wyjmują tort lodowy z zamrażalnika. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, kiedy przyszli Frankie, Morris i Davo. Mieli ponure miny. Takie, jakie mieli, kiedy pisali zawiadomienie o śmierci.

– Moglibyście mi powiedzieć, co się dzieje? – zapytałem. – Nie rozumiem, co ja tu robię.

– Ted, prowadziłeś tamtego dnia swój samochód?

– Tak, prowadziłem! Ile razy chcecie mnie...

– Nie pożyczylesz go komuś? – Mała Frankie, która dopiero co nauczyła się, żeby nie płakać w szatni, kiedy nikt nie widzi, bo żule zachowały się wobec niej po chamsku podczas przesłuchania. Mała Frankie, którą bolały biodra od obscenicznie wielkiego policyjnego pasa, z którego zwisał za duży paralizator, jak pistolet na wodę u malucha. – Pomyśl, Ted.

– Nie – powiedziałem. – W niedzielę po południu pojechałem na ryby. Nikomu nie pożyczałem samochodu. Przejeżdżałem przez Mount Annan. Tylko tyle. Nie zrobiłem niczego złego. Nie pamiętam, kiedy wjechałem na autostradę. Może była za pięć pierwsza, może pierwsza. Nie wiem! Była niedziela, więc nie liczyłem się z czasem. Jak mi powiecie, co się stało, to powiem wam, czy coś widziałem...

– Ted, mówisz, że pojechałeś na ryby. Nie wierzymy ci. Mamy prognozy pogody. W niedzielę po południu lało jak cholera.

– Nie. Lało przez jakieś dwadzieścia minut – upierałem się, a pot spływał mi po ciele. – Wiedziałem, że się przejaśni. To można przewidzieć.

– Jasne. Teraz zrobiła się z ciebie kurewska pogodynka.

– Jezu, Davo.

– Ted, historyjka o wędkowaniu tu nie pasuje. Daj spokój. Nie pojechałeś na ryby w taki pierdolony deszcz.

– Słuchaj, uczciwie mówiąc...

– O, to chcesz teraz być z nami uczciwy?

– Wyjechałem nie tylko, żeby wędkować – wyrzuciłem z siebie.

- *To po co wyjechałeś?*
- *Chciałem uciec od Kelly – jęknąłem. To było żenujące. – Pokłóciliśmy się. Więc chciałem wyrwać się z domu. Gdzieś pojechać. Coś zrobić. Cokolwiek.*
- *Więc wyszedłeś z domu zdenerwowany? Zgadza się?*
- *Jezu – powiedziałem, gotując się ze złości. – O co chodzi?*
- *Chodzi o to, że nas okłamujesz.*
- *Dlaczego miałbym was okłamywać? Co się stało?*
- *Nikt z tobą nie pojechał?*
- *Nikt.*
- *Nikt cię nie widział?*
- *Właśnie to powiedziałem.*
- *Chcę ci pokazać parę zdjęć. – Morris raptownie podniósł się z krzesła. Jego energia była aż bolesna. Skrzywiłem się, kiedy złapał kopertę leżącą na półce przy drzwiach.*
- *Czy mogę...*
- *Często jeździsz na ryby, co?*
- *Właśnie powiedziałem...*
- *Odpowiedz na pytanie.*
- *Przestań, kurwa, mi przerywać! – Zaczynałem się wściekać. Twarz miałem gorącą. Nagle przestałem myśleć, że to jakiś psikus urządzony mi przez kolegów. Runęła na mnie powaga sytuacji, jakakolwiek by ona była. Zacząłem się trząść od palców po łokcie, od stóp po kolana. Było mi zimno i gorąco naraz, jakbym miał gorączkę. Morris z tym jego kurewskim przerywaniem nie pomagał mi. W ten sposób rozmawiają z żułami. Nie pozwalają im wtrącić ani słowa. Przerywają, ledwie tamci otworzą usta. Robią to godzinami, aż przestłuchiwanie eksplodują, aż są gotowi zabić, żeby móc dokończyć cholerne zdanie. – Próbuję odpowiedzieć na py...*
- *Parkowałeś na autostradzie gdzieś w okolicach Mount Annan, zanim dojechałeś do miejsca przeznaczenia w Chifley? – zapytał Davo.*
- *Nie – powiedziałem. – Wyszedłem z domu i pojechałem do Chifley. W Chifley kupiłem przynętę. Na stacji benzynowej.*
- *Zapytam jeszcze raz. Pomyśl dokładnie.*
- *Nie muszę o tym myśleć! W tamto popołudnie nie byłem nigdzie poza Chifley.*

Czy był jakiś wypadek? Ktoś został poszkodowany?

– Dlaczego pytasz, czy ktoś został poszkodowany? – Morris trzymał w rękach zdjęcie, nerwowo drapał się jego kantem w nadgarstek, aż skóra zrobiła się jasnorożowa, pocięta fałszywymi samobójczymi liniami.

– Ja tylko...

– Parkowałeś na przystanku autobusowym w Mount Annan?

– Nie.

– Zdaje się, że jednak tak. Mówię ci Ted, że w ostatnią niedzielę, mniej więcej za kwadrans pierwsza, parkowałeś na przystanku autobusowym w Mount Annan i wyszedłeś z samochodu. Dlaczego nas okłamujesz?

Teraz już wyraźnie się trząśłem. Wszyscy mogli to zobaczyć.

– Och nie, czekajcie. Tak! Czekajcie, przypominam sobie. – Roześmiałem się bez sensu.

– Teraz będziesz uczciwie odpowiadał?

– Rzeczywiście zatrzymałem się – przyznałem. – Zatrzymałem się na przystanku autobusowym. Tym przy kładce dla pieszych. Masz rację. Na tylnym siedzeniu miałem wędkę. Stukała w tylne okno. Zatrzymałem się i przesunąłem ją od okna. Potem wróciłem do samochodu i pojechałem dalej.

– Więc przyznajesz, że zjechałeś i zatrzymałeś się na poboczu autostrady, przy 372 przystanku autobusowym, około dwunastej czterdzieści pięć? – Davo i Morris ponuro na siebie popatrzyli.

– Tak.

– Zmieniasz swoją historyjkę.

Rąbnąłem w stół. Frankie podskoczyła w drzwiach.

– Powiedźcie, co się kurwa stało!

Morris położył na stole przede mną zdjęcie dziecka, Claire Bingley.

Obudziłem się na werandzie złany potem.

Było ciemno. Szczekały krokodyle.

Dwieście czterdzieści jeden dni siedziałem w więzieniu. Tego dnia rano, kiedy zostałem aresztowany, pocałowałem żonę i córeczkę niemowlaka i pojechałem do pracy. Zatrzymałem się na tost i kawę w kawiarni przy komisariacie, a potem, wszedłem do windy na trzecie piętro w siedzibie policji Nowej Południowej Walii

przy Charles Street w Parramatta. Było pochmurno. Lekki wietrzyk rozwiewał fryzury pań na balkonie dla palaczy. Minął dokładnie tydzień, odkąd Claire Bingley pojawiła się ponownie na skraju drogi po gehennie w pobliżu Mount Annan. Widziałem tę sprawę w wiadomościach, ale w moim wydziale nikt o tym nie mówił. Należałem do brygady antynarkotykowej. Głowę miałem pełną komórkowych gadek libańskiego gangu importującego kokę, który chyba czekał, aż nowa partia prochów przejdzie przez cło. Davo, Morris, Mała Frankie i ja obserwowaliśmy ich działania od paru miesięcy i nie mogliśmy się zdecydować, kiedy zrobić na nich nalot. Całkiem standardowa sprawa.

Kawa i tost były ostatnim nieserwowanym przez państwo posiłkiem, jakie czekały mnie przez całe miesiące. Około dziesiątej zacząłem dostrzegać jakieś poszeptywania, dziwne spojrzenia w komisariacie. O jedenastej Davo, Morris i Frankie zostali wezwani do pokoju przesłuchań numer pięć. Zastanawiałem się, dlaczego nie poproszono mnie, żebym z nimi poszedł, ale właśnie telefonowałem i nie mogłem zapytać. Tuż przed lunchem jakiś inny kolega, facet z przestępstw gospodarczych, podszedł do mojego biurka i powiedział, że szef chce, żebym poszedł do pokoju przesłuchań numer cztery i tam na niego poczekał. Nie powiedział, o co chodzi.

W ciągu czternastu godzin przesłuchania, które przetrzymałem, nie mogłem jeść. Davo, Morris i Frankie zaczęli mnie przesłuchiwać. To była sprzeczność interesów, ale moi przyjaciele byli tak wkurzeni całą tą sytuacją, że nikt ich nie powstrzymał przed wparowaniem do pokoju i natychmiastowym rozpoczęciem przesłuchania. Chyba wszyscy uważali, że mieli do tego prawo. Po paru godzinach, kiedy nie otrzymali odpowiedzi, na które liczyli, przekazali mnie detektywom od zabójstw, bo zarzuty, które w końcu zostaną postawione, mogły zawierać usiłowanie morderstwa. Tamtej nocy zasnąłem na dołku własnego komisariatu, po godzinach wystawania przy szczelinie w drzwiach, żeby przyciągnąć uwagę przechodzących obok znajomych policjantów, którzy mogliby udzielić mi paru odpowiedzi. Wszystkim zakazano rozmów ze mną. Jeden dzień i z przyjaciela przekształciłem się we wroga.

Nie oczyszczono mnie z zarzutu zgwałcenia i usiłowania zabójstwa Claire Bingley. To była najgorsza część całej sprawy. Musiałem stanąć przed sądem, z którego dla świata poszła wiadomość, że zdaniem prokuratora generalnego

wystarczało dowodów przeciwko mnie, żebym został skazany. Potem, w połowie procesu, prokurator generalny wycofał zarzuty, stwierdzając, że dowody były za słabe, żeby przekonały ławę przysięgłych pouczoną, jak należy, o zasadzie wątpliwości na rzecz oskarżonego. Nie powiedziano, że to nie ja. Powiedziano tylko, że oskarżenie zmieniło zdanie – nie chciało wikłać się w proces z dowodami, które miało do dyspozycji i ryzykować, że zostanę uniewinniony i już nie będzie można oskarżyć mnie o to samo przestępstwo. Oskarżenie wycofano na dobre chyba po to, żeby pewnego dnia z nim wrócić, kiedy dowody przeciwko mnie będą mocniejsze.

Nie wiedziałem, czy ktoś nadal zajmował się sprawą Claire. Już nie byłem policjantem i żaden z moich starych przyjaciół ani razu się do mnie nie odezwał. Budziłem się codziennie, wiedząc, że to może być dzień, kiedy znów mnie aresztują i wyślą z powrotem do więzienia.

Wewnątrz jest tylko jeden sposób, żeby przetrwać. Totalne fizyczne i emocjonalne podporządkowanie się. To najbardziej wydajny sposób na zabicie czasu. Jedyny, żeby nie postradać zmysłów.

Więzień żyje według rutyny. Czyta podręcznik wprowadzający i we wszystkich sytuacjach postępuje według niego. Utrzymuje celę i więzienne ubranie w nieskazitelnym stanie, papiery ma w teczkach, stosunki ze strażnikami i innymi osadzonymi uprzejme i profesjonalne. Każda sprawa, która się pojawi, od wpisu do rejestru po zgwałcenie, jest wypunktowana w regulaminie więziennym. Toteż osadzony nigdy nie musi posługiwać się własnym osądem.

Kiedy rozpoczyna się bójka, na przykład, obowiązki osadzonego są jasne. Natychmiast pada na ziemię, kładzie ręce na potylicy, przeplatając palce, i czeka na dalsze polecenia. Podczas rutynowej inspekcji celi osadzony zachowuje milczenie, wykonuje polecenia strażników i udostępnia do rewizji wszystko, co do niego należy. Osadzony jest na bieżąco informowany o zmianach w regulaminie więziennym i odpowiada za swoje czyny zgodnie ze zmienionymi lub zaktualizowanymi wytycznymi dotyczącymi zachowania. Niewiedza nie zwalnia z odpowiedzialności.

W poddaniu się jest wygoda. W aktualizacji. W zaniechaniu osądzania. Osadzony staje się trybikiem w coraz większej maszynie więziennej. Pasuje, obraca

się, wycięte laserem kółko zębate.

Dopiero kiedy popełnisz błąd w rutynie, zaczynasz zgrzytać, iskrzyć. Niektórzy idą do więzienia z założeniem, że będą zgrzytającym trybikiem, póki dadzą radę. Ale nikt długo nie wytrzymuje.

Odkąd przybyłem do Crimson Lake, pozwalałem sobie na potknięcia. Byłem wolny od ponad dwóch miesięcy i nikt mi już nie kazał postępować według reguł. Zaczęłem pić, kupiłem sobie podniszczony dom na skraju wygwizdowa i wypisałem się ze społeczeństwa. Czasem tygodniami nie wchodziłem pod prysznic. Czasem tylko nie jadłem. Zapominałem, póki nie chwycił mnie wilczy głód. Przewracałem się, zataczałem. Ale teraz nadszedł czas, żeby skończyć z głupotami. Rozpakować się. Przestać spać na kocu jak pies.

Siedziałem na werandzie w gorącym porannym słońcu, wyjąłem telefon i zadzwoniłem do meblowego w Cairns.

Nie zamówiłem telewizora. Bałem się, że mogę w nim zobaczyć siebie.

Pod domem stała zardzewiała kosiarka do trawników, zostawiona przez poprzednich właścicieli, więc odpaliłem ją i wziąłem za trawnik. Wczesnym popołudniem byłem oblany potem, a gęsi przeżywały traumę, ale zredukowałem każdy centymetr działki wokół domu do przystrzyżonego, bogatego zielenią dywanu. Zostawiłem Kobietę na werandzie, a małe wziąłem w dłonie i podniosłem. Trochę się śmiałem, kiedy ich błoniaste stopy pedałowały gorączkowo między moimi wilgotnymi palcami. Postawiłem je, zaczęły dziobać trawnik i z trudem po nim łązić. Poszedłem po Kobietę, próbowałem poklepać ją po głowie. Syknęła i uszczypnęła mnie. Nie obraziłem się na nią.

Do zmięzchu miałem pralkę, lodówkę pełną jedzenia, świeżo zasłane łóżko i ładny trzcinowy fotel na werandę. Zabiłem deskami okna od frontu i zmiotłem szkło. Gęsi przytuliły się na noc do siebie w swoim kartonie. Ściągnąłem w dół ręcznik nad wejściem do pudła i stanąłem, patrząc z zadowoleniem na trawnik. Błogosławiona rutyna.

Odfajkowałem punkty regulaminu mojego nowego życia na własną rękę. Teraz, cokolwiek by mi się przydarzyło, na pewno znajdzie swój odpowiednik w podręczniku.

5

Tekst w gazecie o Amandzie Pharrell wspominał o biurze przy Beale Street. Umyłem twarz, umyłem zęby i przyszedłem do jej biura o ósmej rano, ubrany w ładnie uprasowaną lekką, bawełnianą koszulę i szare spodnie. Było już zbyt parno dla miejskich kundli, które wałkonily pod drzewami przy Crimson Lake Hotel.

Próbowałem domyślić się, o co w tym wszystkim chodzi, ale nic nie wpadało mi do głowy. Powody, dla których Sean chciał, żebym spotkał się z Amandą, były niejasne. Adwokat zrozumiał podczas rozprawy, że za bardzo martwię się małymi sprawami i że łatwiej będzie, jeśli po prostu powie mi, co mam zrobić. Mogłem się domyślać tylko tego, że Sean skierował mnie do tej Amandy, bo siedziała w więzieniu i mogła mieć problem, że życie potraktowało ją jak niedotykalną. Może kiedyś zajmował się jej sprawą. Może myślał, że my dwoje wymienimy się radami, jak przeżyć dzień, skoro dziewięciu na dziesięciu ludzi na tym świecie wolałoby, żebyśmy umarli. A jeśli powodziło się jej gorzej niż mnie (raczej nie wydawało mi się to możliwe), to może spotkanie doda mi zapału w odzyskiwaniu sił i razem przez to przejdziemy.

Poprzedniego wieczoru, kiedy leżałem na nowym łóżku, szukałem w Internecie informacji na temat gąsiąt i przeczytałem, że jeśli ranne gąsiątko nie chce jeść, to czasem dobrze jest włożyć je do tego samego pudła z innym gąsiątkiem w jego wieku, żeby miało przykład. Jedno osierocone gąsiątko pomoże drugiemu przeżyć. Może Sean myślał, że dwoje wrogów publicznych to lepiej niż jeden. Nie wiem.

Punktualność była błędem. Stałem przed małym, zaadaptowanym domkiem z nakładających się na siebie desek, wciśniętym między bank a sklep na rogu, i patrzyłem na zaciągnięte story. Wydawało mi się, że za drzwiami słyszę miauczenie. Wyjąłem z tylnej kieszeni wydrukowany z komputera artykuł

o Amandzie, przejrzałem go i sprawdziłem adres. Znów czytałem te niewiarygodne słowa:

Skazana zabójczyni otwiera agencję detektywistyczną.

Zabójczyni z Kissing Point Amanda Pharrell zaczyna w tym tygodniu działalność jako prywatny detektyw, w lokalu sklepowym na Beale Street. Pharrell uzyskała licencję prywatnego detektywa, odsiadując ośmioletni wyrok za zadżganie w 2006 roku Lauren Freeman, nastolatki z Crimson Lake. Chociaż niektórzy mieszkańcy wyrazili zaniepokojenie takim przedsięwzięciem biznesowym, członek rady Crimson Lake Scott Bosc powiedział, że nie ma ograniczeń licencyjnych, które zabraniałyby Prywatnym Śledztwom Pharrell zajmować się «wszystkim od oszustw ubezpieczeniowych po morderstwa» na obszarze północnego tropiku. Pharrell twierdzi, że jej agencja, czynna od trzech dni, już otrzymała zlecenia.

W oknie małego biura widniała ręcznie napisana kartka:

Otwarte od 10 do 22.

Po godzinach szukać w Shark Bar.

Shark Bar była to przestarzała, niedroga restauracyjka utrzymana w klimacie tropików, z rajskimi roślinami w doniczkach i muralami, które eksplodowały hibiskusami. Kontuar pełen był śmieci – kubków z długopisami błyskotkami, postrzępionych czasopism sprzed trzech miesięcy, ulotek o nurkowaniu w rafie koralowej i miniaturowych damulek z Hawajów, które pod wpływem światła słonecznego kręciły biodrami. Była też kelnerka, która wycierała ladę, i dwoje ludzi przy stolikach, ćpunka w kolorowych tatuażach, która przeglądała gazety, i pani, która czytała kryminał, a siwe kosmyki wkradały się jej ze skroni w pomarańczowe loki. Wszedłem i usiadłem. Podniosła na mnie wzrok.

– Zaczynasz o dziesiątej? – zapytałem. – Jezu to miasteczko jest na wiecznych wakacjach.

– Przepraszam? – Kobieta zmarszczyła brwi.

Zdezorientowany rozparłem się w krześle.

– Ty jesteś Amanda Pharrell?

– Kto?

– Przepraszam – roześmiałem się. Czułem, że twarz mi płonie. – Przepraszam panią.

Na pocieszenie poklepałem ją po książce, wstałem i wyszedłem. Anemiczny, wytatuowany motyl po drugiej stronie sali nie podniósł wzroku. Podszedłem i stanąłem niepewnie przy stoliku. Jedną dłonią skręcała róg gazety.

– Przepraszam? Pani Pharrell?

– Jeśli to nie ja, w takim razie Vicky, która tam stoi, to twój ostatni strzał. – Amanda spojrzała przez okulary w grubej, czerwonej ramce i podbródkiem wskazała kelnerkę. Usiadłem, nie wiedziałem, czy poczułem ulgę, czy rozczarowanie. Między nami leżało pięć gazet, trzy ułożone po jej prawej, jedna pod rękami i jedna po lewej. Wyciągnąłem dłoń, ale jej nie uścisnęła, tylko patrzyła, jakby nie wiedziała, co to jest.

– Edward Conkaffey – powiedziałem. – Ted.

– Facet od Seana. – Obrzuciła mnie wzrokiem. – Nie spodziewałam się, że będziesz taki wysoki.

– Nie spodziewałem się, że będziesz taka... – popatrzyłem na jej tatuaże – kolorowa?

Uśmiechnęła się. Dopadły ją tiki. Raz za razem szarpała głową w bok o pięć, sześć centymetrów. Starąłem się na to nie patrzeć.

– Znasz Seana, co? – zapytałem.

– Nie znam.

– Cóż, interesujące. Jak doszło do tego, że się z nim skontaktowałaś w mojej sprawie?

– Zadzwoił do mnie – powiedziała. Czekałem na ciąg dalszy. Nie było.

Patrzyliśmy na siebie w pięknej ciszy. Ramiona miała chude i żyłaste, ale wytatuowano na nich mnóstwo. Radia i mikrofony, ptaki i anioły, bujne rośliny z dżungli, za którymi kryły się bungalowy w stylu luizjańskim. Pióra i portrety pięknych kobiet: czarnych, Azjatek, mieszanka. Na jej lewej ręce królik w trzyczęściowym garniturze.

– Sean powiedział, że możesz zacząć pracę w przyszłym tygodniu albo jakoś tak – stwierdziła. – Zgadza się? Czy może potrzebujesz weekendu?

– Sean powiedział, że przyjdę do ciebie do pracy?

– Tak – odparła.

Roześmiałem się.

– Śmieszne, kotku?

– Tak – powiedziałem z uśmiechem. – Śmieszne. Śmieszne, irytujące i bezsensowne.

– A jak, do diabła, myślisz, po co cię do mnie przysłał?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Niewiele się nad tym zastanawiałem. Już od roku bezmyślnie postępuję według jego wskazówek.

– Hm.

– Tak sobie myślę, że może... – Wzruszyłem ramionami. – Może myślał, że mógłbym ci pomóc. Oboje siedzieliśmy. Rozumiem, że na wolności jesteś już od paru lat, ale...

– Czy wyglądam na taką, która potrzebuje twojej pomocy? – roześmiała się ostro.

– Nie.

– Świetnie daję sobie radę, kotku. – Protekcyjnie poklepała mnie po ramieniu. – To śmieszne. Tobie się wydaje, że on chciał, żebyś mi pomógł, a nie pomyślałeś, że to może ja mam pomóc tobie. Skropiłeś się wodą kolońską Jack Daniels.

– To Wild Turkey. – Powąchałem kołnierzyk swojej koszuli.

– Sean chciał, żebyś ruszył dupsko i wziął się do roboty.

– Tak, dziękuję. – Odchrząknąłem. – Dotarło do mnie.

Uśmiechnęła się. Cała sprawa robiła się coraz bardziej absurdalna, niewygodnie absurdalna, jak nieudany żart. Dowcipas. Zerknąłem w stronę drzwi, poczułem, jak pot zrasza mi głowę.

– O ile dobrze zrozumiałem, prowadzisz tutaj prywatną firmę detektywistyczną?

– Zgadza się – zarzuciła głowę.

– A Sean myśli, że połączę z tobą siły i zacznę pracować nad sprawami, jakby nigdy nic się nie stało?

– On na pewno się nie łudzi, że nic się nie stało. – Amandzie znudziło się patrzeć na mnie. Odwróciła stronę gazety, dokładnie przyjrzała się zdjęciom, potem przeniosła wzrok na tekst. – Doskonale wie, co się stało z twoim życiem. Pewnie dlatego pomyślał o mnie. Bo jestem jedyną osobą w Queensland, która mogłaby zatrudnić kogoś oskarżonego o to, o co ciebie oskarżono.

W brzuchu mi od tego zaburczało. Znów spojrzałem na drzwi.

– Powiedział, że wpadłeś w gówno po uszy – stwierdziła z uśmiechem. – Przyjrzałam się twojej sprawie. On chyba ma rację.

– Chryste. Słuchaj, pardon, panienko. Ale tylko dlatego, że jesteś jedyną osobą w Queensland, która chciałaby wynająć mnie do prac detektywistycznych...

– Do czegokolwiek.

– Do czegokolwiek – zgodziłem się – nie znaczy, że jestem zainteresowany. Rzecz w tym, że ty sama... Ty sama jesteś...

– Skazaną morderczynią? – Podniosła na mnie wzrok. – Słuchaj, kochaniutki. Skazana, uwolniona. Winna, niewinna. Zarzuty przedstawione. Zarzuty wycofane. Tutaj to nie ma znaczenia. Jeśli to jeszcze do ciebie nie dotarło, to wkrótce dotrze. Siedzisz. Oboje siedzimy.

Bawiłem się stojakiem na serwetki stojącym obok mnie.

– Zastanów się – mówiła dalej. – Jaka tutaj jest realna różnica między tobą a mną?

– Różnic jest mnóstwo – odparłem.

– Okej, nadal jesteś w fazie wyparcia. – Wróciła do gazety, machnęła na mnie lekceważąco ręką. – Przejdzie ci.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, Amanda czytała gazetę, jakby mnie tu nie było, ja patrzyłem na czubek jej głowy, na okulary, na płomieniście pomarańczowe korzenie ufarbowanych czarnych loków. Nie mogłem uwierzyć, że tak swobodnie mówiła o moim życiu. O moim zwęglonym odłogu egzystencji. Głośno siorbała kawę, jak dziecko. Siedziałem zaniepokojony i zdumiony, pasażer rozbitego samochodu, który próbuje zrozumieć, dlaczego wóz nie posuwa się do przodu.

– Więc masz wolny czas, żeby popracować? – zapytała w końcu.

– Wolny czas?

– Czas do wykorzystania.

– Chyba tak, jak najbardziej mam czas.

– Gdzie pracowałeś?

– W wydziale narkotykowym. Parę związanych z tym zabójstw – powiedziałem. Mózg kręcił mi się na wysokich obrotach. – Nie mogę uwierzyć, że prowadzimy tę rozmowę.

– Dlaczego?

– Rzecz w tym, czy twoja firma jest realna? – Pochyliłem się do niej konspiracyjnie. – To znaczy, czy naprawdę masz klientów?

– Jest realna. – Uśmiechnęła się złośliwie. – A co? Myślisz, że to przykrywka do czegoś?

– Nie, ja tylko tak. Jesteś skazaną morderczynią. Czy ludzie nie uważają cię za niebezpieczną?

– Jestem skazaną morderczynią – wyszeptała, czerwone wargi rozszerzyły się jej w uśmiechu. – I jestem niebezpieczna.

– Więc dlaczego ludzie cię wynajmują?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Chyba myślą, że mam umysł kryminalisty. Jestem nastrojona na częstotliwość czarnego charakteru. Mogę wywęszyć oszustów, kombinatorów i zbirów, wykorzystując moje arcypodłe zmysły. – Mocno pociągnęła nosem.

– Ha.

– Przydaje się także to, że jestem jedynym prywatnym detektywem po tej stronie Brisbane.

– Zgadza się.

– Cóż, słuchaj. – Rozparła się i jęknęła ze zmęczeniem, jak ktoś wyświadczający wielką przysługę, która może pogrzyźć cały jego biznes. – Mogę wziąć cię na próbę. To przysługa dla Seana.

– Ale mówiłaś, że nie znasz Seana...

– Nie znam.

– Ale...

– A może zrobimy sprawdzian? – powiedziała. – Możemy pójść do biura i wybierzesz sobie parę teczek ze sprawami. Jedną z nich możemy wykorzystać jako bezpłatny test. Zobaczymy, czy się nadajesz.

– Co to za sprawy?

– Och, mam mnóstwo takich, które ci się spodobają. – Mocniej zarzuciła głową, niemal dotknęła uchem barku. – Sprawy o niewierność. Sprawy ubezpieczeniowe.

– To po prostu cudowne, ale nie jestem zainteresowany trzaskaniem fotek nagich dupsk w pokojach hotelowych.

Postawa Amandy zmieniła się całkowicie. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, otwierając usta szeroko. Objęła się, jakby przytulała się do własnego humoru.

– Gołe dupska w pokojach hotelowych! Och, boskie!

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Cała ta sprawa.

Długie siorbnięcie kawy.

– Cóż, nie jestem tutaj po to, żeby cię przekonywać.

Popatrzyłem na dłonie. Pomyślałem o dobrych pomysłach, o złych pomysłach, o Seanie. I o pieniądzach.

– Nie interesuje mnie praca za darmo – powiedziałem. – To nie terminowanie, a ja nie mam czternastu lat.

– Kochany, cóż, warto było spróbować. Musisz przyznać.

– Nad czym pracujesz?

– Och, nie dam ci mojej sprawy – roześmiała się. – Nie pracuję dobrze w zespole.

– Ja też nie – powiedziałem. – Więc może powinniśmy zapomnieć o całej sprawie.

Kelnerka Vicky przysłała i zabarykadowała mnie na moim miejscu, kiedy już miałem dramatycznie odejść. Stała z podkładką i długopisem i uśmiechała się. Popatrzyłem na Amandę, ona beznamiętnie odpowiedziała na moje spojrzenie. Ja miałem wybrać. Zamówiłem czarną kawę i Vicky odeszła.

– To będzie trudne. – Amanda westchnęła ze znużeniem i zaczęła gapić się w okno.

– Chyba masz rację.

– Większość ludzi w tym mieście prawie zapomniała, kim jestem – powiedziała, ignorując mnie. – Co zrobiłam. A jeśli nie zapomniała, to przynajmniej nie patrzy na mnie tak, jak zaraz po wyjściu z więzienia. Chyba się do mnie przyzwyczaili. Ale ty? Będziesz tutaj jak upiór, jak tylko motłoch dowie się, że jesteś w mieście. Naprawdę uważam, że powinieneś przyjąć propozycję. Praca w nocy i gołe dupska w pokojach hotelowych.

– Nie, dziękuję.

Oddała róg gazety i złożyła go w maleńki, wydęty kwadracik. Patrzyłem, jak wkłada go sobie między przednie zęby, ściska i wciąga między trzonowce.

– Słuchaj. – Żuła papier w zamyśleniu. – Współczuję ci, koleś. Więc mogę pozwolić, żebyś przez jakiś czas za mną łaził. Zobaczymy, czy potrafisz coś więcej niż otwierać drzwi kopniakiem. Ale lepiej naciągnij kapelusz na oczy. Będziesz

musiał występować incognito, rozumiesz? Jak homar w sałatce.

Chyba była zadowolona z tego wymyślnego na poczekaniu powiedzonka. Siorbnęła z uśmiechem kawę. Zastanawiałem się, czy jej podziękować.

– Może powinieneś zapuścić brodę.

– Już zapuszczam – powiedziałem, dotykając zarostu.

– Więc chcesz to robić? Jesteśmy partnerami? – zapytała. Zmęczenie zniknęło i pojawiła się dziecięca ekscytacja. Uniosłem oczy, a ona klasnęła z radości.

– Opowiedz mi o twojej sprawie – rzekłem.

Vicky przyniosła mi kawę, a Amanda ściągnęła dwa srebrne pierścionki ze środkowego palca lewej ręki. Zrozumiałem, że dwa mniejsze pierścionki przytrzymują znacznie większą obrączkę u nasady palca. Była tak duża, że głośno zabręczała na stole, kiedy wreszcie ją zdjęła. Potoczyła ją w moją stronę, a ja ją złapałem, zanim spadła z blatu.

– Zaginął miejscowy celebryta – powiedziała.

6

To sprawa Jake'a Scully'ego – ciągnęła dramatycznym tonem.

– Czy to nazwisko powinno mi coś mówić?

– Mogłoby, gdybyś był zapalonym czytaczem – odparła. – W pudle byłam naprawdę zapaloną czytelniczką. Czytałam wszystko, ale największym hitem w Więzieniu dla Kobiet w Brisbane była seria Kronik Gasnącego Światła.

– Brzmi interesująco – powiedziałem.

– Bo to jest interesujące!

– O czym to jest?

– To seria oparta na wybranych fragmentach ze Starego i Nowego Testamentu, z których zrobiono popularne historie dla młodzieży. Książki są bardzo kontrowersyjne. Akcja dzieje się po wniebowzięciu i zawiera mnóstwo fajnych dodatków z popkultury, które na pewno nie mają wiele wspólnego z Biblią. Wampiry, wilkołaki, wiedźmy i tego rodzaju sprawy. To epicki dramat na podstawie Biblii z cholernie dobrym seksem i przemocą. Młodzież to uwielbia.

– Chyba o tym słyszałem. Facet sprzedał jakiś milion egzemplarzy.

– Dziesięć milionów. Są po prostu niesamowite. – Amanda uśmiechnęła się. – Adam i Ewa, główne postacie, zaczynają jako zwyczajne dzieciaki ze szkoły, a potem przychodzi koniec świata. Kończą jako herosi zwalczający zombi i doradcy apostołów i w ogóle coś w tym stylu. Kompletne bluźnierstwo. Ale chrześcijańskie dzieci odlatują, kiedy widzą biblijnych bohaterów zamienionych w makabrycznych wojowników z czasów po apokalipsie. Są tam wszyscy fajni ludzie. Archanioł Gabriel, święty Krzysztof, parę bardzo seksownych demonów.

Amanda patrzyła za mnie, w okno, wzdychała z zadowolenia.

– W więzieniu w Brisbane dostałyśmy prawdziwej obsesji na punkcie tych książek – powiedziała. – Czytałyśmy na czas, żeby żadna nie wydała zakończenia.

Czasami siadałyśmy w celach i czytałyśmy dla innych na głos.

– A teraz autor tych książek zaginął – stwierdziłem.

– Myślę, że nie żyje.

– A pierścień?

– Totalnie biblijny – powiedziała Amanda. – Znaleźli go w krokodylu słonowodnym wielkości furgonetki.

– O rany. – Podniosłem obrączkę ślubną do światła. Odebrała mi ją i znów wsunęła sobie na palec.

– Interesujące?

– Bardzo interesujące – powiedziałem. – Kto cię wynajął?

– Żona Jake’a. Ma dość policji z Queensland. Minęły trzy tygodnie i żadnych postępów. Zero. Nie informują jej o przebiegu śledztwa. Ma pieniądze, więc czemu nie zatrudnić jakiejś dodatkowej pomocy?

– Okej – powiedziałem. – Więc od czego zaczynamy?

– Cóż, nie podniecajmy się za bardzo. Musimy ustalić podstawowe zasady, jeśli masz zajmować się tym ze mną.

– To są podstawowe zasady?

– Aha.

– W porządku. Kawa na ławę, siostró.

– Najważniejszy jest numer jeden. Nie dotykasz mnie. Nigdy.

– Skąd miałem wiedzieć, że to jest najważniejsze? – zapytałem.

Twarz Amandy na moment stwardniała, jak piegowaty kamień.

– Nie myśl, że jesteś taki ważny. Nikt mnie nie dotyka. Jak ja dotknę ciebie, to w porządku, ale nikt nie dotyka mnie. Ani moich rzeczy. – Przysunęła gazetę trochę bliżej do siebie.

– W porządku.

– Nie rozmawiamy o Kissing Point.

– Brzmi rozsądnie. Oczekuję tej samej uprzejmości co do mojej sprawy.

– Co? No nie. Daj spokój, Ted – fuknęła. – Bądźmy realistami. Mam zamiar porozmawiać o Claire. To połowa powodów, dla których tutaj przyszedłem.

Claire przemknęła mi przez głowę z dręczącą jasnością. Jej chude, białe ciało na poboczu. Deszcz rozmywający wszystko wokół niej. Kiedy doszedłem do siebie, stwierdziłem, że zgrzytam zębami i zaciskam dłonie na skroniach.

– Wielki Boże – wydyszałem. – Dlaczego to powiedziałaś? Dlaczego do diabła wyciągasz tę sprawę?

– Bo chcę o niej porozmawiać. Żartujesz? Chciałam o niej pomówić, odkąd mój stary kumpel Sean do mnie zadzwonił.

– Dlaczego?

– Bo twierdzisz, że jesteś niewinny, prawda? – Nachyliła się.

– Co? Tak! Ja nie twierdzę. Ja jestem niewinny. Niewinny.

– To super! – Podniosła rękę. – Jakież to fascynujące. Prawda?

– Nie! To nie jest fascynujące, to jest koszmar.

– To jest fascynujące! Jeśli nie ty to zrobiłeś, to kto? A jeśli kłamiesz, to dlaczego, do diabła, wycofano zarzuty?

– Już przestań.

– Nie chcesz dopaść gościa, który to zrobił? Moglibyśmy razem poprowadzić śledztwo. W twojej sprawie. W wolnym czasie. Jako hobby.

– Nie – zakipiałem. Próbowałem otrząsnąć się z wściekłości, która zaczęła rozpalać się we mnie. – Nie, Amando. Nie chcę zajmować się z tobą tą sprawą w wolnym czasie. Nawet nie chcę zbliżyć się do tej kurewskiej sprawy z tobą czy z kimkolwiek. Czy moglibyśmy...

– Uf. No dobrze. – Znow zgarbiła się w krześle. – Taka nuda. Taki brak wizji.

– Czy moglibyśmy po prostu...

– Już dobrze, dobrze. Dotarło do mnie – powiedziała. – Wysiorbała resztkę kawy, trzasnęła filiżanką o talerzyk. Wstaliśmy. – Na razie możemy to sobie odpuścić. Ty wracasz do domu i pracujesz nad swoją brodą, a ja idę do domu, żeby się zastanowić, co z tobą zrobić. Piątka, bracie.

Podniosła dłoń, zrobiłem to samo. Nadal byłem drętwy, odkąd wrzepiła moją sprawę w to spotkanie. Klepnęła mnie w dłoń i wyszła w gorącą dzicz poranka Crimson Lake, zostawiając mnie, żebym zapłacił za jej kawę.

Całą noc uprawiałem zapasy ze snami i prześcieradłami.

Kelly po drugiej stronie więziennej szyby, jej twarz ospowata i podrapana od wgłębień po mojej stronie bariery. Boli każdy mięsień. Adrenalina tryska we mnie przy każdym dźwięku. Co teraz? Co potem? Ciągle miałem nadzieję, że ludzie, którzy przychodzą do mojej celi, są po to, żeby mnie uwolnić. Za każdym razem

miążdzące rozczarowanie. Moi przyjaciele, teraz obcy, przynoszą mi tace z żywnością, wpychają przez szczelinę papiery od mojego adwokata. Stałem się człowiekiem z litego kamienia, który chodzi, jakby mógł się pokruszyć.

Kelly nie przyniosła niemowlaka. Byłem jej za to wdzięczny. Przerażliwie tutaj.

– Sean chce dostać nakazy na taśmy kamer nadzoru. Zobaczymy, czy znajdzie mnie w obiektywie na stacji benzynowej – powiedziałem do ciepłej słuchawki. Zęby mi szczękały. – Wydaje się porządnym facetem. Chyba wie, co robi, rozumiesz?

– Ted, według papierów idziesz na rozprawę.

Kelly mówiła proszącym tonem. Nie miała makijażu, była wychudzona, jakby od dawna nie spała. Ja też od dawna nie spałem. Absurdalnie wspominałem te kilka rozkosznych tygodni, kiedy urodziła się Lilian i oboje dostaliśmy obsesji na tle sprawdzania po ciemku, w nocy, czy oddycha. Siadywaliśmy i podrzemywaliśmy razem przy stole kuchennym.

– Nie idziemy na rozprawę, Kel.

– Ale...

– To jeden wielki burdel, ale nie potrwa już długo. Minęły trzy tygodnie. To żałosne. Ale w weekend będzie po wszystkim. Sean mówi, że jak znajdzie coś, co umiejscowiłoby mnie na stacji benzynowej, kiedy nastąpiło porwanie, to stąd wyjdę. Może będę się starał o odszkodowanie za bezprawne aresztowanie. Pojedziemy na wakacje. Kelly, jestem kurewsko zmęczony. Tak bardzo chciałbym cię przytulić.

– Dziewczynka wybrała twoje zdjęcie podczas konfrontacji – powiedziała Kelly. Ścisnęła słuchawkę, pobielaly jej kostki. Błagała, żebym z tym coś zrobił. Próbowałem. Ale ciężar tego wszystkiego coraz bardziej na mnie opadał, ledwie mogłem oddychać.

– Tak, powiedziałem. – To się czasem zdarza.

– Zdarza się czasem? – Kelly wyglądała na przerażoną.

– Była zdezorientowana – wyjąkałem. W ustach mi zaschło. – Sean mówi, że ona jest zdezorientowana i przeżywa uraz psychiczny. To dziecko. Pewnie pamięta mnie z przystanku autobusowego i pomyliła mnie z facetem, który to zrobił.

– Ale jak ona mogła...

– Zrozum, nie wolno pokazywać dzieciom w taki sposób zdjęć podczas konfrontacji. – Przysunąłem się bliżej szyby. – Kiedy pokazuje się dziecku zdjęcie,

to jakby mówiło się: „Uważamy, że zrobił to jeden z tych facetów”. Więc ona myśli, że musi wybrać kogoś z serii zdjęć. Dziewczynka zapamiętała mnie z przystanku autobusowego. I widzi mnie na jednej z fotografii. I jej obolały umysł po prostu zestawia te dwa fragmenty, nawet jeśli nie pasują. Sean uważa, że taką konfrontację na podstawie zdjęć możemy odrzucić, jeśli w ogóle dojdzie do procesu. Ale nie dojdzie, Kelly. Nie idziemy do sądu.

– Powiedz mi jeszcze raz, co jej powiedziałaś? – nalegała Kelly. Ktoś w kubiku obok ryczał na swojego gościa, walił w szybę. Strażnicy warczeli jak psy. Nie mogłem się skupić. Nie potrafiłem uporządkować myśli.

– Hej?

– Ta dziewczynka. Co do niej powiedziałaś? Na przystanku autobusu.

Zmrużyłem oczy, oparłem czoło na dłoni, próbowałem zobaczyć siebie wtedy. W kółko powtarzałem, co powiedziałem wtedy, godzinami, podczas przesłuchania. Teraz niczego sobie nie przypominałem. Umysł miałem ciemny, oślizgły. Nic nie trzymało się kupy.

– Boże, Kelly, nie wiem – westchnąłem. – Powiedziałem... powiedziałem, że będzie padać. Właśnie to. Powiedziałem, że zbliża się ulewa, a ona na to, że „tak”. Zapytałem, czy autobus szybko nadjedzie, i chyba powiedziała, że tak. To wszystko.

– Dlaczego o to zapytałeś?

Gapiałem się na żonę przez szybę, nic nie mówiłem.

– No i?

– O co ci chodzi?

– Powiedziałaś do dziewczynki: „Hej, zbliża się wielka burza. Czy autobus zaraz przyjedzie?”

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo ja wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Naprawdę nie myślałem. Chyba chciałem powiedzieć cokolwiek. Po prostu oboje tam staliśmy. Może zastanawiałem się, czy utknie na deszczu.

– A jeśli musiałyby? – zapytała Kelly. – A gdyby odpowiedź brzmiała nie? Że utknie na deszczu. Podwiózłbyś ją? Czy pytając o to, proponowałaś jej, że ją podwieziesz?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie. – Bezradnie wzruszyłem ramionami. – Bo jestem mężczyzną w średnim wieku, Kelly. Nie podwożę dziewczynek, których nie znam.

– Więc po co ją pytałeś?

– Ja...

– Po co w ogóle z nią rozmawiałeś?

Nie miałem odpowiedzi. Kelly przygryzła wargę, skrzywiła się, jakby coś w niej pękło albo miało pęknąć.

– Ted, proszę – powiedziała.

– Co?

– Proszę, po prostu powiedz mi, że tego nie zrobiłeś.

Przestałem się trząść. Ot tak, zwyczajnie. Oblało mnie gorąco, od karku po ramiona. Oczy mnie zapiekły.

– Co?

Kelly płakała w zaciśniętą dłoń. Przyłożyłem dłonie do szyby.

– Co powiedziałaś?

– Nie zrobiłeś tego, prawda?

– Jak możesz mnie o to pytać? Nigdy mnie o to nie pytałaś. Od trzech tygodni. Ani razu. Dlaczego mnie o to pytasz?

– Ted.

– Nie zrobiłem tego!

Wstałem, schwyciłem ręką żelazną kratę nad szybą. Krzyczałem. Nigdy nie słyszałem swojego krzyku.

– Nie zrobiłem tego, Kelly! Nie zrobiłem!

Ciągnęli mnie. Za ramiona, za kark. Strażnicy. Gubiłem się. Traciłem wyczucie, gdzie jestem. Odwróciłem się i chwyciłem najbliższego strażnika, bo był rzeczywisty, bo był człowiekiem, bo był blisko. Złapałem go za koszulę i trzymałem. Poczulem kajdanki na nadgarstkach.

– Nie zrobiłem tego!

Wywinąłem się ze snu i chwyciłem za łydkę, gdzie złapał mnie skurcz. Ostatnio budziły mnie dziwactwa. Skurcze, tiki, kłujący ból. Hałasy i głosy, chociaż wiedziałem, że nie są realne. Tak samo było, kiedy po raz pierwszy wszedłem przez więzienną bramę. Nie wiedziałem, co organizm chciał mi powiedzieć, ale

cieszyłem się, że włączał tiki i budził mnie z koszmarów.

Wyszedłem na werandę, do orkiestry kumkających zielonych żab, które zrobiły tam najazd. Siedziały, grudkowate i wilgotne, na belkach dachu, a trzy na poręczy, jak oślizgłe, grube bryłki zielonej gliny. Tylko światło księżyca nadawało im kształty. Podszedłem do pudła z boku werandy i podniosłem ręcznik. Natychmiast uderzyło mnie ciepło ze środka, wilgotny, ziemisty zapach ptaków.

Kobieta spała z głową wetkniętą pod zdrowe skrzydło. Jej węzowata szyja uniosła się, kiedy ją przywitałem. Czarne oczka szukały moich oczu. Usiadłem obok niej i wsunąłem dłoń pod jej skrzydło. Złapałem jeden z pierzastych pęczków ukrytych przy jej boku i wyciągnąłem na dłoni śpiące gąsiątko. Nie protestowała. Nocna pora wprowadziła między nami rozejm.

– Oddam – obiecałem.

Siedziałem w świetle księżyca, trzymałem w wielkich dłoniach śpiące gęsie niemowlę i głaskałem puchate piórka wokół jego dzióbka. Małeńki stworek prawie się nie ruszał.

Przypomniałem sobie ciężar mojego dziecka trzymanego na rękach.

7

Drogi Jake'u,

Piszę, żeby Ci powiedzieć, jak bardzo polubiłem Spalonych. Wiem, że jestem spóźnionym czytelnikiem Kronik Gasnącego Światła. Mam nadzieję, że Ci to nie przeszkadza, ale mama nie pozwalała mi ich czytać, kiedy zaczęły wychodzić, i dlatego zdążyłem wszystko zapomnieć. Spaleni tak bardzo mi się podobali, że wyszedłem kupić resztę serii – mam wszystko w złotym wydaniu z rysunkiem Ewy na tylnej okładce. Nie wiem, czy powinienem kontynuować lekturę przed ponownym przeczytaniem pierwszej książki. Czytałem ją tak szybko, że na pewno coś pominąłem. Trochę to smutne, kiedy znajduje się pisarza, którego się pokocha tak, jak ja pokochałem Ciebie, bo wie się, że pewnego dnia skończą się jego książki.

Sam jestem pisarzem marzącym o karierze, więc kiedy znajdę wielkiego pisarza, próbuję naśladować jego styl. Nie publikowano mnie, ale się staram i dochodzę do trzydziestego listu, w którym odrzucają moje starania. Wiem, że trzeba znaleźć własny styl, własną opowieść, ale sądzę, że jak zapożyczę troszeczkę od tych wielkich, pewnego dnia sam stanę się wielkim. Załączyłem krótką rzecz o Ewie i Adamie. Mam nadzieję, że jest w porządku. Wiem, że niektórym pisarzom się nie podoba, ale dostałem obsesji na twoim tle. Dwoje twoich głównych bohaterów tłukło mi się po głowie już od pierwszej strony. Musiałem ich wypuścić! Ten kawałek jest troszeczkę seksowny, ale zapalałem namiętnością do moich bohaterów i mam nadzieję, że udzieli ci się ta namiętność.

Może pomyślisz, że moja praca jest obiecująca. Pokaż ją wtedy twojemu agentowi literackiemu. Osobiście już posłałem kilka swoich prac Cary'emu, ale przysłał mi tylko standardowy list z odmową. Jestem pewien, że sam masz mnóstwo takich listów! Nie jestem pewien, czy w ogóle przeczytał mój manuskrypt. Słyszałem, że czasem nie czytają, szczególnie, gdy są obciążeni pracą albo szukają

czegoś, na co właśnie jest popyt. Teraz chyba w modzie są zombi. Chyba wszyscy to wydają. Może gdyby Cary wiedział, że znam Ciebie, podszedłby poważniej do mojej pisaniny.

W każdym razie muszę kończyć i wsadzić nos w książki. Odpisz, jeśli znajdziesz czas. Naprawdę uważam, że jako koledzy pisarze mamy sobie wiele do powiedzenia z wzajemną korzyścią.

– Więc nie możesz prowadzić, czy nie chcesz prowadzić? – zapytałem.

– Chyba umiałabym prowadzić. Gdybym spróbowała.

Rower był starą wyścigówką, utrzymany w niepokalanej czystości i naoliwiony, musztardowożółty z łososioworóżowymi kołami. Kasku nie nosiła. Lew na jej łokciu patrzył na mnie wściekle podczas jazdy. Samochód był to stary sedan. Sprezentował mi go Sean na drugi dzień po moim wyjściu z więzienia. Wypożyczony, żeby przewieźć moje rzeczy z domu do motelu, w którym wtedy się zatrzymałem. Nie prosił, żebym mu go oddał. Wóz był wypełniony, nie wiadomo dlaczego, gazetami pomarszczonymi i wysuszonymi przez słońce.

– Nie chcesz nawet jechać obok kierowcy? – Spojrzałem na pozornie niegroźny pusty fotel obok mnie.

– To jedna z podstawowych zasad. Chyba numer pięć. Zasada piąta: dążę do tego, żeby w życiu nie wsiąść do samochodu.

– To głupia zasada, Amando. Mogę się od niej odwołać? To bardzo utrudni nasze działania, jeśli wszędzie będziesz jeździła na rowerze.

– Nie czas teraz na procesy apelacyjne. Nie korzystam z samochodów. – Amanda rzuciła mi spojrzenie, cicho warknęła, jakby obrażona, może zdenerwowana, że tyle tu kamieni, ale chyba nie. – Nie od tamtego wieczoru.

„Tamten wieczór” to był wieczór, kiedy Amanda podobno zaszlachtowała swoją młodą przyjaciółkę, Lauren Freeman, w samochodzie w Kissing Point, tuż pod Crimson Lake. Amanda i Lauren jechały na party w górach i zaparkowały trochę dalej, przy drodze gruntowej w gęstej dżungli. Na party nie dotarły. Trzydzieści godzin później policja znalazła Amandę bezbronną, nagą, chociaż podejrzenie nietkniętą w ciasnym bagażniku. Lauren siedziała skulona na tylnym siedzeniu, plecy miała dziobate od ran kłutych. Wokół pojazdu nie było odcisków stóp, które mogłyby wskazywać, że jeszcze ktoś przyszedł na miejsce, w którym zaparkowały

dziewczyny. Ubranie Amandy leżało obok, mokre od deszczu, który padał w nocy.

Patrzyłem, jak jedzie. Stukałem dłonią w burzę samochodu, w rytm muzyki z radia. Rano jeszcze poszukałem w Internecie wiadomości o mojej nowej partnerce i to, co znalazłem, zaniepokoiło mnie. Amanda z początku twierdziła, że kto inny zamordował jej przyjaciółkę, ona przysłuchiwała się temu z bezpiecznego bagażnika. Ale szybko zaczęły się gromadzić sprawy niewyjaśnione.

Nie potrafiła wyjaśnić, co robiła w bagażniku.

Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego była naga i nie miała ran.

Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie było żadnych dowodów wskazujących na czyjąś obecność w miejscu zbrodni.

Podczas pierwszych przesłuchań Amanda ostrożnie badała grunt swoich twierdzeń o niewinności. Zaczęła od stwierdzenia, że nie popełniła zbrodni i nie wie, kto ją popełnił. Potem zmieniła zdanie: wie, kto to był, ale nie powie. Na krótko zapuściła się w wyjaśnienia, że straciła przytomność albo że śniło jej się, że popełnia zbrodnię, albo że widzi czyimiś oczami, jak ten ktoś popełnia zbrodnię. Po paru dniach zrezygnowała z tego wszystkiego.

Pomysł, że ktoś inny zamordował Lauren Freeman, nie miał sensu. Dlaczego ktoś miałby podejść do dwóch kobiet w samochodzie na samotnym górskim szczycie, brutalnie zabić jedną, a drugą zostawić bez zadraśnięcia? Dlaczego zaparkowały jakieś dwieście metrów albo i dalej od party, daleko od innych samochodów, skoro dalej było mnóstwo miejsca? Dlaczego zaparkowały tak głęboko w krzakach, a nie na szerokiej, pustej drodze? Kto inny mógł wiedzieć, że tam są? Gdzie, do diabła, było narzędzie mordu? Po jakimś czasie zrozumiałem, że próbuję ustalić, czy moim zdaniem to zrobiła, czy uważam, że kobieta, na którą patrzę, to jakiś potwór, taki typ ludzki, który zgasi młode życie dla uzyskania jakiegoś chorego, pewnie seksualnego podniecenia. Próbowałem otrząsnąć się z tych pytań, ale one wracały.

Ironia zawarta w tym, że sceptycznie patrzyłem na Amandę Pharrell, była dwojaka. Po pierwsze, wiedziałem bardzo niewiele o tym morderstwie, a cały naród uznał mnie za winnego, też niewiele wiedząc o mojej sprawie. Wiedziałem, jak to jest być potępionym przez czytelników gazet. Nie chciałem robić jej tego samego.

Spędziłem też osiem miesięcy w towarzystwie morderców, pedofilów

i gwałcicieli w więzieniu Silverwater i żaden z nich w moich oczach nie wyglądał na potwora. Niektórzy byli miłutkimi misiami, płakali w nocy, bo tęsknili za matkami. Na to samo natknąłem się w swoim czasie jako policjant z patrolu oraz w wydziale narkotykowym. Nie ma „typu zabójcy”. Nie ma „zachowania zabójcy”. Z twarzy Amandy nie mogłem wyczytać prawdy i to, co w Tedzie logiczne, mówiło mi to. Ale łąpałem się na tym, że ciągle na nią patrzę. Na jej smutne oczy. Dlaczego to robi?

Czy byłaby zdolna zrobić to jeszcze raz?

– Jak ktoś skazany za to, za co ciebie skazano, może dostać licencję prywatnego detektywa? – zapytałem.

– Występując o nią, kotku.

Zmrużyłem oczy, patrząc na nią. Podskoczyła na wielkim kamieniu.

– Są przestępstwa, które dyskwalifikują – powiedziała. – Zabójstwo jest jednym z nich. Ale jeśli doszło do niego przed ponad dziesięciu laty, można występować o licencję. Wnioski rozpatrywane są indywidualnie.

– I twoje podanie przyjęli – parsknąłem. – Niewiarygodne. Czy opinia publiczna nie protestowała?

– Opinia publiczna protestuje za każdym razem, kiedy coś zrobię. Pojawiłam się na publicznym basenie w Smithfield rok po wyjściu z więzienia. Trafiło to do gazet. „Amanda Pharrell idzie popływać”. Byłam rzeźnikiem w bikini – zaśmiała się do siebie. – Podoba mi się to. Lubię, kiedy gazety robią się barwne.

– Nie bierzesz tego wszystkiego poważnie, prawda?

– Na dłuższą metę nie da się tak żyć. Jeśli nie wyrobi się w sobie poczucia humoru na temat własnego położenia, cholernie szybko można samemu się wykończyć.

Pomyślałem o wieczorze, kiedy znalazłem Kobietę.

– I kto wtedy będzie słuchał moich powiedzonek – kontynuowała ponuro. – Nikt, właśnie nikt.

– Twoja powiedzonka to prawdziwe zbrodnie... przeciwko ludzkości – powiedziałem. Tak się śmiała, że mało nie spadła z roweru.

– Ale na poważnie – rzekła. – Będą mocne publiczne protesty, jak tylko lokalna prasa dowie się o twojej obecności.

– Nie mogę się doczekać – skłamałem.

Amanda zatrzymała się przed dużymi kamieniami i skręciła przede mną bez ostrzeżenia. Zjechała bez pedałowania z górki. Próbowałem pójść w jej ślady, kiedy zauważyłem w lusterku wstecznym czerwone i niebieskie światła. Kilka sekund później radiowóz zatrąbił na mnie.

Nie zaskoczyło mnie, że zobaczyłem dwa połcie wieprzowiny, które poszturchały mnie w sklepie na rogu. Poprawili pasy i wyleźli z radiowozu. Wsiadłem i rozejrzałem się za Amandą, ale dziewczyna zniknęła, zapewne w wysokiej, żółtej trzcinie cukrowej. Ten większy, Lou, wyjął pałkę z pochwy na biodrze.

– Sir, nikt panu nie pozwolił wysiadać z samochodu – powiedział. Przyjrzałem się ich plakietkom z nazwiskami. Hench i Damford. Ten drugi, na swoje nieszczęście, pokryty był bliznami po trądziku od oczek jak szparki po kołnierzu koszuli.

– Na tej drodze nie ma ograniczenia prędkości – powiedziałem. – Samochód jest w dobrym stanie technicznym. Nie macie powodu, żeby mnie zatrzymywać.

– Nie potrzebujemy powodu – powiedział z uśmiechem Hench. – Rutynowa kontrola.

– Jeśli chcecie przeprowadzać rutynowe kontrole, musicie ustawić blokadę na drodze. Nie możecie zatrzymywać przypadkowych...

– Ręce na dach! – Hench dźgnął mnie mocno w żebra czubkiem pałki. Poczulem ból w klatce. Na sekundę zabrakło mi oddechu, nie byłem w stanie podnieść ręki z tej strony na dach samochodu.

– Będę miał od tego niezłego siniaka – wysapałem.

– Chcesz jeszcze?

Naprawdę nie chciałem. Zaparkowali samochód pod kątem, wideorejestrator wycelowany był w autostradę za polami. Hench wyjął mi portfel z kieszeni, zaczął wyjmować wszystkie karty i rzucać je w błoto. Odwrócił portfel i wytrząsnął monety, włożył do kieszeni jedyny banknot, dwudziestkę. Tymczasem Damford jednym ruchem otworzył bagażnik.

– Sir, co pan robił w mieście?

– Odwiedzałem przyjaciółkę.

– A któż to taki?

– Vicky. – Przyglądałem się, jak Damford wyłamuje lusterko boczne. –

W restauracji.

Westchnąłem, kiedy wyjął mi telefon z kieszeni, przewinął ostatnie rozmowy i esemesy. Zachichotał, kiedy coś zobaczył.

– Co?

Podniósł telefon, żebym sam zobaczył. Na ekranie było zdjęcie Lilian. Mojej córki.

– Tu jest małe dziecko.

– Jest – potwierdziłem.

– Wiem, że lubisz, jak są młode – powiedział Hench z uśmiechem – ale nie aż ta...

Spróbowałem wyrwać mu telefon. Tylko na to czekał, rąbnął mnie pałką prosto w kolano. Ból był oślepiający. Aż w uszach mi od niego zadzwoniło. Złapałem się za rzepkę kolanową i upadłem. Jak wszyscy tchórze Hench cofnął się ze strachu, że zostanie przyłapany na przestępstwie, kiedy tylko stał trzasnęła o ciało. Jego brawura była chwilowa. Zerknął na pole i machnął na Damforda, rzucając w błoto mój telefon.

– Jeszcze się spotkamy, koleś.

Minęło wiele minut, zanim Amanda wyłoniła się spośród trzciny. Patrzyła za odjeżdżającym radiowozem, a głowa drgała jej w krótkich tikach, jakby próbowała odpędzić muchę z twarzy. Nawet się nie ruszyła, żeby pomóc mi wstać.

– Jest w porządku – powiedziałem. – Nie przemęczaj się.

Usiadłem na fotelu kierowcy, ugiąłem i rozprostowałem nogę. Słyszałem, jak coś w niej chrupie i trzaska. Wiedziałem, że jutro będzie gorzej.

– Znam tych dwóch gliniarzy. Musisz na nich uważać.

– Naprawdę? Nie mów.

Amanda zatarła dłonie, aż pierścionki zadzwoniły.

– Hench i Damford. Ci faceci to tutaj władza. Oni są tutaj panami władzami.

Jeszcze nie widziałem, żeby Amanda się bała. Wściekle zacierała dłonie, jakby oblażyły je mrówki.

– Ci kolesie są trochę za starzy jak na służbę patrolową, co? – zapytałem. – Są pewnie w moim wieku. Co oni jeszcze robią na drodze?

– Chyba to lubią. Wszędzie ich tu pełno. Są, gdzie się nie obejrzyysz. Patrzą na wszystko.

- Co sądzą o tym, że jesteś miejscowym prywatnym detektywem? – zapytałem.
- Mniej więcej to samo, co o tobie, że jesteś miejscowym pedofilem – powiedziała. – Staraj się ich unikać.

Amanda, trzęsąc głową, podeszła do roweru i wsiadła na niego, ciągle rozglądając się, czy w pobliżu nie ma radiowozu. Wytarłem błoto z telefonu, ze zdjęcia Lilian na ekranie. Powstrzymałem się przed spojrzeniem jej w oczy.

8

Trochę posiedzieliśmy przed domem w South Crimson Lake. Amanda rozciągała swoje mięśnie czterogłowe i gapiła się w odbicia niebieskiego łańcucha górskiego w oknach na drugim piętrze.

Crimson Lake i zabudowania na jego skraju były kryjówkami dla ludzi, którzy chcieli żyć w samotności. Domy farmerów trzciny cukrowej, których ziemia zajmowała taki obszar, że goście trzymali się od nich na dystans, bo tak niewygodne byłyby wizyty, i domki takie, jak mój, ukryte pod nawisami skalnymi, głęboko w mokradłach. Zaskoczyłoby mnie, gdybym był jedynym uciekinierem w tym miasteczku. Ziemia tutaj była niewiarygodnie urodzajna, więc wokół większości domów, obok których przejeżdżałem, były ogródki, które pozwalały mieszkańcom przez dłuższy czas pozostawać u siebie, zanim zdobędą się na odwagę, żeby wyjść i znaleźć się w towarzystwie innych. Były tu bimbrownie w szopach na tyłach. Uprawy marihuany ukryte w poszyciu. Tu nie było ulic dudniących wczesnym rankiem śmieciarkami, rozbrzmiewających śmiechem dzieci idących do autobusu. Do Crimson Lake przyjeżdżało się po ciszę. Po cień.

Ale bogaci też lubili ciszę. South Crimson Lake różniło się od właściwego Crimson Lake i jego wyraźnie malejącej populacji, zabitych deskami okien i coraz mniejszej liczby zabitej zwierzyny na asfalcie, do której dobierały się wrony. Tutaj były brukowane podjazdy i wykwintne kawiarenki na rogach z posiłkami na świeżym powietrzu. Mniej było walących się domów z werandami zawałonymi butelkami po piwie. Rządek rezydencji graniczył z parkiem narodowym. Wielkie żółto-czerwone znaki ostrzegały przed karmieniem kazuarów przechodzących przez drogę z parku do mokradeł na końcu ulicy i ostrzegały kierowców przed ptakami wielkości człowieka. Siedziałem w samochodzie i zastanawiałem się, czy usłyszałbym ich krzyk głęboko w dżungli, za wielkimi domami.

Dom Stelli i Jake'a Scullych był dumą osiedla, zbiorem oślepiająco białych bloków poprzecinanych witrażowymi szybami z przeogromnym basenem od frontu. Podniosłem wzrok i zobaczyłem nastoletniego chłopca próżnującego na balkonie na piętrze. Łokieć wciśnięty miał w żebra, a papieros zwisał mu z opuszczonej ręki. Z mojego punktu obserwacyjnego widać było postrzępioną dzinsową kamizelkę i czapkę narciarkę. Zapatrzyłem się na tę czapkę. W porannym słońcu nad górną wargą zbierał mi się pot.

– Więc jeszcze nie spotkałaś się z gospodynią? – zapytałem Amandę.

– Nie. Jak do tej pory wszystko było przez telefon.

– Ona wie, że przyjechałem z tobą?

– Nie – odparła Amanda. – Och, chwileczkę, wieczorem zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że dzisiaj przyprowadzę ze sobą partnera. Ale nie wspomniałam, że to będziesz właśnie ty.

– Jedna była kryminalistka wystarczyła, co?

– Jeśli jest gotowa, żeby zaakceptować mnie, powinna zaakceptować ciebie. – Zamyśliła się, obracając zegarek wokół nadgarstka, jakby chciała odkręcić sobie rękę. – W końcu jestem sadystką na tle seksualnym i morderczynią. Ty jesteś tylko jakimś tam pedofilem.

Poczułem ból pod prawym okiem, jakbym właśnie dostał pięścią.

– Świetnie. Okej, chciałbym dodać jeszcze jedną fundamentalną zasadę do listy.

– Propozycje są mile widziane.

– Moglibyśmy ustalić, że nigdy więcej, w mojej obecności, nie użyjesz tego słowa?

– Co byś wolał? Zboczek? Biduś tatuś?

– Wolałbym, żebyś w ogóle nie posługiwała się wobec mnie sformułowaniami sugerującymi pedofilię – powiedziałem, krzywiąc się.

– Zgoda. Dotarło. – Stuknęła obcasami i zasalutowała.

– Po prostu przestań nawiązywać do mojej sprawy. Raz na zawsze.

– Spróbuję. To znaczy, z natury nie idzie mi dobrze z przestrzeganiem zasad. I jestem po prostu fanką twojej sprawy. I to taką, że powinno się wpiąć mnie we włosy i nosić na wyścigach.

Pomasowałem oczy. Mózg miałem jak ołowianą kulę, która toczyła się wewnątrz czaszki i waliła w skronie.

– Dajmy temu spokój.

Wywlokłem się z samochodu z postanowieniem, że wyjdę, jeśli Stella Scully albo jej syn mnie rozpoznają. To było lepsze niż rozpoczynanie obrony na tak wczesnym etapie gry.

– Więc mówimy, że jesteś... kto? – zapytała Amanda, kiedy dotarliśmy do drzwi.

– Collins – powiedziałem.

Stella musiała widzieć, jak nadchodzimy, bo kamery sterczały wszędzie jak ptaki. Otworzyła drzwi i przytrzymała je dla nas. Krótco patrzyła na mnie, potem jej wzrok spoczął na Amandzie. Byłem zadowolony z kolorowej postaci Amandy, ze słońca wydobywającego niebieskie pasemka w czarnych włosach i dziwnego kroku, jakim podchodziła do drzwi, jakby była jakimś nieprawdopodobnym ludzkim insektem. Nie mogłem być dużo gorszy od niej.

– Miło mi w końcu poznać panią osobiście. – Stella Scully wyciągnęła rękę. Amanda wepchnęła ręce w kieszenie dżinsów i odwróciła wzrok. Stella była ubrana w luźną sukienkę z bawełny, coś między szeroką spódnicą a poncho, przewiązaną tu i ówdzie, żeby pokazać jej cienką talię i kościste, karmelowe łopatki. Blond loki i nieskazitelna skóra obsypana piegami. Kości policzkowe i wyczelowany nos byłej modelki, która przerodziła się w narkomankę chirurgii plastycznej. Przepuściła Amandę, a ja ująłem ją za zwiotczałą dłoń, nadrabiając w ten sposób odrzucone podanie dłoni.

– Ted Collins.

– Miło mi.

Hol był olbrzymi. Światło z okien na piętrze spływało klatką schodową i krzyżowało się pod różnymi kątami, podkreślając chromowane i marmurowe elementy architektoniczne. Opanowało mnie nieodparte wrażenie, że zanim wyjdę, jakoś zabrudzę to miejsce, wniosę do niego niechcący trochę niezgrabnej brutalności, zrzucę coś albo zapaćkam tłustymi łapami.

Przeszliśmy przez salon, przez kuchnię wielką jak kuchnia okrętowa i weszliśmy do pokoju w stylu Queensland. Zaszyłem się w rogu trzcinowego szezlongu, z dala od wielkiej rzeźby z czerwonego szkła stojącej na czarnym marmurowym piedestale, która zdominowała prawą z mojego punktu widzenia stronę pokoju. Na ścianach, nad wysokimi regałami, wisiały w ramach plakaty reklamujące książki.

Mój wzrok przyciągnęła okładka pierwszej książki *Kronik Gasnącego Światła, Spaleni*. Sylwetki dwojga nastolatków przed miastem w płomieniach.

Amanda podeszła do regałów i przyjrzała się książkom, przejechała palcem po ich grzbietach, jakby brzdąkała na strunach.

– Więc pan jest nowym partnerem w tej firmie, prawda panie Collins? – Stella usadowiła się na fotelu obok mnie, muskając bawełnianą suknię.

– Ted. Tak.

– Stello, z niego będzie prawdziwy chart. Widzę to – powiedziała Amanda. – Znajdź tego twojego martwego męża, zanim zdołasz powiedzieć postmodernizm.

– O Jezus. – Zakryłem oczy.

– Zauważyłam, że pani Pharrell jest bardzo bezpośrednia – stwierdziła Stella. – W końcu to nic złego. Zazwyczaj.

– Na pewno zauważyłaś, że ona tylko rozważa teoretycznie śmierć twojego męża – powiedziałem. – Zawsze są jakieś szanse.

– Cóż – rzekła Stella – gdyby się okazało, że to jakaś gra, to lepiej dla niego, gdyby był martwy, tyle ci powiem.

Podniosła szklankę, którą ukrywała przed moim wzrokiem na stolyczku obok fotela. Jak wytresowany pies wyczułem Wild Turkey. Zauważyła zmianę mojego wyrazu twarzy i uniosła perfekcyjnie wyskubaną brew, potrząsnęła szklanką, aż lód zaśpiewał.

– Ted, soku jabłkowego?

– Proszę.

Podeszła do kredensu, nalała mi maleńką porcję whisky i dorzuciła kilka dużych kostek lodu. Miała cały zestaw: kostki lodu, wiśnie w zalewie, karafkę i mały pojemnik z mieszadełkami. Były też słomki, zębate szczypczyki i wielkości mojej dłoni deseczka do krojenia limonek włożone razem do misy. Wytrawna pijaczka. Dobry smak. Wziąłem szklankę i przez dłuższy czas wdychałem zapach.

– Dlaczego „gra”? – zapytałem.

– Przepraszam?

– Powiedziałaś, że jeśli to jakaś gra. Dlaczego zniknięcie twojego męża miałyby być grą?

– Miał tajemnice, rozgrywał sprawy. Więc jeśli chodzi o mężczyznę, nic szczególnego.

– Powiedz Tedowi, co było, kiedy ostatni raz widziałas się z Jakiem – zaproponowała Amanda.

– Jasne. – Stella westchnęła ze znużeniem. – To było dwadzieścia dwa dni temu. Poszliśmy do łóżka. Dwudziestego pierwszego kwietnia, około dziesiątej wieczór. Oboje piliśmy. Pamiętam, że Jake wstał parę godzin później, ale nie myślałam o tym wiele. Nie miałam pojęcia, która była godzina. Zawsze to wstawał, to kładł się w nocy. Kiedy obudziłam się rano, nie było go. Zniknął jego portfel, klucze i telefon. Wyjrzałam na dwór. Zabrał jeepa.

– Nie zadzwonił do ciebie w nocy. Czy coś w tym stylu? Nie słyszałaś pukania? Rozmowy?

– Nic.

– Po prostu sobie wstał i wyszedł?

– Tak. – Stella wypła drinka i oblizwała wargi.

– Trochę dziwne.

– Ted, cała sprawa jest trochę dziwna – uśmiechnęła się.

– Nie odnaleziono do tej pory niczego z zagubionych rzeczy osobistych? Albo samochodu?

– Nie. Podnieśliśmy szum w mediach, gazety wydrukowały wszystko, także zdjęcia. Znaleziono tylko obrączkę.

– Tak. Coraz to dziwniejsze. Amanda powiedziała mi, że obrączka ślubna twojego męża została znaleziona w brzuchu dwumetrowego krokodyla słonowodnego. – Wyjąłem notatnik z tylnej kieszeni, przekartkowałem go. – Zwierzę zostało złapane i poddane eutanazji ze względu na żniwa. Zakłócało spokój w górnym biegu Pine Creek. Zabito je i poćwiartowano w Hartley's i w Wangetti. Czy ty albo twój mąż mieliście kiedykolwiek coś wspólnego z którymś z tych miejsc? Hartley's albo Wangetti.

– Ted, nie pochodzisz z Cairns? – zapytała Stella.

– Nie, jestem z Sydney.

– Cóż, gdybyś był z Cairns, wiedziałbyś, że w Wangetti są tylko plemiona czarnych i bagna. – Napiła się. – To rezerwat. Nikt tam nie chodzi. A Hartley's jest całe kilometry dalej. Żadne z nas nie nosi krokodylej skóry. Jest bardzo twarda.

Amanda bawiła się pudełkiem cygar, które zdjęła z półki. Patrzyliśmy ze Stellą, jak wyjmuje z niego ciemnokasztanową tubkę i głośno ją obwąchuje.

– Zakładam, że w zwierzęciu nie znaleziono szczątków – powiedziałem, próbując odciągnąć Amandę od ozdóbek na półkach.

– Były szczątki – odparła Amanda – ale zbyt zdegradowane, żeby rozpoznać, czy to szczątki ludzkie. – Odłożyła pudełko z cygarami i przybrała teatralną pozę. – Jestem ekspertem w tych sprawach. Przeczytałam na ten temat całe tony. Krokodyle indopacyficzne, jak większość krokodylowatych, mają zastawkę serca, która omija płuca, przetaczając krew przez aortę prosto do żołądka. Krew zatrzymuje w sobie dwutlenek węgla, zamiast uwalniać go w płucach. Z tego powstają ogromne ilości wysoce zjadliwego kwasu żołądkowego. Krokodylowate wydzielają dziesięć razy więcej kwasu żołądkowego niż inne zwierzęta pod słońcem. Potrafią strawić rzeczy, które inne zwierzęta odrzucają – chrząstki, kości, ubrania, skórę...

– W porządku – skrzywiłem się. – Spuść trochę z tonu Davidzie Attenborough.

– Obrączka ślubna została znaleziona głęboko w jelitach – mówiła dalej, stukając się we własny pępek. – Zatem sprawa wygląda tak: złapaliśmy krokodyla, kiedy materiał biologiczny został już bardzo zdegradowany, ale zanim platyna została choć trochę uszkodzona.

– Zgadza się – przyznałem, kiwając głową. – W porządku.

– Można powiedzieć, że w ostatniej chwili. Tuż przed tym, jak zostało wysrane i zniknęło na zawsze w mrocznych głębinach miejscowych mokradeł.

– Amando, uspokój się – powiedziałem.

– Szczątki ma policja z Queensland – rzekła Stella. – Chyba przewieźli je teraz do biura koronera. Ciągłe mi mówią, że z ich testów nie wynika nic wiążącego. Nie są w stanie rozdzielić składowych komórki. Wszystko jest... zneutralizowane chemicznie... czy jak to się mówi. Myślą, że facet od koronera będzie lepszy niż ich ludzie. Nie potrafią mi powiedzieć, co to jest.

– Zupa – rzuciła Amanda. – Krokodyle gówno jest jak kwaśna brązowa zupa.

– Amando!

– A tej zupy z męża też niewiele zostało do zbadania. – Amanda z żalem strzeliła językiem. – Wally i jego chłopcy już mieli wybebeszyć krokodyla i zdjąć z niego skórę, kiedy wypadła z niego obrączka... proszę, to obrączka! Tymczasem gęsta zupa à la Scully rozlała się po podłodze jatki.

– Stello, jeśli twój mąż żyje – westchnąłem – razem z moją niecną i nietaktowną

partnerką zrobimy wszystko, żeby go znaleźć. Ale jeśli zginął przez to zwierzę, czy przypadkowo, czy przez czyjąś podłość, spróbujemy zgadnąć, jak do tego doszło.

– Dziękuję – powiedziała Stella. – Mówisz, jakbyś wiedział, na co się porywasz.

– Może Jake sfingował własną śmierć, wkładając obrączkę ślubną w kawał mięsa, którym nakarmił krokodyla? – zastanawiałem się na głos. – To chyba brzmi jak z Agathy Christie.

– To brzmi jak zły plan – powiedziała Amanda. – Za dużo zabiegów, żeby to zadziało. Krokodyl musiałby zostać złapany. Obrączkę musiano by znaleźć.

– Prawda – westchnąłem. – Prawda.

– Ale pomysł był jednak dobry – pocieszała mnie Stella. – Myślenie lateralne. Ted, jesteś emerytowanym policjantem, zgadza się?

Odchrząknąłem i spojrzałem na Amandę, która teraz bawiła się kijami do golfa z torby opartej o drzwi.

– Trochę pracowałem w organach ścigania.

– Wyglądasz na gliniarza – rzekła Stella.

Wymamrotałem coś niezobowiązującego. Zbaczałyśmy na niebezpieczny teren. Amanda ćwiczyła zamach kijem 9 iron. Siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na nią, póki nie postanowiła zabrać kija na dwór. Kilka razy musnęła trawę i popatrzyła na horyzont, jakby śledziła piłkę.

– Ciekawą partnerkę sobie dobrałeś.

– To ciekawy typ śledczej – odparłem. – Chyba nie masz jej za złe... tych dziwactw?

– Och, słuchaj, ona potrafi być strasznie irytująca. Na pewno sam to zauważyłeś.

– Stella uśmiechnęła się ironicznie. – Ale to powiew świeżości po śledczych z policji, z którymi miałam styczność. Nie odbierają telefonów, a jak już odbiorą, rozmawiają z człowiekiem opryskliwie, mówią jakieś bzdury w nowomowie o „integralności sprawy” i „dyscyplinie śledztwa”. Nie wiadomo, czy trzymają cię w nieświadomości, bo mają podejrzanego, czy dlatego, że nic nie mają.

– A co z jej przestępstwem? – zapytałem. – Nie przeszkadza ci, że została skazana?

– Słuchaj, gdyby nawet mi przeszkadzało, to Amanda Pharrell jest jedynym śledczym nie z policji, który należy do samej wierchuszki zawodu – powiedziała Stella. – Potrzebuję kogoś, kto znajdzie mojego męża żywego czy martwego, bo

nie będę mogła upomnieć się o nasz majątek.

Zmarszczyłem brwi i zapisałem to w notatniku, czując, jak ogarnia mnie dziwny chłód.

– Och, daj spokój. – Stella roześmiała się. – Nie rób takiej miny. Mogłam wynająć Amandę albo czekać siedem lat, aż państwo uzna Jake’a za zmarłego.

– Minęły zaledwie dwadzieścia dwa dni.

– Kiedy zdarzyło ci się po raz ostatni, że przez trzy tygodnie nie korzystałeś z telefonu, banku albo kont internetowych? – zapytała. – Jake nie dawał sobie rady, kiedy przez dwa dni nie brał antydepresantów. Są w łazience. I nie zrealizował recept. Było o nim we wszystkich wiadomościach. Ani śladu. Ani jednego. Mój mąż nie żyje, panie Collins.

– Chyba tak – westchnąłem. – Chyba trudno podtrzymywać nadzieję, kiedy to tak źle wygląda.

– To niemożliwe. I nie wierzę, żeby państwo to wyjaśniło. Wysyłali do mnie policjantów. Samych leniwych idiotów.

– Nie wygląda na to... – powstrzymałem się. Nie wyglądało na to, żeby tęskniła za mężem albo żeby zależało jej na tym, żeby żył. Ale kiedy tak siedziałem i patrzyłem na notatki, pomyślałem o Kelly. Przypomniałem sobie, jak łatwo przyszło jej przestać mnie kochać, jak powoli przybierała coraz twardszą minę, siedząc w rzędach ludzi za miejscem dla oskarżonego i obrony, jak przestawała patrzeć mi w oczy w trzecim dniu przesłuchań. Wraz z gromadzeniem się dowodów przeciwko mnie narastała jej nienawiść, rozkwitała powoli jak czarny kwiat i czekała, kiedy nie będę patrzeć, żeby rozwinąć się płatek za płatkim. Bywało, że patrzyłem za siebie, w tłum, i nie byłem w stanie jej rozpoznać. Zmieniła kolor włosów. Straciła na wadze. Przestała mówić do mnie Ted, zaczęła nazywać mnie Edwardem.

Siedziałem w areszcie cztery tygodnie, kiedy udzieliła wywiadu *60 minutom*, całkowicie się ode mnie dystansując.

Może to nie było takie proste, jak wyglądało. Może zwyczajnie chciała przetrwać, tak jak ja. Może Stella była taka sama. Po prostu próbowała jakoś przebrnąć po tym, jak jej mąż wstał z łóżka i rozwiął się w eterze.

– Stello, jakim człowiekiem był Jake?

– Łatwo się uzależniał – odparła. – Od pracy. Od alkoholu. Od zakupów.

Zabawki dla dużych chłopców – samochody, łodzie i gadzety.

– Narkotyki?

– Kiedy byliśmy młodszy. Rekreacyjnie. Ostatnio nie. Nie podobała nam się myśl, że przyłapie nas Harrison. – Machnęła dłonią w stronę korytarza i schodów. – Jest w tym wieku.

– Jak Harrison przyjmuje to wszystko? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć. – Stella poprawiła się na krześle, stłumiła ziewanie. – To skończony dupek.

Zrobiłem kpiącą minę, spojrzałem na Amandę, czy słyszała.

– Jest...

– Dupkiem – powtórzyła Stella wyraźniej, upiła łyk drinka. – Wolno mi to powiedzieć, prawda? To nastolatek. Wpisał się w scenę alternatywną. Muzyka gotycka. Emo. Hipster. Czy jak się to nazywa. Dzieci, które nienawidzą wszystkiego. Uważają, że są niesprawiedliwie traktowane, że nikt ich nie rozumie. Był zrzędlawy i nadąsany, zanim Jake zaginął. Teraz też jest zrzędlawy i nadąsany.

– Pozwolisz, że z nim pomówię?

– Możesz pomówić do niego. Nie ma gwarancji, że ci odpowie.

– Co jeszcze? Czy mąż był lojalny wobec ciebie? – zapytałem. – Czy ty byłaś lojalna wobec niego?

– Ostatnio – odparła, mierząc mnie wzrokiem. – I znowu, byliśmy grzeczni, odkąd pojawił się Harrison. Gdyby Jake miał jakąś na boku, to musiałyby być tania w utrzymaniu. – Stella zwinęła stopy pod siebie. – Pracował tutaj, w swoim gabinecie, pięć dni w tygodniu. Czas wolny miał po pracy, przed kolacją, a czasem w sobotnie wieczory, kiedy nie miałam ochoty na tańce.

Spojrzałem w swoje papiery.

– Więc całkiem spokojny facet.

– Tak.

– Powiedziałaś, że jest na antydepresantach?

– Chyba wszyscy pisarze są, prawda?

– Ale nie miał skłonności samobójczych?

– Nie.

– Żadnych większych sporów rodzinnych na jego koncie? Spadek? Ubezpieczenie? Pełnomocnictwo pisemne? Powiernictwo?

– Nie. Jest jedynym dzieckiem, a jego rodzice są w domu starców.

– Miał skłonność do wędrowania po odludziach? Zatrzymywania się gdzieś, żeby pomyśleć?

– Z pewnością nie – uśmiechnęła się. – Jake nie był typem wędrownika. Owszem, był z tych myślących. Ale plastikowa mata do jogi, odgłosy oceanu, rozmaite medytacje. Nie... rozumiesz, muchy, kleszcze, oparzenia słoneczne. Jego najdłuższe wędrówki to chodzenie po przyciętej trawie pola golfowego. Ale jeśli piłka spada ze skarpy? Zapomnij.

Zauważyłem płynne przejście od czasu przeszłego do teraźniejszego. Czy poprawiała się ze względu na mnie, żebym nie przyłapał jej na myśleniu o mężu jako o zmarłym, który już nie wróci? Czy było to naturalne niezdecydowanie, czasem nadzieja, czasem rezygnacja?

– Dobrze.

Spojrzałem na sufit. Próbowałem przypomnieć sobie szkolenie w sprawach zaginionych osób. Byłem poza służbą prawie od roku, a nawet gdy pracowałem, minęło wiele czasu, odkąd miałem ten przedmiot w szkole policyjnej. Brnąłem.

– Jakie miał stosunki ze swoimi czytelnikami? – zapytałem. – Jacyś dziwni wielbiciel? Czy z czyjś powodu poczuł się nieswojo podczas promocji książki, czy ktoś przysłał mu coś dziwnego?

– Och, na początku, kiedy książki zaczęły się sprzedawać, od czasu do czasu jakiś szajbus dzwonił do domu, albo kręcił się przed bramą – powiedziała. – Najgorsi są niespełnieni autorzy. Jake miał wpływy u wszystkich największych wydawców, więc myśleli, że jeśli podsuną mu swoją pracę, zrobi to na nim takie wrażenie, że zadzwoni do tych ludzi i powie „bierzcie to”. Podkładano nam rękopisy pod drzwi. Butelki wina i czekoladki. Po prostu wyrzucaliśmy je.

– Ale ostatnio nic takiego się nie działo?

– Och nie. Już od wielu lat. Jeśli całkowicie się ich ignoruje, to sobie pójdą. W każdym razie nie byli groźni. Tylko... jak to powiedzieć. Zdesperowani. W gabinecie jest pudło z listami od fanów. Możecie je zobaczyć. Policja już je przejrzała.

– Więc w życiu Jake’a nie ma niczego groźnego, co mogłabyś natychmiast wskazać? Niczego oczywistego? Nie wiesz, czy twój mąż miał jakieś skrywane głęboko, mroczne tajemnice, które mogłyby spowodować jego zniknięcie? Jakiś

trup w szafie?

– Nic takiego nie przychodzi mi do głowy. – Wzruszyła ramionami.

To było dziwne. Zbyt niedbałe, i chyba o tym wiedziała. Musiałem znowu zrobić „tę minę”, bo roześmiała się, zaczęła się przyglądać swoim paznokciom i przez dłuższy czas siedziała smutno uśmiechnięta.

– Ted, słuchaj, miłość dawno się skończyła. Taka jest prawda – powiedziała. – Kiedy się spotkaliśmy, byliśmy spokojnymi ludźmi, a im bardziej się starzeliliśmy, tym bardziej byliśmy spokojni. Wydawało mi się naturalne, że kiedyś, któregoś dnia, wszystko po cichu się skończy. Prowadziliśmy tutaj koegzystencję. – Szerokim gestem pokazała wnętrze domu. – Spaliśmy w jednym łóżku, jedliśmy przy wspólnym stole, ale tak naprawdę nie byliśmy razem. Wiesz? On pisał. Ja grałam w tenisa. A wieczorem razem czytaliśmy w łóżku, nic nie mówiliśmy, aż po jakimś czasie oboje wyłączaliśmy lampki. Myślę, że w końcu znalazł sobie kogoś, pewnie wtedy, kiedy Harrison był na tyle duży, żeby samemu dawać sobie radę i żadne z nas nie byłoby nim obciążone. Rozumiesz, o co mi chodzi, prawda? Wyglądasz na człowieka, który wie, co to znaczy przyglądać się, jak małżeństwo dogorywa.

– Zgadza się – przyznałem.

– Cóż, to nie mój pierwszy raz. – Stella rozsiadła się na krześle. – Z moim tatą było tak samo. Ustalona noc. Chyba wtorek. Pamiętam odgłos drzwi otwieranych i zamykanych w korytarzu. Ale myślałam, że z Jakiem sprawa będzie łatwiejsza. – Popatrzyła na Amandę. Popatrzyła na mnie. – Bardziej czysta.

Przeszedłem się po domu. Zostawiłem Stellę, żeby wycierpiała opowieści Amandy o biologii krokodyli. Wszędzie było widać okoliczną przyrodę, przez szerokie okna bez framug, przez wielkie szyby wychodzące na tropikalną dżunglę podpełzającą do domu z trzech stron. Paprocie, pnącza i mokre kwiaty. Zajrzałem do głównej sypialni, zobaczyłem książki w papierowych okładkach nadal leżące w stosie po stronie łóżka Jake’a: Michael Connelly i Jeffrey Archer. Po stronie Stelli była Danielle Steel. Przeszedłem korytarzem, otworzyłem drzwi i zastałem chłopca w czapce narciarskiej siedzącego na skraju niezasałanego łóżka. Bawił się telefonem.

– Puk, puk.

– Co? – Chłopiec podniósł na mnie wzrok, chłodno mi się przyjrzał, jakby oceniał, jakie ma szanse w walce. Nastoletni chłopcy. Gotowi na nienawiść świata.

– Jestem Ted Collins, prywatny detektyw, który szuka twojego taty.

– Cóż, tutaj go nie znajdziesz.

– Jesteś pewien? – Trąciłem stopą stos ubrań sięgający mi do kolan. Sterta czasopism leżąca na jego wierzchu ześlizgnęła się na podłogę.

– Jestem.

– Rozmawiałeś z tatą tamtego wieczoru, kiedy zaginął?

– Aha.

– Jaki był?

– Taki jak zwykle.

– A jaki był jak zwykle?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Mieliście jakąś sprzeczkę?

Harrison mocno zmrużył oczy.

– Nie rzuciłem taty krokodylom na pożarcie, jeśli to sugerujesz.

– Jeszcze niczego nie sugeruję. – Wzruszyłem ramionami.

– Wisi mi to.

– Jak myślisz, dlaczego twój tato wtedy wyszedł?

– Facet, ja to już przerabiałem z glinami. – Chłopiec nabzdyczył się na mnie i polizał piercing w dolnej wardze. – Nie pokazujecie sobie raportów?

– Jesteśmy prywatną agencją. Twojej mamie bardzo zależy, żebyśmy go znaleźli.

– Tak. – Chłopiec parsknął. – Jasne, lubi pieniądze.

Wrócił do pisania esemesów. Uznałem to za znak, że rozmowa jest skończona. Postanowiłem jeszcze raz z nim spróbować, jak pojawi się okazja, ale na dole usłyszałem kroki. To mogło oznaczać, że Amanda wyczerpała cierpliwość Stelli. Rzeczywiście, głos Amandy docierał z dołu, odbijał się od wysokich ścian.

– Na liście ofiar śmiertelnych przeważają topielcy – mówiła Amanda. – Albo jeśli krokodyl złapie kogoś za którąś z kończyn, nie musi to kończyć się śmiercią. Trzeba uderzać w oczy. Drapać, bić w nie, oślepić gada, jeśli się da. Rozproszyc go, zanim zacznie skręcać. Tak mówi się o rekinach, ale u rekinów to jest nos. Uderzaj go w nos. One mają te czułe punkty po bokach...

Szybko rozejrzałem się po sypialni chłopca. Popatrzyłem na plakaty, na to, co leżało na biurku, na półkach, na szafkach, na podłodze. Zapisałem to w pamięci. I wyszedłem.

9

Amanda odprawiła rytuał stretchingu, zanim wsiadła na rower. Rozciągnęła mięśnie czterogłowe i rozmasowała kostki. Siedziałem za kierownicą i przyglądałem się jej. Żar wypływał z wozu przez uchylone okno.

– Człowieku, ależ tam było komicznie. – Amanda niespodziewanie uśmiechnęła się na to wspomnienie. – „Napij się, Ted? Jesteś z Sydney, Ted? Żonaty, Ted?” Ta Stella pragnęła twojego ciała. Domyśliłam się.

Amanda odprawiła na drodze zuchwały taniec, sugestywnie potarła dłońmi piersi i zjechała nimi niżej. Hałaśliwie przesyłała mi całusy. Nie wiedziałem, śmiać się czy płakać.

– Nie pytała mnie, czy jestem żonaty.

– Popatrzyła ci na rękę.

– Ty nawet nie... – westchnąłem w stronę przedniej szyby. – Nie możesz nawet...

– W więzieniu w Brisbane była właśnie taka dziewczyna – powiedziała Amanda. Przejechała palcem po dolnej wardze, zakręciła biodrami. – Katrina. Flirtowała ze strażnikami i miała mnóstwo uciechy. Och, masz taki gruby i lśniący pas. Pewnie jest ciężki. Pewnie bardzo głośno się nim trzaska.

Nic nie powiedziałem.

– Nie sypia się z klientami. – Wystawiła palec. – Klientów nie wolno nawet dotykać. Zasada siedemnasta.

– To jest siedemnaście zasad?

– Phi! Co najmniej!

– Dowiedziałem się tylko o pierwszej, o trzeciej i o siedemnastej! – zakpiłem. – Co jest między nimi?

– Między trzecią a siedemnastą jest mnóstwo tajemnic, które się dopiero okażą.

Znajdziesz te zasady na przydymionym ekranie, jeśli jesteś wredny, ładny i układny, mój panie...

– Już dobrze, już dobrze.

Sprawdziła rower, wypróbowała hamulce. Mocno zawiązała sznurowadła.

– Wiesz co, jesteś bardzo rozćwierkana, jak na kogoś, kto spędził osiem lat w więzieniu – powiedziałem, siląc się na beztroski ton. – Ja chyba nie dojdę do siebie. A siedziałem tylko osiem miesięcy.

– Dasz sobie radę koleś.

– A ty dajesz sobie radę? – zapytałem. – Naprawdę?

– Tak.

– Chciałbym czuć się tak jak ty.

– Chciałbyś – prychnęła.

Zadumałem się na chwilę, spojrzałem sobie w oczy w lusterku wstecznym. Nie byłem tym samym człowiekiem co przed aresztowaniem. Nigdy nie będę. Nie dopuści do tego strach, który stał się podszewką wszystkiego. Koszmary rozprawy. Nie uniewinniono mnie i prokurator generalny w Sydney w każdej chwili mógł kazać mnie aresztować. Nie wiedziałem, czy ktoś jeszcze zajmuje się sprawą Claire Bingley. Czy jakiś superglina nie wyskoczy któregoś dnia z większą liczbą dowodów przeciwko mnie i natchnie państwo, żeby znów się do mnie dobrało.

Nawet jeśli się to nie zdarzy, mogą mnie przyszpilić za coś innego. Przyjść po mnie po zmierzchu, zabrać mnie, oskarżyć o jakiś miejscowy gwałt tylko dlatego, że mieszkam w okolicy, jestem sam na skraju pustki i na większą część mojego czasu nie mam alibi. Jeśli tego rodzaju myśli przyginały Amandę do ziemi, to dobrze je ukrywała. Jakby nie brała pod uwagę długofalowych skutków swojej zbrodni i czasu spędzonego za kratami. No tak, była ekscentryczką. Na granicy nieznośności. Te powiedzonka, Jezu. Ale zawsze dobrze dawała sobie radę – miała niezłą pracę, trzymała swoje sprawy pod kontrolą. Czy to wszystko były pozory?

– Nie wydaje mi się, żeby komuś naprawdę zależało na odnalezieniu tego gościa żywego. – Skinąłem głową w stronę domu Scullych.

– Jego kochankowi może tak.

– Komu?

– Jego kochankowi. – Amanda drgnęła i wsiadła na rower. Popedałowała kilka metrów, zanim włączyłem silnik i zrównałem się z nią. – Jake Scully miał

kochanka. Mężczyznę.

– Masz świra – powiedziałem. – Kiedy wpadłaś na ten pomysł?

– Kije do golfa nie były używane – odparła Amanda. – Nawet nie zadraśnięte. Na worku ani w worku, ani na kólkach, ani w kólkach nawet źdźbła trawy. Na rączkach niewytarta farba. To nadal czuć świeżą gumą. Jeśli gdzieś idzie i mówi jej, że idzie grać w golfa, to nie idzie na pole golfowe.

Patrzyłem na nią.

– Pudełko z cygarami – mówiła dalej. – Bardzo ładne pudełko. Ręczna robota. Artystyczna, popularna w latach siedemdziesiątych. Wraca teraz wraz z hipsterską modą na starocie. Fajki też. Jeśli nie palisz cygar, prawdopodobnie nie bardzo się nimi interesujesz. Pudełkami.

– Ty palisz cygara? – zapytałem kpiąco.

– Czasem, w niedzielne popołudnie – powiedziała prawie obronnym tonem. – Nie o to chodzi. Pudełka na cygara mogą być bardzo złożone. Są tam małe przegródki i szufladki. Na różne rzeczy. Na tajemnice, jeśli chcesz. Trochę koki, jakieś pigułki. Ale głównie to, co jest potrzebne do cygar – zapałki, obrączki. Gilotynka albo przycinacz.

Skręciła, żeby znaleźć się blisko mnie, i wyjęła zza biustonosza kawałek papieru. Podała mi przez okno. Przytrzymałem go na kierownicy, nie hamując.

„Sam”.

I numer telefonu.

– To może być projektant ogrodów – powiedziałem.

– To nie jest projektant ogrodów.

– To może być Samantha.

– Koleś, masz tu męski charakter pisma.

– Amando, to dość skrajne wnioski – rzekłem.

– Cóż, nie wiem, co ci powiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – To prawda.

– Prawda, co?

– Tak, doprawdy! To jest kawał prawdy: przyzna każdy!

– No dobrze – westchnąłem. – Zobaczysz się.

Zostawiłem Amandę, żeby pojechać do domu i przeczytać jej notatki na temat sprawy Scully’ego. Okazało się, że to zupełnie nieprzydatne przedsięwzięcie.

Słowa, którymi obsypany był poplamiony kawą papier, wyglądały, jakby napisano je przyrzędem do tatuazu. Maleńkie, niektóre zaledwie z kropek i maźnięć. Zaczęło padać i gąsiątka wyszły na dwór. Dziobały i przeszukiwały trawnik aż do kałuży pod płotem. Patrzyłem, jak trzepoczą, robią koziołki, nurkują w kałuży, ich puszyste piórka robią się ciężkie, a w żalonych, bryłkowatych skrzydełkach zaczynają przeświecać kostki. Właśnie wyrosły z okresu, kiedy wyglądały jak kaczątko – szyje miały na to za długie, a dzioby za krótkie. Kobieta rozsiadła się na werandzie niedaleko mnie, a kiedy ostrożnie sięgnąłem, żeby pogłaskać ją palcem wskazującym po główce, nie wzdrygnęła się ani nie uszczypnęła mnie. Może zapamiętała, że poprzedniego wieczoru byłem dobry dla jednego z jej dzieci, może po prostu była zmęczona.

– Nawiażujemy kontakty – powiedziałem. Zasyzczała.

Były to nie tylko notatki Amandy. Zdobyła rejestr połączeń telefonicznych Jake'a Scully'ego. Rzeczywiście, między Jakiem a „Samem” z pudełka na cygara było mnóstwo kontaktów, począwszy od ożywionej wymiany esemesów trzy miesiące przed zaginięciem Jake'a. Widać było czas i numer, pod który były skierowane, ale nie było tekstu. Czasem odpowiedzi nadchodziły z zaledwie kilkusekundowym opóźnieniem. Długie rozmowy trwały godzinami. Połączeń telefonicznych było między nimi niewiele. Jake nie chciał, żeby go przyłapano.

W noc, kiedy Jake zaginął, dwudziestego pierwszego kwietnia, esemesy kończyły się kwadrans po ósmej wieczór. Według żony Jake poszedł do łóżka o dziesiątej. Od tej pory niczego nie było. Niczego, co wyciągnęłoby go z łóżka o wczesnych godzinach porannych.

Przejrzałem kadry z kamer przed domem Scullych z nocy, kiedy Jake wyszedł. Samą taśmę zabrała jako dowód policja z Brisbane, ale mieliśmy mnóstwo zdjęć. Jake wyszedł z domu czternaście minut po drugiej, wsiadł do jeepa stojącego na podjeździe i ruszył. Był pleczystym mężczyzną, wysokim jak ja, ale znacznie chudszy, i miał bardziej trójkątną klatkę. Czterdzieści jeden zdjęć pokazywało, jak idzie trzy, cztery metry od domu do jeepa i wsiada. Przerzuciłem foty przez palce. Jake wychodzi. Wchodzi. Wychodzi. Szedł długim krokiem. Zdecydowanym krokiem. Dłoń, w której trzymał kluczyki, była zaciśnięta w pięść. Spieszył się.

Noc zapadła łagodnie, deszcz zelżał, chmury rozstały się na białym, później głęboko żółtym niebie. Obijałem się, nadal przyzwyczajając się do domu,

zbierałem stare cegły, które leżały w stercie pod płotem z boku domu. Przenosiłem je na tył, gdzie nie mogli ich użyć samozwańczy stróże prawa. Odkąd zabiłem deskami wszystkie okna od frontu, nic nie docierało do mnie od tych wojowników nocy. Zastanawiałem się, czy dokonali przegrupowania, czy planują coś innego. Coś gorszego.

Szedłem gliniastymi drogami niedaleko domu, kiedy zapadła ciemność. Kierowałem się w stronę wygiętej linii oświetlonego księżycem jeziora między drzewami. Szedłem bez celu, myślałem o Jake'u Scullym. Podczas służby w wydziale narkotykowym z rzadka zdarzały się zabójstwa i były bardzo łatwe do rozwiązania. Dilerzy zabijali się nawzajem nieodmiennie z trzech powodów – terytorium, długi i kobiety. Wielcy bossowie zabijali swoich podwładnych, bo podbierali zyski i na tym wpadli i nie wypłacili się szefom na czas. Podwładni zabijali wielkich bossów, kiedy orientowali się, że ich panowie chcą się do nich dostać. A niezależnie od pozycji ci pyskaci, pretensjonalni mężczyźni zabijali się nawzajem, bo raczej nie wierzyli, żeby piękne kobiety, które spędzały z nimi czas, robiły to z autentycznie romantycznych względów. Byli niebezpieczni. Wybuchowi. Siadywali w klubach, patrzyli na siebie spode łba, aż któryś nie wytrzymał.

Od czego, do diabła, mam zacząć, kiedy spadła na mnie odpowiedzialność za wykrzyk, kto zabił człowieka zupełnie innego pokroju? Jake Scully nie miał paczki zazdrosnych, ciemnookich ludzi, którzy wokół niego się kręcili, otwierali przed nim drzwi. Nie był pyskaty i nie bardzo go obchodziło, że jego żona nie była już do niego naprawdę przywiązana, przynajmniej sądząc po jej słowach. Kto zabija faceta zamkniętego w swoim małym świątku, spokojnego gościa, człowieka, którego winy i zagrożenia ograniczały się do zabawek dużych chłopców i rekreacji poprzez jogę? Może Amanda miała rację i książki Jake'a nie były jego jedynym portalem do alternatywnego życia. Może była potajemna miłość, mężczyzna lub kobieta, dzięki którym Jake'owi udawało się gromadzić całą kolekcję mocnych przyjemności i tylko ja o tym jeszcze nie wiedziałem.

Długo po tym, jak zacząłem to robić, zdałem sobie sprawę, że idę za światłem w dżungli. Dołączył do niego zapach palonego drewna, potem śmiech. Ostrożnie wszedłem między rzadsze drzewa i przywarłem do wysokiego eukaliptusa. Postacie wokół ogniska wykryształizowały się.

Grupka nastolatków pływała w złotym świetle, chłopcy szturchali się łokciami w żebra, popychali, prychali. Ktoś odtwarzał muzykę z telefonu. Nie rozpoznawałem jej. Przyglądałem się, wyławiałem z gadaniny pojedyncze słowa rozbawiony ich bolesną nieśmiałością. Dwóch czy trzech siedziało na kłodzie, wpatrywali się w ekraniki telefonów, nic nie mówili. Inni skuleni, trzymali dłonie między kolanami.

Rozmowa chyba dotyczyła śmierci. Taki gatunek nastolatków. Znużeni egzystencjaliści, humorzaści przyszli filozofowie. Rozpoznawałem ten stan umysłu. Śmierć była najgorszą rzeczą, jaką byli w stanie sobie wyobrazić, więc fascynowała ich. Ich śmierć. Śmierć innych. Samobójstwo, nieumarli, wampiry, życie wieczne. Pewnie nawet nie wiedzieli, że bardzo się mylą. Że jest tyle warstw życia potencjalnie gorszego od śmierci.

Dziewczyny mówiły o pieśniach pogrzebowych. Chłopcy próbowali rozstrzygnąć, czy gorzej jest utopić się, czy spłonąć żywcem. Głębokie rozważania. Rozgrywała się tutaj jakaś cudowna ironia, wszystkie te istoty ludzkie w najbardziej żywotnym i najistotniejszym okresie życia, tak zauroczone ideą śmierci. Słuchałem rozbawiony.

I wtedy wstała blondynka i wrzuciła w ogień plastikowe opakowanie od czekolady. Cofnąłem się na jej widok, nieprawdopodobnie krótkie szorty i długie, jak u ptaka brodzącego nogi. Nagle cofnąłem się w siebie, wessałem się we własne ciało z dryfowania, które ogarnęło mnie w ciemności. Znow byłam Tedem Conkaffeyem: gwałcicielem dzieci. Nie mogli mnie znów znaleźć blisko nieletnich. Teraz nieletni byli dla mnie jak trucizna. Zacząłem się cofać w ciemność. Zatrzymałem się, kiedy usłyszałem głos Harrisona Scully'ego.

– Wiesz, co robi krokodyl, jak cię dopadnie? Nie, czekaj, czekaj, czekaj! – Harrison wciął się w rozmowę, rozłożył ręce, młody bóg w świetle ogniska. – Wiesz, co one robią? Nie zjedzą cię od razu. Upchną ciało pod kłodą i zostawią na później, żeby cię zjeść. Czekają, aż zrobisz się soczysty. To musi być najgorszy rodzaj śmierci, koleś. Kiedy coś cię zje. Kiedy poczujesz na sobie zęby.

Nastolatki umilkły. Któryś z chłopców podał drugiemu snickersa, żeby pokazać, że olewa oczywiste wyzwanie, które rzucił im Harrison, żeby powiedzieli coś równie bezdusznego o śmierci jego taty. W końcu to Harrison miał monopol na śmierć. Żył nią. Zazdrością na twarzach oświetlonych ogniskiem.

– Facet, ty, kurwa, chory jesteś.

– Nie jestem chory. Po prostu jestem realistą. Koleś, zjadł go krokodyl. Ja ci to mówię.

– To smutne – jęknęła blondynka. – Smutno mi Harry. Lubiałam twojego tatę.

– Zamknij się, dziwko. – Jeden z chłopców zachichotał. – Skończ z tymi głupimi jękami. Miauczysz jak kot.

– Smutno mi! – zajęczała. – Harry, nie opowiadaj takich głupot. Koniec gadania o krokodylach. Znajdą go. Z nim jest w porządku.

– Z nim nie jest w porządku – powiedziała inna dziewczyna. Siedziała tyłem do mnie, wygięta bryłka na kamieniu obok Harrisona. – Został z niego muł. Muł i proch na dnie rzeki. Krokodyle gówno między czyimiś stopami. Widzisz, tak będzie z nami wszystkimi. Proch. Koło życia, dzieciно.

Zwróciłem uwagę na dziewczynę, gdy Harrison objął ją ramieniem. Jego dziewczyna. Zapewne ta, do której pisał esemesa, kiedy przerwałem mu w jego sypialni. Na wargach igrał mu lekki uśmiezek tuż przed tym, jak usłyszał, że wchodzę. Poczulem ulgę, gdy zobaczyłem, jak chudy, patykowaty chłopak, którego sylwetka rysowała się na tle płomieni, szepcze jej coś do ucha. Przynajmniej Harry ma kogoś, kto ulży jego smutkowi, kogoś, kto poważnie z nim porozmawia, kiedy będzie próbował zmierzyć się z myślą, że już nigdy nie zobaczy ojca, że nigdy już mu nie powie do widzenia. Policyjne zbiry, zajmujące się mroczną stroną, nie wyglądały na ludzi, którzy są w stanie udzielić wsparcia emocjonalnego, a Stella chyba nie miała w sobie takiej siły. Mała, grubawa dziewczyna Harry’ego nosiła strzępiaste włosy w stylu gotyckim, które chyba sama sobie przycięła i związała w krótkie kucyki. Ich końce były jaskraworóżowe do bólu. Zastanawiałem się, kim ona jest.

Kiedy wracałem do domu, było zimniej, niż gdy wychodziłem w noc. Myślałem o szalonych oczach Jake’a Scully’ego wciśniętego pod kłodę przez monstrualnego krokodyla. Jeszcze za życia. Ślepego w wodzie koloru herbaty, głęboko pod powierzchnią.

10

Panie Conkaffey, czy ogląda pan pornografię?

Pot skapuje mi z brody. Sean powiedział, żebym się nie pocił. Cokolwiek byś robił, nie uśmiechaj się i nie poć się.

Tak, oglądam. Mnóstwo mężczyzn ogląda.

Skupmy się jednak na panu, panie Conkaffey. Nie jesteśmy tutaj w sprawie innych mężczyzn. Dzisiaj chodzi nam tylko o pana. O to, co pan zrobił.

Sprzeciw.

Podtrzymany. Przysięgli nie uwzględnią ostatniego komentarza.

Panie Conkaffey, czy rozpoznaje pan płytę DVD, którą tutaj trzymam?

Wymioty już były w gotowości u dołu mojego gardła. Kelly, na miejscach dla publiczności, zakrywała twarz. Wszyscy dziennikarze zwrócili się w jej stronę, oceniali ją, tak jak to robili od początku procesu. Styl procesu zaczął się kształtować wcześniej. Oskarżyciel wyławiał jakieś upokarzające fragmenty mojego życia, a dziennikarze zapisywali reakcje Kelly. Moje porno. Moja historia wyszukiwarki internetowej. Moje były dziewczyny. Co ona wiedziała? Co było niespodzianką? Co było warte pierwszej strony?

– Panie Con...

– Tak, to moje.

– Panie Conkaffey, czy zechciałby pan przeczytać przysięgłym nazwę DVD?

– Dzika i wilgotna – westchnąłem.

– A dziewczyna na okładce. Ile lat według pana mogła mieć?

– Jezu. – Gardło mi się zaciska, jest gorące jak rura wydechowa. – Nie wiem. Jest dorosła. Popatrzcie na nią. To znaczy, ona ma... Nie wiem, ile ma lat, ale jest dorosła.

– Skoro pan nie wie, ile ona ma lat, to skąd pan wie, że jest dorosła?

- Wiem. Wiecie. To znaczy, widać, że jest...
- Proszę pana, czy pan wie, kto nakręcił ten dysk?
- Kupiłem go w sklepie przy George Street. W dużym... W sklepie, w normalnym sklepie.
- Ale nie wie pan, kto to nagrał.
- Nie sprawdzałem.
- Więc pan nie wie, kto nagrał ten seksualnie niedwuznaczny film i ile lat mają aktorzy – czy to pan chciał powiedzieć, panie Conkaffey?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie – powiedział mój adwokat. Jest niskim, korpulentnym facetem, ma na imię Gregor. To ktoś, komu Sean zaufał, ktoś, kto potrafi radzić sobie w sądzie. – Mój klient nie jest oskarżony o dziecięcą pornografię. DVD, które trzyma oskarżenie, w żadnym razie nie jest dziecięcą pornografią, nawet gdyby oskarżenie tego dotyczyło. Cały ten tryb przesłuchania jest marnowaniem czasu sądu. – Gregor przyciska ręce do papierów, które przed nim leżą, dłonie ma wilgotne, kostki palców pobielają.
- Wysoki Sądzie. – Oskarżyciel podnosi ręce, proszalnie, ze zmęczeniem. – To oczywiste, że próbuję odcyfrować zainteresowania seksualne oskarżonego.
- Sprzeciw oddalony. Panie Anderson, niech pan szybko zmierza ku wnioskowi.
- Panie Conkaffey, zgodnie z tym, co sam pan powiedział, nabył pan ten seksualnie niedwuznaczny film i inne podobne, nie wiedząc, kto go nakręcił, czy jest zgodny z prawem, ani ile lat mieli aktorzy w nim uczestniczący. Zgadza się?
- Oni są... To było dla mnie oczywiste... Kiedy kupowałem DVD, było dla mnie oczywiste, że aktorzy są dorośli. Że dorośli uprawiają seks z dorosłymi. – Przełknąłem. – Takie są moje seksualne zainteresowania, Wysoki Sądzie. Jestem seksualnie zainteresowany dorosłymi kobietami.
- Dorosłymi kobietami z mysimi ogonkami.
- Sprzeciw! – Twarz Gregora robi się czerwona, oczy mu płoną. – Styl uczesania dziewczyny na okładce nie ma znaczenia dla tej sprawy!
- Ona jest dorosła! – jęknąłem. Głos mi się załamał. Mówił mi, żebym tego unikał. Mówił spokojnie, cicho, wyraźnie. Niczego im nie dawaj. – Wyraźnie to widać, Wysoki Sądzie.
- Naprawdę?
- Ona... – wyrzuciłem z siebie. – Ona ma piersi?! Ona jest...

– *Panie Conkaffey, więc jeśli mają piersi, są dla pana wystarczająco dorosłe?*

– *Sprzeciw!*

Samochód za mną zatrąbił, przerywając zakłęcie. Zdałem sobie sprawę, że wstrzymywałem oddech. Lake Street za Cairns Hospital smażyło się w słońcu wczesnego poranka. Wiatr nie poruszał palmami stojącymi wzdłuż pobocza.

Prawie cały parking był zajęty. Nie było cienia. Wysiadłem i odlepiłem koszulę od piersi. Zastanawiałem się, ile potu wylałem od czasu procesu, kiedy przypominałem sobie tamte sceny z sali sądowej, wymianę strzałów na chybił trafił między prawnikami, szydercze, opryskliwe twarze widzów. Nie patrz w dół. Będziesz wyglądał na winnego. Nie patrz ludziom w oczy. Wyjdiesz na prowokatora. Staralem się patrzeć przez okna, na białe niebo nad miastem i wtedy orientowałem się, że manipuluję dłońmi, że ciągnę się za palce, że bolą mnie splecione kostki.

– Nie kręć się. Wyjdiesz na zdenerwowanego.

Było wcześniej, więc szpitalna kawiarnia za automatycznymi drzwiami była zamknięta. Ludzie chodzili po ciemnej kuchni, trzaskali naczyniami, otwierali lodówki. Miałem nadzieję, że wejść, szybko wyjść i na dziesiątą wrócić do Amandy w Crimson Lake. Nie spodziewałem się, że dowiem się czegoś od personelu kostnicy. Jeśli nadal dysponowali tym, co zostało wydobyte z krokodyla, który być może zjadł Jake'a Scully'ego, to zapewne nie dadzą mi dostępu do swoich analiz. Już nie mogłem pomachać odznaką, nie miałem identyfikatora ani munduru. Ale zapytać musiałem. Kiedy leżałem na jawie we wczesne, poranne godziny i słuchałem przez otwarte okno sypialni gęsi łączących po werandzie, obiecałem sobie, że jeśli na poważnie podejmę się pracy z Amandą, to będę musiał stosować wszelkie policyjne metody. Całą dokładność i zasady, których nauczyłem się podczas szkoleń. Łatwo byłoby wejść w buty Amandy, telepać się to tu, to tam na chybił trafił, kierując się instynktem, pojawiać się w pracy, kiedy ma się ochotę, gmerać w rzeczach klientów, kiedy patrzą. Picie w pracy ze Stellą Scully było błędem. Więcej tego nie zrobię.

Szedłem nagimi, kremowymi korytarzami szpitala, pod wielkimi znakami, które prowadziły do oddziału chirurgicznego. W prawo. W lewo. W lewo. W prawo.

Na końcu długiego korytarza pokrytego lepkiem, brązowym linoleum znalazłem recepcję szpitalnego wydziału kryminalistyki. Młoda kobieta za kontuarem dłużyła

sobie przy paznokciach, starsza kobieta stała tyłem do mnie, wypełniając jakiś dokument.

– Dzień dobry – powiedziała do mnie ta od paznokci.

– Dzień dobry.

– Czym mogę służyć?

– Nazywam się Ted Collins. – Poczułem, że starsza kobieta obok mnie przygląda się mojej twarzy. – Chciałbym z kimś porozmawiać o sprawie Jake’a Scully’ego.

– Pan jest z policji?

– Niezupełnie.

– Więc skąd?

– Właściwie to znikąd. – Odchrząknąłem. – Właściwie z żadnej instytucji. Cóż... rzecz w tym, że pracuję z partnerem. – Moje słowa brzmiały nienaturalnie nawet dla mnie. Powinienem szybko i na poważnie odbyć jakąś solidną praktykę w kłamaniu. Recepcjonistka zapomniała o swoich paznokciach i przyjrzała mi się. Odwróciłem się do niej profilem. Media rzadko robiły mi zdjęcia z profilu. – Razem z partnerem prowadzimy niezależne śledztwo w sprawie zniknięcia Scully’ego. Wynajęła nas jego rodzina.

– Proszę pana, w księdze zgłoszeń nie mam nic na ten temat...

– Tak, nie zgłaszałem tego. – Kark swędział mnie od potu.

– Z jakiej pan jest agencji?

Teraz patrzyła na słuchawkę telefonu. Odsunąłem się od kontuaru. Że też to się tak szybko skomplikowało. Czy mnie rozpoznawała? Dlaczego nie przemyślałem tego, co mam powiedzieć? Nie było mowy, żebym wspomniał nazwisko Amandy. Nagle zrobiło mi się duszno. Pomyślałem, że jeśli podniesie słuchawkę, to po prostu odejdę. Nie wiadomo, do kogo mogłaby zadzwonić w sprawie dziwnego gościa przy recepcji, który zadaje pytania w sprawie morderstwa i w ogóle nie jest z policji. Znalazłem się głęboko w szpitalnych trzewiach. Popatrzyłem na schody pożarowe przy wejściu na korytarz.

– W porządku, Kaylo – powiedziała stara kobieta stojąca obok mnie. Patrzyłem, jak wyciąga rękę do recepcjonistki. Białą, silną, z niebieskimi żyłami. Rękę zbawicielki.

– Ted, chyba mogę ci pomóc – zwróciła się do mnie.

Poszedłem za małą kobietą z powrotem, w stronę wejścia do szpitala. Prawie nie

słuchałem żartobliwych uwag o wilgoci i silnych popołudniowych opadach. Zastanawiałem się, czy dopiero co nie znalazłem się na skraju ataku paniki. Takie ataki zwały mnie z nóg za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że ktoś mnie rozpozna w miejscu publicznym, a to nie przysłużyłoby się śledztwu w sprawie Scully'ego. Dostajesz ataku paniki na oczach ludzi i wszyscy się zbiegają. Wyobrażałem sobie te nieuchronne słowa docierające z chaosu nade mną: „*Chwileczkę... czy to ten facet?*”

Zanim udało mi się wydobyć z plątaniny spanikowanego umysłu, siedziałem na dworze, naprzeciwko tej kobiety, przy stoliku należącym do szpitalnej kawiarni. Personel w środku włączał wielką czarną maszynę do parzenia kawy, przepuszczał parę przez zawory i mełł ziarna.

– A więc, panie Conkaffey – powiedziała mała kobieta – znowu pan zaczął.

Milczałem, trudno mi było dopuścić do świadomości słowa, które usłyszałem. Potem odepchnąłem krzesło i wstałem.

– Siadaj, siadaj – nakazała kobieta. Pociągnęła mnie za rękę. – Nie będę się za tobą uganiać. Kolana odmawiają mi posłuszeństwa.

Usiadłem i wytarłem twarz rękami. Skórę miałem napiętą i obolałą. Przygarbiony, ptasi stwór obok mnie wyjął z fartucha paczkę papierosów, wytrząsnął jeden i wsunął między wąskie wargi. Poczęstowała mnie. Wziąłem. Od lat nie paliłem. W porannym słońcu jej włosy płonęły bielą. Były krótko przycięte nad jej uszami wielkimi jak u słonia. W ogromnych płatkach miała niebieskie szafiry.

– Poznałam cię z gazet – powiedziała. – Owszem, śledziłam sprawę w telewizji i online. Ale zdjęcia były w gazetach. To zostaje.

Paliłem. Pomyślałem, że jeśli skoncentruję się na paleniu, wszystko będzie w porządku.

– Jestem Valerie Gratteur. Val.

Kiwnąłem głową.

– Z tobą w porządku?

– Nie wiem – odparłem.

– Daj mi minutkę. Opowiem ci historię, kiedy będziesz dochodził do siebie. – Z kawiarni wyszła kelnerka i postawiła między nami popielniczkę. – Jedną z moich pierwszych spraw w zawodzie lekarza medycyny sądowej było morderstwo.

Zatłuczenie na śmierć. Nowozelandka o nazwisku Kimba Sorrano. Miała siedemdziesiąt jeden lat. Szesnaścioro wnucząt. Uwierzysz? Wszystkie zdruzgotane taką stratą. To było tutaj, w Cairns, ale sprawa dotarła do prasy w Sydney. Rozeszło się to wszędzie. Były zdjęcia dzieci płaczących w ogródku babuni. „Bezsensowny mord: babcia ginie podczas najścia na dom”.

Postukałem papierosem o brzeg popielniczki. Cieszyłem się ciepłem i zażyłością z papierową rolką między palcami.

– Ulżyło mi, kiedy dostałam Kimbę Sorrano na stół – powiedziała Valerie. – Sprawa wyglądała na łatwą do rozwiązania. Głowę miała rozbitą dokładnie pośrodku, jak arbuz, a wszystko wewnątrz zamieniło się w maź. Sekcja zwłok była po prostu formalnością. To musiało być zabójstwo – brutalna siła, śmiertelny uraz mózgu. To była moja trzecia sprawa, więc przez mnóstwo czasu patrzyłam na Kimbę. Nie mogłam się powstrzymać. Była tak tragiczną postacią leżącą na stole w kostnicy. Po prostu... strata. Zmarnowane życie. Wtedy, wiele lat temu, to mnie ruszało. Ale w końcu otarłam oczy i zaczęłam ciąć.

Przyszła kelnerka, postawiła przed nami dwie kawy i dzbanuszek mleka. Nie zamawialiśmy. Pewnie zakładali, że personel szpitalny potrzebuje kofeiny od samego rana, bez względu na to, co robi.

– Więc kto zabił babunię?

– Jeden z jej dilerów.

– Co? – roześmiałem się. To był krępujący śmiech. – Diler?

– Kimba Sorrano miała czerwony fosfor na opuszkach palców – powiedziała stara, ledwie powstrzymując uśmiech. Poklepała się poplamionymi nikotyną palcami po mostku. – I pęcherze w płucach. Najpierw znalazłam fosfor, a potem poszukałam pęcherzy. Jeśli nie nosi się ekwipunku ochronnego i długo chodzi się po wytwórni narkotyków, zaczyna się wdychać całe gówno, którego używają, żeby pichcić swoje produkty. Klasyczna nadmierna ekspozycja przy produkcji metamfetaminy. Kimba Sorrano była narkotykowym baronem.

– Nie.

– Tak.

– Babunia narkotykowym baronem?

– Właśnie.

– To jakieś wariactwo – powiedziałem. Poczułem, że się garbię. Rytm serca

wracał do normalności. – Przez pięć lat byłem w wydziale antynarkotykowym. Spotkałem dwie kobiety trzęsące rynkiem. Dwie. Obie miały po dwudziestce. Jak w ogóle na to wpadłaś, żeby szukać takich śladów?

– Cóż, ludzie myślą, że kiedy robi się to, co ja robię, patrzy się na ciało, wypełnia jakieś formularze i tyle. Ale prawda jest daleka od tego. Oglądam ciało, oglądam miejsce zbrodni, oglądam artefakty, które pozostały po ofierze i dopiero wtedy określam, jaki to był rodzaj śmierci. W mojej pracy jest mnóstwo roboty detektywa. Znacznie więcej pracy detektywa niż myślą moi koledzy. Oglądam zdjęcia. Rozmawiam z rodziną. Połowę pracy poświęcam myśleniu o tajemnicach. Tak samo jak ty. – Wytknęła mi palcem, jak babcia, która kogoś oskarża, a przy sobie ma pusty słoik po ciastkach.

– Więc jak to złożyłaś do kupy?

– Daj mi trochę czasu – powiedziała Valerie. – Odkryłam, że Kimba Sorrano pracowała na lotnisku w Cairns. Była sprzątaczką. Kiedy o tym pomyślałam, zdałam sobie sprawę, że miała dostęp do wszystkich miejsc – do samolotu, do urzędów, do wież kontrolnych, do biurk pracowników, do łazienek. Kimba przechodziła w tę i z powrotem przez bariery celne przez cały dzień, sześć dni w tygodniu, prowadząc wózek ze sprzętem do sprzątania w tę i z powrotem, w tę i z powrotem.

– O Boże – powiedziałem.

– Przychodzi dostawa narkotyków. Idzie do samolotu, żeby posprzątać. Przeczesuje maszynę, bierze paczkę i przechodzi przez cło. Nie da się sprawdzić, jak długo to robiła, ale na podstawie gotówki, którą znaleziono w jej pojemniku na chleb, mogę domyślić się, że to trwało dłuższy czas.

– Zdumiewające.

– Istotnie zdumiewające. – Val uśmiechnęła się, pokazując wielką, białą sztuczną szczękę. – Wszystkie fragmenty trafiły na właściwe miejsca?

Powoli zrobiłem wydech.

– Chyba tak.

– Więc z mojej opowiadki możesz się domyślać, że nie sądzę spraw po pozorach. Nie osądzam i twojej sprawy po pozorach. Wcale nie. Bardzo mnie zainteresowała. Od chwili, kiedy przeczytałam raporty medyczne dotyczące tej małej dziewczynki i zobaczyłam w gazecie twoje zdjęcie policyjne, nie mogłam

bez tego żyć.

– Jak to?

– Rzecz w tym, że w raporcie napisali o połamanych paznokciach Claire Bingley. Wszystkich. Ta dziewczynka drapała napastnika, broniąc życia. A jednak na tobie nie było ani jednego zadrapania. Ani troszeczkę.

Przyłapałem się na tym, że się uśmiecham. Ale oczy aż mnie bolały, tak chciało mi się płakać. Znów otarłem twarz, dotknąłem brody.

– Pani doktor, jesteś bardzo fajna.

– Właśnie tak o mnie mówią. – Wydmuchała kółko dymu przez ramię.

– Możesz mi cokolwiek powiedzieć o Jake’u Scullym? – zapytałem, próbując odejść od mojej sprawy, bo nerwy miałem w strzępach.

– O Jakeu Scullym? On nie żyje.

– Naprawdę?

– Krokodyl niewiele dla mnie zostawił. Te szczątki Jake’a Scully’ego; dostałam z policji, wyjęli je z krokodylego żołądka, w którym spoczywały. Zmieściłyby się w pudełku na drugie śniadanie dla ucznia. Ale w tej mieszaninie znalazłam kawałek jego grzebienia biodrowego. To jest kawałek miednicy w kształcie skrzydła. O, tutaj. – Poklepała mnie po biodrze. – Gdybym znalazła kawałek palca, albo piszczel, pewnie bym zakładała, że są jakieś szanse, że żyje. Ale nie. Z niego jest zimny trup.

– Zgadza się. – Nagle naszła mnie wizja Jake’a Scully’ego, który wlecze się przez mangrowce, w jakimś zapomnianym zakątku tropików, od pasa brakuje mu ciała, a za nim ciągną się wnętrzności. Ja też nie zakładałbym się, że Jake jeszcze żyje.

– Zgodzi się pan ze mną, panie Conkaffey?

– Zgodzę się, pani doktor – powiedziałem z uśmiechem. – Zastanawiające, jak mi ulżyło, że właśnie straciłem pracę.

– Niekoniecznie. Wydaje mi się, że pani Scully wynajęła cię w związku z ubezpieczeniem.

– Dobrze się pani wydaje.

– Cóż, niestety nie mogę powiedzieć, czy to było zabójstwo, czy śmierć z innych przyczyn – ciągnęła. – Wydaje mi się, że zakład ubezpieczeniowy będzie chciał o tym wiedzieć, czy pani Scully nie ukatrupiła aby mężulka dla gotówki, albo czy

to może było samobójstwo za pomocą krokodyla.

– Co pani podpowiada intuicja? – Stara doktor wzruszyła ramionami. Wpatrywała się wodnistymi oczami w parking.

– Słuchaj, trzydzieści lat pracuję w tym zawodzie i nie miałam na stole prawdziwej ofiary ataku krokodyla.

– Co? Przecież tego jest najwięcej! To się chyba ciągle zdarza?

– Nie – roześmiała się. – Nie zdarza się. Rocznie zdarza się mniej niż pięć zaginięć i dwa śmiertelne wypadki. Kiedy krokodyle atakują ludzi, robią to z różnych powodów – jest okres godowy i wielkie samce bronią swoich terytoriów, albo okres estywacji i zbierają zapasy na sen w suchym, letnim sezonie. Może tak przyzwyczyły się do ludzi, którzy ciągle wchodzą na ich terytorium, że po prostu nie mogą się powstrzymać. Lubią rutynę. Jeśli będziesz brodził w wodzie, żeby przycumować łódź przy tej samej przystani o tej samej porze przez kilka tygodni, któryś może cię pociągnąć za nogę – jeśli trafiłeś na odpowiedni sezon. Ale sam się o to prosiłeś, prawda?

– Chyba tak – powiedziałem.

– Jake Scully był wielkim mężczyzną. Mniej więcej twoich rozmiarów. Cóż, wiadomo, że krokodyle lubią wielką zwierzynę. Co jakiś czas wciągają do wody krowę. Ale nie są żarłocznymi zabójcami. Są leniwe, korzystają z okazji. Wolą leżeć gdzieś w mangrowcach i łapać ptaki wodne, jeśli za bardzo się zbliżą, niż wciągnąć dorosłego mężczyznę.

– Okej.

– Większość ofiar śmiertelnych to dzieci. Mają odpowiednie rozmiary, nie za bardzo się bronią, zazwyczaj już są w wodzie i hałasują, przyciągając uwagę krokodyli. Ty mówisz, że wielki Jake Scully wyszedł tamtej nocy, na ślepo wlaź na terytorium wielkiego krokodyla i tak długo włóczył się po brzegu, żeby wywabić z wody zwierzę, które go zjadło? Może był w wodzie? Bardziej prawdopodobne, że tak było. Więc mamy przyjąć, że poszedł sobie popływać o północy? Bo ja wiem? Brzmi to dla mnie cokolwiek dziwnie.

– Obejrzałem parę zdjęć z kamer przed domem Scully’ego – powiedziałem. – Wygląda na to, że spieszył się, idąc do samochodu.

– Spieszył się na spotkanie z kimś?

– Może – odparłem. – Ale jak ten ktoś go wywabił? Nie było telefonów ani do

domu, ani na jego komórkę. Ani esemesów, ani maili.

– Może spotkanie było umówione wcześniej?

– Może. To dlaczego tak się spieszył?

– Dopadłeś mnie – powiedziała z uśmiechem lekarka. – Ale nie mogę powiedzieć, że ta zgadywanka mi się nie podoba.

– Czy można zamordować kogoś krokodylem? – zapytałem. Zmrużyła oczy, patrząc pod słońce.

– Niezłe pytanie.

– Tak – roześmiałem się. – Wiem.

– Trzeba by wytresować zwierzę – powiedziała. – Chodzić w konkretne miejsce i tam je codziennie karmić. Krokodyle nie są pozbawione inteligencji. Rzecz w tym, że najpierw trzeba by takiego znaleźć – i nie dać się zjeść. Nie są podróżnikami, więc jak jednego się znajdzie i nie zostanie się zjedzonym, można mieć całkowitą pewność, że będzie w okolicy, jak wróci się, żeby go poszukać. Mają skłonność nawiedzać wydzielone fragmenty wody. Więc sądzę, że jeśli by się wydawało określone dźwięki na brzegu i codziennie, o tej samej porze, rzucało kurczaka, to można by wytresować krokodyla, żeby podpływał, kiedy jest się w pobliżu.

– Mnóstwo roboty – powiedziałem.

– To byłaby najdziwniejsza i najbardziej nieprzewidywalna broń pod słońcem – odparła. – Dlaczego w ten sposób? Dlaczego nie użyć pistoletu, noża albo wielkiego kamienia? Wtedy ma się znacznie większą pewność, że sprawa będzie załatwiona.

– Może ktoś jest kompletnym świrem i chce, żeby to się stało Jake’owi. Żeby został upolowany. Żeby został zjedzony.

– O kurczę. – Val spojrzała mi w oczy. – Ted, ależ ty masz chore pomysły.

– Może Jake’a zastrzelono albo zasztyletowano i wrzucono do wody, a krokodyl po prostu miał szczęście. Znalazł ciało, zanim znalazł je ktoś inny.

– Może – powiedziała.

Rozsiadłem się w krzesło i dokładnie przyjrzałem się Val, która gasiła papierosa w popielniczce. Słyszałem, jak mówi, dopadła mnie i zupełnie odwróciła bieg mojego myślenia, opróżniła mi głowę ze wspomnień, które się w niej nagromadziły, odkąd zobaczyłem ją przy recepcji kostnicy. Dotarło do mnie, że się

do niej uśmiecham. Postukała w paczkę papierosów, kiwnąłem głową i zapaliliśmy jeszcze po jednym.

– Sam tutaj pracujesz? – zapytała.

– Nie, mam partnera.

– Hm, to już coś – uznała. – Kim on jest?

– Ona. To Amanda Pharrell.

– Dobrze. – Val ze śmiechem wypuściła dym nosem. – Doskonale.

– Co tak naprawdę o niej sądzisz? – zapytałem. – Wiesz coś o jej sprawie?

– Tak, miałam Lauren Freeman na swoim stole – odparła Valerie. Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ktokolwiek zabił tę śliczną dziewczynę, musiał bardzo jej nienawidzić, gdy to robił.

– Powiedziałaś „ktokolwiek” – zauważyłem.

– Tak powiedziałam – uśmiechnęła się.

Jadąc z powrotem do Crimson Lake, wybrałem drogę przez kampus uniwersytetu Jamesa Cooka, z myślą, że zatrzymam się przy sklepie spółdzielczym, żeby sprawdzić, czy mają egzemplarze książki Jake’a Scully’ego. Betonowy kampus gnieździł się w dolince wśród wzgórz pokrytych bujną zielenią, pomiędzy tajemniczymi ogrodami z przystrzyżonymi trawnikami wykorzystywanymi tu i ówdzie przez kangury wielkości człowieka jako miejsca do odpoczynku. Zaparkowałem i poszedłem szerokimi drózkami ocienionymi stożkowatymi dachami z blachy falistej, obok wielkiego szklanego sześcianu wydziału dentystyki, w którym mogłem zobaczyć studentów w białych kitlach, jak robią notatki i bawią się białymi urządzeniami na białych stołach. Zrobiło mi się trochę smutno, kiedy wcisnąłem się między młodych studentów wracających z kafeterii. Kampus bardzo przypominał szkołę policyjną w Goulburn. Przypomniałem sobie młodzieńcze ambicje, żarliwe pragnienie, żeby zostać obrońcą sprawiedliwości.

To wszystko już minęło.

Klimatyzacja w sklepie przynosiła ulgę. Wkrótce znalazłem stos egzemplarzy *Spalonych*, pierwszej powieści Scully’ego. Leżały pod ogłoszeniem kierownictwa księgarni wyrażającym niepokój z powodu zniknięcia uwielbianego miejscowego autora. Wziąłem egzemplarz, zważyłem go w ręce i przekartkowałem. Powinienem chyba kupić wszystkie jego książki. Być może był w nim klucz do zniknięcia

Jake'a, może we wszystkich, ale potrafiłem szybko czytać i nie zniechęcało mnie to. Poszedłem wzdłuż półek z beletrystyką i wybrałem stosik z końca rzędu. Sprawdziłem spis lektur znajdujący się na końcu, żeby upewnić się, że mam wszystko.

Po drodze do kasy przeszukałem półki z gadżetami dla czytelników, podziwiałem kubki, poduszki i nawiązujące do literatury lalki. Wziąłem małego, wypchanego Edgara Allana Poego i pomyślałem, żeby kupić go dla Lillian. Jako nastolatek naprawdę lubiłem Poego. Może zachęciłbym ją do przeczytania paru jego książek, kiedy wejdzie w wiek nienawiści do ludzi i zwabi ją literatura gotycka.

Wtedy przypomniałem, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczę Lillian. Taka była rzeczywistość. Mimo że wycofano oskarżenie, ludzie nie pozwolą mi się z nią spotykać w jej dziecięcych latach. Jeśli Kelly osobiście mnie nie powstrzyma, zrobią to jej rodzice. Wystarczy jedna wizyta urzędników do spraw ochrony dzieci, żeby uznano mnie za groźnego. Oficjalnie powiedzieliby zapewne, że chodzi o mój dom, że jest ogołocony z mebli i niebezpieczny, że samowolni stróże prawa wzięli go na cel. Może powiedzieliby, że jako prywatny detektyw przyciągam do swojego życia niebezpiecznych ludzi, a to uniemożliwia bezpieczną opiekę nad dzieckiem. Gdyby niczego nie znaleźli, mogliby zrobić zdjęcie albo wideo, albo zapisać, że kiedy mnie odwiedzili, zastali mnie w stanie wzburzenia, i nakazać ewaluację psychologiczną. Musiałbym zwrócić się do sędziego pokoju, żeby cofnął restrykcje, które by na mnie nałożyli. Łatwo odmówić kontaktów z własnym dzieckiem. Wiedziałem. Widziałem, że tak było z dilerami narkotyków, których mściwe były żony dzwoniły anonimowo z informacjami na gorące linie, robiły im zdjęcia, kiedy byli pijani, i pokazywały je sądom.

Odłożyłem lalkę na półkę. Za główką z czarnymi, wełnianymi lokami wyśledziłem znajomą twarz. Skupiłem się na niej, zadowolony, że w jednej chwili odciągnęła mnie znad skraju mrocznej przepaści. Twarz na okładce książki. To była Amanda.

Morderstwo w Top End: śmierć Lauren Freeman

Odłożyłem swoje książki i wyjąłem tamtą, w papierowej okładce, pomiędzy dwóch stosów gangsterskich antologii. Zdjęcie na okładce przedstawiało Amandę z profilu, prowadzoną z budynku wyglądającego na sądowy. Nadgarstki miała

przykute do pasa na ciemnoniebieskim więziennym dresie. Obojczyk wystający przez kołnierzyk za dużego dresu nie był pokryty tatuażami. Amanda miała dłuższe włosy ułożone na użytek sali sądowej w konserwatywnego pazia. Wyglądała jak porażona, jakby znalazła się na krawędzi, jak młoda Joanne Lees idąca w stronę bandy dziennikarzy po zniknięciu Petera Falconio. Ten sam dziwnie odległy wzrok. Przejechałem palcem po tłoczonych literach i poczułem się winny.

Odwróciłem książkę i na tylnej okładce, pod notką wydawniczą, zobaczyłem zdjęcie Lauren Freeman, ofiary Amandy. Była bardzo koścista, jej twarz składała się z kątów ostrych – podbródka, koniuszków uszu, uniesionych w górę kącików oczu. Miała w sobie niemal coś wilczego. Platynowe blond włosy spływały prosto z białej szkolnej bluzy. Surowy biały uśmiech podkreślała wspaniale opalona skóra. Wyglądała, jakby zeszła z wideo o ratowniczkach w Queensland. Biegła po plaży, ciągnąc za sobą czerwono-białą flagę. Sama natura. Znów odwróciłem książkę i spojrzałem na bladą, posępną Amandę. Pomyślałem, jak to jest, że te dwie dziewczyny mogły w ogóle się przyjaźnić.

Położyłem *Morderstwo w Top End* na stercie książek Jake'a Slully'ego i poszedłem do kasy.

11

Drogi Jake'u!

Nie wiem, czy dostałeś mój ostatni list. Napisałem do ciebie dziesiątego. Pewnie jesteś zajęty zamieszczeniem wokół prawa do Twojego najnowszego filmu. Wyciąłem z gazet wszystkie Twoje wywiady. W „Haraldzie” ładna recenzja! Hura!

Kompletuję album na temat twojej pracy pisarskiej i wróciłem do pierwszych artykułów o Spalonych. Byłeś taki podniecony, że wreszcie wyszła twoja książka. W jednym z tekstów przeczytałem, że przed Spalonymi napisałeś cztery książki, które nie zostały wydane. Chociaż jestem przy swojej drugiej książce, rozumiem Twój zawód. Moja pierwsza powieść została odrzucona przez dwunastu wydawców. Otrzymałem od nich szczątkowe informacje. Czasem zastanawiam się, czy ją skurwiele przeczytali! Czytałem o Stelli, która mówiła Ci wtedy, że nigdy Ci się nie uda, że powinieneś skupić się na swojej pracy naukowej. Rozumiem Cię jak człowiek człowieka. Ludzie przez cały czas wyśmiewają moją obsesję pisarską. Ale ja wiem, że to zrobię. Moja muza jest jak odrębna osoba. Taka wytrwała. Taka uboga. Moja praca jest świetna – i nie dmę w trąbę na swoją chwałę. Wiem, że jestem dobry. Jestem pewien, że wtedy też wiedziałeś, że jesteś dobry.

W dużej mierze jestem taki, jaki ty wtedy byłeś, Jake. Pragnę być taki, jaki ty jesteś teraz. Naprawdę jesteś moim natchnieniem. Ten ochoczy młody Jake Scully z panelu GenreCon na Youtube już się skończył. Jesteś znacznie bardziej pewien siebie. Wiem, że niczego nie uważasz za oczywiste. Wiem, że się nie sprzedasz i nie pozwolisz im zrobić z Kronik gównianych disnejowskich filmów pełnych komputerowych efektów specjalnych.

Uwielbiam wszystko, co ciebie dotyczy. Nagrałem program, który urządziłeś w swoim domu dla The Morning Show. Fajna chata! Człowieku, naprawdę Ci się udało. Nie potrafię Ci powiedzieć, jaki jestem z Ciebie dumny.

Jeśli dostałeś ten list i ten drugi też, to tak sobie myślę, czy nie znalazłbyś czasu, żeby zerknąć na moją pisaninę. Znów ją załączyłem, tak na wszelki wypadek. Wiem, że moja praca robi na tobie wrażenie. Nie da się sfalszować przyrodzonego talentu, prawda?

Kiedy odpiszesz, egzemplarz Spalonych z autografem byłby dla mnie bombą. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Ta książka jest moim absolutnym faworytem. Przeczytałem ją siedem razy. Chyba będzie mi potrzebny nowy egzemplarz, a jeśli był w Twoich rękach, dla młodego pisarza stałby się podarunkiem, który zachowałby on na całe życie.

Kiedy przyjechałem, na schodkach sklepiku Amandy czekała jakaś kobieta. Pomyślałem, że to potencjalnie nowy klient.

Bardziej interesowało mnie wnętrze małego biura, więc z początku popatrzyłem obok niej, przez szklane panele drzwi. Żaluzje były teraz zwinięte i było widać, co jest za nimi. Na wycieraczce, zaraz za drzwiami, dwa bardzo tłuste koty pławiły się w słońcu dochodzącym z ulicy. Jeden leżał na boku, a jego wielki brzuch leżał na kłującej słomie wycieraczki. Drugi zwinął się w kłębek rozmiarów wypchanego plecaka. Podniosłem wzrok i wypatrzyłem kolejnego kota, który siedział przed otwartym oknem na górze. Jego długi, rudy ogon lekko podrygiwał na wietrze. Nad odległymi górami, ciemnoniebieskimi i groźnymi, zbierało się na deszcz, ale tutaj panował upał. Podwijając rękawy, spojrzałem na zegarek, przedramiona już miałem lepkie od potu.

– Nie przyjdzie przed dziesiątą – powiedziałem do kobiety na podeście. – Mogę pani pomóc?

– Właściwie, to ciebie szukam, Ted – odparła kobieta. Jej czerwone wargi uniosły się w górę w nieprzyjaznym uśmiechu.

Reporterka.

Stałem jak wryty.

Że też nie zauważyłem, że na niej całej napisane jest „reporter”, kiedy wysiadałem z samochodu? Nieskazitelna spódnica ołówkowa, manikiur paznokci nawykłych do klawiatury dłoni – w jednej telefon komórkowy, w drugiej rączka ciężkiej torebki. Szpilki. Szpilki w Crimson Lake.

Jeszcze gorzej, że czekała na mnie przy biurze Amandy. Reporterka bez

zbędnego trudu wysłedziłaby, gdzie mieszkam. Kelly mogła jej powiedzieć. Ale tylko Amanda i Sean wiedzieli, gdzie pracuję. A przynajmniej tak myślałem.

Dzieci na rogu, po drugiej stronie ulicy, przyglądały mi się z zainteresowaniem. Zrobiłem krok w tył, zapisałem w pamięci, żeby poprosić Amandę o klucz do jej kociarni, gdybym na przyszłość musiał się tam schować, bo może pojawi się taka potrzeba.

– Jestem Fabiana Grisham. – Wyciągnęła rękę. – Mówią mi Fab.

– Jestem zajęty, proszę pani – powiedziałem. – Miło mi panią poznać.

Odwrociłem się, zszedłem z werandy. Słyszałem jej szpile, kiedy szła za mną.

– Chciałam tylko porozmawiać – powiedziała. *Zaczyna się. Zaczyna się.* Brudny wicher publicznego rozpoznania trząsł palmami, łamał trzcinę. Po drodze do samochodu złapałem się za koszulę z przodu i zmiąłem ją w palcach. Doszedłem, zmieniłem zdanie, niezdarnie się odwróciłem, popatrzyłem na ulicę. Amanda mnie ochroni. Wyobraziłem sobie, jak ta nieustraszona, podekscytowana kulka dziwaczności wybucha na wszelkie groźby. Mógłbym skorzystać z zamieszania i uciec. Albo podnieść partnerkę, rzucić nią w reporterkę i zwać w bezpieczne miejsce. Tak, musiałem znaleźć Amandę. Shark Bar był tylko dwie przecznice dalej.

– Ted, zostajesz w Crimson Lake? – zapytała reporterka. – Próbujesz zbudować tutaj swoje życie na nowo?

– Jak mnie znalazłaś?

– Jestem z „Heralda”. Mamy duży zasięg. Co ludzie z Crimson Lake myślą o twojej sytuacji? Wiedzą, że tu jesteś?

Otarłem pot z czoła i wsiałem do samochodu. Trzasnąłem drzwiami, aż stare lusterko boczne zagrzechotało w ramce. Fabiana odsunęła się i pokonana wyłączyła magnetofon w komórce. Odjechałem.

Amanda ślizgała się po ziemi na żółtym rowerze, wyrzucając chmurę kurzu, którym chyba była zachwycona. Ubrana była w purpurowy, wyszywany cekinami podkoszulek i jasnoniebieskie dzinsy podarte na kolanach. Była bosa, a paznokcie u stóp pomalowane miała na limonową zieleń. Wyżej były wytatuowane kwiaty hibiskusa. Powiedziałem, że spotkamy się za miejskim pubem, jedną ulicę za Shark Bar. Pod pachą trzymała gazetę zwiniętą w rolkę.

– W czym problem, panienko?

Stwierdziłem, że mam trudności z oddychaniem. Kaszlnąłem, próbując zamaskować strach.

– Dobrała się do mnie reporterka. – Spojrzałem za siebie, w stronę miasteczka i poczty na skraju pola trzciny. – Nie wiem jak, ale się kurwa dobrała.

– Och. – Amanda położyła gazetę na ziemi i podeszła do mnie. Potarła mnie wolno po ramieniu, jakby dotykała dziwnej kory nieznanego drzewa. – Ojej, tośmy się przestraszyli, prawda?

– Nie przestraszyłem się, Amando. Po prostu nie wiem, jak mnie znalazła.

– Ktoś cię pewnie zauważył. Nie wiadomo kto. Przecież łąką za tobą samozwańczy stróż prawa? To mógł być jeden z nich. Mógł być ktokolwiek, kto im powiedział, że tutaj jesteś. Mógł być ktokolwiek. Teddy, misiu, nie panikuj, jedna reporterka to...

– Nie panikuję.

– Jedna reporterka to nie powód do paniki i pełnej gotowości.

– Jest niedobrze – jęknąłem. – Niedobrze.

– Cóż, to musiało kiedyś się stać. Myślałeś, że jak długo będziesz na gigancie? Nie jesteś doktor Richard Kimble ze *Ściganego*. Kiedyś musieli cię znaleźć.

– Przestań mnie poklepywać. – Odsunąłem jej rękę. – Przestań.

Miała rację. Spanikowałem. Łykałem powietrze. Obrzydzenie mnie brało, że zobaczyła mnie w takim stanie. Odwróciłem się, oparłem się o samochód klatką i próbowałem skupić na szybie wpijającej mi się w mostek, na gorącym dachu pod dłońmi.

– Była z prasy czy z telewizji?

– Z prasy – powiedziałem. – Z „Heralda”.

– Ba. Kto czyta „Heralda”?

– Chyba z pięć milionów ludzi.

– Następnym razem, jak ją zobaczysz, powiedz, że ma coś na twarzy. Pozbędziesz się jej w ten sposób.

– Co?

– Powiesz jej: „Cześć, kochanie, hej, nie chcę ci, kotku, przerywać, ale masz coś, o tutaj”. – Amanda wystawiła szczękę i postukała się w kącik ust. – Nie znoszą tego. Kobiety. To całkowicie podważa wszystko, co by powiedziały.

Pokręciłem głową. Już nic nie było pewne. Musiałem uporządkować kłębiące się myśli. Zapomnieć o tym wszystkim na sekundę.

– Masz osiemnaście tysięcy kotów – powiedziałem z nadzieją, że szybki zwrot w rozmowie przywróci mi zdolność normalnego oddychania.

– Jedenaście – poprawiła mnie.

– Kto ma jedenaście kotów?

– Ja.

– Ale po co? Dlaczego, do licha, masz tyle kotów?

– Jak myślisz? Wynajęłam ten sklepik w ubiegłym roku. Pojawiła się kotka. Padało, więc wzięłam ją do środka, a ona zaczęła wystrzeliwać z waginy małe kocięta, jedno po drugim, jak rude kule armatnie. – Rysy twarzy Amandy napięły się. – To było jak coś z *Obcego*. – Przesunęła pięść przez kółko z kciuka i palca wskazującego, otworzyła dłoń i trzepnęła się nią w twarz. – Ble! Obrzydliwe!

Patrzyłem na nią. Dłoń przyłożyła do twarzy i jednym okiem patrzyła na mnie spomiędzy palców.

– Więc dlatego masz jedenaście kotów.

– Tak, dlatego mam jedenaście kotów – potwierdziła.

– I po prostu zatrzymałaś je wszystkie.

– A co niby miałam, do diabła, z nimi zrobić?

– Bo ja wiem? – Wzruszyłem ramionami i szeroko otworzyłem oczy. – Oddać je?

Przez chwilę na mnie patrzyła, potem nachyliła się bliżej.

– Myślisz – wyszeptała – że gdyby ktoś w okolicy chciał kota, to chodziłoby o kotkę, która łązi na deszczu i czeka, żeby wyrzucić z siebie dziesięć wilgotnych, różowych miśków na pierwszy kawałek suchego dywanu, który uda się jej znaleźć?

Westchnąłem. Podniosła rękę i postukała mnie palcem w skroń.

– Pomyśl, Conkaffey.

Znów odsunąłem jej rękę.

– Daj spokój. – Klepnęła mnie w ramię. – Dość uzalania się nad sobą. Mamy morderstwo do rozwiązania. Skontaktowałeś się z anatomopatologiem? Czy Jake nie żyje?

– Tak. Nie żyje.

– Ted wyciągnął szyję i rzekł: „Jake Scully nie żyje. Jest nieżywy jak kropla

oliwy”.

– Przestań.

– Dobrze. Pakuj się do Ted-mobile. Pojedziemy przekazać informację rodzinie. – Przełożyła nogę przez ramę roweru i zawróciła tuż przede mną, złościąc elegancką bruzdę w ziemi.

Amanda pędziła przede mną ulicą, przy której mieszkali Scully’owie. Robiła tak ciągle, jakbyśmy byli dwojgiem dzieci, które chcą gdzieś dojść, a ona powiedziała, że to wyścigi, kiedy zobaczyła linię mety i mocniej stanęła na pedałach. Trochę dalej, przy szerokiej, wysadzananej palmami alei zauważyła radiowóz i zwolniła. To był wóz z Cairns, nadal miał włączone światła hamowania. Zatrzymałem przy krawężniku i patrzyłem, jak Amanda wsadziła głowę przez okno kierowcy i bezwstydnie sprawdzała, kto jest w środku.

Wysiadł nadinspektor, poprawił pas, coś do niej powiedział. Uśmiechnęła się i na piechotę odprowadziła rower do tyłu. Potem z wozu wyłonili się Damford i Hench. Poczulem nagłe szarpnięcie w piersi, żeby wysiąść i podjąć interwencję. To był strach, że mogą ją skrzywdzić, taką małą i kolorową, jak maleńki kameleon brutalnie zaatakowany przez spaśne koty.

– ...wielki mięśniak za mną to mój partner Ted. – Amanda mówiła do nadinspektora. Głęboko pobrużdżona twarz starego zwróciła się do mnie. Rozpoznał mnie. Już zacząłem się przyzwyczajać do ściąganych brwi i wykrzywianych w dół ust, kiedy ludzie zaczynali rozumieć, że widzą właśnie mnie.

– Można wiedzieć, jaki dzisiaj masz tutaj interes, Amando? – Nadinspektor zignorował mnie.

– Zaraz dostarczymy Scullym informację o śmierci – powiedziała radośnie. – Dziś rano dostaliśmy bombę od anatomopatolog. Ty chyba też, co?

– Muszę poprosić was oboje, żebyście odjechali. – Nadinspektor znów na mnie popatrzył, pogarda wylewała się z niego wszystkimi porami. – Naprawdę myślę, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Lou Damford i Steven Hench nie spuszczała ze mnie oka. Wiedziałem, że nic mi z ich strony nie grozi, dokąd jesteśmy w towarzystwie ich szefa. Ale byli wygłodniali. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem, jak uczniacy za plecami

nauczyciela. Znow spozrzegłem, że są za starzy na swoje stopnie. Musieli mieć po czterdziestce. Po czterdziestce pozostaje się nadal krawężnikiem, kiedy jest się całkowicie niekompetentnym albo się tego chce. Nie sądziłem, żeby byli niekompetentni. Byli zbyt złośliwi. Całe życie zawodowe robili to, co mnie robili – ścigali wyrzuteków społecznych i obchodzili się z nimi brutalnie. Nie ma nic lepszego niż stać pośrodku rozwalonej mety z kokainą w ryszunku bojowym, kopać wszystko dookoła, zbierać kawałki życia młodych ludzi, kiedy szlochają i tarzają się po podłodze w kajdankach. Jako glina nigdy nie byłem prawdziwym oprychem. Nie bardzo pasowała mi ta rola. Ale czasem trzeba było wyglądać na twardziela i postępować jak twardziel, straszyć ludzi, zmuszać do współpracy. To może wejść w krew. Znałem takich, których to zmieniło.

Przeniosłem wzrok na Amandę, myślałem, jacy byli ci dwaj dranie, kiedy popełniła morderstwo. Pewnie byli świeżo po szkółce. Czy mieli z tym coś wspólnego? Czy byli krawężnikami, których wezwano, żeby sprawdzili samochód zaparkowany w krzakach na Kissing Point?

– Naprawdę myślę, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli para takich miłych, przyjaznych na oko ludzików jak my wejdzie do nich i przekaże im złą wiadomość – mówiła Amanda. Klepięcie jej dłoni po moim ramieniu przywróciło mnie z powrotem do rzeczywistości. – Chłopaki, obnosicie się z tymi waszymi spluwami, chodźcie w śmiesznych kapeluszach, jak zgraja żołnierzy z oddziałów szturmowych. Przez was informacja będzie dziesięć razy gorsza.

– Amando – westchnął nadinspektor.

– Aman... doo – zaczęła go przedrzeźniać, stając jak on z dłońmi na biodrach. – Amando, co? Nadkomisarzu Doherty, nie znosisz straszyć ludzi. Daj spokój, stary.

– Znacie się? – zadrwiłem.

– Nadinspektor Doherty był świadkiem oskarżenia na moim procesie – powiedziała Amanda. – Cała policja mnie zna. Jestem gwiazdą. Osławioną gangsterką.

Zaczęliśmy iść całą grupą w stronę domu Scullych. Nadinspektor Doherty mówił niskim, nieprzyjaznym głosem mimo całej wesołości Amandy. Damford i Hensch nadal wlepiali we mnie wzrok. Odchrząknąłem.

– Więc i wy dwaj znacie Amandę – powiedziałem.

Nie odpowiedzieli. Poczulem, że włosy jeżą mi się na ramionach.

– Byliście w pobliżu, kiedy została aresztowana?

Nadal nic. Dobrzy byli w tych sztuczkach z zastraszaniem. Poczułem, że mam odruch wymiotny. Utrzymałem spory dystans, idąc powolnym krokiem za Amandą i nadinspektorem.

Jak się okazało, żadne z nas nie zaliczyło w pełni przekazania Stelli Scully informacji, że jej mąż nie żyje. Kiedy skręciliśmy na ścieżkę prowadzącą przez przystrzyżony trawnik do drzwi, otworzyła je. Poznałem ten wyraz twarzy. Posępna akceptacja. Oblizła sobie wargi i popatrzyła na nas wszystkich. Wreszcie zatrzymała wzrok na mnie. Próbowałem na nią nie patrzeć. Gdy się odezwała, jej słowa skierowane były chyba do mnie.

– Skąd wiedzą? – zapytała.

– Kość biodrowa – odparłem. Pomyślałem, że najlepiej będzie mówić wprost. Chyba tego chciała. Nadinspektor Doherty odwrócił się i spojrzał takim wzrokiem, od którego wyمیękali zabójcy w pokoju przesłuchań. Faktycznie, poczułem ból pośrodku twarzy, między oczami, jakby mnie rąbnął.

– Proszę pani – powiedział – ci ludzie nie są z nami. Nie zaprosiliśmy ich. Ani nie prosiliśmy, żeby przekazali wiadomość o śmierci pani męża w taki bezlitosny i nieludzki sposób. – Pokręcił głową i znów na mnie spojrzał. – Jezu, sam nie wiem. Możemy wejść?

Stella odwróciła się i otarła dłonią oczy, potem boso przeszła przez ogromne foyer. Amanda przeszła przez drzwi. Ale kiedy zrobiłem krok, Damford i Hench zawrócili i stanęli przede mną, blokując mi drogę.

– Jaki przyjemniaczek, pedofil jeden – zakpił Hench.

– Widzisz, w tym jest pewien ceremoniał – powiedział Damford, ten grubszy. – Romans. Prosi się siadać. Robi się herbatę. Zdejmuje się kapelusz. To jak gra wstępna.

– Conkaffey, ale tobie nie idzie za dobrze z grą wstępną?

– Hej, ona pytała – przypomniałem. – Ja odpowiedziałem. Nie chciałem pogarszać sprawy, wchodzić, opierniczać się i robić herbatę. Wydłużać sprawę, otwierać pieprzoną kopertę, jakbyśmy byli na rozdaniu nagród. I nawet nie mam kapelusza.

– Jesteś dupkiem – powiedział Damford.

– Wynajęła mnie i Amandę głównie dlatego, że wy, matoly za bardzo się

przypieprzacie. I wiecie o tym. Właśnie teraz to robicie, kiedy przeszkadzacie ludziom. Nie powinno was tam być, żeby miał kto wypolerować dupę waszemu szefowi?

– Ty nam mówisz, jak mamy pracować?

– Macie ze mną jakiś problem? – zapytałem. – Czy naprawdę chodzi o to, o co zostałem oskarżony? Bo odkąd tutaj jestem, nie widziałem dziecka poniżej szesnastego roku życia. Mówicie, że chcecie chronić dzieci z tego miasteczka. Jakie dzieci?

– Myślisz, że szesnastolatki to nie dzieci?

– Nie o tym mówię – westchnąłem. – Mówię, że nie stanowią zagrożenia.

– Nie, nie wiemy – zadrwił Hench. – W sumie wszystkie dowody pokazują coś innego.

– Skoro tak się o mnie martwicie, to dlaczego nie śledzicie mnie?

– Kto mówi, że tego nie robimy?

– Nie wydaje mi się, żeby to wszystko miało coś wspólnego z moim przestępstwem – powiedziałem. – Myślę, że jesteście wkurzeni, bo w mieście pojawił się jeszcze jeden glina i wszystko wyczuwa swoim kutasem. Jestem zdumiony, że Amanda może pracować w waszym rewirze. Dlaczego pozwoliliście Amandzie osiąść tutaj?

Żadnej odpowiedzi. Ten dziwny, podwójny, lodowaty wzrok.

– Pieprzyć was obu – powiedziałem i odwróciłem się, żeby odejść. Zanim zdołałem zrobić krok, Damford złapał mnie za ramię.

– Wyjedź – powiedział łagodnie. Ale to słowo coś mi zrobiło. Weszło we mnie, jak trująca chmura, wpełzło mi do ust i do gardła, zagotowało mi wnętrzności. Widziałem twarz tego człowieka nad sobą. Czułem trawę pod plecami. Czułem jego palce wokół gardła. Odebrałem groźbę jak ogarniającą wszystko halucynację, jak urojenie śmierci. Takie wrażenie odnoszą ludzie, którzy zamierają na drodze z zamkniętymi oczami, kulą się ze strachu, kiedy w ich stronę za szybko zmierza samochód. Pisk opon.

Damford nie musiał dodawać: „Bo cię zabiję”. Wiedziałem, patrząc na niego, że jeśli nie zrobię tego, o co prosił, ostatnie, co poczuję, to jego oddech.

Wyrwałem ramię i cofnąłem się. Nogi miałem sztywne, szedłem z trudem. Cofnąłem się za bok domu.

Gdybym się spodziewał, że będzie jakiś wielki i dramatyczny, w hollywoodzkim stylu spazm ze strony Stelli, na to co powiedzieli jej policjanci, którzy weszli do środka, tobym się rozczarował. Przez drzwi prowadzące na małe, kamienne podwórko, gdzie czekałem, widziałem za foyer salon i fragment jej delikatnej twarzy. Siedziała wyprostowana, z rękami na kolanach. Słuchała. Bez emocji, spokojna, zachowywała się, jakby słuchała wykładu.

Usłyszałem za sobą szelest. Odwróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Harrison wychodzi z krzaków na skraju dżungli. Rękawy czarnego, wełnianego dresu miał pokryte rosą. Idąc, patrzył na ekran swojego telefonu. Odchrząknąłem, żeby na mnie nie wpadł po drodze do drzwi.

– No proszę. – Zatrzymał się, jego buty zachrzęściły na czarnych rzecznych kamieniach. – Co ty tutaj robisz?

Głęboko nabrałem powietrza. Spojrzałem na jego matkę siedzącą w środku.

– Miejscowi policjanci mają spotkanie ze Stellą – wydusiłem z siebie. – Amanda i ja. My... my też przyszliśmy, ale ona jest w środku i zajmuje się sprawą. Ja zostałem odcięty.

– W jakiej sprawie przyszli? – zapytał. Znów przygryzał wargę, patrząc mi w oczy. Gdzieś się podział ten zarozumiały dzieciak chełpiący się przy ognisku makabryczną śmiercią ojca. Cała postawa chłopca jakby zmiękła. Nie chciałem być tym, który mu powie, że jego ojciec nie żyje. Temu małemu dupkowi, którego pierwszego dnia spotkałem na piętrze, powiedziałbym. Tamten dzieciak dałby sobie z tym radę. Ale ten nagle zaczął wyglądać tak, jakby zaraz miał się załamać.

Okazuje się, że nie musiałem mu mówić. Tak jak matka, wyczytał to ze mnie, wyrwał mi to z rąk. Spojrzał w dół i ścisnął telefon, ale mały, mechaniczny przyjaciel, którego wszędzie ze sobą nosił, jakoś nie mógł mu teraz przynieść pociechy.

– Myślałem, że po prostu z kimś odszedł – wymamrotał Harrison. – Ona mówiła, że po prostu uciekł.

Zanim się zorientowałem, co się dzieje, chłopak padł mi w ramiona, twarz położył mi na piersi. Nie miałem ochoty go ścisnąć, a i on nie chciał pewnie, żeby go ścisnęto, ale gdy rozpacz przeniknęła jego ciało, mocno go przytuliłem. Nic innego nie mogłem zrobić.

Spojrzałem przez okna i zobaczyłem, że Damford i Hensch obserwują mnie tuż

zza drzwi frontowych. Stukali się łokciami, robili gesty, podśmiewali się. Trzymałem chłopaka, a oni drapieżnie na mnie spoglądali.

12

Nie możesz być ateistą w więzieniu. Jeśli jesteś, sam prosisz się o kłopoty. Nawet jeśli otwarcie nie przyznajesz się do żadnej wiary, lepiej żebyś przynajmniej mówił o przestępstwie tak, jak odnoszą się do niego religie: w kategoriach dobra i zła, grzechu i kary, zbawienia i winy. Siedząc w pojedynczej celi za przemoc, często wobec kobiet albo dzieci czy starców, lepiej nie powoływać się na bezduszną naukę. Bezpieczniej obwiniać swoją zwichniętą duszę czy głos szatana w głowie niż wadliwe działanie płata czołowego. Bezpieczniej też obwiniać Boga, jeśli jesteś niewinny, niż sugerować, że pomylił się system sprawiedliwości. Strażnicy nie lubią takiej gadki. Moja matka była przeżartą poczuciem winy katoliczką, ale ja niewiele myślałem o religii, odkąd umarła. Dopiero kiedy pierwszy raz trafiłem do celi i zatrzasnęły się za mną drzwi, przyszło mi do głowy, by zwrócić się w stronę absolutu. Po pierwsze, żeby prosić o pomoc. Po drugie, żeby zapytać dlaczego. Pamiętam, jak przesuwalem dłonią po wewnętrznej stronie żelaznych drzwi, rozmyślając o tym, jak często widywałem je od zewnątrz, a jak rzadko od środka – tylko kiedy wpychałem do cel w komisariatach pijaków, chuliganów i inne męty, a potem wyciągałem ich z powrotem, nie spoglądając nawet na drzwi. Naparłem na nie teraz lekko, żeby sprawdzić, czy naprawdę jestem zamknięty, i nadzieja, że to jednak tylko żart, prysła. Słyszałem gdzieś z daleka płacz Frankie. Tej nocy leżałem na materacu i patrzyłem w szczelinę w ścianie, na pomarańczowe niebo, pojedynczą gwiazdę. Zastanawiałem się, czy usłyszę jakiś głos. Tak zwykle bywa w historiach, których słuchamy jako dzieci w kościele. Pozbawieni twarzy apostołowie, czy kogo tam akurat wtrącono do lochów, lwów czy płonącego ognia, zawsze słyszą głos, który wyjaśnia im, z czym muszą się zmierzyć. I dlaczego. I co muszą zrobić, żeby przez to przejść, jaką lekcję muszą odebrać.

Osiem miesięcy, a żaden głos nie przemówił. Słyszałem mnóstwo głosów, ale

żaden z nich nie pomógł mi przejść przez moją próbę. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko zatrzymać.

Amanda przejechała połowę drogi do baptystycznego kościoła Świętej Trójcy, nie dotykając nawet kierownicy roweru. Jechała równo ze mną, z rękami założonymi na piersi, a wiatr rozwiewał krótkie czarne włosy, które od czasu do czasu opadały jej na twarz. Niewiele rozmawialiśmy. Niemal byłem w stanie wyobrazić sobie, że siedzi obok mnie w samochodzie. Mrużyła oczy w słońcu i raz na jakiś czas wyciągała ramię, żeby chwycić się okna od strony pasażera. Nie mogłem przyspieszyć, bo nie nadążyłaby za mną. Kiedy pojawiał się za nami samochód, przesuwała się za mnie, a ja zjeżdżałem na bok, żeby mógł mnie wyminąć. Na siedzeniu pasażera leżały rozrzucone *Kroniki Jake'a Scully'ego. Morderstwo w Top End*, w brązowej papierowej torbie, wcisnąłem do schowka na rękawiczki. Kościół Jake'a był małym, zniszczonym budynkiem stojącym zaledwie kilka metrów od brzegów rzeki; żaden płot nie odgradzał spadzistego trawnika od chaszczki rosnących nad wodą. Po drugiej stronie szaroczarnego nurtu widziałem masę zieleni wyspy Admiralty; kolejną granicę broniącą dostępu do lądu. Kilkoro aborygeńskich dzieci siedziało na progu starego budynku, kreśląc patykami linie w błotnistej ziemi. Amanda zsiadła z roweru i rozprostowała nogi, a potem oparła palce stóp o oponę mojego samochodu, żeby rozciągnąć łydki.

– Więc co wiemy? – zapytałem.

– Cóż, to jest kościół Jake'a. – Amanda objęła teren szerokim gestem, jakby pokazywała nagrodę w jakimś konkursie. – Tutaj przemawiał raz w tygodniu. Gościnnie, przez kilka minut, w czasie niedzielnego wieczornego kazania. Jeździł po kościołach i księgarniach, ilekroć miała się ukazać jego nowa książka, ale raczej nie był marzeniem wydawców. Był znany z nieśmiałości, więc na ogół, żeby go zobaczyć, trzeba było przyjść do kościoła.

– Naprawdę był nieśmiały? Wiemy to na pewno?

– Powiedziałabym, że to była ściema, żeby uwiarygodnić chrześcijański charakter jego książek. Chcesz znać moje zdanie? Gdybym zabawiała się z cudzą żoną, nie czułabym się zbyt swobodnie, rozprawiając regularnie o grzechu i ogniu piekielnym, przed tłumkiem naiwnej młodzieży. To się chyba nazywa hipokryzja.

– Ale ciągle nie masz absolutnie żadnego dowodu na to, że Sam to facet,

prawda? – zapytałem. – Ani że Sam, on, albo ona, ma jakikolwiek związek z naszą sprawą?

– Nie mam. – Amanda zmrużyła jedno oko. – Ale wkrótce będę miała.

Znowu przez chwilę tylko się jej przyglądałem. Bardzo chciałem przeczytać *Morderstwo w Top End*. Co sprawiło, że tak dramatycznie zawiodła ją busola? Czy ciągle była na marginesie? Czasami, kiedy nie wiedziała, że na nią patrzę, naprawdę wyglądała na kogoś, kto ma problemy. Lekkie drżenie głowy, do którego prawie się już przyzwyczaiłem i prawie go nie zauważałem. Trochę za duże białka oczu. Wszystko w niej było właśnie takie: na granicy przesady, tak blisko obłędu, że obłęd zaczynał wydawać się czymś normalnym, na tyle konsekwentnym, że można było nie zwracać na niego uwagi. Jakoś z tym funkcjonowała. Zdaje się, że właśnie tak nazwali to psychiatrzy. Dysfunkcja funkcjonalna. Dopóki była w stanie sama się ubrać, umyć zęby, utrzymać pracę i zrobić zakupy, kto miał prawo kwestionować zdrowie psychiczne Amandy? A zagrożenie, jakie potencjalnie stanowiła? Odsiedziała swoje.

No i przecież to nie tak, że dopiero co wyszła z więzienia. Jeśli przeszła tę samą drogę co większość skazanych zabójców, przeszła też w więzieniu pełny program poprzedzający zwolnienie. Jej zwolnienie zostało zaakceptowane przez komisję i została przeniesiona do placówki przejściowej wraz z grupą innych kobiet, które dostały swoją drugą szansę. Przestrzegała godziny powrotu na noc i słuchała pogadanek byłych więźniarek na temat tego, jak przystosować się do zewnętrznego świata. Spełniła wszystkie warunki i uznano, że nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa.

Wchodząc za Amandą do kościoła, poczułem, że niemal zazdroszczę jej całej tej pomocy, jaką dostała, żeby znowu stać się częścią realnego świata. Kiedy twoja sprawa dobiega końca, zdejmują ci kajdanki i odchodzą, lekceważąco wskazując drzwi, jak znużony nauczyciel wysyłający ukarane dziecko do stołówki na obiad.

Zabieraj się stąd. I-nigdy-więcej-tego-nie-rób.

Moja sprawa została „zawieszona”, co oznaczało, że państwo mogło do niej w każdej chwili wrócić, tyle że akurat teraz nie byli w stanie mnie przyszpilić. Nie chcieli przeciągać sprawy sądowej, co mogło się skończyć uniewinnieniem gwałciciela i niedoszłego mordercy. Nie. Chcieli, żebym gotował się powoli w czyścucu, tuż nad płomieniami piekielnego ognia, beznadziejnie daleko od

świeżego ziemskiego powietrza.

Wnętrze zbitego z desek kościoła zostało niedawno pieczołowicie polakierowane i teraz ściany lśniły różowo i turkusowo tam, gdzie od wschodniej strony przez okna wpadało światło. Mały przedsionek był pełen zdjęć w tandetnych ramkach. Na stoliku leżały egzemplarze jednokartkowej gazetki i broszury na temat prowadzonego tu doradztwa. Amanda obejrzała szybko zdjęcia, wspinając się na palce, żeby spojrzeć na te wiszące wyżej. Ja podszedłem do korkowej tablicy, żeby przeczytać nekrologi i ogłoszenia: „Teresa Miller, ukochana żona i matka”. W kaplicy za ołtarzem stał mężczyzna z wysokim czołem, kołysząc się jak modliszka. Usiedliśmy w ławce na tyłach sali.

– W tym problem – mówił mężczyzna. – Mateusz rzekł im: „Przyjaciele, zboże obrodziło. Ale żeńców jest niewiele! Módlcie się zatem szczerze, przyjaciele, do Pana żniw. Módlcie się do Pana żniw i pošlijcie żeńców na jego żniwa”.

– Alleluja! – uśmiechnąłem się sarkastycznie do Amandy.

– Nie, nie, chcemy zachować nasze alleluja. – Rozejrzała się ostrożnie dookoła, nachyliła do mnie i szepnęła. – Zachować na właściwy moment.

– Tylko żartowałem.

Uciszyła mnie.

– Co to oznacza? – zapytał ksiądz. – Powiem wam, co to oznacza. To oznacza, że tych, którzy są chętni, pełni radości i dumy z bożej miłości, brakuje na tym świecie. Zbyt niewiele chce wziąć udział w żniwach – w dobrej miłości – naszego Pana. To wymaga pracy, ciężkiej pracy, bracia i siostry, by dostąpić miłości Boga. Wiecie co? Łatwiej jest być grzesznikiem. Bo czyż nie jest to łatwe? O tak, być grzesznikiem jest łatwo.

Rozejrzałem się dookoła, po zgromadzonym tłumie. Przedemną kiwały się głowy, łyse, usiane piegami głowy starszych mężczyzn i ogolone modnie głowy młodych. Głowy Aborygenów porośnięte dzikimi, nieokiełznanymi lokami. Ramiona obejmowały dziewczyny albo żony ponad oparciami lśniących ławek. Z przodu grupka dzieci, zbyt małych, by pojąć znaczenie kazania, kuciała albo leżała na podłodze, kolorując obrazki. Siedziały u stóp kaznodziei, który stał przed wielkim kolorowym malowidłem na szkle, przedstawiającym scenę ukrzyżowania. Twarz Chrystusa, uniesiona do góry, miała wykrzywione w grymasie agonii usta. Czuję się coraz bardziej nieswojo, zaczęły mnie swędzieć ramiona i szyja. Czas

mijał. Siedziałem i pociełem się.

– Ale dlaczego ludzie nie przychodzą na żniwa? – spytał kaznodzieja. – Dlaczego nie pracują dla bożej miłości? Bo lubią wymyślać wymówki. Jedni mówią, że grzeszą z powodu swojego pochodzenia: „Tak zostałem wychowany! Niczego lepszego nie znam! Muszę kraść, oszukiwać i ulegać podszeptom szatana, bo tak nakazała mi matka”. Inni obwiniają społeczeństwo. „Och”, powiadają, „muszę odwrócić się od Chrystusa, bo dobrzy chrześcijanie wyszli z mody. To by się nie spodobało moim kolegom”. Homoseksualiści, oni twierdzą, że mają to we krwi. „Taki się urodziłem”, mówią. „Mam to w genach, to moja krew, moje neurony, każą mi sprzeniewierzyć się woli Pana i kłaść się mężczyzna z mężczyzną, kobieta z kobietą. Dlatego nie mogę przybyć na Pańskie żniwa”.

– Alleluja! – Amanda zerwała się na równe nogi, wyrzucając w powietrze zaciśniętą pięść. Poczułem, że na policzki wypływa mi rumieniec zażenowania. Ludzie odwrócili głowy w naszą stronę.

– Chwała Panu!

– Amando – wyszeptalem, pociągając ją w dół. – Siadaj!

Nie rozumiałem, co chciała osiągnąć swoim wybuchem, dopóki nie spojrzałem na księdza, który tylko na ułamek sekundy przerwał swoją gadkę, a na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech. Spojrzał na Amandę i wskazał ją palcem, powiewając przy tym swoim długim rękawem.

– Tak, siostró, masz rację. Homoseksualiści, to ci, którzy mają najwięcej wymówek. Mówią nam, że ich ohydne popędy istnieją nawet w najmniejszym, nowo narodzonego dziecięciu bożym, leżącym w ramionach matki...

– Teraz czekamy. – Amanda uśmiechnęła się. Księdza jakby dźgnięto ostrogą. Rozkręcał się i coraz bardziej oddalał od pierwotnego tematu kazania, rozwijając mroczny wątek homoseksualistów jako najniebezpieczniejszego typu spośród ludzi unikających pracy przy Pańskich żniwach. Ludzi wokół nas też zainspirował gest Amandy. Jakby wszyscy nagle przypomnieli sobie właśnie, że wznoszenie stadnych okrzyków to wspaniała rozrywka.

– Mężczyzna kładzie się z mężczyzną jak z kobietą. – Kaznodzieja zawiesił głos dla zwiększenia efektu, z obrzydzeniem wykrzywiając twarz. – Czyż istnieje większa obraza boskiego planu?

Moją uwagę zwrócił ruch w tylnej ławce. Młody mężczyzna przesuwiał się nią,

w pośpiechu strącając po drodze kilka modlitewników. Wychodząc z kościoła, wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

Mam cię, pomyślałem.

Małe dziewczynki na schodkach dostały teraz własne książeczki do kolorowania; patyki i błoto już ich nie interesowały. Drzwi zamknęły się same za moimi plecami. Mężczyzna, który wyszedł z ławki na tyłach, miał najwyżej dwadzieścia lat. Jego czerwony T-shirt był wilgotny od potu pod pachami, pot wsiąkał też w brzeg koszulki w miejscu, gdzie stykała się z dżinsami. Spojrzałem na góry i poczułem, że znowu mogę oddychać.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakim patrzy nastolatek przyłapany na oglądaniu filmu porno na szkolnym komputerze. Poruszyłem ustami w niezobowiązującym powitaniu i popatrzyłem na rysunki zrobione w błocie patykami. Kiedy znowu podniosłem wzrok, młody człowiek potrząsał w moją stronę paczką papierosów.

– Dzięki. – Wziąłem jednego, podszedłem bliżej i pozwoliłem, żeby mi go zapalił.

– Drobiazg.

– Jezu. Jak zaczynają te gadki o zniwach... – uśmiechnąłem się pod nosem.

– Taa... – uśmiechnął się nieśmiało. – Mateusz doprowadza mnie do szału. W kółko to samo. Mateusz i listy do Koryntian. Czasami chciałbym, żeby ktoś skrócił moje męki.

Zaśmiałem się. Osiem miesięcy w pudle, a nie straciłem swojego policyjnego oka. Kiedy tylko spojrzałem na tego chłopaka, od razu wiedziałem, że sercem nie był przy tym kazaniu. Wiedziałem, że patrzę na kłamcę. Zawsze umiałem zauważyć kłamcę, jeszcze zanim wszedł na przesłuchanie. Przed moim aresztowaniem powiedziałbym, że wiem, kiedy coś jest nie tak ze świadkiem albo podejrzanym. Wiedziałem, że z tym dzieciakiem jest coś nie tak, jeszcze zanim wyszedł z kościoła ze spuszczoną głową.

– Nie widziałem cię tu wcześniej – powiedział.

– Nie. Nie jestem stąd. Ted. – Wyciągnąłem do niego rękę.

– Ray.

Przez chwilę razem patrzyliśmy na rzekę płynącą między polami trzciny. Zza drzwi dobiegał nas stłumiony głos księdza.

– Ładny kościół. – Odwróciłem się i wskazałem głową dach i małą wieżyczkę wznoszącą się do chmur. Nie kłamałem. Kościół był ładny.

– Taa... Później, po kazaniu, częstują ciastem. – Ray spojrział mi w oczy, chyba po raz pierwszy. – To dobre ciasto.

– Słyszałem już o nim – odparłem.

– Naprawdę?

– Nie.

– Och. – Ray uśmiechnął się i w jego policzkach ukazały się dwa dołeczki, po dwóch stronach szerokich ust. I białych zębów.

Ja też się uśmiechnąłem.

– Przyszedłem, bo słyszałem, że przemawia tu ten pisarz. Ten od *Kronik*. Miałem nadzieję, że go tu spotkam. Lubię jego książki.

– Aha. – Z twarzy Raya znikł uśmiech. Odsunął z twarzy pasmo czarnych, kręconych włosów. – Nie. Jake zaginał. Pisali o tym w gazetach. Już dawno temu. Po prostu jednej nocy znikł.

– Znikł? To znaczy, że co, uciekł czy...?

– Nie wiedzą.

– Rany – mruknąłem.

– Taa...

– Cholera. Cholera. Naprawdę? Więc co się mogło stać?

– Człowieku, nie mam pojęcia. – Ray nachylił się do mnie. – W gazetach pisali, że wyszedł wieczorem i już nie wrócił. To było kilka tygodni temu. W wiadomościach już się tym nie zajmują. Policja chyba doszła do ściany. Tak mi się wydaje. Szukałem jakichś nowych informacji, ale nic nie było.

– Cóż, cholera. – Wypuściłem powietrze, wydmuchując dym przez ramię. – Nie przypuszczam, żebyś coś wiedział. Znał jakieś jego... tajemnice, masz jakieś informacje? Zrozum, przychodzisz tutaj. – Wskazałem kościół. – Więc go znałeś, prawda?

Ray patrzył na mnie przez chwilę. Potem cofnął się o krok.

Nigdy nie byłem dobrym aktorem.

– Powiedziałem policji wszystko, co wiem – odparł. Teraz jego twarz była jak z drewna. Żadnych dołeczków.

– Ja nie jestem z policji.

– Ale kimś jesteś.

– Tak, kimś jestem – przyznałem. W plecy uderzyły mnie nagle drzwi kościoła. Amanda wcisnęła się obok mnie, roztrącając siedzące na schodach dziewczynki.

– Och, Jezuniu! – jęknęła. – List do Koryntian!

Ray przydeptał niedopałek papierosa i wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu. Chciał się odwrócić i odejść, ale złapałem go za ramię.

– Nie tak szybko.

– Nie dotykaj mnie – rzucił ostro Ray. Strach. Słowa wypadły z jego ust, zanim zdążył je zatrzymać. – Nie dotykaj mnie, do diabła.

– Nie jestem z policji – powiedziałem. – Ona też nie. Pracujemy dla żony Jake’a. Mamy tylko kilka pytań o...

– On był gejem, prawda? – powiedziała Amanda. Zmarszczyłem brwi. Ray tego nie zrobił.

– Nawet go nie znałem!

– Znałeś – stwierdziła Amanda. – Tu za drzwiami jest twoje zdjęcie. Stoisz koło Jake’a. Na mszy w Boże Narodzenie 2013 roku. Może wejdziemy, żeby je obejrzeć?

– Nie. – Ray wyszarpnął swoją rękę z mojej dłoni. – Lepiej nie.

– Na zdjęciu masz egzemplarz jego trzeciej książki. Podpisał ci ją?

– Czego chcecie? – spytał Ray. Nad górami zaśniła błyskawica. Chłopak zabręczał kluczykami.

– Tylko odpowiedzi na kilka szybkich pytań – odparła Amanda.

– Lepiej, żeby były naprawdę szybkie. – Ray obrzucił mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. – Bo spadam stąd.

– W porządku. – Amanda podciągnęła rękawy, jak magik szykujący się do sztuczki. Uderzyła mnie w pierś wierzchem dłoni. – Patrz, Teddy. Tak się to robi w Lidze Mistrzów.

Obleciał mnie prawdziwy strach.

– Jake – powiedziała Amanda, zwracając oczy na Raya – czy był wierny swojej żonie?

– Nie – zaprzeczył Ray.

– Więc był niewierny?

– Tak.

- Z chłopakami?
- Tak.
- Z tobą?
- Tak.
- Niedawno?
- Nie.
- Czy ktoś spoza kościoła o tym wie?
- Nie.
- Czy miał kogoś na poważnie?
- Tak.
- Niedawno?
- Tak.
- Faceta imieniem Sam?
- Tak. – Ray spojrzał na mnie, ale nie znalazł w mojej twarzy pocieszenia.

Byłem tak samo zaskoczony techniką Amandy jak on.

- Poznał Sama w kościele?
- Tak.
- Znasz nazwisko Sama?
- Nie.

– No dobrze. – Amanda założyła ręce na piersi, zadowolona. Jej głowa drgnęła dwa razy, ale uśmiech ani na moment nie zniknął z twarzy. – A więc o to chodziło. Możesz iść.

Ray zacisnął palce na kluczykach i odwrócił się na pięcie. Obrzucił mnie jeszcze spojrzeniem z góry na dół, a potem odszedł. Dziewczynki na schodach porzuciły kolorowanki, kiedy Amanda zaczęła swoje przedstawienie; nie miały pojęcia o co chodzi, ale błyskawicznie zaimprovizowane przesłuchanie przed kościołem wyraźnie zrobiło na nich wrażenie. Chciałem, żeby Ray wsiadł już do samochodu.

– Jesteś nieprawdopodobna – powiedziałem do Amandy.

– Co?

– Właśnie spaliłaś tego świadka. Teraz już nam więcej nie pomoże.

– A co ty byś zrobił?

– Próbowałem udawać wielbiciela książek Jake’a – westchnąłem. – Nie jestem zbyt dobrym aktorem.

– Tak mi się wydawało.
– Dobrze udaję narkomana. Udawałem narkomana na głodzie, który szuka dilera. Jak jeszcze byłem w policji.
– Chciałabym to zobaczyć. Zrób to. – Trąciła mnie łokciem.
– Mowy nie ma.
– No, dalej!
– Nie.
– Słuchaj, nie potrzebujemy go już. – Wskazała samochód Raya, który właśnie ruszał. – Teraz musimy odszukać Sama, sprawdzić, co wie o zaginięciu Jake’a. Dowiemy się wszystkiego, Ted.

Amanda zatrzymała się na środku ścieżki.

– Ted. Sam. Ray. Trzej mężczyźni. Trzy imiona z trzech liter. Sporo tu trójkątów. – Spojrzała w niebo, jakby oczekiwała, że znajdzie tam jakieś potwierdzenie.

– Przestań świrować. Powiedz, czemu Sam miałby wiedzieć więcej o tym, gdzie jest Jake, niż Ray.

– Bo Sam był długoterminowym partnerem Jake’a, nie przelotnym romanssem. – Ruszyłem za Amandą do swojego samochodu. – Jake trzymał numer do Sama w pudełku na cygara w salonie. Ukryty strzęp dowodu na istnienie jego drugiego życia, z którym nie zamierzał skończyć. Gdyby Ray był dla Jake’a kimś więcej, zostałby z nami dłużej i powiedział wszystko, co by wiedział. Chciałby nam pomóc.

Nie byłem pewny, czy w to wierzę. Nie podobał mi się jej styl. Byłem przyzwyczajony do partnerów, którzy omawiali ze mną wszystkie strategie, zanim zabraliśmy się do świadka. Ustalali, co powiemy, a czego nie, co zostawimy sobie na później. Nawet kiedy już odszedłem z wydziału zabójstw i trafiłem do pudła, nigdy nie powiedziałem niczego, jeśli nie uzgodniłem tego z Seanem. Jeśli nie sprawdziliśmy, jakie szkody może to wyrządzić.

Ale Amanda miała rację co do Sama. Miała absolutną rację co do orientacji Jake’a, jego niewierności; domyśliła się tego wszystkiego na podstawie kawałka papieru, który wygrzebała z pudełka na cygara. Stałem na krawędzi drogi, z kluczykami w ręce, i patrzyłem na trawę. Ocknąłem się, kiedy zauważyłem, że Amanda zatacza wokół mnie coraz ciasniejsze kręgi na swoim rowerze.

– Obudź się, Ted – powiedziała. – Musimy trochę pospieszyć.

13

Deszcz był za mocny dla tych małych gąsek. Ciągłe były tak małe, że duże krople uderzały w ich główki jak miniaturowe pięści i wpychały je pod wodę. Wszystkie były takie kruche, co do jednej. Łatwo było je zmęczyć. Łatwo było im ufać. Więc tego wieczoru nalałem do wanny jakieś piętnaście – dwadzieścia centymetrów wody i włożyłem je tam wszystkie, żeby mogły trochę popływać, zająć się czymś sensownym. Kobieta chyba nie miała nic przeciw temu, że zbieram je do T-shirta. Podeszła trochę chwiejnie do drzwi łazienki i patrzyła na nas przez chwilę. Gąsięta pływały dookoła wanny, a ja siedziałem na klapie sedesu i czytałem pierwszą powieść Jake’a Scully’ego. Ptaki najpierw zanurkowały parę razy i zatrzepotały skrzydłami, podekscytowane, unosząc się ponad powierzchnię wody. Potem uspokoiły się i niemal o nich zapomniałem. Kiedy podniosłem głowę, Kobiety już nie było w drzwiach.

Małe gąski pływały tam i z powrotem, zataczając kręgi swoimi czarno-szarymi łapkami. Od czasu do czasu zanurzały w wodzie głowy i stroszyły pióra albo sięgały dziobami pod skrzydełka. Wyciągnąłem rękę, zrobiłem kilka fal i ochlapałem je trochę, co im się chyba spodobało. Jedno z gąsiąt zanurzyło się tak, że jego żółty kuperek sterczał nad wodą, a mokre łapy machały w górze. Uśmiechnąłem się i sięgnąłem po telefon, żeby zrobić zdjęcie, gdyby zrobiło coś takiego po raz drugi.

Ale komu miałbym pokazać takie zdjęcie? Uderzyłem się lekko telefonem po kolanie, a potem odłożyłem go na bok.

Jake był dobrym pisarzem, wiedziałem o tym, bo w więzieniu czytałem mnóstwo chłamu. Więzienne książki mają skomplikowane życie. Są drukowane w nakładzie, który ma się sprzedać, a kiedy trafiają do księgarń i jednak się nie sprzedają, księgarze muszą zdecydować, co z nimi zrobić. Przeceniają je. Przesuwają

z miejsca na miejsce i opatrują naklejkami. Potem, jeśli mimo wszystko nie są w stanie nakłonić ludzi do ich kupowania, odsyłają je do wydawców. Wydawcy czasami odsyłają je do magazynów z tanimi książkami, w których na okładkach lądują kolejne naklejki – fluorescencyjne naklejki, na których wydrukowana cena jest przekreślona flamastrem. Jeśli nawet tam się nie sprzedadzą, trafiają, już za darmo, w różne miejsca.

Do czasu, kiedy bierze je do rąk przeciętny więzień, zostały już kilkadziesiąt razy przeczytane przez towarzyszków jego niedoli. Wszystkie naklejki zdążyły odpaść, ale został po nich klej, czarny od brudu i urozmaicony zwykle kilkoma zabłąkanymi włosami. Czasami, ponieważ klejąca się książka weszła na półce w kontakt z inną klejącą się książką, połowa okładki została oderwana, przez co tytuł i autor pozostają dla potencjalnego czytelnika tajemnicą. Kartki, na których opisano cokolwiek, co miało choćby najlżejszy związek z seksem, zostały wyrwane, wiadomo w jakim celu. Czasami znikają też inne fragmenty – dokładne opisy dzieci albo morderstw. Na tych okładkach, które się zachowały, dorysowano zwykle wielkie, żylaste penisy, wyłaniające się dumnie z nieprawdopodobnie skłębionych włosów.

Ale i tak czytasz te lepkie książki, bez tytułów, opatrzone członkami. Bo musisz.

Książki Jake’a dostawały ode mnie parę punktów, jeszcze zanim zdążyłem się w nie wgłębić. Przesuwałem palcami po białych stronach i wypukłych okładkach. Okładki były fantastyczne. Płonące miasto, para smaganych wiatrem nastolatków na stromym klifie, wpatrzonych w pustkę. Szybko mnie to wciągnęło. W porze kolacji zrobiłem sobie przerwę, osuszyłem gąsięta ręcznikiem i wysłałem je z matką z powrotem na ganek. Kiedy zapadł wieczór, wyciągnąłem się na kanapie na ganku i zacząłem drugą książkę, *Szept*. Gąsięta wróciły do swojego małego domku, a ja zasłoniłem ręcznikiem wejście do ich małego, ciepłego gniazda. Kobieta została ze mną na ganku; blisko, ale tak, że nie mogłem jej dosięgnąć, i z irytującym uporem wpatrywała się w zachodzące między chmurami słońce.

Z każdym kolejnym słowem miałem wrażenie, że bardziej zbliżam się do Jake’a. Jego postacie były w takim samym niebezpieczeństwie jak człowiek, którego mordercę usiłowałem schwytać. Duch Jake’a pisał wprost do mnie, z miejsca, w którym teraz znajdowała się jego dusza:

Wędruję w mroku, długo, sam nie wiem, ile godzin. Od czasu do czasu na

horyzoncie błyska światło, strzelając kolorami zła, żółtymi i krwistoczerwonymi płomieniami. Ryczący ogień pochłania spokojne niegdyś przedmieścia. Ruszam w kierunku płomieni. Chwieję się, przez moje ciało przetaczają się fale adrenaliny, przez głowę budzące grozę wspomnienia. Mój dom. Moja rodzina. Godziny łagodnych nocy, przesypianych kiedyś spokojnie, i jasne poranki, kiedy budziliśmy się, nie wiedząc, jaki koszmar stanie się wkrótce udziałem naszego sanktuarium. Spędzaliśmy życie na obżarstwie. Teraz tym tłuszczem szczęścia, uzbieranym w latach bezpieczeństwa i pewności, karmi się ogień, z którego powstaje nowy świat. Rozbity świat. Przy każdym kroku pod moimi stopami chrzęści szkło z powalonych wież. To jest piekło.

Zapadłem w głęboki sen, pełen poszeptów z mojego procesu; moje wargi poruszały się w odpowiedziach na pytania; budził mnie własny głos, przebijający się przez warstwy snu.

– *Czy czytuje pan powieści dla młodzieży, panie Conkaffey?*

– *Kiedyś czytywałem.*

– *Czy ma pan jakieś?*

– *Sprzeciw. To nie ma związku ze sprawą.*

– *Oddalony.*

– *Mam kilka. Tak. Mam jedną o wojnie. Z serii Nazajutrz.*

– *Jeszcze jakieś?*

– *Hm... tak. Mam Zmierzch. Pierwszą część.*

– *Czy ktoś panu dał te książki, panie Conkaffey?*

– *Nie.*

– *Kupił je pan?*

– *Tak. Kupiłem je.*

– *Czy może nam pan powiedzieć, dlaczego kupił te książki, panie Conkaffey? Te powieści dla nastolatków?*

– *Podobały mi się? To znaczy, to, co o nich słyszałem. Że są dobre.*

– *Więc podobały się panu, tak pan powiedział?*

– *Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pan Conkaffey odpowiedział już na to pytanie.*

– *Dlaczego tak bardzo podobały się panu te książki, panie Conkaffey?*

– *Cóż, Zmierzch za bardzo mi się nie podobał.*

– *Słucham?*

– Powiedziałem, że Zmierzch...

– Bohaterkami obu tych książek są nastoletnie dziewczyny, prawda?

– Właściwie... hm, no tak.

– Seria Nazajutrz. Zmierzch. Małe kobietki. Gry z głodem. Rozbieżność. Moje życie. Ma pan wszystkie książki, które właśnie wymieniłem, prawda, panie Conkaffey? Wszystkie są o nastoletnich dziewczynach, czyż nie?

Obudziło mnie wycie syren. A w każdym razie dźwięk, który wziąłem za wycie syren. Kobieta stała tuż obok mnie, ale dziwnie wykręcona, z głową opuszczoną nisko, tuż nad ziemią i zdrowym skrzydłem uniesionym do góry. Wydawała wysokie, zawodzące odgłosy, które przechodziły po chwili w niski charkot. Otrząsnąłem się ze snu i przeczesałem włosy palcami.

– Jezu! Co z tobą?

Kobieta pokazała mi swój jasnoszary język i przestąpiła z nogi na nogę. Potem wyprostowała się i wpatrzyła we mnie wyczekująco. Na całym ciele wystąpiła mi ze strachu gęsia skórka. Wstałem i podszedłem do ptaka.

– Co?

Nic. Ptak patrzył na mnie. Podniosłem ręcznik z kartonowego pudła i spojrzałem na gąsięta. Spały zbite w puchatą kupkę.

– Dziwaczysz – powiedziałem do Kobiety i wszedłem do domu.

Ale już po chwili zawodzenia i charkoty odezwały się ponownie. Słyszałem, jak zdrowe skrzydło uderza w tylne drzwi kuchni. Przez okna nad kanapą wyjrzałem na ganek, ale niczego nie zobaczyłem. Ptak nie spuszczał ze mnie oka, wyraźnie oczekując, że coś zrobię. Wziąłem prysznic i ubrałem się, i po szóstej serii wrzasków wyszedłem na zewnątrz naprawdę wkurzony i wygoniłem gęś z kąta ganku, w którym stała, wściekle machając skrzydłem.

– Co jest z tobą nie... och – do – cholery!

Z szeroko otwartymi ustami wlepiłem oczy w pytona na belce dachowej, a potem przesunąłem wzrokiem wzdłuż jego grubego, niemal czarnego cielska, aż do słupa, wokół którego było częściowo owinięte. Wąż był zupełnie nieruchomy. Cofnąłem się i wlałem na gęś, która zatrzepotała skrzydłem. Głowa pytona leżała płasko na belce. Mógł spać, ale jedno białe oko wpatrywało się we mnie niewidzącym spojrzeniem. Piętnaście centymetrów za głową smukłe ciało rozszerzało się w prawie kuliste wybrzuszenie.

– O Boże – powiedziałem. Spojrzałem na Kobietę. – O Boże, nie. Nie, nie nie, nie!

Ręce mi się trzęsły, kiedy sięgnąłem do pudła. Odrzuciłem ręcznik, co wystraszyło gąsięta – wstały wszystkie naraz, jak zaalarmowani żołnierze. Trącałem je palcem, mocno, po kolei, kiedy je liczyłem. Nie panowałem nad własnymi rękami.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Przełknąłem. Wziąłem głęboki oddech i rozdzieliłem pisklaki na dwie grupy.

Jeden, dwa, trzy. Cztery, pięć, sześć.

Były wszystkie.

Opadłem na bok i powoli uspokoiłem oddech, patrząc, jak Kobieta obchodzi ganek, wydając różne gęsie odgłosy. Sean miał rację. Była świetną gęsią stróżującą. Słyszałem jej alarmujące krzyki z drugiej strony domu. Miałem szczęście, że nie dawała za wygraną, choć nie zwracałem na nią uwagi, bo inaczej po powrocie do domu mógłbym zastać pytona jeszcze grubszego.

Nie jestem człowiekiem, który często się uśmiecha, a do swoich osiągnięć uśmiecham się jeszcze rzadziej. Ale miałem na twarzy szeroki uśmiech, kiedy wyszedłem z domu na spieczoną słońcem drogę, taszcząc dwumetrowego pytona, którego schwytałem gołymi rękami. Pod czujnym okiem Kobiety skonstruowałem chwytak z kuchennych przyborów – coś w rodzaju samozaciskowej pętli ze sznurka przeciągniętego przez otwór w kiju od szczotki. Usidliłem węża i ściągnąłem jego ociężałe, spowolniałe cielsko z belki na ganek. Tam zaczął się trochę skręcać i wić, przy czym wybrzuszenie przesunęło się lekko, ale zanim zdążył wyrzygać swoją ofiarę, by ratować się ucieczką, chwyciłem jego głowę. Drugą ręką złapałem go wpół – był grubości mojego ramienia, czułem mięśnie poruszające się pod skórą – i podniosłem. Gęś przyglądała mi się, jak żona, na której wyczyn męża zrobił wrażenie, kiedy wynosiłem intruza spod domu.

Wiem, jak szeroko się uśmiechałem, wychodząc na drogę, bo uśmiech znikł mi z twarzy, kiedy tylko zobaczyłem dziennikarkę. Zamykała właśnie drzwi samochodu. Wąż opróżnił jelita, jakby chciał wyrazić moje uczucia, obryzgując mi przedramię i dłoń żółtozielonkawą mazią. Stałem tam, patrząc na gównno pytona ściekające mi z łokcia. Ciepłe ciało węża powoli oplatało mój biceps.

Fabiana zatrzymała się przede mną. Spojrzała na pytona, potem na mnie. A potem, jakbyśmy obaj nie zrobili na niej żadnego wrażenia, zwróciła swoje duże, ciemne oczy na dom.

Ktoś ochlapał front budynku jaskrawoczerwoną farbą – drzwi, zamknięte okiennice, stare czerwone cegły. Wyglądało to imponująco – dramatyczny, świetnie dobrany kolor, bezbłędnie kojarzący się z surowym mięsem i śmiercią. Farba spływała w dół, pokrywając dolną część ściany cienkimi, lśniącymi strużkami, które przywodziły na myśl pręty krat jakiegoś ognistego więzienia. Moja wiara w Kobietę – gęś stróżującą – gwałtownie spadła.

– Odnawiasz fasadę? – spytała Fabiana.

– Tak – odparłem. – Chciałem ją trochę ożywić.

Od razu zanurzyła rękę w torbie. Odwróciłem się w ostatniej chwili, by zrujnować fantastyczne ujęcie Teda Conkaffeya przed swoją zbrukaną krwią rudera, z wielkim, prawdopodobnie jadowitym wężem wijącym się w jego drapieźnym uścisku. Udało jej się uchwycić moje ramię i fragment profilu.

– Przestań! – warknąłem. Próbowwała zrobić jeszcze jedno zdjęcie, ale wykręciłem się mocniej. – Nie wyraziłem zgody na to, żebyś mnie fotografowała. Jesteś na mojej ziemi. Nie zgadzam się.

– Nie jestem na twojej ziemi. Ta ziemia należy do miasta. – Wskazała swoje buty, zanurzone w zeschniętej trawie po drugiej stronie furtki.

– Za chwilę staniesz na tym kawalku miejskiej zieleni z wężem, jeśli nie będziesz ostrożna. – Podniosłem węża tak, jakbym chciał go rzucić. – Wydaje mi się, że to czarny wąż czerwonobrzuchy.

Oczywiście nie był to wąż czerwonobrzuchy. Był to bardzo ciemny pyton dywanowy. Ale Fabiana i tak cofnęła się na bitą drogę, na wypadek gdybym znalazł jakiś rzadki podgatunek węża czerwonobrzuchego, o którym ona dotąd nie słyszała.

– Schowaj aparat, to nie rzucę węża.

Wsadziła aparat do torebki.

– Ted, możemy po prostu porozmawiać?

– Nie. – Ruszyłem przed siebie. Miałem zamiar pójść z wężem drogą i zostawić go na tyle daleko od domu, żeby nie trafił tam z powrotem. Ale na widok Fabiany nabrałem ochoty, żeby skorzystać z samochodu. Spojrzałem na swoje odbicie w bocznej szybie. Śmieszne, pogromca węży z Crimson Lake, któremu się wydaje,

że może po prostu posadzić pytona na siedzeniu, przypiąć pasem i wyruszyć w drogę. Odwróciłem się w stronę miasteczka. Jeśli Fabiana pójdzie za mną, w porządku. Nic nie mogłem zrobić.

– Chcę tylko pogadać. Nie nagrywam.

– Gówno prawda.

– Co tu robisz, Ted? – Fabiana szła obok mnie szybko, nie odrywając oczu od drogi. Obcasami miażdżyła drobne kamyczki zmieszane z ziemią.

– Nic nie robię.

– Moi informatorzy potwierdzili, że pracujesz z Amandą Pharrell. Musisz wiedzieć, że Amanda jest skazaną morderczynią. Co z nią robisz? Coś cię z nią łączy?

– Czy tego was teraz uczą na wydziale dziennikarstwa, Fabiano? Jak znaleźć coś, co nie jest sprawą dla reportera?

Potknęła się. Byłem zadowolony, że z rękami pełnymi gada, nie byłbym w stanie jej podtrzymać, gdyby upadła.

– Och, ty na pewno jesteś sprawą dla reportera, skarbie – powiedziała, kiedy już odzyskała równowagę. – Ludzie chcą wiedzieć, co zamierzasz. Czy nie zagrażasz ich miastu.

– Nikomu nie zagrażam – powiedziałem. To miasto, inne miasto. Nigdy nikomu nie zagrażałem. To jest właśnie cel procesu – ustalić, czy ktoś stanowi zagrożenie czy też jest zwykłym gościem, który nikomu nie zagraża.

– Ale...

– Oskarżenie zostało wycofane, Fabiano. Czytujesz czasem gazety?

– Tak.

– Więc w tej chwili leżysz za całkowicie niewinnym facetem poboczem drogi, która donikąd nie prowadzi, żeby sprawdzić, co zamierza – powiedziałem. – A odpowiedź brzmi: nic. Chcesz mieć dobry temat, Fabiano? Niosę węża. Taki mam właśnie zamiar. „*Ted Conkaffey, niewinny facet, niesie węża*”. Fantastyczny nagłówek, skarbie. Dziennikarstwo w wielkim stylu.

– Jesteś zdenerwowany.

– Nie, nie jestem.

– Oboje wiemy, że nie jesteś niewinny. Cała Australia o tym wie.

Zatrzymałem się. Moje zniecierpliwione westchnienie wyszło mniej agresywne,

niż zamierzałem. Pobrzmiwał w nim raczej smutek. Nie chciało przejść przez ściśnięte gardło. Wbiłem w Fabianę gniewny wzrok, usiłując połatać jakoś swoją męskość.

– Mylisz się – powiedziałem.

Dziennikarka stała na swoich śmiesznych obcasach i patrzyła na mnie. Kiedy byłem młodszy i miałem w sobie więcej optymizmu, pomyślałbym może, że jej zatroskany wzrok skrywa mroczniejsze powoli myśli. Że może coś w tych dwóch słowach, w tym, jak je wypowiedziałem, coś w moich oczach załomotało do zatrzaśniętych drzwi w jej głowie. Odebrało jej pewność. Ale szybko się otrząsnąłem. Dziennikarze nigdy nie tracą pewności.

Odszedłem. Dogoniła mnie.

– Chętnie dałabym się ponieść tej dramatycznej historii, ale obawiam się, że jestem na to zbyt doświadczona. – Pociągnęła nosem, unosząc podbródek. – Zajmuję się faktami, nie historyjkami.

– Jestem pod wrażeniem. Naprawdę.

– Czytam twoje zeznania sądowe, Ted.

– Wszystkie? – spytałem.

– Tak, wszystkie.

– To robi wrażenie.

– Miły facet, który został niesłusznie oskarżony, to niezwykle romantyczny koncept, ale mnie interesują fakty, nie fikcja.

– Ach tak.

– Świadkowie – ciągnęła. Z trudem dotrzymywała mi kroku. – Nie możesz zakwestionować świadków. Byli czyści. Ich zeznania były spójne.

– Nie kwestionuję świadków – powiedziałem.

– Wynik przeszukania twojego mieszkania? Dodatkowe materiały?

– Masz na myśli pornografię i moje książki?

– Tak.

– Co z nimi?

– Mówią o twojej osobowości – powiedziała. Nie odpowiedziałem. Mówiła dalej, wyliczała coś na swoich smukłych palcach, kiedy dochodziliśmy drogą do lasu. Ładnie tu pachniało. Ziemią. Przejścia dla oposów, rury z siatki, przecinały niebo nad nami, zapewniając bezpieczeństwo zwierzętom przemierzającym się

między drzewami. Chciałem je zobaczyć, ale było chyba jeszcze za wcześnie. Byliśmy teraz jakiś kilometr od domu. Obejrzałem się przez ramię, sprawdzałem, czy widać go między drzewami. Czy odszedłem dość daleko, żeby zostawić węża? Jak dobrze węże orientują się w przestrzeni? Wiedziałem, że chłonę szczegóły tego miejsca, żeby zdystansować się od słów Fabiany, która rzucała cytatami z moich zeznań, z wypowiedzi oskarżyciela. W więzieniu często tak odpływałem, kiedy inni osadzeni zaczynali zwierzać mi się ze swoich zbrodni. Odpływałem lekko w głąb własnego umysłu, uciekałem od napięcia, od upiornych szczegółów mojego osobistego koszmaru. Psychologowie na pewno mają na to nazwę. Dziennikarze napisali, że wyglądałem na „znudzonego”.

Zatrzymałem się, Fabiana też się zatrzymała i patrzyła, jak przykucnąłem i położyłem węża na ziemi. Przytrzymałem głowę gada przyszpiloną do ziemi jednym palcem i uwolniłem jego ciało. Potem podniosłem palec i odsunąłem się szybko. Wąż nie odwrócił się do mnie. Pytony dywanowe są jak starzy ludzie. Potulne. Niełatwo je wkurzyć. Zwierzę wyciągnęło język, jakby smakując powietrze, a potem wślizgnęło się powoli w zarośla, zostawiając za sobą ścieżkę zgniecionej, wilgotnej trawy.

Wróciłem do siebie i zdałem sobie sprawę, że Fabiana ciągle na mnie patrzy. Nie wiem, co miała nadzieję zobaczyć, jaką cechę „osobowości” mogłem ujawnić, wypuszczając na wolność pytona. Nie interesowało mnie, czy pasowała do tego, co znajdowało się w dokumentacji sądowej. Nawet gdybym ją przekonał, ludzie i tak bryzgaliby dalej farbą na drzwi i ciskali cegłami w okna. Nagle uświadomiłem sobie, że jakakolwiek rozmowa z nią nie ma najmniejszego sensu. Może właśnie to pojęła Amanda podczas tych miesięcy, jakie minęły od jej zwolnienia. Że niektórych ludzi po prostu nie sposób przekonać.

– Nie idź za mną – powiedziałem do Fabiany. – Burzysz spokój.

Wydawała się tym lekko urażona. Uśmiechnąłem się do niej uprzejmie i odwróciłem w stronę domu.

14

Czytałem o Amandzie, kiedy zeszła ze schodów stacji kolejowej Cairn i ruszyła do samochodu, prowadząc swój żółty rower. Przyglądałem jej się z zainteresowaniem, próbując zestawić wizerunek mojej nowej, irytującej przyjaciółki z tą Amandą, o której koledzy z klasy opowiadali w wywiadach udzielanych autorce *Morderstwa w Top End*, Eleanor Chapman.

Bez wątpienia nastoletnia Amanda była dziwną i przerażającą postacią. Tak jak w przypadku większości banalnych historii seryjnych morderców, książka roła się od zapewnień o jej antyspołecznej naturze i opowieści o próbach zaprzyjaźnienia się z nią, które zawsze miały katastrofalne zakończenie. Wyraźnie sabotowała każdą przyjaźń, jaka mogła nawiązać się między nią a którymś z kolegów. Jeśli tylko relacja stawała się zbyt bliska, przestawała się odzywać, unikała kontaktu wzrokowego z nowym przyjacielem i chowała się na placu zabaw, by uniemożliwić naprawę sytuacji. Amanda była jak dziki lis, który kręci się czujnie przez kilka dni wokół domu, żywiąc się resztkami i obserwując wszystko ciekawie ze skraju lasu, aż w końcu, wystraszony czymś, ucieka, by już nigdy się nie pojawić.

Była milcząca, ale bardzo inteligentna. Była świetna w pracach pisemnych, ale kompletnie nie radziła sobie w przedstawieniach czy zadaniach grupowych. Kiedy była w pierwszej klasie liceum, nauczyciel popełnił fatalny błąd, gdy chciał przeczytać na głos całej klasie jedno z jej wypracowań. Amanda podobno zerwała się wtedy z krzesła, przewróciła stolik i uciekła z klasy.

Byłem w stanie uwierzyć w to wszystko, kiedy siedziałem i obserwowałem ją ponad maską samochodu. Potrząsała nogami i masowała łydki przed jazdą. Amanda była inteligentną dziwaczką, która wyrobiła w sobie inteligentne dziwactwo. Jej zdumiewająca pewność siebie musiała rozwinąć się w więzieniu. W więzieniu nie ma gdzie się schować, nie ma sposobu, żeby unikać ludzi. Nie ma

dokąd uciekać. Przyjdą po ciebie do celi i wywloką cię do wspólnej sali, wyciągną z ciebie twoją historię i zmuszą do uczestnictwa w więziennym życiu. Choćby tylko po to, by cię dręczyć interakcją, której nie jesteś w stanie strawić. Znałem to, bo sam próbowałem ukrywać się przed współwięźniami w Silverwater, uciekać przed ich ohydnyimi opowieściami o morderstwach i gwałtach, którymi raczyli się na profilowanych kanapach z włókna szklanego w pokoju telewizyjnym. Więźniowie nie lubią tajemniczych samotników. Tacy samotnicy sprawiają wrażenie, że są inni od nich. I dlatego lepsi.

Ale w książce były też fragmenty, w które nie mogłem uwierzyć. Jako były policjant, przez lata czytający historie prawdziwych zbrodni, natykałem się ciągle na takie same opowieści w książkach znanych autorów, takich jak H.H. Holmes i John Wayne Gacy. Była wśród nich obowiązkowa historia o torturowaniu zwierząt w dzieciństwie. Dziewczyna, która chodziła z Amandą na zajęcia biologiczno-chemiczne, opowiedziała, jak z przerażeniem zastała ją kiedyś w klasie przed lekcjami. Twierdziła, że Amanda trzymała nad stołowym palnikiem Bunsena żywą mysz. „Trzymała ją za ogonek, mysz wiła się i piszczała. Nigdy nie zapomnę zapachu palonej sierści ani dźwięków, jakie wydawała ta mysz. Przez całe lata wracało to do mnie w nocnych koszmarach”.

Nie wierzyłem w to. Była to bardzo obrazowa, przemawiająca do wyobraźni scena. Dałbym za nią szóstkę na kursie kreatywnego pisania. Amanda, którą znałem, miała się jednak nijak do Amandy – podpalaczki myszy. Ta pierwsza najwyraźniej udzielała schronienia małej armii kotów, za którymi chyba w dodatku nie przepadała, a z tego, co widziałem przez okno wystawowe, wszystkie wydawały się najedzone i zadbane.

Mężczyzna, który dorastał w tej samej co ona dzielnicy, ale nie chodził do tej samej szkoły, wspominał, jak pewnego dnia Amanda zaatakowała właściciela lokalnego sklepiku, bo skończyły mu się lizaki Redskin, Amanda podobno bardzo je lubiła – rzeczywiście zrobiono z daleka zdjęcie nastolatki z czerwonym lizakiem siedzącej samotnie przy stole na szkolnym pikniku. Świadek, który nie chciał, by jego nazwisko zostało zamieszczone w książce, opisał, jak odciągał Amandę od staruszka, którego kopała po twarzy. Amanda wybuchła ponoć wtedy histerycznym śmiechem i zaczęła grozić, że wróci i go zabije. Do czasu, kiedy przyjechała policja, zdemolowała sklepik, zrzucając wszystko z półek i wywracając kosze

z owocami.

Ale policja nie zanotowała takiego zdarzenia. Ani właściciel sklepiku, jeśli chodzi o ścisłość. Nie wierzyłem w to.

Amanda skończyła rozciąganie, przeszła na drugą stronę samochodu i wsiadła na rower, który tam wcześniej zostawiła. Oparła nagie przedramiona na kierownicy i zmrużyła oczy w słońcu. Wepchnąłem *Morderstwo w Top End* do schowka na rękawiczki, zanim się pojawiła, ale ciągle dostawałem dreszczy, wyobrażając sobie, że nagle wsunie rękę w okno i otworzy schowek, zanim zdołam ją powstrzymać.

– W porządku, brachu – powiedziała. – Wyływamy po łupy. Gotowy postawić żagiel?

– Więc nagle zostaliśmy piratami – zauważyłem.

– A jak.

– Skąd wytrzasnęłaś ten adres? – zapytałem.

– Cóż, zaczęłam od numeru telefonu, który jest zastrzeżony, więc nie mogłam poznać nazwiska ani adresu właściciela. Dzwoniłam na niego wiele razy z taką jedną genialną usługą telefoniczną. Byłam pewna, że Sam poda mi pełne nazwisko, ale nie odbierał. Pewnie z zasady nie odbiera telefonów z nieznanymi numerami – ja robię tak samo. Ale jest dokładnie czterech Samów w rejestrze parafialnym, w kościele Jake’a w Crimson Lake. – Pokazała mi cztery palce. – Poświęciłam ubiegłą noc, żeby ich sprawdzić.

– Wygugłałaś ich?

– Nie. Trzej z nich ciągle mieszkają w Crimson Lake – powiedziała. – Więc poszłam do nich i powęszyłam trochę.

– Na tym kursie dla prywatnych detektywów nauczyli cię chyba, że detektyw powinien przestrzegać zasad etyki, Amando.

– O co ci chodzi?

– Nie możesz chodzić do ludzi i węszyć w ich domach, o to mi chodzi.

– Cóż, zrobiłam to. – Wzruszyła ramionami. – Więc jeśli na pół minuty przestaniesz płakać nad tym jak mała księżniczka, powiem ci, że tych trzech wykluczyłam.

Wypuściłem powietrze.

– Mów dalej.

Nadęła się z dumą świeżo upieczonego detektywa.

– Byłam pewna, że trafię w pierwszym domu, kiedy otworzyłam lodówkę i zobaczyłam mleko migdałowe i sałatkę z jarmużu z granatem.

– Co?!

– Mleko migdałowe i sałatka z jarmużu i owocu granatu. – Uśmiechnęła się z żalem i pokręciła głową. – Ech, ludzie.

– Weszłaś do środka? Do ich domów?

– Chyba to właśnie powiedziałam? Och, przepraszam. Pewnie znowu przeszłam na chiński. Czy ja mówię po chińsku?

Zasłoniłem twarz.

– Grzebanie w Internecie i akcja telefoniczna nic nie dały. U drugiego gościa przejrzałam szafkę z dokumentami. Wzorowy porządek. Miał nawet osobny segregator na wydatki związane z ogrodem. Rachunki za nasiona, nawozy i węża ogrodowego. Rozumiesz, to dość ładny ogród, ale...

– Amando!

– Więc, krótko mówiąc, dzisiaj odwiedzimy Samuela Polsona. Przeprowadził się do Cairns pięć lat temu. W porządku? To nasz facet. To Sam od numeru w pudełku na cygara. Były kochanek Jake'a.

Jechałem za Amandą ulicami Cairns w stronę przystani i wzdłuż esplanady, szukając wzrokiem pod powierzchnią nieprawdopodobnie gładkiej tafli wody jakiegoś ruchu, który mógłby wskazywać na obecność krokodyli. Ulice miasta tonęły w zieleni, na każdym rogu rosły palmy, nad chodnikami zwieszały się bluszcze, kwitnące bugenwille i jakarandy. Ich kwiaty przywiedły w południowym upale, ale wiedziałem, że wrócą do życia, kiedy pod wieczór zacznie padać. Zatrzymaliśmy się w kwartale domów z lat pięćdziesiątych, z bladożółtej cegły i biało obramowanymi oknami. Moskitiery na wszystkich były podarte i smętnie zwisały.

Amanda zdawała się świetnie wiedzieć, dokąd idzie; zaparkowała swój rower na lśniących zielonych kafelkach pod schodami i zaczęła na nie wchodzić. Była w niej spokojna pewność doświadczonego detektywa; kogoś, kto robił takie rzeczy znacznie dłużej niż przez dwa ostatnie lata. Jakby każde niebezpieczeństwo, jakie mogło czekać na nią w chwili, kiedy zapuka do drzwi, już znajdowało się w jej katalogu doświadczeń, z którego mogła po prostu w każdej chwili wyciągnąć

stosowną reakcję. Walcz albo uciekaj. Idąc za nią w górę schodów, zastanawiałem się, ile spraw zdążyła przyjąć od czasu, kiedy wyszła z więzienia. Ile odniosła sukcesów. Jakie błędy popełniła, zanim osiągnęła ten poziom radzenia sobie z niepewnością.

Może zresztą to nie doświadczenie dawało jej tę pewność. Może po prostu była szalona. Minęło wiele lat w policji, zanim otrząsałem się z tym wszystkim w takim stopniu. Jej nieustraszonosc budziła moje obawy.

Zapukała do drzwi, ale przez chwilę nikt ich nie otwierał. Postanowiłem, że pozwolę jej przejąć dowodzenie – od czasu rozmowy z Rayem pod kościołem miałem wrażenie, że tego sobie właśnie życzyła, a poza tym to ona odszukała tego Sama. W końcu usłyszeliśmy brzęk łańcucha i w stęchłym holu rozszedł się zapach świeżo pokrojonej cytryny.

– Tak?

Mężczyzna stojący przed nami był niski i starszy, niż się spodziewałem. Mógł być po pięćdziesiątce. Miał szeroką twarz o wyostrzonych rysach. Był ubrany w nieskazitelną białą koszulę, która wyglądała tak, jakby jeszcze w niej nie siedział. Miała starannie wyprasowane kieszonki i guziki z masy perłowej.

– Pan Polson. Jestem Amanda Pharrell, a to jest Ted Collins. – Amanda wskazała na mnie kciukiem. – Jesteśmy tu, żeby porozmawiać o Jake’u.

Rudawe brwi Sama zetknęły się na moment w wyrazie zdumienia. Wyglądał, jakby zastanawiał się, czy nie powiedzieć nam, że nie ma pojęcia, o czym mówimy, ale zaraz potem na jego twarz wypłynął smutny, zrezygnowany uśmiech.

Spojrzał na mnie.

– Więc on nie żyje.

– Skąd przyszło to panu do głowy, panie Polson? – rzuciła Amanda.

– Och, dajcie spokój i wejdźcie do środka. – Otworzył szerzej drzwi. – Możecie zostać, jeśli nie będziecie zadawać mi tych głupich pytań z policyjnych przesłuchań.

Wszedłem za Amandą do mieszkania. Było przestronne i urządzone w stylu lat pięćdziesiątych. Po drugiej stronie salonu, w którym leżał dywan ze ścinków w kolorze wielbłądziej wełny, była kuchnia z zielonkawymi meblami. Kiedy ostatni raz chodziłem po takim dywanie, byłem jeszcze tak mały, że uchodziło mi tarzanie się po nim i zabawa klockami Lego. Odczułem dziwne pragnienie, żeby

zrobić to teraz, ale udało mi się powstrzymać.

Pan Polson przyrządzał sobie właśnie mojito. Grube drewniane mieszadło leżało na kuchennym blacie. Sam wziął je i zaczął miazdżyć plasterki limonki w shakerze ze stali nierdzewnej. Była dziesiąta rano.

– Mogę wam zaproponować drinka?

– Nie.

– Ta... Nie. Nie, dziękuję. – Odchrząknąłem.

– Mówiliście, że jesteście z policji?

– Zostaliśmy wynajęci prywatnie przez żonę Jake'a – odparła Amanda.

– Och, rozumiem. – Sam zaśmiał się nerwowo i wlał drinka do wysokiej, kryształowej szklanki o klasycznym kształcie. – No tak. Byłem pewny, że jesteście z policji. Pewnie się spieszycie, skoro wynajęła was Stella.

– Zna pan Stellę? – zapytałem. Podeszliśmy za Samem do rattanowego kompletu wypoczynkowego, który stał przy otwartych drzwiach balkonowych. Powiew świeżego powietrza chłodził przyjemnie, przepocona koszula była teraz zimna na mojej piersi.

– Nie, nie osobiście. Tylko z opowiadań Jake'a.

– Jak określiłby pan swoją znajomość z Jakiem? – spytała Amanda.

– Jako skomplikowaną przyjaźń. – Sam uśmiechnął się.

– Długotrwałą?

– Tak.

– Natury seksualnej?

– Tak. – Sam się roześmiał i spojrzał na mnie. – Dziewczyna nie owija w bawełnę, prawda?

Amanda popatrzyła na mnie, unosząc brwi, i skinęła lekko głową, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Wymieniliście kilka esemesów tej nocy, kiedy Jake zaginął – powiedziałem. – O czym rozmawialiście?

– Och, co słyhać, i takie tam – odparł Sam. – Wiecie. Co w pracy, jak rodzina.

– Skoro byliście tak blisko, po co Jake trzymał pański numer w pudełku na cygara? – zapytałem. – Skoro pisaliście do siebie esemesy, można zakładać, że znał pański numer.

– Nie rozumiem. – Sam pokręcił głową. – W pudełku na cygara?

Wyjaśniłem mu, jak znaleźliśmy jego numer telefonu. Sam oklapł i wbił wzrok w kolana.

– Myślę, że zachował go na pamiątkę – westchnął. – Kiedy pierwszy raz dałem mu swój numer, był napisany na kawałku papieru. Dałem mu go ukradkiem w klubie. Później odkryłem, że znał ludzi, których ja także znałem.

– Więc to był romans? – spytała Amanda.

– Może na początku. Krótco. Przynajmniej mnie tak się wydawało. Spotykaliśmy się regularnie, ale nie na wyłączność. – Sam upił łyk drinka. – Było nas kilku. Wszystko bardzo luźne. Jeśli jesteś mężczyzną, który lubi towarzystwo mężczyzn, i mieszkasz w miejscu takim jak Cairns, z nikim się nie wiążesz. Nie chcesz spalić tej drugiej osoby i wypaść z kółka ludzi, którzy cię rozumieją. Wiecie, o czym mówię?

– Tak – powiedziałem.

– Więc spotykał się tu pan z dyskryminacją, tak? – spytała Amanda.

Sam pochylił się do przodu z drinkiem w ręce i przesunął palcem wzdłuż blizny nad lewą brwią.

– Dziewiętnaście szwów – powiedział. – Miałem czterdzieści pięć lat. Wyobrażacie sobie? Zostać pobitym w tym wieku. Kiedy ostatni raz ktoś wam przyłożył?

Zapadła krępująca cisza. Przypomniałem sobie cios, który zachwiał moimi zębami niecałe sześć miesięcy wcześniej, w więzieniu.

– On był w więzieniu. – Amanda pociągnęła nosem. Omal się nie zakrztusiłem. Zacząłem kaszleć, zasłaniając się ręką.

– W więzieniu? – zaśmiał się Sam.

– Ona żartuje – powiedziałem. – Chce powiedzieć, że jestem z Sydney, a tam na ulicach bywa niebezpiecznie. Tylko tyle.

– Człowiek z Sydney!

– Zgadza się.

– Cóż, witam w roku 1945, panie Collins. – Sam machnął ręką, wskazując teren za drzwiami. – Tutaj pedały i Aborygeni służą za worki treningowe agresywnym pijakom w pubie na każdym rogu.

– Więc Jake czuł się dość bezpiecznie, by być sobą w tej małej gejowskiej społeczności? – spytała Amanda. – Z wami.

– Fizycznie i emocjonalnie.

– Znaliście go takim, jaki jest.

– Sądzę, że tak. Przynajmniej ja – odparł Sam.

– Od jak dawna byliście razem?

– Znałem Jake’a od piętnastu lat.

– Dłużej niż jego żona. – Spojrzałem na Amandę.

– Tak.

– Dlaczego ożenił się ze Stellą, skoro tak dobrze czuł się w waszej grupie?

– Och, on zawsze miał to swoje drugie, udawane życie. Stworzył je sobie, na długo zanim poznał Stellę. – Sam popijał swojego drinka, spoglądając na horyzont.

– To nie tak, że porzucił nas, żeby się z nią ożenić i stworzyć fasadę heteroseksualnego ojca rodziny. Miał ją od zawsze. Jego rodzice byli bardzo religijni. Przez całą szkołę Jake miał zawsze jakąś dziewczynę i później, kiedy zaczął pracować, też. Jego ojciec był jakimś urzędnikiem państwowym i jemu też przeznaczono taką karierę. Poznał Stellę, a ona albo była ślepa na jego drugie życie, albo jej to nie przeszkadzało. Wszyscy trochę prowadziliśmy podwójne życie. To Cairns. Trzeba się chronić.

– No tak.

– Jake trafił do gejowskiego podziemia przez grupę jakiegoś pisarza. Poznał tam mojego przyjaciela Clive’a, i chyba przez niego właśnie poznałem Jake’a. Pisał porno o wampirach. – Sam zaniósł się urywanym śmiechem. – Udawałem, że ja też umiem pisać, ale robiłem to głównie dlatego, że miałem do niego słabość.

– Kiedy to było?

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych – odparł Sam. – I na początku nowego tysiąclecia.

– I on kursował tam i z powrotem między tym swoim udawanym światem a wami, tak? – zapytałem.

– Chyba mówił wszystkim, że grywamy razem w golfa. – Sam uśmiechnął się szeroko. – Nigdy nie widziałem, żeby w to grał. Podejrzewam, że nie wie nawet, z której strony trzymać kij.

Poczułem, że Amanda mnie szturcha. Zignorowałem ją.

– A potem napisał tę książkę – westchnął Sam. – I odszedł. Zamknął się w tym drugim świecie i wyrzucił klucz tak daleko, żeby nie mógł go osiągnąć.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – spytała Amanda.

– Jake napisał kilka książek przed *Spalonymi*, które nigdy nie zostały wydane – wyjaśniał Sam i podciągnął rękawy koszuli. – Myślę, że *Spaleni* mieli być rodzajem żartu. Uwielbiał apokaliptyczne powieści, a co niedziela, siedząc w kościele obok Stelli, słuchał historii o wniebowzięciu. Chyba w ogóle się spodziewał takiej reakcji na tę książkę. Ale zainteresował się nią jakiś znany kaznodzieja ze Stanów, z jednego z tych kościołów, co to organizują spędy swoich wiernych na stadionach. Tych, co bombardują kliniki aborcyjne. Żołnierzy Chrystusa. Nagle zaczęli tę książkę omawiać we wszystkich chrześcijańskich telewizjach. Każde wyznanie mogło sobie coś z niej wziąć – i ekstremiści, i ci mniej radykalni. Byli, kurwa zachwyceni. Książka trafiła do mas. Wiecie, jacy są Amerykanie, kiedy znajdą coś, co im się spodoba.

– Rany.

– Tak. – Sam dopił swojego drinka. – Rany. O książce zrobiło się głośno. Siedzieliśmy i śmialiśmy się z tego wszyscy. Jake kupił sobie kabriolet. Czarny... to był chyba jaguar. I to był facet, który prostował się dopiero w pokoju pełnym gejów. Był największym pozerem, jakiego znałem, ale przed tą pierwszą książką miał do tego dystans. No i pieniądze. Ta książka przyniosła mu pieniądze, o jakich wcześniej nie mógł nawet marzyć. Jakich nigdy nawet nie widział. Sprawa zrobiła się poważna. Teraz już musiał utrzymywać tę fasadę. Telewizja odwiedzała go w domu, przeprowadzali z nim wywiady, chodzili za nim do kościoła. Pytali, kiedy ożeni się ze Stellą.

Sam przez chwilę oglądał swoje paznokcie.

– Na początku, gdyby ktoś odkrył drugie życie Jake'a, życie z nami, na pewno musiałyby się gęsto tłumaczyć. Stella może by go zostawiła. No i usłyszałyby swoje od rodziców. Ale po tej książce, gdyby ludzie odkryli, jaki naprawdę jest, miałyby prawdziwe kłopoty. Poważne kłopoty.

– Więc to, co się stało z Jakiem, mogło być konsekwencją tego, że ktoś odkrył jego orientację? Czy odkryła to Stella, czy ktoś inny?

Sam zastanawiał się przez chwilę. Potem wstał i rozprostował ramiona, wyciągając je nad głowę.

– Stella? Nie wiem. Ktoś inny? Posłuchajcie, on miał też bardzo oddanych wielbicieli. Dostawał czasami naprawdę dziwne listy. Nie wiem, czy któryś z nich

zachował.

– Dziwne – to znaczy?

– Och, dziwne po chrześcijańsku – zaśmiał się Sam i ruszył w stronę kuchni. – Wiecie, czym oni się jarają. Pisali, że Jake jest bożym posłańcem. Że to wszystko, o czym pisze w swoich książkach, to prawda. Że to się wkrótce stanie. Jakiś dzieciak ciągle do niego pisał, wypytywał o głównych bohaterów, Adama i Ewę. Chłopak upierał się, że to prawdziwe nastolatki, i chciał wiedzieć, jak może się z nimi skontaktować. Ludzie byli przekonani, że Jake wie o Bogu coś, czego nie wie nikt inny, z powodu tego, co pisał. Ale on nie był żadnym posłańcem. Brał po prostu to gówno z Biblii i odkrywał je na nowo dla młodzieży. Dodawał do tego karabiny. Eksplozje. A oni nie rozumieli, że wciska im to samo, co całe życie wciskał im Kościół i rodzice. Brzmiało to znajomo, brzmiało dobrze, więc połknęli haczyk. Cały świat go połknął. Ludzie pisali do niego z Osaki. Z Madrytu, na litość boską. A to nie było żadne boskie przesłanie. Tylko w najlepszym razie plagiat.

– Jaki wydawał się Jake, kiedy po raz ostatni się pan z nim widział? – zapytałem.

Sam powoli kroił limonkę, nie odrywając od niej wzroku. Dłuższą chwilę się zastanawiał.

– Zrobił się trochę dziwny – powiedział w końcu. – Przez kilka ostatnich miesięcy. Brał trochę za dużo koki – nie ma sprawy, wszyscy wciągaliśmy tego trochę za dużo, kiedy się spotykaliśmy, co zresztą coraz rzadziej się zdarzało. Ale odniosłem wrażenie, że on robił to regularnie, nie tylko tutaj. Lata temu powiedział mi, że to pomaga mu pisać szybciej. Lepiej się koncentrować.

– Był zestresowany? Martwił się czymś?

– Nie wiem. Może. Znajdował czas, żeby oderwać się od tego wszystkiego i zabawiać się z nami, ale kiedy przyjeżdżał, nie zostawał długo i nie umiał się odprężyć. Zajęty, wyglądał na bardzo zajętego, ale chyba nie był zestresowany. Był bardzo, bardzo zajęty. Potrafił mówić tylko o konspektach, wydawcach, nowych książkach i umowach. Podjął kilka nietrafionych decyzji, a potem wsadził całe pieniądze w ten dom i szkołę dla dziecka. Więc nie miał gotówki. A to, co miał, wydawał nie tam, gdzie powinien.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Kiedy był tu ostatni raz, trzy czwarte całego czasu spędził przy telefonie. Miałem kiedyś takiego chłopaka. Jestem w stanie wyczuć hazardzistę, który ma

kłopoty. Na kilometr. To przez kokę ludzie stają się tacy, jeśli biorą ją regularnie. Niespokojni. Jake chyba chciał być niegrzecznym chłopcem częściej, niż wcześniej mu się zdarzało. Dojazdy tu, do nas, zabierały mu sporo czasu. Może miał na boku inne zwyczaje małe prywyczki, które, pozwalały mu czuć się tak, jakby ciągle wygrywał. Ta fasada stała się jego klatką.

– No tak.

– Tamtej nocy, kiedy wymienialiśmy esemesy, pisałem do niego między innymi właśnie o tym. Zacząłem od luźnych pytań, ale tak naprawdę chciałem coś wywęszyć. Sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Mogę wam pokazać te wiadomości. Chciałem, żeby wiedział, że jeśli naprawdę się martwi, pożyczę mu pieniądze. Mówią, żeby nigdy nie pożyczać przyjacielom pieniędzy. Ale... rozumiecie. – Wzruszył ramionami.

Usiadłem, kładąc rękę na oparciu sofy. Amanda odsunęła się od mojej ręki, zwisającej obok jej ramienia.

– Wie pan, jaki dokładnie rodzaj hazardu uprawiał Jake?

– Lubił kości. Gry losowe, nic, co wymaga jakichś umiejętności, jak poker. W pokerze, jeśli wygrasz, to twoja zasługa. W kościach decyduje boska interwencja.

– Znał pan jego bukmachera? Czy to ta sama osoba, co jego diler?

– Nie mam pojęcia – odparł Sam. – A sam chciałbym to wiedzieć.

Podczas gdy Amanda wyjaśniała z Samem szczegóły, ja odebrałem na balkonie telefon z numeru, którego nie znałem. Nad płaskim, rozpalonym miastem unosiła się mgiełka, rozmazując widok dżungli na skraju przedmieść.

– Panie Conkaffey...

– Doktor Gratteur – zaśmiałem się. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Żałuję, że nie mam dla pana niczego przyjemnego, ale niestety, dzwonię z informacją, że przyszła do mnie dziennikarka. Może już pan o niej wie?

Oklapłem.

– Tak, wiem. – Zerknąłem niespokojnie na parę siedzącą na kanapie. – Ładna brunetka, prawda?

– Zgadza się.

– Co ona wyprawia?

– Chyba idzie po pańskich śladach. – W tle usłyszałem jakiś hałas, jakby obok przejeżdżał wózek na kółkach. – Chce sprawdzić, czy pracuje pan nad sprawami.

– Ale pani nie...

– Oczywiście, że nie – prychnęła Valerie. – Ale powiedziałam jej, co o tym myślę. Odkurzyłam stare pliki z brzydkimi słowami z moich nastoletnich czasów. Wyrzucili mnie za nie z dwóch szkół.

– Nie wątpię. Jak ona to przyjęła?

– Z fałszywym przerażeniem i szokiem kogoś, kto nie jest taki ważny, na jakiego wygląda.

– Uwielbiam panią, pani doktor.

– Jeśli wpakujesz się w kłopoty – powiedziała – daj mi znać, dobrze?

– Dobrze – odparłem. – Dam znać.

Prawda jest taka, że nigdy nie wiesz, kto może zostać twoim sojusznikiem. A kiedy sięgniesz dna, chwytasz każdą wyciągniętą dłoń, choćbyś wcześniej nie wiem jak się zastrzegł, że tego nie zrobisz.

Byłem w Silverwater od trzech miesięcy, kiedy wdałem się w swoją pierwszą bójkę.

Wyglądałem dokładnie jak facet nazwiskiem Robert Fittich, który miał izolatkę ochronną, bo był bardzo zniewieściały i wielokrotnie stał się obiektem napaści seksualnych ze strony innych więźniów. Z tyłu wyglądaliśmy identycznie – takie same szerokie ramiona i krótkie czarne loki, taki sam chwiejny krok i duże dłonie. Z przodu Robert miał bardziej pociągłą twarz i brakowało mu dwóch zębów na przodzie. Miał też brązowe oczy, podczas gdy ja mam ciemnoniebieskie. Wiele razy zdarzyło mi się, że strażnicy i współwięźniowie, nazywali mnie Bobby, bo niedokładnie mi się przyjrżeli. Byliśmy tak podobni do siebie, że jeden z więźniów chwycił mnie kiedyś za ramię i wyszeptał mi do ucha, że zbliża się rewizja. Jego oczy krążyły dookoła niespokojnie, a kiedy wreszcie spojrzał na mnie, odkrył, że nie jestem tym, dla którego przeznaczona była ta informacja. Przyjąłem jednak ostrzeżenie z wdzięcznością i uprzątnąłem całą kontrabandę, jaką zdążyłem zbierać.

Problem polegał na tym, że Robert Fittich dostawał regularne dawki oksykodonu na bóle w plecach. Oksy jest bardzo popularnym lekiem wśród heroinistów za

kratkami, którzy nie mają już dostępu do swojego narkotyku. Próbuje dostać recepty, żeby złagodzić efekty więziennego detoksu. Facet nazywany „Corgy” wymuszał od Fitticha tabletki. Fittich brał pigułkę na język i oddawał ją Corgy’emu, żeby Corgy nie pobił go niemal na śmierć. W każdym razie tak zwykle bywało. Z tego, co wiem, Fittich mógł wymieniać oksy na przywileje telewizyjne czy batoniki Mars.

Pewnej nocy Fitticha przeniesiono, nie wiem dokąd. Po prostu znikł. Tak to się odbyło. Może nagle wycofano oskarżenie przeciw niemu, a może zaczął się jego proces. Tego ranka Corgy, łysy weteran więziennictwa, zupełnie pozbawiony górnego uzębienia, zaczął domagać się ode mnie oksykodonu.

– Jestem Ted Conkaffey – powiedziałem mu. – Szukasz Bobby’ego Fitticha.

Corgy odparł, że zaraz wyłupi mi pieprzone gały. Co brzmiałoby jak przerażająca, przesadnie okrutna kara, i sama myśl o niej mogła wprawić w drżenie strachu serca przeciętnych ludzi – gdybym nie słyszał jej już setki razy. Każdy w więzieniu ma pogrózkę, z której jest znany, a wyłupywanie oczu było dość banalne, prawdę mówiąc. „Zabiję cię” na nikim w Silverwater nie robiło wrażenia. Nikt się tam nie bał śmierci.

Ale Corgy wbił sobie do głowy, że Bobby Fittich to ja. Według niego nie było nas dwóch, ciemnowłosych niedorajdów z bloku C. Kiedy podszedł do mnie po raz trzeci i agresywnym tonem zażądał swojego oksy, zacząłem się martwić, że może jednak spełnić swoją obietnicę.

Nie musiałem zastanawiać się nad tym zbyt długo. Czwartego dnia rano, kiedy wychodziłem zza rogu, Corgy walnął mnie pięścią prosto w nos z całej siły, jaką wy dobył ze swego niewysokiego ciała. Od razu runąłem na ziemię.

Jako były gliniarz z wydziału narkotykowego umiałem walczyć. Ale napaść całkowicie mnie zaskoczyła, a pierwszy cios zmiażdżył mi nos, z którego trysnęła natychmiast taka ilość krwi, że w pierwszej chwili tylko tym byłem w stanie się zajmować. Z oczu popłynęły mi łzy. W ciągu tych kilku okropnych sekund zaślepienia Corgy wskoczył mi na plecy i zaczął tłuc mnie w tył czaszki ciosami szybkimi jak ogień z karabinu.

Uwagę strażników przyciągnęła bijatyka, która rozpoczęła się w tej samej chwili pod drugiej stronie korytarza. Tak właśnie zaczynają się więzienne rozruchy. Jedna bójka pociąga za sobą następną i w tych pierwszych gorączkowych chwilach

strażnicy muszą zdecydować, którą się najpierw zająć. Czasami dwie rozróby tak ich rozkojarzą, że nie wiedzą, kto dokładnie bierze w nich udział. Trzy bijatyki jednocześnie, a ludzie mogą zginąć, zanim ktokolwiek zdąży coś zrobić. Tego ranka wszyscy strażnicy rzucili się w stronę bójk po drugiej stronie holu. Byłem sam.

Pomógł mi w tej burdzie Christopher Shine, były strażak, czekający na proces w sprawie molestowania seksualnego młodych chłopców, które zaczęło się, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie. Był to twardy starszy mężczyzna o potężnych ramionach. Wiedziałem, że nosił przy sobie nóż własnego wyrobu.

Przyjąłem tę pomoc.

15

Wracalem do Crimson Lake autostradą wśród pól, rozmyślając o żonie i o tym, jak mnie porzuciła. Zastanawiałem się, czy jest w porządku, że tak o tym myślę. Odkąd trafiłem do więzienia za zbrodnię, której nie popełniłem, próbowałem bardziej otwarcie myśleć o tym co dobre, a co złe, o winie i niewinności, i takich sprawach jak porzucenie człowieka. Kiedy naprawdę starałem się myśleć o tym uczciwie, wcale nie byłem pewny, czy Kelly mnie porzuciła.

Pewnego ranka, kiedy była akurat na spotkaniu matek, zadzwoniła do niej moja kumpela Frankie i wezwała ją do komisariatu. Tam poproszono ją, żeby usiadła, i poinformowano, że jej mąż uprowadził, zgwałcił, przydusił trzynastoletnią dziewczynkę i zostawił ją, żeby umarła. Frankie, Davo, Morris – moi przyjaciele, z którymi w weekendy spędzaliśmy czas przy grillu – nie powiedzieli jej, że zostałem oskarżony o popełnienie tego strasznego czynu. Powiedzieli jej, że go popełniłem. Naprawdę w to wierzyli i byli tym niemal tak zdruzgotani jak ona.

Czy to możliwe, że dla Kelly wtedy umarłem? Że przestałem być Tedem, jakiego znała, a stałem się Oskarżonym Tedem, Tedem, którego w ogóle nie znała?

Jak zawsze, kiedy zaczynałem myśleć, że powinienem, że mógłbym jej przebaczyć, kostki na moich zaciśniętych na kierownicy dłoniach bieleły i zasychały mi w gardle. Tęskniłem za swoim dzieckiem. Sama próba wejścia, choćby powoli, małymi kroczkami, w mroczne wody tego wielkiego jeziora, wyrwała mnie z zamyślenia. Wzdrygnąłem się, poruszyłem ramionami i skierowałem uwagę na drogę przed moimi oczami. Nie miałem teraz czasu, żeby myśleć o Lilly. To zrobiłoby ze mnie kalekę.

Moim zadaniem było wydobyć od żony Jake'a dowodów hazardowych długów

i jego koszmarnych wielbicieli. Ale zanim dotarłem do jej domu, zauważyłem syna Jake'a, Harrisona, siedzącego w samochodzie w odległości połowy przecznicy od domu. Za przednią szybą dostrzegłem zarys jego wełnianej czapeczki. Przejeżdżając obok, przyjrzałem się jemu i dziewczynie o równie gotyckim wyglądzie – siedzieli w zdezelowanej szarej sonacie i oboje palili. Stopa Harrisona, w bucie z klamrami, zwisała z okna od strony pasażera, poruszając się w rytm muzyki. Nie wiem, jak dosłuchał się rytmu w tym, co ryczało z samochodowego radia. Kiedy mijalem ich z opuszczoną szybą, z sonaty wydobywał się ogłuszający biały szum.

Objechałem kompleks budynków ograniczony czterema przecznicami. Wracając, zobaczyłem Harrisona idącego do domu z jakąś książką w ręce; jego dziewczyna i samochód zniknęli. Zatrzymał się na mój widok. Znałem okładkę książki z czasów, kiedy sam byłem nastolatkiem. Odwrócił wzrok niemal w tej samej chwili, w której na mnie spojrział. Wrócił bezczelny, gniewny Harrison. Był zły, że pokazał mi swoją słabą stronę, że pozwolił mi się do siebie zbliżyć. Nie przeszkadzało mi to. Mogłem grać w tę grę. Dobry policjant, zły policjant. Wrażliwy dzieciak, twardy dzieciak. Potrafiłem zaadaptować się do tego, na co miał ochotę.

– Och, odpierdol się – jęknął, próbując mnie wyminąć.

– Twój tata pisze powieści chrześcijańskie, więc ty czytasz wczesną Anne Rice – powiedziałem i podniosłem ręce do góry. – Siły wszechświata pozostają w równowadze.

– Nieważne – odburknął, idąc w stronę domu. Dogoniłem go kilkoma długimi krokami. – Nie jesteś aż takim buntownikiem, jak ci się wydaje. Ona niedawno przeszła duchową transformację. Jej ostatnie książki bardziej przypominają...

– Człowieku, po co ty mnie zagadujesz? – Harrison odwrócił się i spojrział mi ostro prosto w twarz. – Nikt ci nigdy nie powiedział, że pomoc powinno być widać, a nie słychać?

– Pomoc? – zaśmiałem się. Dzieciak był szybki. Byłem pewny, że za jego bezczelnością kryje się coś więcej niż tylko nastoletnia złość i zagubienie z powodu utraty ojca. Słyszałem w jego głosie defensywną gorycz ofiary szkolnych osiłków, znęcających się nad słabszymi. A może kogoś, na kogo rodzice wydają za dużo pieniędzy, a okazują za mało miłości. Jego katalog powrotów wydawał się

zdecydowanie zbyt dogodny. – Przyszedłem zobaczyć się z twoją matką. Jest w domu?

– Nie. – Otworzył kluczem drzwi. – Więc odpie...

Stella pociągnęła za klamkę w chwili, kiedy Harrison zaczął je popychać. Potknął się i matka i syn niemal wpadli na siebie. Mimo ciemnych włosów i żalostnej bródki dostrzegłem łączące ich podobieństwo: dwa niskie, chude stworzenia o spiczastych twarzach i dużych oczach. Harrison wyminął ją i ruszył schodami na górę, pokazując mi po drodze środkowy palec.

– Widziałam pański samochód – powiedziała Stella.

– Przepraszam, mogłem najpierw zadzwonić.

– Ależ nie, panie Collins. Lubię niespodzianki. – Dotknęła mojego ramienia w powitalnym geście i zamknęła za mną drzwi.

– Bardzo... – Wciągnąłem powietrze. Czuję się nieswojo. – Bardzo mi przykro z powodu straty, jaką poniosłaś, Stello.

Patrzyła w ziemię przez dokładnie trzy uderzenia serca. Zupełnie, jakby odliczała je w głowie. Stosowna chwila żałobnej ciszy.

– Mogę ci w czymś pomóc, czy wpadłeś tylko sprawdzić co u nas?

– Sprawdzić?

– No tak, co u nas – uśmiechnęła się.

– Przyjechałem rzucić okiem na papiery Jake'a – powiedziałem. – Szczególnie interesują mnie listy od jego wielbicieli. Nie wiesz może, czy jakieś zachował?

– Och, co za nuda – roześmiała się głośno. Zastanowił mnie jej krok, kiedy szedłem za nią przez hol w stronę dużej biblioteki, w której siedzieliśmy za pierwszym razem. Czy była pijana? Rzuciłem okiem na zegar. Południe. Uśmiechnąłem się pod nosem. Oto krążę po mieście, sprawdzając poziom upojenia alkoholem mieszkańców Cairns w zależności od pory dnia. Przypomniałem sobie tę gorącą, rozchwianą chwilę, w której w moim życiu pojawiła się Kobieta; jak trudno było ustawić pudło z przerażonymi gęsiami na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Jak znieruchomiałem przy drzwiczkach od strony kierowcy i zgiałem się w pół, czując, że zaraz zacznę wymiotować. Czy to ptaki sprawiły, że wytrzeźwiałem, czy Amanda? Od tamtej chwili uważam się za trzeźwego. Minęło zaledwie kilka dni. Zapach bourbona dolatujący od pani Scully sprawił, że zeszytniałem z pragnienia. Niepoważny facet ze mnie.

Zaprowadziła mnie do gabinetu zmarłego i odeszła, ale po chwili wróciła z kryształową karafką. Obserwowałem ją spod oka, przeglądając zawartość szuflad Jake'a. Kilka razy wchodziła i wychodziła, organizując coś w rodzaju pikniku na podłodze przed wielkim dębowym biurkiem. Dwie szklanki, bourbon, kilka rodzajów miękkiego sera i chipsy z chilli. Moje pragnienie rosło wprost proporcjonalnie do strachu, jaki budziła we mnie myśl o siedzeniu i picciu z nią na podłodze. Zacząłem fantazjować, że znowu wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą drzwi na klucz.

W papierach Jake'a panował okropny nieład. Typowy twórczy bałagan. Zorganizowanie tego wszystkiego zabrałoby całe godziny. Podnosiłem leżące na biurku rzeczy i odkładałem na drugą stronę blatu. Rachunki za hipotekę. Wydruki próbnych okładek, różniące się kolorami i czcionką. Gruby plik zadrukowanych kartek spiętych metalową klamerką – niedokończona nowa książka. Przejrzałem kartki, wachlując się papierami, czytałem zrobione ołówkiem na marginesach notatki Jake'a. Rzuciłem ciężki manuskrypt z powrotem na biurko; powiew powietrza poruszył małe kolorowe karteczki rozrzucone wokół kubka na długopisy. Zatrzepotały jak skrzydła.

– Proszę sobie zrobić przerwę, detektywie – powiedziała Stella.

Wyobraziłem sobie Harrisona w pokoju na górze, wkurzonego, rozmyślającego o tej chwili, kiedy jego matka szarpnęła za kłamekę, a on potknął się na oczach człowieka, któremu próbował rzucić wyzwanie. Wyobraziłem sobie sto innych rozmów między tym chłopakiem a jego ojcem, sławnym pisarzem a jego beznadziejnym, chimerycznym synem. Typowym nastoletnim synem, próbującym wygrać z obcym facetem kręcącym się wokół jego matki.

– Mam faktury za zaliczki. Mam harmonogramy spotkań autorskich w księgarniach. Mam... – Zmrużyłem oczy spoglądając na jedną z kartek. – Noty wydawnicze. Nie wiesz może, gdzie trzymał swoje listy?

– Powiedziałam, chodź tu. Zrób sobie przerwę. – Jej zimny ton przekonał mnie, że jeśli do niej nie dołączę, coś w niej pęknie. Emocjonalnie albo fizycznie.

Podszedłem i niezdarnie przysiadłem na dywanie obok niej. Sięgnąłem po chipsa i rozgryzłem go. Chrupanie wydawało mi się odrażająco głośne. Miała na sobie ciemnoniebieską bawełnianą sukienkę, która zasłaniała tylko jedno ramię i była ładnie związana w tali. Grecka bogini jedząca winogrona. Znudzona.

Twarz mnie paliła. Wychyliłem pół szklanki bourbona. Czułem, że uległem.

– Czy Jake uprawiał hazard? – zapytałem.

– Lubił zakłady.

– Myślisz, że lubił je tak bardzo, że stawało się to niebezpieczne?

– Nie mówmy o Jake’u.

– Jestem tu z powodu Jake’a, pani Scully. Tylko z jego powodu.

Zaśmiała się i mlasnęła ładnymi wargami z pijackim lekceważeniem. Zacząłem się zastanawiać, czy wypróbować moją męskość, sprawdzić, czy dorównam jej martwemu, strawionemu mężowi, który jej nie chciał, ale nie miał zamiaru dać jej wolności.

– Nikt nie przyjeżdża do Crimson Lake do pracy. Ludzie przyjeżdżają tu, żeby się ukryć albo umrzeć.

Stella przesunęła wierzchem dłoni w górę mojego ramienia, muskając drobne włoski na skórze. Zadrzałem.

– Przed czym się ukrywasz? – uśmiechnęła się. Dotyk jej palców w zagłębieniu mojego łokcia niemal sprawiał ból. Były takie delikatne, takie ciepłe.

– Przed niczym – westchnąłem. – Ja nie... nie...

– Kłamca – szepnęła. – Kłamca, kłamca, kłamca.

Jednym miękkim ruchem wyciągnęła brązową nogę z sukienki, przełożyła ją przez moje kolana i usiadła na mnie, przyciskając swoje biodra do moich. Odsunęła mi włosy z czoła, wionąc bourbonem w moje wargi.

Nie pocałowała mnie od razu. Najpierw przycisnęła swoje ciepłe czoło do mojego, chwyciła moje ręce i położyła je na swojej talii.

– O Boże – powiedziałem i zacisnąłem oczy.

– Tak długo byłam sama – wymruczała.

Poczułem, że się uśmiecham. Ostatni raz ktokolwiek dotykał mnie z prawdziwym pożądaniem czy ciepłym rankiem Tamtego Dnia. Tamtego ranka o ósmej kochałem się z żoną w sypialni naszego małego miłostnego gniazdko na przedmieściu; później się pokłóciliśmy i ja pojechałem „na ryby”, a ściślej „gdziekolwiek”, żeby tylko nie być z nią, podczas gdy ona zawodziła w swojej bańce bezsilnego bólu. Trauma pierwszego dziecka. Wystarczająco długo patrzyłem, jak miotała się w tej okrutnej bańce bez wyjścia, która jednocześnie nie pozwalała nikomu zrozumieć jej bólu i nie dopuszczała żadnej pomocy z zewnątrz.

Od tego dnia tylko obejmowano mnie sztywno od czasu do czasu – mógłbym policzyć to na palcach – a raz ktoś mnie uderzył. Poza strażnikami, którzy czasami mnie szturchali albo gdzieś prowadzili, nikt mnie nie dotykał. Byłem tego boleśnie świadomy. A teraz piękna i grzeszna Stella Scully poruszała na mnie biodrami, a ja dyszałem w jej szyję i słuchałem szelestu kosztownej tkaniny jej sukienki na moich popapranych gęsim guanem dzinsach, jakby to była pieśń oceanicznych syren.

I wtedy, nagle, w tę wspaniałą muzykę wdarł się głos nikogo innego, jak prokuratora w moim procesie:

„Pan, mężczyzna wzrostu stu osiemdziesięciu centymetrów, sto kilo wytrenowanych w policji mięśni, porwał tę małą dziewczynkę z pobocza drogi, jakby to był worek kartofli. Próbowła się wyrwać, ale wrzucił ją pan do samochodu...”

Gwałtownie oderwałem ręce od talii Stelli. Oddech uwiązał mi w gardle.

– Co się stało?

– Nic – wykrztusiłem. Wypuściłem całe powietrze z płuc. – Nic. Wszystko w porządku.

Skąd się to wzięło? Patrzyłem na swoje duże dłonie przesuwające się wzdłuż drobnych ramion Stelli. Rozpinała mi koszulę. Jej ciepłe, smukłe palce zsuwały materiał z moich barków, muskały szyję. Chwyciłem ją za włosy, chciałem z nią tu zostać, z jej zapachem, jej smakiem na moich ustach. Dlaczego akurat teraz zacząłem myśleć o procesie? W chwili, kiedy dotykała mnie palcami, kiedy wsuwała je w moje włosy, kiedy wszystko wydawało się tak doskonałe, w to senne ciepło wdarło się echo z sali sądowej, pisk mikrofonu, spojrzenia rozwścieczonego tłumu.

– O Boże – wyszeptała Stella. – Ted. Proszę.

„«Proszę, proszę, proszę!» błagała. «Proszę, nie rób mi krzywdy», krzyczała. Ale pan nie miał dla niej litości, prawda, panie Conkaffey? Przejechał pan prawie czterdzieści kilometrów z tym dzieckiem w samochodzie, nie zwracając uwagi na jej płacz, wzywanie matki...”

Oderwałem się od Stelli i pchnąłem ją na dywan. Trąciłem przy tym tacę z przekąskami, przewróciłem swoją szklanę i zacząłem kręcić głową, starając się nie odrywać wzroku od Stelli. Stella krzyknęła, gdy szarpnąłem ją za włosy, w które zaplątały się moje palce. Zaśmiałem się, przeprosiłem, odsunąłem pasmo

włosów z jej twarzy.

– Stella – powiedziałem. – Stella, Stella. Stella.

Usiłowałem przypomnieć sobie, że jestem tutaj, ze Stellą. Że nie jestem...

„...w ciemnych, gęstych zaroślach na poboczu autostrady, w które wywlókł to wierzgające, zapłakane dziecko ze swojego samochodu. Rzucił ją pan na gołą ziemię, jak zwierzę, czyż nie, Ted? Zdarł pan z niej szkolny mundurek i...”

– Nie! – krzyknąłem. – Nie! Nie! Nie!

Stałem przy oknach wychodzących na trawnik, przyciskając dłonie do głowy. Mój szybki, urywany oddech tworzył na szybie zamglone plamy. Miałem wrażenie, że powietrze dochodzi tylko do szczytów płuc, reszta mojej klatki piersiowej była jak zalana betonem. Chwyciłem się za włosy.

– Nie. – Moje ręce, poruszane własną wolą, ciągnęły mnie za uszy, chwytaly za gardło, ścisakały. Drapałem się po twarzy, usiłując rozedrzeć pojawiające się przed moimi oczami wizje. Mała dziewczynka na gołej ziemi. Płacząca mała dziewczynka. Odwróciłem się do Stelli i zobaczyłem, że patrzy na mnie z twarzą wykrzywioną grymasem obrzydzenia. Rozpięta sukienka opadła jej do pasa, odsłaniając brązowe piersi. Zasłoniła je przede mną ramionami.

– Wynoś się – rzuciła.

Zawahałem się, próbując wymyślić coś, cokolwiek, co mógłbym powiedzieć.

– Wynoś się! – krzyknęła.

Wyszedłem.

16

Drogi Jake'u!

Ciekawi mnie, dokąd trafiają te listy. Najwyraźniej nie do Ciebie. Wiem, że nie jesteś facetem, który wyrzuca do śmieci listy od oddanych Ci ludzi. Może przejmują je ten Twój gównowarty egocentryczny agent. Cześć, Cary! Mógłbyś przekazać mój list Jake'owi? Odebrałem Twój list z odmową – naprawdę szczerą. Dzięki, chłopie. Nie gniewam się; rozumiem. Praca z kimś tak utalentowanym musi budzić w Tobie gorycz. Pewnie czujesz się jak pozer, którym jesteś. Cóż, po prostu pamiętaj, Cary, jak bardzo byś nie udawał, nigdy nie będziesz miał tego, co Jake. Więc odpuść sobie. Oddaj facetowi cześć, która mu się należy.

Jake, gdybyś jednak dostał ten list, chcę, żebyś wiedział, że widziałem Cię w Książkach na żywo. Miałem zamiar pojechać do Cairns, kiedy kręcono ten program, ale stchórzyłem. Uwierzysz? Tak się nakręciłem, że zobaczę Cię na żywo i będę mógł z Tobą pogadać, że w końcu zostałem w domu. A kiedy było już po wszystkim, czułem się zdruzgotany.

Sposób, w jaki piszesz o swoich bohaterach – w każdym z nich widzę jakąś część Ciebie. Jest w Tobie Adam – jego siła i stanowczość, jego determinacja, by Ewie nie stała się żadna krzywda. Ona też w Tobie jest, Jake. Jej delikatność. Nieufność wobec świata. Tę właśnie jej cechę widzę w Tobie najwyraźniej. Widzę, że tak jak ona jest uwikłana w swoje tajemnice, tak ty ukrywasz własne. Inaczej skąd mógłbyś tak dobrze wiedzieć, jak to jest być wyrzutkiem, skrywającym prawdziwą twarz pod maską? Pisarze piszą, bo chcą stworzyć bezpieczne miejsca. Bezpieczne światy. Doskonale to rozumiem.

Rozumiem świat, który tworzysz w swoich książkach. Obnażasz ludzkie zło i mrok, które oglądamy w tym kraju każdego dnia. Świństwa, egoizm i chciwość. Ludzie tak chętnie krytykują się nawzajem, tak chętnie wytykają palcami wszystko,

co jest inne, każdy brak i niedoskonałość. Nie potrafią dojrzeć przez nie dobra i talentu w ludziach, którzy nie są piękni, silni i idealni. Po prostu zdumiewa mnie ludzka bezmyślność, brak kultury. Siedząc w autobusie, rozglądam się wokół i patrzę na nich, na ich śliniące się usta i szkliste oczy. Oni nie są tacy jak my. Oni nie myślą. To kreatury. Bestie.

Wiem, że jestem tylko Twoim fanem, obcym, ale chcę, żebyś wiedział, Jake, że mogę być dla Ciebie takim bezpiecznym miejscem, w którym mógłbyś ujawnić swój ból, ten, który skrywasz w swojej piersi, by nie odkryła go ta dzicz wokół nas. Jestem kimś całkowicie spoza Twojego życia i – co najważniejsze – szanuję Cię, Jake. Piszę, by uciec od własnego, głupiego życia. W telewizji porannej mówiłeś, że na uniwersytecie czułeś się jak outsider. Jakby nikt poza nauczycielami Cię nie rozumiał. Rozumiem Cię, Jake. Jesteśmy tacy sami. Gdybyś tylko o tym wiedział. Cieszyłbyś się, że mnie odnalazłeś.

Przesyłam w załączeniu coś, co ostatnio napisałem – to moja praca, ale jest powiązana z Twoją. Tylko parę stron o końcu świata, świata tak skorumpowanego i pełnego rozpacz jak ten, o którym Ty piszesz. Wykorzystałem kilka pejzaży i postaci z Twoich książek. Jeśli zostanie to kiedykolwiek opublikowane, może pójdzie w sprzedaży związanej. Nie obchodzi mnie, czy Cary to przeczyta, czy nie. Jesteś lepszy od tego faceta, Jake. Mówię Ci.

Przesyłam pozdrowienia dla Stelli i Harrisona.

Byłem zmęczonym strzępem Teda, kiedy pukałem do drzwi biura przy Beale Street o dziesiątej następnego dnia rano. Miałem za sobą bezsenność; spędziłem ją myśląc bez końca o epizodzie ze Stellą. Prześladowały mnie wizje, które pojawiły się w mojej głowie, kiedy się dotknęliśmy. Od ranka tamtego dnia, który obrócił moje życie w ruinę, nie miałem żadnego doświadczenia o choćby najlżejszym zabarwieniu seksualnym, a teraz wszystko, co miało z tym jakikolwiek związek, było zainfekowane koszmarną historią wysłuchaną w sądzie. Czynnami, o które zostałem oskarżony. Istniał jakiś Ted potwór, jakiś ja, który nie był mną, ale stał się bardzo realny dla wszystkich, którzy przyszli do sądu. Precyzyjnie skonstruowany fikcyjny Ted potwór, który sponiewierał małą dziewczynkę, wykorzystując swoje ciało jako potężną, ohydłą broń przeciw niej. Ted potwór chciał, bym wiedział, że ciągle jest w pobliżu. Stworzyła go prokuratura, dała mu

życie. Pozwoliła mu poznać smak świata. Tedowi potworowi spodobał się ten świat, nad powierzchnią ziemi. Postanowił, że tu zostanie.

Bałem się tego Teda. Z taką łatwością zabawił się moim umysłem w gabinecie Jake'a. Pozbawił mnie kontroli. Wizje, które mi pokazał, były takie realne.

Tego ranka na ganku od frontu znalazłem kartonowe pudło. Obawiając się, że może to być prezent od moich prześladowców, uniosłem pokrywę patykiem podniesionym na podwórku, ale odkryłem w nim tylko papiery. Listy od wielbicieli i gruby, związany wydruk bankowy sprzed pół roku. Stella mogła zobaczyć we mnie coś, co jej się nie spodobało – może poczuła się przeze mnie odrzucona – ale nadal chciała, by sprawa jej męża została rozwiązana. W porannych wiadomościach podali, że biegły uznał Jake'a za martwego. Obejrzałem krótki materiał, stojąc w dużym pokoju boso, w spodniach od dresu. Dwoje gąsiąt weszło przez otwarte drzwi ganku i uznało, że włosy na dużych palcach moich stóp nadają się do zjedzenia. Stały i szarpały za nie bezsilnie, próbując oderwać je od skóry.

Żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia, Stella Scully musiała udowodnić, że Jake nie popełnił samobójstwa, a dochodzenie w sprawie jego śmierci, prowadzone przez policję z Queensland, musiało zostać zamknięte. Były to dwa warunki konieczne do wypłaty.

Amanda otworzyła drzwi w spodniach piżamowych z motywem Batmana i koszulce z napisem „Nie przeszkadzać”. Cztery opasłe koty stały obok niej, ciekawe, kto przyszedł.

– Nie należysz do rannych ptaszków, co? – spytałem. Wszystkie włosy miała przesunięte na bok, jakby zwiął je tam wściekły podmuch wiatru.

– Wchodź – powiedziała.

Wkroczyłem w rosnący tłum sięgających mi do kolan, porośniętych sierścią bestii, starając się nie nastąpić na którąś z małych łapek. Pokój, do którego wszedłem, był to duży gabinet, z biurkiem w kształcie litery L, zawałonym stertami papierów. Położyłem pudło na biurku i zaprowadziłem koty do kąta, w którym wisiało kilka certyfikatów. Licencja Prywatnego Detektywa Amandy i kilka certyfikatów wydanych przez Zakład Poprawczy dla Kobiet w Brisbane. Ukończyła szkołę średnią za kratkami, podobnie jak kilka kursów sztuk walki. Uniosłem brwi. Nad licencją detektywa wisiał certyfikat ukończenia programu Anonimowych Alkoholików.

– Nie wiedziałem, że byłaś w AA – powiedziałem. Sam rozważałem dołączenie do programu przez kilka miesięcy po wyjściu z więzienia, ale bałem się, że w małej grupie zostanę rozpoznany. Amanda robiła coś w kuchni, pobrzękując naczyniami. Połowa kotów poszła tam za nią, druga połowa ocierała się o moje łydki.

– Nie miałam problemu z alkoholem. Prawie nie piję – odparła. – Po prostu przeszłam ten program.

– Ale po co? – zaśmiałem się.

– W Zakładzie Poprawczym w Brisbane dostajesz punkty za odbyte kursy. Obojętnie jakie kursy. Te na ścianie to certyfikaty z kursów, które uznałam za interesujące. Reszta jest tam. – Machnęła ręką w stronę sterty certyfikatów na drugiej półce biblioteczki. Podszedłem i przejrzałem je. Skończyła kursy z literatury, biologii, urbanistyki i psychologii. Były tam dziesiątki certyfikatów.

– Na trąbce też grasz? – zakpiłem.

– Potrafię zrobić damską torebkę ze starych dzinsów; to umiejętność nieprawdopodobnie użyteczna w życiu codziennym.

– Przeszabawne.

– Skończyłeś przeglądać moje rzeczy? – Stała tyłem do mnie, nalewając mleko do dwóch kubków z kawą. Wielki czarny kot wskoczył na blat tuż obok. Trąciła go łokciem.

– Na dół. Dziewięć. Dziewięć!

Kot był uparty. Amanda odstawiła mleko, podniosła kota i postawiła go na podłodze.

– Dziewięć. Cztery. Siedem. Ta kotka, o tam, to Jedyńka. Od niej wszystko się zaczęło. – Trąciła stopą pręgowanego kota, który wydawał się chudszy i starszy od reszty. – Zobaczysz, to jedna z tych złych matek. Jej brat to też niezły gagatek, który próbował pozbyć się innych kotów ze swoich rabatek.

– Wierzę ci na słowo.

– Niewiele słów rymuje się z „matek”. – Amanda westchnęła refleksyjnie i podała mi kawę. – Co jest w tym pudle?

– Listy od fanów – odparłem. – Przejrzałem je pobieżnie, ale nic nie zwróciło mojej uwagi. Większość to same zachwyty: „Kocham cię”. „Uwielbiam twoich bohaterów”. „Zwykle czytam to i tamto, a ty przypominasz mi tego pisarza albo tamtego”.

– Nikt nie oskarżył go o bycie mesjaszem?
– Och, jest kilka kawałków, które aż ociekają cytatami z Biblii.
– Ale nikt nie wspomniał, że nakarmi nim krokodyle.
– W każdym razie ja się na nic takiego nie natknąłem. Ale nie czytałem zbyt uważnie. Co ma wspólnego Biblia z krokodylami? – zastanowiłem się głośno.

Amanda usiadła przy komputerze i zaczęła stukać z klawisze. Koty krążyły wokół mojego krzesła jak okrągłe futrzane rekiny, miaucząc, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

– O cholera, pełno tu tego. – Amanda przeglądała strony. – Według Księgi Kapłańskiej nie wolno jeść krokodyli, ponieważ są nieczyste. „A te są nieczyste pomiędzy zamieszkującymi ziemię istotami: kret, i mysz, i wszelkie rodzaje wielkich jaszczurów, i gekon, i jaszczurka, i gad piaskowy, i kameleon”.

– No to mam przerąbane. Zjadłem dwa gady piaskowe na śniadanie.

– Nie wolno ich jeść ani krzyżować z innymi gatunkami zwierząt – powiedziała Amanda.

– Co? Więc co niby mam z nimi robić?

– Zostawić je w spokoju, Ted.

Założyłem ręce na piersi.

– W Księdze Wyjścia jest mowa o Egipcjanach, że bali się dzieci Izraela, które mnożyły się i rosły w siłę. Faraon wezwał swój lud do wrzucania nowo narodzonych synów Izraela do rzeki. – Udając męski głos, przeczytała: – „Potopcie żydowskie dzieci! Nakarmcie nimi krokodyle!”

– Nie wspomniał o pisarzach z utajonymi gejowskimi skłonnościami – zauważyłem.

– Istotnie – przyznała Amanda. – Kiedy w Księdze Kapłańskiej jest mowa o mężczyźnie, którzy kładzie się z mężczyzną jak z kobietą, to wniosek z tego, że należy go zabić, ale nie opisuje, w jaki sposób.

– Ten facet nie chciał, żeby ktoś kogoś zjadał – powiedziałem. – Na pewno był smakołykiem wieczornych przyjęć.

– Co jeszcze tam masz?

– Wyciąg bankowy za pół roku. – Pokazałem jej kartki. – Jeszcze go nie przejrzałem.

– Cóż, więc zacznij to robić. Zbieram właśnie razem kilka fragmentów z *Kronik*,

które chciałabym ci pokazać.

Pochyliłem się nad biurkiem i zacząłem podkreślać wzory wydatków. Raz na dwa tygodnie Jake płacił za członkostwo w małej siłowni przy Uniwersytecie Jamesa Cooka. Zaznaczyłem te opłaty grubą czarną linią, podobnie jak rachunki za telefon i prąd, niezliczone zakupy spożywcze w 7-Eleven i u Woolwortha. Miesiąc przed śmiercią kupił przez Internet nową klawiaturę, trochę artykułów biurowych i coś z internetowego sklepu Workplace Health. Sprawdziłem kod artykułu i wklepałem w Google na swoim telefonie. Był to pas barkowy zapobiegający garbieniu się podczas siedzenia przy biurku. Ryzyko zawodowe pisarza, jak sądziłem.

Na kartkach leżących przede mną było coraz więcej czerni. Jedna z transakcji zwróciła moją uwagę, bardzo nieregularny przelew na konto bez opisu. Konto prywatne. Zaznaczyłem tę pozycję na różowo.

Po każdym większym przelewie z konta swojego agenta, Cary'ego Minnowa, Jake przelewał jakąś kwotę na to tajemnicze konto. Czasami te kwoty były bardzo duże. Czasami niewielkie. Zawsze były to okrągłe sumy. Pokazałem tę zależność Amandzie.

– Kwota, jaką przelewa, nie jest procentem od honorarium, który odkłada na poczet podatku?

Spojrzałem na liczby.

– Nie. Czasami jest to około dziesięciu procent. Czasami połowa. Miesiąc przed zniknięciem przelał na to konto prawie wszystko, co dostał od agenta. A to tajemnicze konto nie wygląda tak, jakby należało do niego. Jake ma dwie krótkoterminowe lokaty i ten rachunek.

– A oszczędności?

– Bardzo małe jak na kogoś, kto ma przychody tego rzędu.

Amanda zabębniła palcami po biurku. Podrapała przerażający tatuaż z królikiem na swojej ręce.

– Ale te wpłaty stopniowo rosły, tak?

– Zgadza się.

– Jeśli spłaca jakiegoś lichwiarza – powiedziała – to może facet zorientował się, że trafił na dojną krowę i zaczął stopniowo podnosić odsetki. Jeśli Jake dał się złapać niedługo przed śmiercią, może pożyczał gotówkę i wydawał ją na hazard,

a spłaty przepuszczał przez swoje konto.

– Ale po co mieliby go zabijać? – spytałem. – Jeśli jest dojną krową i cały czas płaci?

– Relacje między lichwiarzem a jego klientem są z reguły niestabilne. Zwykle tylko jedna strona dobrze się bawi. Może Jake chciał z tego wyjść, kto wie?

– Wkrótce się dowiemy.

– Pozwól, że przeczytam ci to – powiedziała Amanda, otwierając drugą książkę Jake'a, *Szept*. – Są fragmenty w tych książkach, zaczynając od drugiej aż do ostatniej, które naprawdę nie pasują do fabuły. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ilekroć główny bohater, Adam, jest sam, zaczyna czuć, jakby... coś za nim chodziło.

– Dawaj – powiedziałem. Jeden z kotów, czarno-biały tłuścioch, zaprzestał krążenia dookoła i wskoczył mi na kolana. Wyciągnął się wzdłuż mojej nogi i mruczał gardłowo. Amanda zaczęła czytać:

Jest to bezkształtny byt, cień, który mnie śledzi, zawsze pół kroku z tyłu. Przeciąga się i ziewa u schyłku dnia. Nigdy nie przyspiesza, tylko sunie za mną jak po sznurku, zgłodniały, zbiera okruchy, które po sobie zostawiam. Krew, myśli, grzechy. Nie wiem, skąd się wziął, ale odwracam się za siebie co parę kroków, próbuję sprawdzić, czy nie podszedł bliżej. Nocą przewracam się niespokojnie z boku na bok, przejęty zgrozą, że pewnego dnia zobaczę, jak się zbliża.

– Nieprzyjemnie to brzmi – zauważyłem. Amanda wzięła inną książkę i odchrząknęła:

Czasami udaje mi się nie zwracać na to uwagi. Ale to mnie zna i mnie kocha, a jakaś część mnie jest głodna tej miłości, choć czuję się winny z tego powodu. Czy nie dlatego zaszedłem tak daleko? Bo w jakiś dziwny sposób jestem uzależniony od tego światła, które na mnie pada, światła, które prowadzi tego Mefistofelesa i każe mu mnie prześladować. Boję się, że jeśli skryję się przed nim w ciemności, już nigdy nie znajdę powrotnej drogi do ciepła tego blasku, w jakim skąpany jest wierzchołek góry.

– Mefistofeles. Znam skądś to imię. – Zmarszczyłem brwi. Amanda siedziała i patrzyła na mnie ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Jej podbródek drgał leciutko. – Mam wrażenie, że już je kiedyś słyszałem.

– Ja też. – Zaczęła stukać w klawisze komputera.

– Coś prześladowuje Adama, ale jemu się to w pewnym sensie podoba. A w każdym razie nic z tym nie robi – powiedziałem. Drugi kot wskoczył mi na kolana i zaczął walczyć o przestrzeń z pierwszym.

– Adamowi podoba się „ciepło” i „blask”, co moim zdaniem może być metaforą emocji, jakich Jake’owi dostarcza uzależnienie – odparła Amanda.

– No tak.

– W swojej ostatniej książce, *Powstanie*, pisze, że to coś, co za nim chodzi, jest już tak blisko, że jest pewny, iż wpadnie w jego objęcia. – Wskazała fragment w książce jedną ręką, podczas gdy drugą dalej przesuwała stronę Google w Internecie: „Sam jestem sobie winien. Flirtowałem z chwałą. A teraz zegar wybił godzinę i ta przyczajona bestia przyszła nagrodę odebrać swoją”.

– Znam to – powiedziałem. – Bestia, która przychodzi po niego, kiedy wybije godzina. Mefistofeles. To sztuka. Szekspira? *Doktor...*

– *Faust?*

– Tak! Facet zaprzedał swoją duszę! – zawołałem. Od czasów, kiedy byłem w szkole średniej, minęło jakieś dwadzieścia lat. Byłem dumny ze swojej pamięci.

– Mądrała z ciebie, co? – Amanda odwróciła do mnie ekran swojego komputera. – Spójrz na to. To nie Szekspir, to Christopher Marlowe. Ale byłeś blisko.

Na ekranie widniał artykuł naukowy opublikowany przez „Chrześcijański Dziennik Literacki”. Tytuł brzmiał: *Piekło to tylko stan umysłu: Tragiczna historia życia i śmierci doktora Fausta a proza Jake’a Scully’ego*.

– Ktoś powinien wydać mi certyfikat – oznajmiłem.

– Autor artykułu porównuje to coś, co łączy Adama, do diabła, który wrócił o północy, by zabrać duszę Fausta. – Amanda przebiegła artykuł wzrokiem. – Faust sprzedaje duszę Lucyferowi za władzę i światowe przyjemności, które mają trwać... dwadzieścia cztery lata. Posłaniec Lucyfera, Mefistofeles, ma być w tym czasie jego osobistym sługą. Ale Faust właściwie nie wykorzystuje swojej władzy do żadnych szczególnych celów. Zabawia się na całego. Anioł namawia go, by żałował za grzechy, zanim diabeł wróci po jego duszę, ale Faust tego nie robi. Czas się kończy.

– Chyba podobała mi się ta sztuka. – Koty usadowiły się wreszcie, jeden zwinięty na moim brzuchu, drugi w poprzek kolan, dwa miękkie tobołki ciepła.

– Artykuł sugeruje, że zarówno ta sztuka, jak i książki Jake’a zajmują się

tematem głupca, który nie wie tak naprawdę, jaką ma władzę; marnuje swój wpływ i dary, a prześladowuje go coś, co nadciąga powoli, żeby go zabrać. Faust i Adam, obaj są prześladowani.

– A może też sam Jake, jeśli dobrze to odczytujemy.

– Tu jest napisane, że istnieją dwie wersje tej sztuki – powiedziała Amanda. – Wersja z 1604 roku i z 1616. W jednej z nich jest powiedziane, że nigdy nie jest za późno na skruchę, jeśli Faust jest do niej zdolny. W drugiej, że nigdy nie jest za późno na skruchę, jeśli Faust istotnie będzie żałował.

– Więc w jednej wersji ma moc, by sam siebie ocalić. A w drugiej jej nie ma.

– Zgadza się.

– Więc która wersja dotyczy Jake'a? – zapytałem.

– Nie wiem. – Amanda wskazała mój telefon. – Zadzwońmy w parę miejsc i dowiedzmy się!

17

Gapiłem się na telefon przez jakąś godzinę. Próbowałem zmusić się, żeby zadzwonić, ale kilka razy stchórzyłem. W końcu wziąłem byka za rogi. Telefon dzwonił, a kiedy Davo odebrał, usłyszałem, jak głośno wypuścił powietrze nosem, zanim się odezwał. Kiedyś zawsze tak robił. Zwyczaj. Czułem się z tym dziwnie.

– Inspektor David Birch.

– Davo, mówi Ted.

Cisza. Usłyszałem skrzypnięcie krzesła.

– Przepraszam, kto?

– To ja. Ted. – Ledwie oddychałem. – Słuchaj, jestem w Queensland i dzwonię, bo...

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz, żeby do mnie dzwonić? – Dave nagle zniżył głos. Jego oddech charczał w telefonicznym mikrofonie. – Co do... Jak śmiesz. Ty śmierdzący draniu.

– Dave – powiedziałem. – Proszę, po prostu mnie wysłuchaj, dobrze? Potrzebuję twojej pomocy. Pracuję nad...

Połączenie zostało przerwane. Teraz musiałem zadzwonić do Morrisa, zanim Davo zdąży go zniechęcić do udzielania mi pomocy. Trzęsącymi się rękami przesuwałem listę kontaktów.

– Inspektor Morris Wakefield.

– Morris, mówi Ted. Proszę, nie rozłączaj się. Proszę. Nie szukam kontaktu.

– Co...

– Nie szukam kontaktu. Nie chcę wrócić do twojego życia. Nie zamierzam przysparzać żadnych problemów, Morris. Dzwoniłem już do Dave’a. Potrzebuję tylko drobnej przysługi.

Kolejna długa chwila ciszy, przerywanej tylko dźwiękami w tle. Czekałem na

kliknięcie i sygnał ciągły. Po kilku sekundach odważyłem się znowu odezwać.

– Pracuję z pewnym detektywem, tu, w Queensland – powiedziałem ostrożnie. – Przyjeliśmy sprawę zaginięcia pewnej osoby. Potrzebuję tylko szybkiego wglądu w konto bankowe tego gościa. To wszystko.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, Ted. Naprawdę.

– Rozumiem cię, absolutnie – wydyszałem. – Rozumiem. I aż do tej pory starałem się szanować twoją wolę.

– Pomogę ci, ten jeden raz. A potem nigdy, nigdy nie próbuj się ze mną kontaktować. Rozumiesz? Nigdy.

– Dziękuję. Dziękuję, Morris, ja...

– Jak on się nazywa?

– Jake Scully.

– Data urodzenia?

Podaliśmy mu ją. Otworzyłem usta, żeby jeszcze raz podziękować, ale połączenie zostało przerwane.

Kiedy powiedziałem Amandzie, że właścicielem tajemniczego konta, na które Jake tak często przysyłał pieniądze, jest Llewellyn J. Bruce, wcale nie była zaskoczona. Wskoczyła na rower i zaczęła pedałowac, jakby od początku wiedziała, dokąd jedziemy. Pojechałem za nią do doku na Thomatis Creek, gdzie załadowała się na płaską motorówkę, jakby była jej właścicielką, mnie pozostawiając uiszczenie opłaty za jej wynajem staremu, ogorzałemu mężczyźnie. Amanda usiadła z przodu, ja sterowałem. Najpierw wzdłuż rzeczki, aż wypłynęliśmy na otwarte wody. Patrzyłem, jak wiatr rozwiewa włosy Amandy i wzdyma jej koszulkę, ukazując wielką złotą różę wytatuowaną na karku. Od czasu do czasu pokazywała na wodę. Tłusty, brudnobrązowy kształt zsuwający się z brzegu. Zwierzę nieco sunęło z lekka wynurzone, tak że jego oczy błyskały nad powierzchnią wody. Kiedy się zbliżaliśmy, znowu zapadały się całkiem pod wodę i tylko bańki powietrza zdradzały jego obecność.

Przybiliśmy do innego doku, na południowy zachód od miejsca, z którego wyruszyliśmy, chyba niedaleko ujścia Yarrabah. Fale oceanu biły w rafę Reeg Island, zakłócając spokój mewom, które podrywały się co chwile z klifu chroniącego zatokę. Amanda zaczekała na mnie, po czym weszła w zarośla i tak

szybko ruszyła przed siebie, że musiałem podbiec, żeby ją dogonić.

– Więc znasz tego faceta, tak? – zapytałem.

– Słyszałam o nim – odparła. – Trzymaj się ścieżki. Jesteśmy w kraju krokodyli.

Szedłem za nią piaszczystą dróżką między krzewami, aż dotarliśmy do polany. Tam, gdzie w łódź wdzierała się laguna, stały dwa otwarte hangary na łodzi pełne najróżniejszych rupieci, kilka plastikowych stołów i krzeseł i wygasłe już ognisko, od którego ziemia szerniała w promieniu kilku kilometrów.

Piasek był szary, porośnięty tu i ówdzie smętnymi kępami trawy. Kilka psów rzuciło się do nas i szczekając, podprowadziło do grupy mężczyzn.

Od razu domyśliłem się, który z nich nazywa się Llewellyn Bruce. Inni, twardziele o skórze pokrytej starymi, czarnymi i niebieskimi tatuażami, odsunęli się, żeby mógł nas zobaczyć. Bruce, największy i najbardziej wytatuowany z nich wszystkich, oblizał usta pełne krzywych zębów i obrzucił nas oceniającym spojrzeniem.

– Byliście umówieni? – spytał, kiedy Amanda zatrzymała się przed nim. Mężczyźni wokół niego zarechotali. Amanda wyciągnęła rękę, a Bruce, ruchem, który mnie zaskoczył, ujął ją i uściśnął. Chyba chodziło o tatuaże.

– Jestem Amanda Pharrell, a to jest Ted Collins – przedstawiła nas Amanda. – Jesteśmy tu, żeby chwilę porozmawiać o...

– Narkotykach – rzucił Bruce, celując palcem w twarz Amandy.

– Nie.

– Psach – powiedział ktoś obok mnie.

Pokręciłem głową.

– Rowerach – mruknął ktoś inny.

– Chodzi o Jake'a Scully'ego – powiedziałem do Bruce'a. Jego twarz obwisła, biała bródka zapadła się w bruzdy ogorzałej skóry.

– Och. A więc to nic interesującego. – Ruszył przed siebie. Tłumek się rozszedł. Większość mężczyzn odeszła w stronę częściowo rozmontowanego motocykla przy bliższej z dwóch szop. My poszliśmy za Bruce'em do prowizorycznego baru przy ognisku. – Nuda, nuda, nuda. Nikt nie jest już w stanie mnie zaskoczyć. I nagle goście. Już myślałem, że chłopcy pamiętali o moich urodzinach i przysłali striptizerkę. Powinienem się domyślić, że nie jesteś striptizerką. Wystarczy spojrzeć na te malutkie cycki.

Amanda spojrzała na swoją klatkę piersiową i zważyła piersi w dłoniach.

– Są w porządku. Jest co wziąć do ręki.

– Rodzynki. – Bruce westchnął.

– Czy możemy wrócić do tematu? – spytałem. – Wiemy, że Jake Scully robił panu przelewy ze swojego rachunku bieżącego, zapewne spłacając jakąś pożyczkę. Czy może pan potwierdzić, że pożyczył mu pan pieniądze?

– Nie – odparł Bruce. Wyjął zza baru wielki myśliwski nóż i zaczął wycierać go brudną szmatą.

– Więc nie pożyczył mu pan pieniędzy?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem tylko, że tego nie potwierdzę. A tak w ogóle to kim jesteście?

– Wynajęła nas żona Jake'a – wyjaśniła Amanda. – Jesteśmy prywatnymi detektywami.

– Jasne – mruknął Bruce i spojrzał na nóż w świetle przesianym przez palmowe liście. – Myślicie, że możecie sobie tu przyplłynąć, ot tak, i zapukać do moich drzwi, kiedy wam się podoba? Myślicie, że co to jest?

– Nie ma pan drzwi – zauważyła Amanda.

– Proszę posłuchać, nie interesuje nas, co to jest. – Odsunąłem Amandę na bok, poza zasięg ostrza. – Jake zaginął, i to jest nasz problem. Mamy po prostu nadzieję, że rzuci pan nieco światła na tę sprawę.

– Rzuci nieco światła? – Bruce wycelował czubek noża w moją pierś. – Jesteś gliniarzem.

– Kiedyś byłem. – Przełknąłem ślinę. – Większość prywatnych detektywów ma jakąś policyjną przeszłość.

– Wyglądasz jakoś znajomo. – Obrócił nóż kilka razy w dłoni. Był wyższy ode mnie. Gdybym próbował uciekać, pewnie by mnie dogonił. – Jesteś gliniarzem i wydajesz się znajomy. To wszystko coraz gorzej wam wróży.

– Jeśli powie nam pan to, co chcemy wiedzieć, zabierzemy się stąd. Nie przyszlismy tu, żeby robić panu kłopoty.

– Uch – burknął Bruce. Wsadził nóż za pas i spojrzał na psy, które zebrały się wokół niego i obwąchiwały jego spękane kolana.

Poszedł w stronę zarośli, a za nim stadko psów. Zostałem z tyłu, zerkając przez ramię na obozowisko. Mężczyźni siedzieli wokół motocykla, palili, pili piwo.

Piaszczysta ścieżka prowadziła głęboko w zarośla, rozszerzając się przy drewnianym pływającym pomoście obok strumienia. Bruce stał przez chwilę pośród psów, po czym schylił się złapał najniższego i najgrubszego z nich, brązowego kundla, mocno już posiwiatego. Zanim zdążyłem pojąć, co się dzieje, wyjął nóż z za pasa i wbił go w psa. Poczułem, jak Amanda stojąca obok mnie, drgnęła. Ale nikt nie wydał żadnego dźwięku. Ani my, ani psy. Ani Bruce. Schwytany pies natychmiast opadł bezwładnie.

– Pod pachę i prosto w serce – powiedział, wyciągając ostrze. Wytarł krew o psa.
– Tak najłatwiej.

Amanda wbiła mi łokieć pod żebra. W wodzie, kilka centymetrów pod jej powierzchnią, pojawił się jakiś kształt. Jasna, niemal żółtobrązowa głowa krokodyla, połyskująca w słońcu. Trudno było powiedzieć, jak duży był gad, bo przesłaniała go błotnista woda, ale jego łeb był długi jak moje ramię. Pociągnąłem Amandę do tyłu. Gdyby zwierzę rzuciło się w naszą stronę, musiałbym odepchnąć ją na bok.

– Należał do jednego starego farmera, tak to jest w Yarrabah – powiedział Bruce.
– Starzy chłopcy nie są w stanie tego zrobić. Nie mogą znieść ich oczu. Więc przyprowadzają je tutaj. Nie mam nic przeciw temu.

Odwrócił psa w taki sposób, że teraz widzieliśmy jego profil. Zobaczyłem wielki guz zwieszający się z tysego brzucha, wrastający w pachwinę. Bruce cisnął psa do wody. Krokodyl się nie poruszył. Ciało psa unosiło się na powierzchni, niemal nad wielkim gadem, nieruchomym jak głaz.

– Czasami trwa to chwilę, zanim poczują krew – mruknął Bruce, obserwując krokodyla pod dryfującym trupem. – To dinozaury, te zwierzęta.

Nagły ruch, skok, plusk – otwarte białe szczęki zacisnęły się na psie. Reszta psów na brzegu zaczęła szczekać i warczeć. W wodę uderzył gruby ogon, a potem jej powierzchnia wygładziła się, wszelkie oznaki brutalnej akcji, która odbywała się głębi, zniknęły. Zapanował spokój.

– Jake Scully został zabity przez krokodyla – odezwała się Amanda.

Bruce wsadził ręce do kieszeni. Pasma siwych włosów opadło mu na oczy.

– Tak? Cóż, ja w tym nie pomagałem. Zajmuję się psami i lisami, jeśli uda mi się któregoś dorwać. Lisy to wredne dranie. Wystraszą na śmierć cały kurnik, jeśli nie uda im się przejść przez druty. Stoją i szczekają tak długo, aż wszystkie kury padną

z przerażenia. Co za okrucieństwo.

Spojrzałem na bąbelki unoszące się na wodzie. Psy przyglądały się temu w milczeniu.

– Czy policja była tu, żeby z panem porozmawiać?

– Owszem.

– Czemu nam pan tego nie powiedział?

– Bo nie pytaliście.

– Więc już jest pan podejrzany.

– Synu. Ostatni raz, kiedy byłem o coś podejrzewany, był rok 1952.

Zapadła cisza. Wiatr szumiał w gałęziach lasu nad nami.

– Dawno temu – ciągnął Bruce – ludzie mówili, że miałem coś wspólnego ze zniknięciem paru chłopaków, co to sprawiali wiele problemów tu i tam, w okolicy wysypiska śmieci w Wetlands. Może to i prawda. Ale to przeszłość. Nie mam już w sobie takiego gniewu jak dawniej. To nie takie terapeutyczne.

– Więc co robi pan teraz, kiedy klienci przestają płacić?

– Nie przestają.

– Co? – prychnąłem. – Nigdy?

– Ponieważ w przeszłości pozwoliłem zbyt wielu kiepskim klientom zapoznać się z pięknem natury – uśmiechnął się, obejmując gestem zarośla wokół nas, pełne śmiercionośnych bestii – teraz nie muszę tego robić. Tak właśnie działa plan emerytalny, mój młody przyjacielu. Pracujesz ciężko za młodu, żebyś mógł siedzieć i uśmiechać się, kiedy zaczynają ci wypadać włosy na jajach.

Chwycił się za krocze i potrząsnął nim mocno. Amanda wybuchnęła śmiechem.

– Pieprzony gnojek – powiedziała Amanda, wchodząc z powrotem do motorówki.

Wskoczyłem za nią i zobaczyłem, że psy wracają w głąb łądu. Najwyraźniej uznały, że się zabieramy. Nie wydawały się ani trochę zaniepokojone faktem, że jednego właśnie ubyło. Byłem ciekaw, czy są dość inteligentne, dość wrażliwe, by w ogóle zastanawiać się, który będzie następny.

– Mówisz gnojek takim tonem, jakby to było coś dobrego – powiedziałem.

– Bo jest.

– Facet na naszych oczach zabił psa.

– To był akt łaski – odparła. – Widziałeś, jak biedak się poruszał. Musiał cierpieć.

– Więc powinien zabrać go do weterynarza i uśpić. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby zrobił to właściciel.

– Ostatnio byłam u weterynarza, kiedy musiał obejrzeć tyłek Szóstki. Miała robaki. Tabletki na robaki kosztowały dwanaście dolców. Badanie, które trwało trzy minuty, kosztowało osiemdziesiąt.

Płynęliśmy z powrotem wzdłuż zarośli, starając się przeniknąć je wzrokiem, ale nic nie było widać. Amanda usiadła bliżej, używając mnie jako zasłony od wiatru, który przybrał na sile i wznosił coraz wyższe fale.

– Więc co o tym sądzisz? – spytałem. – Warto iść jego tropem? Jego modus operandi jest dokładnie taki, jakiego szukamy.

– Nie sądzę, żeby to był on! – zawołała Amanda, przekrzykując wiatr. – To człowiek, który nie traci czasu. Praktyczny do bólu. Minimalny wysiłek to jego motto. Pies nie cierpiał. Nie wydał nawet dźwięku i pewnie nie wiedział nawet, co się dzieje.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że jeśli mamy rację co do ksiązek Jake’a i mroku, który za nim podążał, musieliśmy się pomylić się co do Llewellyna. On nie prześladowałby Jake’a. Nie próbowałby go nastraszyć. Byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że opuścił tę polankę choć raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

– Cóż, nie zgadzam się z tym. Mnie on do tego pasuje. – Wzruszyłem ramionami. – Myślę, że wiele na niego wskazuje. Pieniądze. Sposób zadania śmierci. Lichwiarze zawsze działają przez strach, to naturalne. Bruce może nie jest typem prześladowcy, który depcze komuś po piętach, ale to nie znaczy, że Jake nie czuł się prześladowany i śledzony. Może wystarczyły pogrożki. Może źle rozumiemy jego książki, nie doceniamy wagi tego, co właśnie pokazał nam Bruce.

– Możesz iść tym tropem, jeśli chcesz. – Amanda machnęła ręką. – Możesz poświęcić na to całe popołudnie. Ja nie zamierzam marnować czasu.

Spojrzałem przez ramię na nadciągający deszcz. Kilku Aborygenów stało po pas w wodzie, bez lęku, tuż przy ujściu rzeczki. Podnosili sieci z błotnistego dna. Znieruchomieli, kiedy ich mijaliśmy. Woda przybrała barwę ciemnej, szarej stali, upstrzonej białymi kroplami deszczu, który ciągnął za nami w górę rzeki.

18

Bylem zły. Przebiegły i podstępny. Po prostu zły.

Nie zostawiłem Amandy na przystani, żeby przez resztę popołudnia zgłębiać Llewellyna Bruce'a i jego związek z Jakiem. Pojechałem prosto do domu, usiadłem przed zbrukaną czerwono fasadą i czytałem *Morderstwo w Top End*. Tak rozpaczliwie chciałem wrócić do sprawy Amandy, że nie czekałem nawet, aż wysiądę z samochodu. Wiedziałem, że jako partner jestem do niczego, ale nie mogłem przestać myśleć o tej książce. Siedziałem powyżej Amandy przy sterze motorówki i patrzyłem na jej podniesione na mnie, wielkie jak u lalki oczy, na jej kolorowe dłonie trzymające się sznurowych relingów po obu stronach, tak że prawie na nich wisiała. Wyglądała jak mała syrena, na przejażdżce rybacką łodzią. Wielobarwne wzory i kształty na jej skórze sprawiały, że wydawała się dziwnie nierealna. Malowana, jadowita żaba.

Czy była potworem?

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, pojechałem na Kissing Point, zarośnięty parking w połowie drogi na szczyt górujący nad Crimson Lake. Zbocza porastał bujny, wilgotny las tropikalny. Zaparkowałem w miejscu, gdzie łuszczyły się plamy żółtej farby, i spojrzałem w mgłę, która opadała właśnie na miasteczko. Rzeka wiała się przez pola żółtej trzciny, ciągnące się aż po mangrowce i dalej, aż po ocean. Książka prowadziła mnie jak głos, gdy wracałem w stronę wąskiej drogi, trzymając ją w ręce. Przeszedłem przez drogę i szedłem w dół zbocza, aż znalazłem zarośniętą boczną drogę, która prowadziła w ciemność.

„Na małej polance, mniej więcej sto metrów od głównej drogi prowadzącej w dół zbocza, piękna i lubiana Lauren Freeman, lat siedemnaście, zaparkowała, tyłem do drogi, swojego hyundaia sonatę z 1989 roku. Obok niej, na siedzeniu pasażera, siedziała Amanda Pharrell, którą Freeman wzięła tego popołudnia spod

szoły. Prawdopodobnie dziewczyny wypity butelkę wiśniówki Vodka Cruiser o objętości dwieście siedemdziesiąt pięć mililitrów każda. Jak wykazały wyciągi z konta bankowego, wódkę nabył poprzedniego wieczora kuzyn Freeman, dla swojej niepełnoletniej kuzynki. Autopsja wykazała zawartość alkoholu we krwi Freeman na poziomie dwóch dziesiątych w chwili śmierci.

Na tylnym siedzeniu samochodu leżała reklamówka ze sklepu Myer w Cairns, zaklejona taśmą. W środku znajdował się złożony wełniany koc. W samochodzie było rozrzuconych wiele rzeczy, jakich można się spodziewać w pojeździe należącym do nastolatki: tusz do rzęs firmy Rimmel, opakowania po fast foodach, kilka rachunków i stary czarny sweter.

Podczas procesu Amanda przyznała, że obie z Freeman siedziały w samochodzie mniej więcej przez dwadzieścia minut do pół godziny. Wkrótce po tym, jak z niego wyszły, przeszła do ataku. Właśnie zaczął padać lekki deszcz. Amanda wyjęła nóż i wbiła go w plecy Lauren, zadając pierwszy z dziewięciu ciosów. Potem rozebrała się, zostawiając ubranie przy...”

Przerwałem czytanie. Potem rozebrała się? Przerzuciłem kartki, żeby obejrzyć zdjęcia, i spojrzałem na stertę ubrań, którą policja znalazła w krzakach kilka metrów od samochodu. Dżinsy Amandy, podkoszulka, stanik, majtki, skarpetki i buty.

Gdyby Amanda uderzyła Lauren nożem dziewięć razy, jej ubranie byłoby przesiąknięte krwią. Podkoszulka, rozciągnięta na laboratoryjnym stole ze stali nierdzewnej, w części zdjęciowej ze zdjęciami „na wyłączność”, była nieskazitelnie czysta. Autorka napisała, że krew została zmyta z ubrania Amandy przez deszcz.

Ale ubrania leżały na kupce, jedno na drugim. Istotnie, część krwi, jeśli krew opryskała te rzeczy, mogła zostać zmyta przez deszcz. Ale krew znajdująca się głębiej, w zagięciach tkaniny, pod innymi ubraniami, już nie. Musiałyby zachować się jakieś ślady, nawet jeśli deszcz przemoczył ubrania. Moim zdaniem Amanda zdołałaby ochronić swoje ubranie przed zabrudzeniem krwią, gdyby zdjęła je przed atakiem.

Co więc robiła Lauren, podczas gdy Amanda rozbierała się przed nią do naga, kiedy ona była kompletnie ubrana?

I co z torbą od Myera, leżącą na tylnym siedzeniu? Dlaczego była zaklejona

taśmą?

Skąd wziął się nóż? I co się z nim stało po morderstwie?

„Nikt spośród uczestników imprezy w Kissing Point nie zeznał, że widział morderstwo lub słyszał, jak Lauren wzywała pomocy. Muzyka była zbyt głośna, dzieciaki uprawiające sport, te z teatru i cała niemal szkolna grupa taneczna zbyt dobrze się bawiły, żeby usłyszeć krzyki agonii niesione przez wiatr. Amanda Pharrell rzuciła ubranie i stała, naga i drżąca, w deszczu tak długo, aż deszcz zmył krew z jej skóry. Potem, przy dźwiękach muzyki, weszła do bagażnika samochodu i zatrzaskała klapę, zamykając się w ciemności.”

W książce było zdjęcie nagiej nastoletniej Amandy w samochodowym bagażniku, zrobione tuż po tym, jak ją odnaleziono. Mrużyła oczy i podnosiła rękę, by zasłonić się przed porannym słońcem. Nie dostrzegłem na jej skórze żadnych sińców ani innych obrażeń.

Usiadłem na trawie i zamknąłem oczy. Książka opadła mi na kolana.

„Piękna i lubiana Lauren Freeman.

Dziewięć ran od noża, które Amanda zadała przyjaciółce”.

Przerzuciłem kilka kartek, żeby spojrzeć na zdjęcie Lauren Freeman. Rzeczywiście była bardzo piękna. Wyzłocona słońcem skóra, białe zęby, wysokie kości policzkowe, świadczące o długiej linii urodziwych przodków. Na zdjęciu stała na klifie, wpatrzona w horyzont, z roztargnieniem muskając palcami żółtą sierść labradora stojącego u jej boku. Ładna dziewczyna u progu wspaniałego, pełnego sukcesów życia. Była dobre czterdzieści centymetrów wyższa od Amandy.

Co ta pączkująca królowa piękności robiła z niedostosowaną społecznie Amandą Pharrell? Jeśli historie o Amandzie piekającej żywcem myszy i dostającej ataków wściekłości w klasie były prawdziwe, Lauren nie powinna znaleźć się z nią w tym samochodzie. Amanda nie mogła być przerażającym odmieńcem, jakiego opisywali jej rówieśnicy ze szkoły, i jednocześnie należeć do klasowej elity.

Ktoś tu kłamał.

Wysłałem maila do autorki *Morderstwa w Top End*, Eleanor Chapman, poprosiłem, żeby do mnie zadzwoniła, i pojechałem do domu nakarmić gęsi. Kiedy były już bezpiecznie zamknięte na noc w łazience na tyłach, wyszedłem, żeby poszukać baru. Coraz bardziej bałem się zostawiać gęsi na zdecydowanie

niebezpiecznym ganku na tyłach domu, kiedy opuszczałem dom. Mogły spać tam, kiedy byłem obok, ale uznałem, że gdyby ktoś obszedł dom, żeby wyrządzić jakiejś szkody, w łazience będą bezpieczniejsze.

Gąsięta przypominały mi o mojej córce w Sydney. Czy ludzie z mojego powodu znęcają się nad Kelly? Czy fakt, że się ze mną rozwiodła, okazał się wystarczającym gestem, by utrzymać mścicieli z daleka?

Powiedziałem sobie, że chcę chronić gęsi i tyle. Nie miałem zamiaru zamartwiać się rzeczami, na które i tak nie miałem wpływu. Kelly od trzech miesięcy nie odbierała ode mnie telefonów. Nie mogłem zadzwonić i spytać, czy są bezpieczne. Dziwne – miałem nadzieję, że znalazła sobie mężczyznę, nowego partnera czy chłopaka, kogoś, kto ją pocieszał podczas długich miesięcy po moim aresztowaniu. Potem wyśmiałem swój sposób myślenia. Widać, że już całkowicie porzuciłem nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze będziemy razem. Zacząłem instalować w jej życiu ochroniarzy w stylu macho.

W drodze do Crimson Lake dostałem dziwny esemes. Od Amandy. Nigdy wcześniej do mnie nie pisała. Brzmiał: „Zamykać luki, idzie deszcz!”

Zmarszczyłem brwi. Kolejne dziwactwo. Istotnie padało coraz mocniej, znad drogi unosiła się para. Na wszelki wypadek wysłałem w odpowiedzi uśmiechniętą buźkę i wysiadłem przed barem na rogu, naprzeciw jej biura. Zanim wszedłem do baru, rzuciłem okiem na witrynę kiosku, szukając jakichś informacji na swój temat. Przy drzwiach było małe ogłoszenie, z kilkoma, ręcznie narysowanymi serduszkami.

Pamięci stałej klientki, Teresy Miller, której nam bardzo brakuje.

W Merke's było więcej ludzi, niż się spodziewałem. Grupki Aborygenów tłoczyły się w drewnianych boksach pod ścianami, kilku mężczyzn grało w piłkarzyki. Na moment ogarnął mnie strach, że mogę spotkać tu Damforda i Henchę, ale rozejrzałem się szybko i odkryłem, że jestem bezpieczny. Podeszedłem do baru i usiadłem na stołku.

Nawet nie spojrzałem na barmana. Ciągle patrzyłem na dziwną wiadomość od Amandy. Poprosiłem o piwo i podniosłem wzrok, dopiero kiedy uświadomiłem sobie, że mężczyzna za barem się nie poruszył.

Był to starszy już człowiek o twardym wyrazie twarzy. Miał pomarszczone palce, wilgotne od piwnej piany i mokrej ściereczki, przewieszanej przez ramię. Po

prostu patrzył na mnie. Klient przy barze też się na mnie gapił.

– Tylko Carlton, proszę – powtórzyłem, bo uznałem, że musiał mnie nie usłyszeć. Żaden z mężczyzn się nie poruszył. Cisza i bezruch za barem, jak zawsze to jest z kłopotami, zaczynały powoli przyciągać uwagę innych. Jak gwizdek na psa, rozlegający się w całym tym zatłoczonym pomieszczeniu. Natychmiast zaczęła mnie palić twarz. Wiedzieli, kim jestem.

Byłem bliski zwymiotowania. Wyszedłem szybko i wróciłem do samochodu. Mdłości narastały. Odnalazłem kluczyki, upuściłem je, podniosłem. Nie byłem przygotowany na to, że znowu zostanę rozpoznany.

– Pieprzony dureń – piekliłem się na siebie. – Pieprzony dureń.

Coraz więcej ludzi w Crimson Lake wiedziało, że przebywam w ich mieście. Powinienem o tym pamiętać. Ktoś taki jak brutalny gwałciciel dzieci nie ukryje się na długo w tak małym miasteczku. Ci ludzie żyją plotkami.

Ruszyłem do Holloways Beach, pobliskiego turystycznego kurortu. Po spotkaniu w barze w Crimson Lake byłem roztrzęsiony, ale odezwała się też we mnie nowa determinacja, której nie mogłem zignorować. Wyzwanie rzucone szeptem z jakiegoś ogarniętego buntem zakątka umysłu: *Jeśli nie możesz znaleźć miejsca, w którym podadzą ci piwo, skąd wiesz, że znajdziesz takie, gdzie dostaniesz jeść? A jeśli ludzie przestaną ci sprzedawać benzynę, Ted? Jeśli którejś nocy zadzwonisz po karetkę, a ona nie przyjedzie?*

To piwo stało się symbolem moich szans na przetrwanie. Tak przynajmniej myślałem, siedząc w ciemnym samochodzie, na pustym odcinku drogi. Na horyzoncie pokazały się palmy; wjechałem w senne miasteczko z mocno zaciśniętymi zębami.

Wkroczyłem do pierwszego baru i zamówiłem piwo z ledwie hamowaną wściekłością boksera, który właśnie szykuje się do drugiej rundy. Dziewczyna za barem zaczęła je nalewać, kompletnie nieświadoma sprawy. Nawet uśmiechnęła się do mnie, oddając mi resztę. Poszedłem, dysząc, do boksu w najciemniejszym kącie i zacząłem chciwie pić. Smak mojego małego zwycięstwa zepsuła Fabiana Grisham, która wślizgnęła się na siedzenie po drugiej stronie stolika.

– Masz trzymać się ode mnie z daleka – powiedziałem.

– Doktor Valerie Gratteur z pewnością bardzo cię lubi – odparła, przysuwając sobie podstawkę. Postawiła na niej kieliszek wina. – Nie powiedziała mi absolutnie

nic.

– Prawdopodobnie wiedziała, że marnuje swój czas.

– Nie sądzę – stwierdziła Fabiana. Patrzyła na mnie z większą aprobatą niż tamtego ranka, kiedy pojawiła się pod moim domem. Może coś osłabiło jej postanowienie, by mnie prześladować. Nie wiedziałem ani o to nie dbałem – miałem tylu sojuszników, ilu potrzebowałem; było mnie stać, żeby tego jednego odrzucić.

– Śledzisz mnie? – zapytałem. – Oskarżę cię o molestowanie, jeśli będę do tego zmuszony.

– To mała okolica, Ted. Nie ma tu wielu barów, a zaczęła się pora na drinka.

Na ekraniku mojego telefonu pojawiła się kolejna wiadomość. Amanda. „Wiesz, kocie futerko to luksus dla samotnych”.

„Gdzie jesteś?”, odpisałem.

– Podczas przesłuchań na policji Claire Bingley powiedziała śledczym, że mężczyzna, który ją zaatakował, był policjantem – rzuciła nagle Fabiana, odkładając na bok formalności. – Chciałbyś może powiedzieć coś na ten temat, Ted?

– Nie chcę omawiać z tobą swojej sprawy, Fabiano.

– Proszę, mów mi Fab.

Wypuściłem powietrze przez zaciśnięte zęby i napiłem się piwa. Zapadła niezręczna cisza, Fabiana czekała, aż zacznę się bronić, a ja próbowałem powstrzymać się przed zrobieniem tego, czego oczekiwała.

– Dlaczego tak powiedziała? – ciągnęła Fabiana. – Nie mogła się domyślić, że jesteś policjantem, z twojego zdjęcia, a kiedy ją porwałeś, nie miałeś na sobie munduru.

– Claire mówiła różne dziwne rzeczy podczas tych przesłuchań – poddałem się.

– Niewiele z tego, co mówiła, miało jakiś sens. Jeśli widziałaś nagrania, a nie zmontowane transkrypcje drukowane przez media, powinnaś o tym wiedzieć.

Zmusili mnie do oglądania nagrań z Claire Bingley, moją domniemaną ofiarą, na sali sądowej, przy ławie przysięgłych. Znałem je już i nie chciałem ich znowu oglądać. Claire była cieniem małej dziewczynki, którą dostrzegłem w przelocie tamtego strasznego dnia na poboczu drogi. Taśma została nagrana wkrótce po wyjściu Claire ze szpitala, więc twarz miała bardzo posiniaczoną. Jej oczy mrugały

i rozglądały się nerwowo po pomieszczeniu, jakby wodziła nimi za ćmami miotającymi się pod sufitem. Był to objaw stresu pourazowego, jak oświadczył prokurator. Miała też nocne koszmary i zaburzenia łaknienia. Prawie nie spojrzała na zbiór leżących przed nią zdjęć, wśród których było też moje. Kiedy się odzywała, mówiła bardzo szybko, niemal szeptem:

„Tam... głęboko, w ciemność. Ciemność. On... zabiera mnie w ciemność. Nie mogę. Nie. Mamo, mamó, tam jest biały pies. Pani Anderson. Nie mogę... W te... tylko nie zapomnij pracy domowej... w ciemność, jest tam policjant, zabiera mnie...”

„Co powiedziałaś?” Mężczyzna przesłuchujący Claire uchwycił się tego słowa. „Powiedziałaś «policjant»?”

Pani Anderson była nauczycielką Claire. Przesłuchanie dziewczynki na policji, prowadzone przez zespół specjalistów od traumy dziecięcej, polegało na chwytaniu się urwanych myśli przemykających przez rozbity mózg. Dzień w szkole. Śniadanie tego ranka. Jakieś uwagi bez związku, o motylach, psach, kolorach. Od czasu do czasu dziewczynka przytomniała; wtedy jej oczy nieruchomiały na kilka sekund. Zaraz potem wybuchała płaczem i rzucała się w ramiona matki, które siedziała obok.

Czasami Claire powtarzała to, co mówili ludzie wokół niej. Na nagraniu, odtwarzanym ciągle od nowa przez oskarżenie, Claire naśladuje przesłuchującego. Mówi szybko, niewyraźnie:

Powiedziałaś, że to policjant?

Powiedziałaś, że to policjant?

Powiedziałaś, że to policjant?

W końcu straciłem panowanie nad sobą i po trzech godzinach oglądania tych nagrań zacząłem płakać. Zdjęcia, na których trzymam się rękami za głowę, były następnego dnia na okładce „Heralda” pod nagłówkiem KROKODYLE ŁZY.

– Więc tak naprawdę nie masz odpowiedzi na to, dlaczego tak powiedziała, Ted?
– spytała mnie teraz Fabiana.

– Czy to możliwe, że mówiła o policjancie, który ją przesłuchiwał? Tym, który wtedy był przy niej, w mundurze, już od kilku dni? Czy to możliwe, że w pewnej chwili, podczas wielu godzin przesłuchania, które nie były nagrywane, ktoś wprost zapytał ją, czy mężczyzna, który jej to zrobił, był policjantem? Czy to możliwe, że

podśluchiwała rozmowę rodziców, którzy rozmawiali o mnie ze śledczymi, i może usłyszała, że jestem policjantem?

– Nie wiem. – Fabiana wzruszyła ramionami.

– Ja też nie wiem. Nie wiem, o czym mówiła, do diabła. Wiem tylko, że nie mówiła o mnie, gdy mówiła o swoim gwałcicielu. Ponieważ nie ja nim jestem.

Fabiana siedziała i patrzyła na mnie, obracając kieliszek na blacie stolika.

– Wybrała twoje zdjęcie spośród innych.

– Tak. To prawda. Bo widziała mnie tamtego dnia – warknąłem. – Nie wiem, ile razy już to mówiłem. Claire widziała mnie tamtego dnia, na skraju drogi. Nigdy temu nie zaprzeczałem – westchnąłem. Twarz mnie paliła. – Nie zrobiłem tego – powiedziałem. – Rzygać mi się chce, od powtarzania tych słów.

Fabiana odchyliła się i oparła. Ja odwróciłem się w stronę baru. Na szczęście nie przyciągnęliśmy jeszcze niczyjej uwagi, nie zamierzałem jednak czekać, aż to się stanie. Dopiliśmy piwo.

– Jesteś bardzo przekonujący – powiedziała cicho Fabiana. – To, jak o tym mówisz. Robisz to bardzo przekonująco.

– To świetnie – rzuciłem. Odstawiłem z hukiem szklankę po piwie na stolik i wyszedłem.

Kiedy już w samochodzie znowu spojrzałem na telefon, okazało się, że Amanda przysłała mi więcej wiadomości. Więcej bezsensownych bzdur. Zadzwoiłem do niej. W tle panował hałas, a kiedy ją usłyszałem, już coś mówiła.

– Nie, nie, zamknij się! To mój partner. Ted? Ted! Teddy! Och, chyba nie powinnam cię tak nazywać. Tylko Stella nazywa cię Teddy.

– Co? – Byłem wściekły, uświadomiłem sobie, że zgrzytam zębami. Ugryzłem się we wnętrze policzka. – O czym ty mówisz? Gdzie jesteś?

– Przyjedź do O'Tooles, Ted! – zawołała. – Tu jest super!

O'Tooles był barem na południe od Uniwersytetu Jamesa Cooka przy Captain Cook Highway, w którym lubili przesiadywać studenci. Ale nie normalni studenci; to było miejsce dla ćpunów i takich, którzy rzucili studia. Stoliki były wolne od notatników i notebooków, a ściany od ogłoszeń o podręcznikach. Wszedłem do środka; spojrzało na mnie kilka osób z obsługi i dwie dziewczyny, które grały na blacie w uno. Przy końcu wielkiej sali stało kilka stołów bilardowych, poszedłem

w tamtą stronę, słysząc głośny śmiech. Przystanąłem i przez chwilę patrzyłem w osłupieniu na Amandę.

W jakiś sposób przeistoczyła się w marzenie każdego nastolatka. Niezgrabne ciuchy, które nosiła na co dzień, znikły, a jej drobne, smukłe ciało otulała ciasno granatowa sukienka, krótka i wydekoltowana; tuż przy brzegach ciemnego materiału zaczynały się wytatuowane kolorowo wróżki, kusicielki i królowe, które pochłonęły już niemal całą powierzchnię ud Amandy. Nie widziałem wcześniej jej nóg, ale były twarde od ciągłej jazdy na rowerze, a łydki wydawały się napięte, bo miała na sobie bardzo wysokie srebrne szpilki, które prezentowałyby się równie dobrze na czerwonym dywanie jak w klubie ze striptizem. Wyraźnie próbowała okiełznać jakoś swoje dzikie czarne włosy, ale niesforne loki wiły się i kręciły za jej uszami i na karku.

Była piękna. Piękna w sposób, który sprawił, że natychmiast zacząłem się mieć na baczności. Wszyscy wokół niej, młodzi mężczyźni, stali i patrzyli, jak pochyłona nad stołem składała się do trudnego strzału. Była doświadczonym graczem. Tłumek krzyczał i wiwatował, ale było oczywiste, że ich zachwyt tylko częściowo dotyczył jej umiejętności; w dużej mierze dotyczył faktu, że w ogóle tu była, ta mała rozkoszna tajemnicza istota, która nagle pojawiła się w ich świecie.

Ktoś pociągnął mnie za ramię. Przy barze obok też siedziało wielu mężczyzn, którzy odwrócili się na swoich stołkach i obserwowali grupę przy stole bilardowym.

– Człowieku, wiesz, kim jest ta laseczka? – spytał jakiś dzieciak.

– Co?

– To jest Amanda Pharrell, chłopie – poinformował mnie chłopak, nachylając się do mnie konspiracyjnie. – Zamordowała jedną dziewczynę.

– Odcięła jej głowę – dorzucił inny, wykonując gest dłonią w poprzek swojej szyi. – To wariatka, człowieku.

Miałem dość. Podszedłem do stołu i chwyciłem kij Amandy, zanim zdążyła złożyć się do następnego strzału.

– Ted! – zawołała; jej oczy były wielkie i jakby nieprzytomne, kiedy je na mnie podniosła. – Jesteś!

– I właśnie wychodzimy – powiedziałem.

– Nie, nie, zostań, Ted. Zostań. Poznaj moich nowych kumpli. To jest Johnno,

i Bradley, i Mickey...

Wzięła jedną z trzech szklanek, które stały na krawędzi stołu. Te młode hieny postawiły jej, dosłownie, kolejkę drinków. Chwyciłem ją za ramię; potknęła się i wpadła na mnie. Ten, który nazywał się Mickey, opalony chłopak o wyglądzie surfera, bez przekonania pchnął mnie w pierś. Wiedział, że jeśli mu przyłożę, będzie po nim, więc szybko cofnął się poza zasięg mojego ramienia.

– Schrzaniaj stąd, człowieku. Zostaw ją w spokoju.

– Sama zdecyduje, czy wychodzi, czy nie – dodał inny z drwiącym uśmiechem.

– To nie jest portal czwartej fali feminizmu, chłopcy – rzuciłem. – Cofnąć się, kurwa.

– To mój partner! Mój kumpel!

– Chodź. – Pociągnąłem Amandę za sobą. – Pożegnaj się ze wszystkimi.

– Żegnajcie, wszyscy! – wrzasnęła Amanda.

W słabym świetle na parkingu zobaczyłem, jak bardzo była pijana. Zastanawiałem się, czy ktoś nie dosypywał jej czegoś do drinków. Zatrzymała się i złapała za swoje wysokie obcasy, jakby chciała je zdjąć, ale zmieniła zdanie i potknęła się. Mówiła coś szybko i bez sensu. Traciła wątek.

– W tym zakładzie w Brisbane była taka dziewczyna... nazywała się Manni – mówiła. – Byłyśmy... jak para... Bo ona była Manni, a ja Mandy... a nasze prycze... my...

Potknęła się znowu. Chciałem objąć ją ramieniem, ale kiedy tylko jej dotknąłem, skuliła się w sobie i odtrąciła mnie.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła. – Takie są zasady.

– Nic ci nie jest? – zapytałem. – Może zatrzymasz się i zdejmiesz buty?

– Musisz przestrzegać... zasad. Przeczytaj umowę. To, co jest drobnym drukiem.

Zatrzymałem się i patrzyłem, jak znowu sięgała do butów. Straciła równowagę; złapałem ją, zanim runęła na żwir. Wziąłem ją na ręce jak dziecko.

– Co za historia – powiedziałem.

– Hi, hi, historia – wymruczała w moją szyję.

Samochód został przy drodze tuż za parkingiem. Podniosłem Amandę wyżej, otworzyłem drzwiczki od strony pasażera i delikatnie umieściłem ją na siedzeniu, a potem zapiąłem pas. Kiedy tylko zamknąłem drzwiczki, jej głowa opadła na szybę. Zamknęła oczy.

Usiadłem za kierownicą i uruchomiłem silnik. Pomyślałem, że zawiozę ją do siebie i położę na kanapie na ganku. Albo może do łóżka. Tak było bardziej elegancko. Na kanapie prześpię się sam.

Nie zdążyłem jeszcze ruszyć, kiedy uświadomiłem sobie, że Amanda nie śpi. Przytomniała powoli, a jej oczy, wbite w deskę rozdzielczą, otwierały się coraz szerzej.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Och, nie – powiedziała. Jej ręce chwyciły za pas przechodzący przez pierś. – Nie. Nie. Nie.

Nagle pochyliła się do przodu i zaczęła walić rękami w deskę przed sobą. W szybę, w sufit. Wyglądało na to, że nie umie rozpiąć pasa. Zaczęła krzyczeć.

– Nie! Nie! Nie! Nie!

– Wszystko w porządku! – uspokajałem ją, usiłując ją schwytać. – Wszystko w porządku! Amanda? Amando! Wszystko w porządku!

Walczyła, wiła się i drapała w ciemności w drzwiczki, szukając klamki. Znalazła ją w końcu, ale drzwiczki były zamknięte, więc zaczęła szukać guzika opuszczającego szybę.

– Boże, proszę! Proszę!

Kopała w przednią szybę, wiła się, rzucała na drzwiczki.

– Proszę, pomóż mi!

Wysiadłem i pobiegłem do drzwiczek od strony pasażera. Do czasu, kiedy tam dotarłem, zdążyła wypaść z samochodu na żwir i teraz na czworakach próbowała oddalić się od świateł reflektorów w stronę trawy, drząc na całym ciele.

– Amando!

– Nie w samochodzie. Nie w samochodzie. Nie w samochodzie – zawodziła. Chciałem jej dotknąć, ale wtedy zaczęła krzyczeć. – Nie dotykaj mnie!

Usiadłem na ziemi, opierając się o tylne koło samochodu, i patrzyłem na nią. Leżała na trawie, obejmując głowę rękami, i przyciskała podbródek do piersi. Leżała tak, trzęsąc się i pociągając nosem. Nie odpowiadała na moje pytania, odpychała mnie, kiedy wyciągałem do niej dłoń. Kiedy doszła do siebie na tyle, żeby na mnie spojrzeć, wziąłem cienki koc z tylnego siedzenia samochodu i spróbowałem narzucić go jej na ramiona, ale wyrwała mi go i sama go sobie zarzuciła.

Nagle pojawiła się w niej jakaś wściekłość. Jej wielkie oczy migotały w świetle latarni; płonęły w nich pomarańczowe ogniki.

– Dotknij mnie jeszcze raz, Ted, a cię zabiję – oświadczyła. Wycelowała palec w moją twarz, a ja poczułem skurcz w żołądku.

– Amando – powiedziałem.

– Nie. Zamknij się – warknęła. – Już raz zabiłam. Rozumiesz? Zabiłam. Wiem, jak to jest, wydrzeć życie z czyjegoś ciała. I zrobię to samo tobie.

To były gorące słowa, parzyły mnie w skórę. Nigdy wcześniej nie bałem się Amandy, ale kiedy patrzyłem na nią teraz, nie przypominała już kruchej kobietkimotyła, którą poznałem w Shark wiele dni temu. Teraz stał przede mną upiór, żywy trup, a pustka, którą zobaczyłem w jej twarzy, w jednej chwili przyprawiła mnie o mdłości. Zwróciła przeciw mnie całą swoją moc, jak pająk cofający się w kąt pokoju. I właśnie tak, jak zrobiłby to wystraszony pająk, skuliła się w sobie, odwróciła i odpęzła w mrok.

19

Chyba oboje chcieliśmy odsunąć od siebie zażenowanie wywołane tym wieczorem, bo nie dzwoniłiśmy następnego dnia do siebie. Zadzwoiłem natomiast do Cary'ego Minnowa i udało mi się z nim połączyć tuż przed jego wyjściem na spotkanie.

Wydawało mi się, że minęło wiele cennych minut, zanim zdołałem opisać, o co mi chodzi; on w czasie mojej przemowy wzdychał i ze zniecierpliwieniem wypuszczał powietrze nosem.

– Och, człowieku, zawsze zdarzają się stuknięci wielbiciele – powiedział. – Im sławniejszy pisarz, tym więcej świrów. Jake był narażony podwójnie: na stukniętych literacko i religijnie. Mieszkańców – zaśmiał się.

– Nie było kogoś, kto cię zaniepokoił? Kogoś, kto posunął się do pogroźek?

– Niech pomyślę. Posłuchaj, stuknięci religijnie zawsze wkurzali się na jego kompilacje z wielkich ksiąg. Wybierał fragmenty z różnych znanych tekstów chrześcijańskich. Ze Starego i Nowego Testamentu, Księgi Kapłańskiej, Księgi Rodzaju. Niektórzy chrześcijanie to uwielbiali. Sprawiał, że stare, niezrozumiałe czasem historie, trafiały do współczesnej młodzieży. Ale innym bardzo się to nie podobało. Jego bohaterowie to nastolatki, więc konfrontują się z wszystkimi głównymi grzechami. Zawiścią. Pożądaniem. Czasami są cnotliwi, a czasami grzeszą. Spotkaliśmy się z ostrą reakcją na poziomie światowym przy trzeciej części, w której Adam i Ewa uprawiają seks przedmałżeński.

– Ostra reakcja? Co masz na myśli?

– Paru dupków włamało się na stronę – powiedział Cary. – Załadowali zdjęcia z pornografią dziecięcą i sceny z miejsc zbrodni.

– Co? – roześmiałem się. – Jaki to ma...

– Jaki ma sens? Nie ma sensu – odparł Cary. – Ci ludzie to szaleńcy.

– Kiedy ukazała się trzecia część?

– Dwa lata temu.

– No tak – westchnąłem. – Chyba szukam czegoś nowszego.

– Ostatnia rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, wydarzyła się mniej więcej rok temu. Jakaś kobieta wykupiła w Newcastle wszystkie bilety na spotkanie autorskie z Jakiem.

– Rany.

– Tak – mruknął Cary. – Wydaje mi się, że było jakieś pięćdziesiąt miejsc. Trochę ją to kosztowało.

– Dlaczego sprzedali wszystkie bilety jednej osobie?

– Nie wpadli na to, że to ta sama osoba – odparł agent. – To właśnie jest chore. Kupiła każdy bilet osobno, korzystając zawsze z innego konta i innej karty kredytowej. Podobno zmieniała głos, kiedy dzwoniła. Totalny obłęd. Wyczuliśmy, że coś jest nie tak, dopiero jakąś godzinę przed spotkaniem. Jake nie przyjechał.

– Musiało jej bardzo zależeć, żeby zobaczyć się z nim sam na sam – zauważyłem. – Kto to był? Jakaś początkująca pisarka?

– Chyba po prostu romantyczka.

– Pamiętasz, jak się nazywała?

Wyjąłem kawałek papieru i zapisałem dane Renee MacIntyre, które podał mi Cary.

– Słyszałeś o niej jeszcze kiedyś?

– Nie, nie. Od tamtej pory przez jakiś czas sprawdzaliśmy listy gości zgłoszonych na spotkania autorskie, ale jej nazwisko już się nie pojawiło.

– Rozumiem.

– Stella też powinna mieć wszystkie listy od fanów – stwierdził Cary. Słyszałem w tle, że ktoś coś do niego mówi.

– Tak, pracuję nad nimi – powiedziałem. – Nie natknąłem się jeszcze na nic szczególnie niepokojącego.

– Cóż, w porządku, ja...

– Jeszcze tylko jedno, wiem, że jesteś zajęty – powiedziałem. – Czy nie przychodzi ci o głowy coś, co wydarzyło się jeszcze później niż ta sprawa z Renee MacIntyre? Coś z kilku ubiegłych miesięcy? Cokolwiek. Jakiś agresywny telefon? Dziwna przesyłka?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Przez chwilę sądziłem, że po prostu się rozłączył.

– Jeden z fanów zaatakował drugiego podczas podpisywania książek – przypomniał sobie Cary. – W Cairns, chyba, albo może w Brisbane. W jednej z księgarni Dymocks. Będziesz musiał poszukać. W gazetach pisali, że ktoś stracił przytomność, ale ja byłem w środku, z Jakiem. Nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy niczego.

Przez część poranka dzwoniłem w różne miejsca. Korzystałem z zestawu głośnomówiącego, bo ręce miałem zajęte – zeszkrobywałem gęsie odchody z ganku szczotką i wodą z mydłem. Renee MacIntyre była dziwną postacią; miała wiele pseudonimów, a pracę i miejsce zamieszkania zmieniała średnio co pół roku. Prowadziła bardzo prostą stronę internetową poświęconą rujnowaniu reputacji Jake'a, pełną „wyznań” innych jego fanów, opisujących szczegółowo wszystko od jego gburowatych zachowań na spotkaniach autorskich, po fragmenty książek będące rzekomo plagiatami. Wyglądało na to, że Renee poczuła się dotknięta do żywego faktem, że Jake nie pojawił się na spotkaniu, nad którym próbowała przejąć kontrolę. Na stronie był też pełen złości post osoby, podpisanej po prostu jako „Rosa”, która pisała, że Jake pojawił się pijany na jakimś pisarskim festiwalu i próbował pocałować ją z języczkiem na tyłach tłumu. Styl wypowiedzi Rosy był podejrzanie podobny do tego, w jakim Renee napisała wstęp do swojej strony.

Trop przestał być aż tak obiecujący, kiedy odkryłem, że strona od roku nie była aktualizowana. Mniej więcej po trzech godzinach znalazłem w końcu aktualny adres Renee – Koh Samui w Tajlandii. Od sześciu miesięcy nie była w Australii. Ślepa uliczka. Czasami praca detektywa właśnie tak wygląda. Siedzisz za biurkiem całymi godzinami i wydzwaniasz, zmieniając głos, żebyś mógł zadzwonić kilka razy w to samo miejsce i zadać różne pytania, i robisz notatki, a potem nagle uderzasz w ścianę i podniecenie, którego nawet nie byłeś świadomy, gwałtownie opada. Kiedyś robiłem to w pełnym biurze, w otoczeniu kolegów, przyjaciół. Mogłem ich podsłuchiwać w przerwach między telefonami albo przewracać do nich znacząco oczami. Teraz między rozmowami słyszałem tylko cykady na polu po drugiej stronie drogi i papużki lorika w gałęziach drzew. Własne myśli.

W miarę jak organizowałem sobie życie, zaczynałem zastanawiać się nad

przyszłymi kontaktami z córką. Chciałem, żeby Sean zaczął rozmawiać z Kelly o podziale opieki. Żaden sąd w kraju nie przyzna mi prawa do połowicznej opieki nad Lillian. Gdyby prasa to zwietrzyła, wybuchłyby takie protesty, że Kelly i Lillian znalazłyby się w niebezpieczeństwie. Zanim zdążyłbym się zorientować, co się dzieje, dziennikarze czekali by w publicznych miejscach, w których Kelly pozwalałaby mi się spotykać z córką, przyklejając obiektywy do witryn McDonaldów, żeby uchwycić mnie z dzieckiem w ramionach. Jedynym strawnym dla ludzi rozwiązaniem, na jakie mógł sobie pozwolić Wydział do Spraw Dzieci, były nadzorowane wizyty domowe, choć wiedziałem, że nawet wtedy będą analizowali moje rozmowy z Kelly; będą trzymali swoje notatniki w pogotowiu i strzygli uszami w oczekiwaniu na agresywny ton głosu czy szyderczą uwagę.

To będzie koszmar. Ale lepsze to niż nic. Największy lęk budziła we mnie myśl, że Lilly będzie dorastała, nie mając pojęcia, kim jestem. Kelly na pewno nie rozstawi po domu moich fotografii, żeby jej o mnie przypominały, kiedy trochę podrośnie. Ale może jeśli będę widywał ją dość regularnie, nawet w pełnym napięciu, sterylnym otoczeniu jakiegoś pokoju zabaw w Wydziale Spraw Socjalnych, uzna mnie w końcu za jakąś maleńką część swojego życia.

Cała ta sytuacja powinna budzić we mnie większy gniew. Powinienem domagać się spotkań z córką i tak długo nękać Kelly, aż przystawiłaby ją do telefonu, żebym mógł usłyszeć jej sapanie i gaworzenie; powinienem powiedzieć jej, że postaram się o nakaz sądowy, zmusić ją, żeby przysłała mi zdjęcia. Ale po czasie spędzonym w więzieniu niewiele pozostało we mnie gniewu. Więzienie jest pełne gotującego się powoli, bezpłodnego gniewu, wściekłości wrzącej w głowach wszystkich – współwięźniów, strażników, specjalistów. Zamknięte ścianami z czerwonej cegły instytucje to hodowle gniewu. Przez kilka pierwszych tygodni siedziałem na brzegu łóżka, w głowę opartą na dłoniach i zaciśniętymi oczami, przepełniony nienawiścią i płonącym, pulsującym gniewem. Ten gniew sprawiał, że rzucałem się na drzwi. Sprawiał, że orałem paznokciami po swojej twarzy i szyi. Że krzyczałem i wylem. W końcu gniew, jak każdy ogień, pochłonął sam siebie, aż w końcu nic z niego nie zostało. To nie tak, że już nie czułem gniewu. Po prostu wewnątrz został z niego tylko popiół. Znużenie. Nadal nie mogłem spać, zastanawiając się, kto, do diabła, poprowadzi Lillian do ołtarza, kiedy będzie wychodziła za mąż, albo co będzie robiła, gdy inne dzieci zaczną przygotowywać w szkole laurki na Dzień Ojca.

Byłem też świadom, że gniew powróci pewnego dnia, kiedy nie będę już tak sponiewierany i zmęczony. Wystarczy powiew ożywczego świeżego powietrza, by rozpaść na nowo żar tłący się po tym, jak wypadłem ze stanu łaski. Będę siedział na ganku i pewnego dnia, spoglądając na wspaniałą zachód słońca za rzeką, pomyślę, jak by to było, gdybym mógł w takiej chwili objąć ramieniem kochającą mnie kobietę. Jak by to było, gdybym mógł patrzeć na zachód słońca i nie zastanawiać się, czy po drugiej stronie domu ktoś nie otwiera właśnie puszek z czerwoną farbą.

Nie byłem pewny, czy celem tej wściekłości nie była również Claire Bingley. Nie tyle z powodu tego, że wybrała moje spośród tylu innych zdjęć. Wiedziałem, że była oszołomiona po tym wszystkim, co ją spotkało. Jeśli był we mnie gniew na Claire Bingley, to nie dlatego, że coś powiedziała czy zrobiła. Tylko dlatego, że w ogóle była tam tamtego dnia, że stała na poboczu drogi i czekała, żeby ktokolwiek ją zabrał do samochodu. Powinna była zdążyć na wcześniejszy autobus. Powinni przyjechać po nią rodzice. Powinna iść pieszo, do kurwy nędzy. Tak, nie oszukiwałem się – naprawdę nienawidziłem Claire Bingley. Nienawidziłem jej za to, że nie była gdziekolwiek indziej tamtego strasznego dnia, tylko sterczała tam, kilka metrów ode mnie, jak wystraszony królik na skraju trawy, i patrzyła, jak wysiadałem z samochodu. Nienawidziłem jej za to, co ją spotkało. Za to, co to zrobiło ze mną.

Ale to wszystko też było tylko obłędem. Nie mogłem przecież nienawidzić Claire Bingley. Nic z tego nie było jej winą.

To tamten mężczyzna jej to zrobił. Zrobił to nam.

Ale kto to był, do cholery? Odkąd to wszystko się wydarzyło, w kółko słyszałem tylko, że to ja nim jestem.

Właśnie wtedy, kiedy zacząłem wyobrażać sobie jakiś rodzaj relacji z moją córką, jak i dlaczego mógłbym ją nawiązać, zdałem sobie sprawę, że mój związek z gąsiętami uległ nagłej zmianie. Młode naznaczyły mnie na rodzica. Czytałem o mechanizmie naznaczenia, kiedy na samym początku, ledwo pojawiły się w moim życiu, szukałem w Google informacji o pokarmie dla ptaków. Gąsięta zaczęły rozpoznawać we mnie kogoś w rodzaju matki. Fakt, że dramatycznie różniliśmy się między sobą pod względem gatunku, nie miał znaczenia. Na YouTube były filmy, na których kacząta i gąsięta traktowały w ten sposób psy

i koty. Wcześniej zbierały się wokół matki i podążały za nią wszędzie, a teraz robiły to samo ze mną. Ponieważ ich matka była niesprawna i nie mogła się za dużo ruszać, sunęły za mną idealnie równym rzędkiem, kiedy przechodziłem z pokoju do pokoju, tuliły się do moich stóp, kiedy tylko gdzieś się zatrzymałem. Jakoś potrafiły przewidzieć mój następny ruch, więc mniej więcej po godzinie paralizującego strachu, że któreś rozdepczę, zupełnie zapomniałem o całej sprawie i przyzwyczaiałem się do śledzącej mnie małej parady wyznawczyń.

Gęsi poszły za mną do skrzynki na listy, gdzie przyjrzałem się skutkom ostatniego wyczynu moich prześladowców. Zdecydowanie nasilili działania. Ze skrzynki został tylko zwęglony słupek na trawniku. Po drugiej stronie drogi znalazłem kolejny kawałek – plastikową cyfrę 7 wtopioną w czarny knot. Fajerwerk średniej klasy, w rodzaju tych, które ludzie odpalają na imprezach w przydomowych ogródkach, przy okazji wysadzając w powietrze dzikie króliki. Dom nie ucierpiał przy tym ani trochę, ale był to zapewne tylko eksperyment. Zacząłem przeczuwać, że moi prześladowcy są młodzi. Na tyle młodzi, że jeśli uda mi się ich dobrze nastraszyć, może zostawią mnie w spokoju.

Koło południa zatęskniłem do działania. Wcześniej spędziłem wiele godzin z laptopem na ganku za domem, usiłując znaleźć cokolwiek na temat Llewellyna Bruce’a. Kolejna ślepa uliczka. Dwudziestego pierwszego kwietnia, tego wieczoru, kiedy zaginął Jake, Bruce i dwaj inni mężczyźni zostali sfotografowani przez miejscową gazetę pod klubem Noki w Cairns, na który akurat policja zrobiła nalot antynarkotykowy. Wyglądało na to, że Bruce istotnie opuszczał swoją kryjówkę na wysepce przynajmniej raz na dziesięć lat. Tak się złożyło, że zrobił to dokładnie tego wieczoru, kiedy miałem nadzieję, że mógł być gdzie indziej.

„Dawny szantażysta, który jest współwłaścicielem Noki i innych klubów na tropikalnej północy, zaprzecza stanowczo, że przybytki te należą do krajowej szajki przemytników narkotykowych: «Jestem starym człowiekiem. Żyję prosto. Rzadko bywam w miastach, więc jeśli ludzie wyprawiają coś w moich klubach, ja nic o tym nie wiem, chłopie”.

Zatrzasnąłem laptop i wybrałem się na przejażdżkę, żeby przewietrzyć głowę. Niebo było poznaczone smugami szarych chmur. Jakaś część mnie nie była w stanie znieść faktu, że Amanda miała rację co do Bruce’a. Była taka pewna swoich wniosków, jakby jedną nogą już stała w przyszłości, jakby to ona

prowadziła mnie do rozwiązania zagadki zaginięcia Jake'a. Byłem wściekły, że robi to tak powoli. Odkrycie prawdy o zbrodni, jakiej się dopuściła, było dla mnie w tej chwili niemal aktem zemsty. Udowodnię jej, że nie ukryje przede mną tajemnic swojej przeszłości. Udowodnię, że jestem godnym jej partnerem.

Rozum wrócił mi dopiero na werandzie domu Lauren Freeman. Trzy krótkonogie, brązowe psy o jedwabistej sierści, szczekając i skomląc przez siatkę, podbiegły do drzwi, kiedy zapukałem. Usłyszałem, jak ktoś w domu zawołał, że drzwi są otwarte, więc wszedłem do środka.

Co ty wyprawiasz, Ted? Co, do diabła, próbujesz udowodnić?

Dom był dokładnie taki, jak został opisany w *Morderstwie w Top End*. Miałem wrażenie, jakbym wkraczał na karty książki. Jakby ktoś opowiadał o każdym moim ruchu:

Ściany holu obwieszane rodzinnymi zdjęciami, które upamiętniają chwile z życia klanu Freemanów. Światło na powierzchni basenu na tyłach domu migocze w oknach i na twarzach ukrytych za szkłem nieżyjących już dziadków i babć, wujów i ciotek. Wśród pooranych zmarszczkami twarzy – ktoś inny, obcy. Ktoś, kto zdaje się tu nie przynależeć. Ktoś zbyt młody, by się tu znaleźć. Ich wieczna królowa piękności.

Niska, jasnowłosa kobieta wyszła mi na spotkanie do salonu.

– Och! Myślałam, że to Dynah – powiedziała. – Dzień dobry.

– Dzień dobry – odparłem. – Jestem Ted Collins. Czy pani jest... uch...

– Jestem Paula Freeman.

– Mama Lauren.

Na dźwięk imienia córki twarz Pauli Freeman spochmurniała. Oblizwała górną wargę i cofnęła się, zwiększając dystans.

– Hej, zaraz, ja nie rozmawiam z dziennikarzami, synku. Przykro mi. Już dawno przestałam z nimi rozmawiać.

– Nie jestem dziennikarzem – powiedziałem, nie kryjąc ulgi. – Jestem tu... hm... dlatego że...

Co ja wyprawiam?

– Pracuję dla archiwalnego wydziału policji. – Kaszlnąłem. – Zajmujemy się czymś w rodzaju... analizy historycznej... Ja, to znaczy, hm, moja praca, polega na

szukaniu podobieństw między... między pewnymi sprawami, rozumie pani? Między przestępstwami przeciwko osobie. A pani sprawa, hm...

– Z policji? Och, oczywiście! Przepraszam. Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy! Tylko że pojawia się tu tylu różnych świrów, wie pan, każdy ma coś do powiedzenia. Proszę wejść.

Zaprosiła mnie gestem. Poszedłem za nią, czując, że się czerwienię.

– Muszę być ostrożna, wie pan? Różni nas tu nachodzą. Dziennikarze. Zupełnie obcy też. Mówią, że coś widzieli albo że coś wiedzą, albo że ta Pharrell jest niewinna. Boże, gdyby pan wiedział. Proszę tędy.

Zaprowadziła mnie do nieskazitelnie czystej kuchni i zaczęła robić kawę, zanim zdążyłem ją o cokolwiek poprosić. Przysiadłem niezgrabnie na stołku przy kuchennej wyspie.

– Spodziewam się córki. Dynah. Więc kiedy pan zapukał, pomyślałam...

– Nie ma sprawy. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

– Proszę. – Pchnęła w moją stronę kawę rozpuszczalną. Trafiła – z mlekiem i cukrem. Założyła za uszy cienkie jasne włosy. Wyglądała na zmęczoną. – Chryste.

– To musi być trudne, te wizyty... Bardzo mi przykro.

– Cóż, policja zwykle wcześniej dzwoni – zaśmiała się z żalem. – Ale tak, ma pan rację, to trudne. Teraz już nie spodziewam się tego tak często. Różni ludzie przychodzą – elektryk, hydraulik, kurier. A potem nagle – bum! Ktoś znowu pyta o Lauren.

Usiadła naprzeciw mnie i zabębniła wypielęgnowanymi paznokciami w marmurowy blat.

– Lauren była ładna, rozumie pan – powiedziała. – Ładna i młoda. To ich przyciąga, tych, co lubią takie zbrodnie. I teorie spiskowe. Ta mała JonBenét Ramsey, zamordowana w Atlancie, jest świetnym przykładem. Ludzie nigdy nie dadzą sobie spokoju z tą sprawą. Gdyby była chłopcem, ani w połowie by się nią tak nie interesowali.

Upiła łyk kawy. Właściwie nie powiedziałem na razie nic, żeby ją zachęcić, a słowa już płynęły z jej ust – słowa, które miała w głowie, krążąc samotnie po domu, teraz wartkim strumieniem wpadały w moje nadstawione ręce.

– Wszyscy mówią, że tam byli. Tylu ich przychodzi tu albo pisze, że tam byli,

kiedy Lauren została zamordowana, że to nie może być prawda. Ta górka byłaby jak mrowisko. To musiałyby być jakiś światowy zlot, a nie mała impreza dla garści dzieciaków. Chyba wszyscy z jej rocznika twierdzą, że tam wtedy byli. Jest ich koło setki.

– Rany – mruknąłem.

– I każdy ma swoją wersję i pomysły. Czasami trudno im się oprzeć, niektórym z tych wersji. Wie pan? Nie uchwycić się jakiejś.

– Czemu miałyby się pani ich chwytać? – zapytałem.

Paula wbiła wzrok w swoją kawę.

– Czasami ludzie mówią różne rzeczy, które... które są taką lepszą wersją tego, co się stało – powiedziała. – Trudno to odrzucić. Bo to by jednak przyniosło odrobinę ulgi. Bardzo chciałabym niektórym z nich uwierzyć.

– A jakie są te lepsze wersje?

Paula westchnęła.

– Jedna dziewczyna zadzwoniła do mnie i powiedziała, że widziała jakiegoś mężczyznę w krzakach razem z Lauren i tą Pharrell tamtego wieczoru. Mówiła, że ten mężczyzna próbował je obrabować. Sprawdziła kilka takich spraw w Brisbane i odkryła, że był facet, który napadał na młode dziewczyny w samochodach. Jej teoria była taka, że Lauren próbowała obronić tę Pharrell i że to tamten mężczyzna, ten bandyta, zabił moje dziecko.

Umilkliśmy oboje, wyobrażając sobie tę scenę. Para z kubków mieszała się w powietrzu między nami.

– To taka lepsza historia, prawda? – uśmiechnęła się Paula. – Trochę lepsza. Lauren i tak ginie. Ale jest bohaterką. W tym, co się stało, jest... jest jakiś sens.

– Tak. – Skinąłem głową.

– Słuchałam naprawdę dzikich historii. Że moja nastoletnia córka była założycielką jakiejś tajnej organizacji. Jakiegoś kultu, który miał powiązania z rządem! Dostałam list, w którym było napisane, że Lauren została zamordowana, bo zamierzała wyjawić wszystko o tej organizacji, a ta Pharrell była tylko kozłem ofiarnym.

– Zawsze są te rządowe powiązania, prawda? – uśmiechnąłem się.

– Zawsze – zaśmiała się. – Lauren nie umiała nawet wrzucić swoich rzeczy do pralki. Jak miałyby być przywódczynią kultu? Inny taki, co zadzwonił, ale się nie

przedstawił, powiedział, że miała starszego chłopaka. Że brała narkotyki. Grała w filmach porno.

Stadko psów poderwało się spod naszych nóg i rzuciło przez salon do drzwi wejściowych. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek samochodu na podjeździe i kroki na ganku. Znowu fala gorąca napłynęła mi do twarzy. Ciągle nie wiedziałem, po co tu właściwie przyszedłem.

– Mamo?

Dziewczyna, która weszła do kuchni, mogłaby być Lauren Freeman, gdyby nie figura – była niższa i bardziej krępa niż siostra, ale równie piękna, kobieco zaokrąglona, wyłocona słońcem dwudziestopięciolatki. Miała na sobie turkusowy fartuszek zawiązany w talii, oprószony pudrem, którym wysypane są od środka rękawiczki ludzi pracujących z żywnością, żeby nie pociły im się dłonie. Trzymała w rękach kilka toreb pełnych warzyw.

– Och – mruknęła na mój widok.

– To jest Tom, z policji – przedstawiła mnie Paula.

– Ted.

– Ted! Przepraszam. To jest Ted. Z policji.

– Ach, tak. – Dynah zmierzyła mnie wzrokiem i postawiła siatki pod ścianą. – Mamo, mogę z tobą chwilę porozmawiać? Na osobności?

Wyszły razem do holu. Patrzyłem w swoją kawę; od czasu do czasu dolatywały mnie oderwane słowa:

– ...widziałaś odznakę?

– To nie jest film, Dynah... Wypytywać o odznaki... zresztą... prowadzi badania... mieć odznaki...

Psy zgromadzone wokół mnie były pewne, że mam w kieszeniach gąsięta. Bardzo dokładnie obwąchały moje buty i teraz siedziały, czekając, aż wyjmę je z kieszeni. Poklepałem je pocieszająco po łbach.

Paula znikła w głębi domu, a Dynah weszła czujnie do kuchni i naląła sobie szklankę soku z grejpfruta. Zapadła ciężka cisza, przerywana tylko odgłosami krzątania się Pauli w innym pokoju.

– Mama niewiele rozmawia o Lauren – powiedziała w końcu Dynah chłodno, niemal sarkastycznie. Oparła się bokiem o lodówkę i patrzyła na mnie, wcielenie sceptycyzmu. – Dużo mówi do niej, ale nie o niej.

– Mówi do niej?

– Och, Lauren nadal tu mieszka. – Dynah skinęła głową, rozglądając się dookoła. Teraz jej głos ociekał sarkazmem. – Zawsze tu jest.

– Nie wydajesz się tym zachwycona – zauważyłem.

Dynah oparła się o blat przede mną i z głośnym stuknięciem postawiła na nim swoją szklankę.

– To dlatego, że ta Lauren, którą moja matka wszędzie za sobą ciągnie – odparła – ta ze zdjęć, z książek i gazet, ta Lauren nie ma nic wspólnego z Lauren, która zginęła.

Otworzyłem usta, żeby spytać, co to znaczy, ale Paula wróciła właśnie do kuchni i Dynah wycofała się, dając mi do zrozumienia, że to koniec naszej rozmowy.

– Ted, chciałbyś zobaczyć pokój Lauren? – spytała Paula.

Mała słoneczna sypialnia na tyłach domu była kolejną izbą pamięci – w tym wypadku poświęconą jednej osobie. Zastony, chroniące nieużywaną narzutę przed spłowieniem, zostały rozsunięte, kiedy wszedłem do środka, i oto znalazłem się kapsule czasu, która przeniosła mnie wprost w lata dziewięćdziesiąte. Na ścianie nad łóżkiem wisiał duży, czarno-biały plakat z Leonardem DiCaprio z czasów *Titanica*. Półki nad biurkiem były zastawione płytami CD. *Smash Hits*, Summer 2005.

Wszystko wyglądało tu tak jak w dniu, kiedy wyszła stąd Lauren. Biurko było zavalone kolorowymi żelowymi pisakami. W rogu leżała sterta notatek, jakie życzliwi uczniowie szkół średnich pożyczają innym. Podniosłem złożony z papieru kwiatek o czterech płatkach. Na wierzchu każdego z płatków widniały słowa: „niebieski”, „żółty”, „zielony” i „czerwony”.

– Za moich czasów też takie były – uśmiechnąłem się, pokazując go Pauli. Rozłożyłem kwiat; w środku znalazłem zagięte kartki z numerami od jednego do ośmiu. – Robiły je dziewczyny. Mówiły na to „niedyskrecje”, o ile pamiętam.

– My nazywaliśmy to wrózeniem – powiedziała. – Wybierasz kolor, potem numer i odczytujesz wróżbę.

– O wrózeniu nie wiedziałem – odparłem. – Kiedy robiły je dziewczyny z mojej szkoły, było tam pełno obelg. Zawsze dostawałem „Śmierdzisz” albo „Jesteś frajerem” czy coś w tym stylu.

Paula usiadła na łóżku i spojrzała w okno. Ostrożnie otworzyłem jedną

z zagiętych karteczek.

Wróżba Lauren była okrutniejsza od tych, które pamiętałem ja i Paula:

Jesteś dziwką.

Pieprzyłась się z panem Thompsonem.

Wyglądasz jak rzygi.

Wśród karteczek kryła się jedna pozytywna wróżba. Jeśli uczestnik wybrał numer trzy lub cztery, dostawał informację: „Poślubisz swoją prawdziwą miłość”.

Pod słowami „prawdziwa miłość” ktoś dopisał litery LD długopisem w innym kolorze, wraz z uśmiechniętą buźką. Spojrzałem na plakat z Leonardem DiCaprio i zrobiło mi się żal Lauren Freeman, której życie przerwano w tym pięknym naiwnym okresie, kiedy można wierzyć, że naszą prawdziwą miłością jest hollywoodzki gwiazdor. Była muchą w sieci, zatrzymaną w wieku, kiedy dziewczęta jeszcze wierzą w „prawdziwość” miłości i w książąt poślubiających księżniczki. W wieku, kiedy słowa: „wyglądasz jak rzygi”, naprawdę ranią. Ale ten pokój nie bardzo pasował do innych rzeczy, które wiedziałem o Lauren. Lauren, która piła. Która siedziała za kierownicą. Ta dziecinna Lauren z pewnością nie mogłaby być aż tak „znienawidzona”, żeby ktoś mógł zrobić jej to, co zrobił – jak określiła to doktor Gratteur. Która Lauren była prawdziwa?

20

Drogi Jake'u!

To musi być cudowne, być bogiem. Niekoniecznie celebrytą, za którym szaleją tłumy i rzucają mu się do stóp, gdziekolwiek się pojawi, choć na pewno znałeś smaku takiego uwielbienia. Mąż może być bogiem dla swojej żony. Ona może go kochać tak, że odda mu władzę nad całym swoim życiem. Może włożyć mu w dłonie swoją szyję i powiedzieć, że wolno mu zdecydować, jak długo jeszcze będzie oddychała. Zdaję sobie sprawę, że stałeś się moim bogiem, Jake. Czasami czuję Twoje palce na swoim gardle, czuję, jak się zaciskają, odbierając mi powietrze.

Tak było w Dymocks, przy Gatton. Tam pierwszy raz znaleźliśmy się tak blisko siebie, a na Twój widok ścisnęło mnie w gardle. W autobusie zrobiło mi się niedobrze. Nie chodzi tylko o to, że mną wstrząsnąłeś, ale wszyscy ci szaleńcy krążący wokół Ciebie, te szczęśliwe demony jeden przez drugiego podające Ci wodę i długopisy, stojące na straży, podczas gdy czytelnicy tkwią w kolejce pod ścianami. Ten sztuczny śmiech, wymuszone uśmiechy. Ty wśród wszystkich tych pozerów – ten widok palił mnie jak ogień, Jake. Oni nie kochają Cię tak jak ja – a sam fakt, że udają, doprowadza mnie do wściekłości. Budzi gorycz. Oni nie mają pojęcia, jak to jest, pisać do Ciebie od tak dawna i nie dostać w odpowiedzi nic. Oni nie znają takiego odrzucenia.

Pewnie uważasz mnie za świra. Wielu ludzi tak uważa. Trochę fikcji z Twoich książek, parę smętnych listów, przypadkowe przeoczenie – w końcu jesteś cholernie zajęty – i już owinąłeś mnie sobie wokół palca, już jestem jak wściekła suka w czasie rui. Uspokój się, człowieku. Wracaj do szeregu. Jest na co czekać. W końcu każdy dostanie swój kawałek Jake'a.

Oni nie rozumieją, prawda? Nie mają pojęcia, jak to jest.

Ty i ja to nie jest zwykła relacja między pisarzem a czytelnikiem. Nigdy nie była.

To relacja między posłańcem a adresatem wiadomości. Dostaję Twoje wiadomości, Jake. Ale ci wszyscy pozerzy nie pozwalają, żebyś Ty dostawał moje.

Załączam jeszcze trochę moich prób pisarskich. Wiem, że to czytasz. Nie wiem, dlaczego nie odpowiadasz. Może nie jesteś w stanie. Może przeraża Cię, że widzisz we mnie samego siebie. Nie bój się, mój piękny bogu. Ja Cię nie opuszczę.

W swojej kuchni zastałem Amandę; właśnie robiła sobie kawę. Nie uprzedziła, że przyjedzie, po prostu się pojawiła, jakbym sobie ją przyśnił.

Wczesnym rankiem spłoszyłem prześladowców, kiedy zatrzymali się pod moim domem. Wpadłem na nich w bokserkach i ze szczotką w ręce. Nie wiem, co zamierzali, ale wysiadało ich trzech i cała trójka na mój widok rzuciła się z powrotem do samochodu. Nie widziałem ich zbyt dokładnie, samochodu też nie. Miałem za sobą niespokojną noc, cały czas rozmyślałem o słowach Dynah Freeman.

„Ta Lauren nie ma nic wspólnego z Lauren, która zginęła”.

– Masz gęsi – powiedziała Amanda, kiedy przyczłapałem do kuchni w szlafroku.

– Owszem.

– Nie wpadłabym na to, że lubisz ptaki.

– Ja też nie – odparłem, spoglądając przez okno na zbite na ganku stadko. – Mam je jakby przypadkiem. Tak jak ty swoje koty.

– Mówiąc między nami, moglibyśmy otworzyć farmę.

– Gęsi, koty, aligatory ludojady. Nasz mały, własny łańcuszek pokarmowy.

Upiła łyk mojej kawy i skrzywiła się. Wyglądała na zmęczoną. Minęła cała doba, odkąd widziałem ją w beznadziejnym stanie, ale ciągle jeszcze nie wróciła do siebie. Miała znużoną twarz kobiety, której życiowy fundament zaczął się chwiać, która chwilami traci kontrolę nad kierownicą swojego roweru i zjeżdża niechcący z drogi. Kiedy zauważyła, że przyglądam jej się uważniej niż zwykle, podniosła głowę i zaczęła trzepać o Zakładzie dla Kobiet w Brisbane, jak zawsze z ciepłą nostalgią kogoś, kto wspomina letnie wakacje z czasów szkoły średniej.

Dziwne, że miała w więzieniu przyjaciółki. Że w ogóle nazywała je „przyjaciółkami” i wspominała z sentymentem. Bo ja wszelkie inspirowane hollywoodzkimi filmami nadzieje co do więziennych przyjaźni porzuciłem prawie na samym początku. To niemożliwe. Więzienie jest pełne kryminalistów, którzy

sprzedadzą każdego dla najmniejszej korzyści. Lepiej mieć grubszy materac niż przyjaciela. Poświęcenie czegokolwiek, żeby zyskać przyjaciela, nie jest tego warte, bez względu na sytuację. Zbliżasz się do ludzi, bo jako grupa możecie zdobyć lub utrzymać więcej drobnych korzyści i wygod dla siebie, chroniąc je przed innymi grupami, ale ci z twojej grupy nie są żadnymi „przyjaciółmi”. To tylko kwestia czasu, kiedy trzeba rozdzielić te korzyści wewnątrz grupy, a wtedy każdy myśli tylko o sobie.

Innym problemem, jaki wiąże się z więzienną przyjaźnią, jest fakt, że roi się tam od szpicli. Jakiś więzień wciąga cię w rozmowę, rozmowa trwa parę godzin, a on powoli, ostrożnie wyciąga z ciebie tyle szczegółów na temat twojego życia, ile tylko potrafi. Gdzie mieszkałeś. Jakim jeździłeś samochodem. Jak ma na imię twoja żona. Po kilku dniach zaczyna wypytywać o ten dzień, w którym rzekomo dopuściłeś się przestępstwa. Co robiłeś rano. Co miałeś na sobie, kiedy to się stało. Uzupełniają to wszystkim, co czytali o tobie w gazetach, i idą prosto na policję z historyjką o twoim cichym wyznaniu w kącie świetlicy. Znają dość prawdziwych szczegółów z twojego życia, by brzmiało to wiarygodnie. W zamian za skrócenie wyroku, przeniesienie albo dodatkowy koc zgadzają się zeznawać przeciw tobie.

Więzienie to dżungla. Dom wariatów. A tu Amanda opowiada mi o nocnych rozmowach, długich i poruszających, ze współlokatorkami z celi w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Brisbane. Małe dziewczynki na koloniach, szczerze wyznania, koce rozłożone na betonowej podłodze.

Kiedy gąsienica dostrzegły mnie przez otwarte drzwi, podeszły szybko równym rzędkiem i zebrały się u moich stóp.

– Naznaczyły cię – zauważyła Amanda, podnosząc wzrok.

– Tak.

Oboje przyglądaliśmy się im przez chwilę.

– Amando, czy możemy porozmawiać o...

– Nie – powiedziała.

– Mogłem się domyślić – westchnąłem.

– Możemy porozmawiać o tym. – Wskazała teczkę na stole. – To raport policyjny dotyczący ataku w Dymocks przy Gatton Street w Cairns, gdzie Jake czytał fragmenty swojej książki. Przesłali mi też maila z nagraniem z kamery.

– Obejrzyjmy to – zaproponowałem.

Załadowaliśmy cztery pliki wideo z maila Amandy. Nagranie było bez dźwięku. Gąsienka na ganku zebrały się wokół naszych stóp, kiedy oglądaliśmy pierwszy film zarejestrowany przez kamerę z wysokości dachu, która śledziła Jake'a od taksówki aż do drzwi księgarni. Pod budynkiem zebrała się kolejka mniej więcej pięćdziesięciu osób z książkami pod pachą i spuszczonej z zakłopotaniem głowami, kiedy ich wielki człowiek wysiadał z białego samochodu.

– Rzeczywiście jest kimś w rodzaju gwiazdy rocka – mruknąłem.

– Na pewno. Patrz na tę małą. Zaraz posika się w majtki.

Amanda postukała palcem w ekran, pokazując mi jakąś młodą dziewczynę, która biegła za Jakiem i mówiła coś, a potem chwyciła go za rękę, kiedy próbował wejść do budynku. Jakiś mężczyzna zaczął spokojnie coś do niej mówić, gdy Jake był już w środku.

– To Cary, jego agent – powiedziała Amanda.

Odtworzyliśmy nagranie jeszcze raz, ale nie zauważyliśmy niczego interesującego. Potem zaczęliśmy oglądać drugi film – była to płynna kompilacja nagrań z czterech różnych kamer ze sklepu. Jedno nagranie trwało dziesięć sekund, po czym zaczynało się nagranie z innej.

Jake wszedł do księgarni. Do stolika zaprowadził go tłumek osób z obsługi, które nalewały mu wodę, układały książki na blacie i w ogóle robiły wokół niego mnóstwo zamieszania, jak rozćwierkane, trzepoczące ptaki. Na wielkim człowieku chyba nie robiło to wrażenia. Tłum stał na zewnątrz i patrzył na wszystko przez szyby.

– Wyobraź sobie, że masz taką władzę – powiedziałem. – Wszyscy za tobą ciągną. Krok w krok, dokądkolwiek byś poszła. Wpatrzeni w ciebie z podziwem.

– Te gęsi też chodzą za tobą krok w krok – odparła.

– I pewnie też patrzą na mnie z podziwem. – Spojrzałem w dół na gąsienki; większość przysnęła na moich stopach. – I muszą bardzo zadzierać głowy.

– Kto to jest ten facet? – spytała Amanda, znowu wskazując ekran. Facet w czapeczce baseballowej na skraju tłumu, nie w kolejce, tylko jakby obok, między półkami. Dobrze ubrany, w czarnej kurtce z podniesionym kołnierzem. Wydawał się szczupły i niewysoki, poza tym jednak niewiele było widać na nagraniu. Dotykał od czasu do czasu różnych książek na półkach i od czasu do czasu spoglądał w stronę Jake'a.

Spojrzałem w policyjny raport:

08.19.47. Podejrzany młody mężczyzna, zidentyfikowany po incydencie w księgarni przez obsługę, pojawia się między półkami w pobliżu stolika. Świadców 2. i 3. twierdzą, że podejrzany mówił coś, mamrotał do siebie, nie słyszeli jednak żadnych konkretnych słów. Świadek 2. twierdzi, że ton podejrzanego był agresywny.

– Ja też lubię agresywnie mamrotać do siebie w księgarniach. Co w tym złego? – zapytała Amanda.

– Stalkerów powinno być widać, a nie słyszać – odparłem.

– Myślisz, że to stalker?

– Nie wiem. – Westchnąłem, patrząc, jak mężczyzna chodzi między półkami, to znikając, to znowu pojawiając się na ekranie. – Z pewnością jest podekscytowany.

„08.24.13. Podejrzany został nagrany podczas demolowania własności księgarni”.

Patrzyłem, jak mężczyzna między półkami wsuwa palce między dwie książki i pociąga, zrzucając kilkanaście książek jednym dramatycznym ruchem. Potem zrobił to samo w drugą stronę, zostawiając tylko kilka książek na samym środku półki.

– Nabałaganiał.

– Założę się, że to książki Jake’a – powiedziała Amanda. – Zrzucił książki stojące obok serii Jake’a na podłogę, a zostawił jego *Kroniki* na półce.

Mężczyzna na filmie przykucnął i przez chwilę ścisnął głowę rękami. Nikt z obsługi nie zauważył spadających książek ani skręcającego się obok nich mężczyzny. Obserwowało go kilka osób z kolejki, nikt jednak nie miał ochoty ryzykować swojego miejsca w kolejce do spotkania z ulubionym pisarzem po to, by donieść obsłudze o jakimś szaleńcu między półkami.

Na początku trzeciego nagrania mężczyzna szybko wychodził z księgarni.

„08.32.02. Podejrzany opuszcza księgarnię”.

– A tu będzie atak – powiedziała Amanda, otwierając czwarte wideo. Mężczyzna w czapeczce wyszedł ze sklepu i skręcił w lewo, oddalając się od tłumu wielbicieli Jake’a Scullyego, zupełnie jakby zamierzał w ogóle opuścić to miejsce. Patrzyłem, jak jego stopy zatrzymują się na krawędzi ekranu, tuż przed inną parą stóp. Ktoś stanął na jego drodze. Dwie pary stóp stały przez chwilę nieruchomo, potem

mężczyzna przesunął jedną nogę do tyłu, jakby przybierał pozycję do walki. Zaczęła się szamotanina i nagle obie osoby pojawiły się na ekranie, kobieta leżała na ziemi, mężczyzna był na niej. Amanda poruszyła się na swoim miejscu, kiedy napastnik podniósł wysoko łokieć, a później szybko opuścił pięść na twarz kobiety. Raz. Drugi raz. Potem wstał i wybiegł z pola widzenia.

Kolejka fanów rozproszyła się, ludzie otoczyli kobietę. Nagle ekran zapełnił się tłumem.

„08.32.59. Podejrzany atakuje pięścią Patricię Dorrell”.

– Mamy notatki z zeznania Patricii? – Przerzuciłem papiery. Amanda wyjęła niebieskie zeznanie świadka zapisane niestarannym pismem policjanta na służbie:

– „Zatrzymałam mężczyznę, który właśnie przechodził, i zapytałam, co to za ewent, w tej księgarni” – przeczytałem na głos. – „Powiedział, że Jake Scully podpisuje swoje książki. Zapytałam, kto to jest Jake Scully, a wtedy on chwycił mnie nagle za ramiona i rzucił na ziemię. Uderzył mnie dwa razy pięścią w twarz. Straciłam przytomność”.

– Hm – mruknęła Amanda. – Prawdziwy wielbiciel nie jest w stanie znieść ludzi, którzy nie wiedzą, kim jest jego bohater.

– Coś tu jest nie tak – powiedziałem.

– Co?

– Co to za wielbiciel, jeśli nie jest nawet w stanie sam podejść do swojego idola? Czaił się między półkami, aż w końcu uciekł z księgarni. Ani na chwilę nie zbliżył się do Jake’a bardziej niż na pięć metrów. Jake nawet go nie zauważył.

– Co z tego?

– To, że chyba powinien być cały w stylu: Och! Jake! Kocham cię!

Zamachałem do wymagowanego Jake’a. Amanda skwitowała moje przedstawienie ironicznym uśmiechem. Poczulem, że się czerwienię.

– Zamknij się. Wiesz, o co mi chodzi.

– Może w tym rzecz – powiedziała. – Może w tym właśnie rzecz, że Jake go nie zauważył. Facet jest pełen złości, no nie? To przecież widać. Może jest zły na Jake’a. Tak zły, że mógłby go zabić. Czy Jake odpisywał na listy swoich fanów?

– Przejrzałem listy od wielbicieli, które Stella znalazła w gabinecie. Z tego, co zauważyłem, odpisywał na nie na początku swojej kariery – powiedziałem. – Z niektórymi nawet utrzymywał przyjacielską korespondencję. Ale to było

niedługo po ukazaniu się jego pierwszej książki, gdy popularność była dla niego czymś nowym. Kiedy w Stanach wyszła jego druga książka, musiał dać sobie z tym spokój. Dostawał za dużo listów.

– Te listy w pudle to wszystkie, jakie są? – spytała Amanda.

– Nie, nie, to tylko te papierowe. Cary przesłał mi link do maila Jake’a. Tam są ich setki. Przejrzałem je szybko, ale oczywiście będę musiał przeczytać je dokładnie.

Kobieta usadowiła się przy nas na stopniach prowadzących do gródka za domem, rozłożyła wielkie skrzydła i opuściła głowę. Znowu zaczęła wydawać ten dziwny dźwięk, ni to poszczekiwanie, ni warczenie, które słyszałem już wcześniej.

– Co z tą matką gęsią?

– Robiła to już kiedyś – powiedziałem. Wstałem i spojrzałem na belki pod dachem. – Wtedy był tam wąż. Ona wiedziała o nim dużo wcześniej niż ja.

Amanda zerwała się ze swojego miejsca, kiedy od strony frontu rozległy się trzy mocne uderzenia. Sądziłem, że prześladowcy zostawią mnie w spokoju za dnia, ale teraz, kiedy tak stałem, nasłuchując, pomyślałem, że jednak się myliłem. Na drewnianej podłodze rozległy się kroki, a potem w domu rozległ się głos.

– Halo? Jest ktoś w domu?

Amanda chyba rozpoznawała ten głos. Schyliła się szybko i zaczęła zagarniać do siebie małe gąski. Patrzyłem, zdezorientowany, jak goniła je z powrotem w stronę ich domku w kącie ganku. Zapędziła je wszystkie do środka i zasłoniła otwór rącznikiem. Nawet Kobietę zagnała z powrotem do kąta. Wielki ptak nie stawiał oporu.

Policjant Lou Damford wszedł z holu do kuchni. Miałem wrażenie, jakby przeszył mnie prąd gniewu i upokorzenia.

– Co jest, kurwa? – powiedziałem. – Nie zapraszałem nikogo do środka.

– Wołaliśmy – odparł Hench, stając obok swojego partnera. – Wołaliśmy i wołaliśmy; wyraźnie daliśmy do zrozumienia, że jesteśmy pod drzwiami. Ale nikt nie odpowiadał. Podjęliśmy więc decyzję, żeby wyważyć drzwi, na wypadek gdyby ktoś w środku był w niebezpieczeństwie.

– Nie wołaliście – powiedziałem. – Słyszelibyśmy was tutaj.

Wszedłem do kuchni i spojrzałem w głąb holu. Drzwi, wyrwane z zawiasów, leżały na podłodze.

– Steve ma chrypkę. – Damford uśmiechnął się i blizny po trądziku rozciągnęły się na jego twarzy. – Możliwe, że nie wołał dość głośno.

– Co tu robicie, do cholery?

– Sąsiedzi donieśli, że twoja skrzynka na listy została zniszczona przez wybuch. Posiadanie materiałów wybuchowych, w tym fajerwerków i akcesoriów pirotechnicznych jest przestępstwem, człowieku. – Zatknął kciuki za pas. – Otrzymaliśmy zezwolenie na przeszukanie domu.

Ten mniejszy, Hench, wyjął kartkę z kieszeni na piersi i cisnął ją do zlewu. Spojrzałem na Amandę. Wyglądała niemal jak strażniczka moich gęsi, z jedną nogą tuż przed wejściem do ich domku. Drugą wciskała Kobieta w róg werandy. Nie patrzyła na nas. Oczy miała wbite w podłogę.

– Po co miałbym wysadzać swoją skrzynkę na listy? – westchnąłem. Wiedziałem, że to nie ma sensu, ale nie byłem w stanie się powstrzymać. – Po co ktokolwiek miałby... Hm. Nieważne.

– Nie zabawimy długo – powiedział Damford, wyminął mnie i podszedł do zlewu. – Jestem pewny, że niczego nie znajdziemy. Zajrzę tylko szybko pod to...

Chwycił za ociekacz do naczyń i szarpnął, zrzucając stojące na nim szklanki i sztuce na podłogę. Hałas sprawił, że Kobieta znowu się rozgęgała.

– A ja rzucę okiem tutaj – oznajmił wesoło Hench, otwierając lodówkę. Zaczął zrzucać z półek słoiki z piklami i dżemem na kafle, pokrywając kuchenną podłogę plamami w żywych kolorach. Wziął do ręki butelkę z mlekiem, otworzył ją i wylał zawartość na wielobarwną maź.

– Znacie drogę do drzwi – powiedziałem. – Będę na zewnątrz.

Wróciłem na swoje miejsce na ganku i siedziałem tam, podczas gdy policja z Crimson Lake demolowała mój dom. Powtarzałem sobie, że to nie jest najgorsza rzecz, jaka mnie spotkała. Kiedy tak czekałem, aż skończą, moją uwagę przyciągnęła nagle Amanda. Osunęła się powoli i kucnęła obok Kobiety, objęła wielkiego ptaka ramieniem i nawet głaskała lekko jego długie białe pióra. Kobieta nie oponowała, ale zachowywała czujność i od czasu do czasu, kiedy z domu dobiegały głośniejsze odgłosy, wydawała piskliwy jęk. Amanda patrzyła na horyzont. W jej oczach był smutek.

Postanowiłem, że znajdę coś na tych dupków. Amanda wyniosła się chyłkiem

w połowie policyjnej demolki. Kiedy Damford i Hench skończyli i usłyszałem, jak wychodzą, wziąłem laptop i zacząłem szukać ich w Internecie.

Nie było tego wiele, co mnie nie zaskoczyło. Nie byli szczególnie fotogeniczni. Znalazłem jakiś stary artykuł o drużynie rugby Holloways Beach, w którym wspomniano dobrą próbę Hencha w połowie rozgrywki. Pokryty błotem policjant wydawał się jeszcze groźniejszy, przybijając piątkę z innym zawodnikiem. Był to ten rodzaj piątki, jaki niektórzy faceci wymieniają po szczególnie obleśnym dowcipie albo bójce w pubie. Albo po zbiorowym gwałcie. Z niezdrowym podnieceniem w oczach. Ze złymi zamiarami.

W artykule napisano, że Hench ma czterdzieści dwa lata. Poszperałem głębiej i natknąłem się na jeszcze inny artykuł, o grupie kadetów z Cairns. Na zdjęciach wszyscy ładowali się do autobusu jadącego do Goulburn Academy. Nie było indywidualnych fotografii, ale były nazwiska: Hench, 17. Damford, 19.

Dwaj posterunkowi. Obaj tuż po czterdziestce. W czasie piętnastu lat służby nie awansowali ani o jeden stopień. Były dwa możliwe powody takiego stanu rzeczy. Może obaj wyjątkowo źle się zachowywali i nie byli brani pod uwagę przy żadnej z niezliczonych możliwości awansu, które musiały się pojawić w tym czasie. Jeśli jednak byli tak kiepscy w tej robocie, musieli mieć powiązania – członków rodziny zatrudnionych w służbach, którzy nie pozwalali na ich wydalenie z policji. Czy to jednak możliwe, żeby obaj mieli plecy?

Jeśli nie, pozostawało tylko jedno wyjaśnienie, co oznaczałoby, że miałem rację w swoich wcześniejszych przemyśleniach – ci goście chcieli zostać w służbie patrolowej. Chcieli się rządzić po ulicach. Jeździć szybkimi samochodami i otwierać drzwi kopniakami, nie mając za świadków swoich poczynań przerażonych podwładnych na okresie próbnym. Ponieważ zajmowali stanowiska posterunkowych przypisanych do Crimson Lake, nie kierowano tu żadnych nowych rekrutów. To był ich teren.

Moją uwagę zwrócił jeszcze jeden artykuł. Krótki tekst na blogu poświęconym jachtingowi, którego autor wspomniał o nabyciu przez Damforda bardzo szybkiej luksusowej łodzi motorowej. Była granatowa i nazywała się „Węgorz”. Podobała mi się ta nazwa. Pomyślałem, że świetnie pasowała do tego faceta. Na zdjęciu Damford niezręcznie ścisnął dłoń poprzedniego właściciela, odwracając twarz od obiektywu. Nie miałem pojęcia o motorówkach. Z roztargnieniem skopiowałem

nazwę łodzi i jej typ i wrzuciłem w wyszukiwarkę. Sam nie wiem, po co to zrobiłem; moje poszukiwania dobiegły już końca.

Stare ogłoszenie o sprzedaży łodzi ciągle widniało na stronie żeglarskiego komisju. Jersey Boat Sales sprzedawał ją za 79 999 dolarów. Wielki czerwony baner z napisem „SPRZEDANE” przekreślał dumnie niską łódź o ostrym dziobie.

To kupa forsy dla posterunkowego. Wróciłem do zdjęcia Damforda i sprzedawcy łodzi. Niechętnie wyciągnięta do uścisku dłoni, fragment odwróconej twarzy. Wyraźnie próbował schować się przed obiektywem, kiedy błysnął flesz.

21

Posprzątanie domu po wyjściu policjantów zajęło mi jakieś sześć godzin. Wykonali kawał dobrej roboty, niszcząc moje rzeczy, ale ja też przeszedłem samego siebie, usuwając ślady ich akcji z domu i, co za tym idzie, ze swojej psychiki. Zdjąłem nawet nietknięte talerze i kubki z półek, i umyłem je wszystkie w zlewie. Musiałem mieć pewność, że niektóre powierzchnie, zwłaszcza te, z których jadłem i na których spałem, są świeżo oczyszczone.

Kiedy na nowo ustawiałem biblioteczkę w pokoju frontowym, zadzwonił Sean i powiedział, że Kelly nie zgadza się na żaden rodzaj mojej opieki nad Lillian, czego się spodziewałem, ale przesyła mi przez niego trochę zdjęć mojego dziecka, żebym się za bardzo nie rzucał. Przykląknęłam na podłodze w pustym pokoju i otworzyłam załącznik, a tam, przy moim dawnym kuchennym stole – tym, który kupiliśmy podczas upiornej wycieczki do Ikei niedługo po ślubie – siedziała moja córka. Nie byłem przygotowany na to, że już jest taka duża. Teraz jej kruczoczarne włoski były tak długie, że dało się je zwinąć w małe kucyk. Uśmiechała się szeroko, a w jej otwartych ustach zobaczyłem coś, co mogło być zaczątkiem ząbka. Powiększyłem zdjęcie i poczułem, jak na moją twarz też wypływa szeroki uśmiech. Jej pierwszy ząbek.

Ktoś zapukał do drzwi. Byłem tak zatopiony w swoim smutku, że otworzyłem je, zanim zdążyłem zmienić wyraz twarzy. Fabiana dostała zbliżenie moich wygiętych w podkowę ust i wilgotnych oczu, zanim zdałem sobie z tego sprawę i odwróciłem się szybko, ocierając łzy z policzków.

– Dobrze... się czujesz? – zapytała.

– Doskonale. Doskonale. To wybielacz. Używałem wybielacza. – Oddaliłem się od niej tak szybko, jak tylko potrafiłem. Poczułem, jak zgrzytam zębami, słysząc stuk jej obcasów na deskach.

– To nie było zaproszenie do środka! – zawołałem, kryjąc się przy oknie w kuchni.

– Cóż, w takim razie trzeba było zamknąć drzwi.

– Sądziłem, że już tylu różnych ludzi zatrzaskiwało ci drzwi przed nosem, że wyczujesz intencję, Fab.

– O co chodzi? – spytała. – Złe wieści?

– Nie. – Wytarłem nos wierzchem dłoni. – Wszystko w porządku. Mogę ci w czymś pomóc? Coś zaproponować?

– Kawę? – odparła.

– Skończyła mi się.

– W takim razie herbatę.

– Też się skończyła.

– Słuchaj, Ted, nie przyjechałam tu, żeby cię nękać. To pokojowa wizyta.

– Nie obchodzi mnie, po co przyjechałaś. – Otworzyłem z rozmachem drzwi szafki. – Nie mam kawy ani herbaty. Miałem... gości, którzy... zużyli... wszystko.

Spojrzała na półkę, z której Hench czy może jego odrażający partner wymiół jednym ruchem ramienia wszystko, co mógł, w tym oliwę z oliwek, sos pomidorowy i kawalerskie płynne złoto czy sos sojowy. Jej oczy opadły na najniższą półkę, gdzie stało kilka butelek taniego wina.

Kiedy w końcu zadałem sobie pytanie, co właściwie robię, siedząc na stopniach ganku z tą kobietą i butelką wina, zacząłem się zastanawiać, czy Hench i Damford po prostu nie pozbawili mnie resztek siły oporu. Te zwierzęta w mundurach, podobnie jak samozwańczy stróże prawa, którzy pojawiali się nocą, i świadomość, że informacja o mnie krąży już w krwiobiegu miasta jak chora komórka – wszystko to razem osłabiło determinację, której zdążyłem nabrać po wyjściu z więzienia. Musiałem jednak przyznać, że w Fabianie było coś, co mnie intrygowało, nawet jeśli to był tylko gniew, jaki we mnie wzbudzała. Ten gniew był czymś nowym i tak zupełnie innym od milczącego przerażenia, które było moim jedynym towarzyszem od chwili aresztowania. Czułem, jak stary żar rozpala się na nowo pod wpływem powietrza; czułem ciepło narastające w brzuchu. W tym bólu było coś znajomego. Pamiętałem go z czasów więziennych. Otulał mnie miękko, otaczał, jak płot wokół posiadłości.

– Bywają tu krokodyle? – Wskazała ogrodzenie z metalowej siatki w oddali, jakby czytała w moich myślach. Gasnące światło słoneczne zabłysło w czerwonym winie w jej kieliszku. Ten sam kolor pojawił się teraz w jej ciemnych włosach. Wyglądała niemal jak czarownica, ognista piękność. Odwróciłem wzrok.

– Żadnych nie widziałem. Ale słyszę, jak poszczekują. Warczą.

Miałem wrażenie, że nie słucha.

– Może opowiesz mi o tamtym dniu, Ted? – powiedziała nagle.

– Co?

– Tamten dzień. Dlaczego o nim nie porozmawiamy?

Gniew wzbierał, pienił się.

– Dlatego że nie muszę tego robić – odparłem, niemal z uśmiechem. – Nic nie muszę, Fabiano. Nie musiałem cię tu wpuścić. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego cię wpuściłem. Chyba zaczynam odchodzić od zmysłów. Jestem zmęczony. Zmęczony tym wszystkim.

– Więc odpuść – powiedziała. – Przestań się ukrywać. Przestań uciekać. Opowiedz mi wszystko.

– Straciłbym tylko czas – rzekłem.

– Cóż, nie jestem pewna. – Wzruszyła ramionami i z zakłopotaniem potarła kolana. – Nie jestem pewna, czy nadal go ze mną tracisz.

Nie wyglądała na kobietę, która nie wie, co powiedzieć. A jednak teraz, w mojej obecności, wyraźnie się męczyła i nie wiedziała, co zrobić z oczami.

– Mam rozumieć, że zaczęłaś dopuszczać możliwość, że jednak mówię prawdę? – prychnąłem. – Mówiłaś chyba, że pracowałaś dla „Heralda”.

– Przyjrzałam się trochę uważniej tej sprawie. Dużo uważniej. Wysłuchałam tej kobiety, Valerie. Mówiła o tobie, powiedziała, żebym sprawdziła twoje zdjęcia z aresztowania. Że nie miałaś żadnych śladów. I jej teoria o ranach obronnych. Muszę przyznać, że miejscami to wszystko zupełnie nie ma sensu. Powiedziała mi, żebym przesłuchała człowieka, który nazywa się Trevor Fuller. – Milczący świadek. – Odchyliłem się w tył na ogrzany przez słońce ganku. Prosto do celu – było to bardzo w stylu Valerie. – Aha.

– Niewiele udało mi się o nim dowiedzieć.

– Bo jest tego niewiele. – Upiłem łyk wina. – W każdym razie nie pod nazwiskiem „Fuller”. Ma kilka nazwisk, których używał wcześniej, ale po procesie

znowu przybrał nowe. Bezdumni często zmieniają nazwiska, chcą być kimś nowym przy każdym kolejnym aresztowaniu. W czasie procesu nazywał się Trevor Finch. Ale nie został przesłuchany. Proces nie zaszedł tak daleko. Nie zdążył zeznawać.

– Co Trevor wiedział o tobie? – zapytała Fabiana.

– Nie chodzi o to, co wiedział, tylko o to, co widział – westchnąłem. Tonąłem. Wciągały mnie powoli wspomnienia tamtego dnia, ciągnące się bez końca policyjne raporty, nagrane na wideo godziny przesłuchań, podczas których usiłowałem opowiedzieć, co robiłem w każdej sekundzie tego dnia, przed, w trakcie i po tamtej strasznej chwili, kiedy moje oczy spoczęły na Claire Bingley stojącej przy drodze, a ja nie miałem pojęcia, jak fatalne w skutkach się to dla mnie okaże.

Tik, tak, tik, tak. Mijały sekundy.

12.47. Marilyn Hope i Sally Hope przejeżdżają obok, widzą, jak mój samochód skręca i zatrzymuje się nagle na przystanku autobusowym.

12.48. Gary Fisher przejeżdża obok, widzi mnie przez otwarte okno z tyłu od strony pasażera.

12.48. Michael Lee-Renalds przejeżdża obok, widzi mnie w tylnych otwartych drzwiczkach od strony pasażera, do połowy w samochodzie, podczas gdy robię coś na tylnym siedzeniu.

12.49. Jessica i Diana Harper przejeżdżają obok, widzą, jak rozmawiam z Claire Bingley.

12.50. Świadkowie z dwóch kolejnych samochodów widzą mnie, jak macham do dziewczyny.

– A potem? – spytała Fabiana.

Pociłem się i ocierałem dłońmi wilgotne czoło, żeby pot nie spływał mi do oczu. W górach nie było żadnych oznak burzy, co oznaczało, że jutrzejszy dzień będzie nieznośnie gorący, wilgotny i parny.

– O dwunastej pięćdziesiąt odjechałem – powiedziałem. – Pojechałem autostradą do 7-Eleven przy Bakers Creek, to jakieś dwanaście minut, i kupiłem przynętę.

– Na stacji nie było kamer – powiedziała Fabiana.

– Nie było.

– Ale dlaczego twój zakup nie pokazał się w sprzedażach z tamtego dnia?

Trudno było mi nie krzyczeć, bo odpowiadałem na to pytanie już setki razy.

Opanowałem się i wycedziłem przez zęby:

– Akurat siadł im system i nie mogłem zapłacić kartą. Wziąłem butelkę wody i przynętę, i poszedłem do kasy. Miałem banknot pięciodolarowy na wodę, ale nie wystarczyło na wodę i na przynętę. Chciałem zapłacić kartą, ale facet powiedział, że system nie działa. Popatrzył na banknot w mojej ręce i powiedział, żebym się nie przejmował płaceniem za przynętę, tylko ją sobie po prostu wziął.

– Wydaje mi się to dziwne – powiedziała Fabiana. – 7-Eleven to duża sieć. Można przypuszczać, że każda najdrobniejsza rzecz musi być zaksięgowana, żeby pracownicy nie mogli tak po prostu niczego rozdawać.

– Przynęta kosztowała kilka dolców. A on nie wydawał się specjalnie zainteresowany swoją pracą. Ani w ogóle życiem, jeśli chodzi o ścisłość.

– Co tłumaczy, dlaczego nie pamiętał ani ciebie, ani twojego samochodu, kiedy pytali go, czy byłeś na stacji, tak?

– Mhm.

– Więc kupujesz wodę i przynętę. Facet nie wbija tego na kasę, co tłumaczy, dlaczego nie ma tej sprzedaży w dziennym rozliczeniu.

– Tak, po prostu wziął gotówkę. Ta cała maszyna chyba nie działała. Cały... system.

– Ale dlaczego nie pojawiłeś się na nagraniach z kamer na stacji?

Uśmiechnąłem się z żalem.

– Bo wszedłem i wyszedłem ze stacji w miejscach, których nie obejmowały kamery.

Fabiana patrzyła na mnie. Wiedziałem, jak to brzmi. Wiedziałem, jak to brzmi od samego początku.

– Kamery obejmują dystrybutory paliwa – tłumaczyłem, pokazując to rękami. – Są skierowane w tę stronę z dachu budynku. Ja zaparkowałem po drugiej stronie stacji i przeszedłem pod nimi. Droga, która prowadzi na stację, skręca ostro za podjazdem. Więc nie było mnie widać. Ani trochę.

– Bardzo nieszczęśliwie się złożyło – stwierdziła, starając się nie okazać sceptycyzmu.

– Nie mów!

– W sklepie nie było kamer?

– Ani jednej.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Więc parkujesz i idziesz do sklepu, a Trevor Fuller wchodzi tam za tobą? – Odwróciła się do mnie i chyba trochę przysunęła.

– Nie, on nie wszedł do środka – powiedziałem. – Kręcił się na zewnątrz. Nie wiem, co robił. Może grzebał w śmietnikach, szukając jedzenia. Z piekarników wyrzucają dużo przeterminowanych rzeczy. Pojawił się na chwilę na nagraniach z kamer, kiedy się tam włóczył.

– Trevor Fuller jest od dawna bezdomny. Ma na koncie kilka aresztowań za narkotyki w latach dziewięćdziesiątych, pod różnymi innymi nazwiskami, a w 2009 roku był leczony w klinice psychiatrycznej w Kings Cross.

– Zgadza się. Dlatego nie byłbym w stanie wykorzystać go podczas procesu jako świadka, nawet gdyby cała sprawa wcześniej się nie rozwaliła. – Westchnąłem. – Mam jednego świadka, który może potwierdzić moją niewinność. I jest to pieprzony bezdomny świr.

Wychyliłem wino do końca i napełniłem kieliszek jeszcze raz. Zaproponowałem to też Fabianie, ale odmówiła.

– Co dokładnie Trevor Fuller mówi, że widział?

– Powiedział policji, że mnie widział. Wszedłem zza rogu dość szybko i omal na niego nie wpadłem. Twierdzi, że pomyślał, że chcę na niego skoczyć. Przypomniał mi sobie, kiedy zobaczył mnie w wiadomościach w noclegowni.

– Widział twój samochód?

– Tak.

– A zaglądał do środka?

Milczałem i patrzyłem na nią przez chwilę.

– Dlaczego? – zapytałem. – Po co? Żeby zobaczyć, że nie ma tam Claire Bingley, związanej, na tylnym siedzeniu, czy co?

– Nie powiedziałam „związanej”.

– Przestań. – Przycisnąłem pięść do czoła. – Przestań. Nie wiem, po co o tym rozmawiamy. Zawsze kończy się to tak samo.

Przez minutę czy dwie siedzieliśmy w pełnej bólu ciszy. Fabiana kilka razy chciała coś powiedzieć, ale zawsze w końcu rezygnowała i odwracała twarz. Czuję, jak płomień liżą moje wnętrzności.

– Podoba mi się Trevor Fuller jako potencjalny świadek – powiedziałem. – W porządku? Lubię myśleć, że prawie miałem świadka. Że prawie miałem kogoś, kto mógłby mnie ocalić. A ty przychodzisz i mówisz mi, że nawet gdyby był najlepszym, najbardziej wiarygodnym świadkiem w całym kraju, nie miałoby to najmniejszego znaczenia, bo nie zajrzał do mojego samochodu; to znacznie pogarsza moją sytuację, prawda? Która i tak jest gówniana.

– Przykro mi – powiedziała. Zaskoczyło mnie to. Poruszyłem się na swoim stopniu.

– Odjechałeś z przystanku autobusowego o dwunastej pięćdziesiąt – podjęła po chwili Fabiana, patrząc mi w oczy. – Claire już nie było, znikła, kiedy jej autobus przejeżdżał tamtędy dwie minuty później.

– Tak.

– Powiedzmy, że czas się nie zgadza – powiedziała Fabiana. – Pierwszy świadek, Sally Hope, powiedziała, że była dokładnie dwunasta czterdzieści siedem, kiedy jej mama cię mijiała. Powiedziała, że zapamiętała godzinę dokładnie, bo zerknęła na zegar w samochodzie i obliczyła, że miały jeszcze trzynaście minut, żeby dojechać na lekcję tańca. Jeśli jednak się myliła? Jeśli zegar w samochodzie nie wskazywał właściwej godziny? Tak samo jak zegar w autobusie? Powiedzmy, że wszystkich dwunastu świadków twojej bytności na przystanku autobusowym myli się trochę co do czasu. Możemy podwoić ten czas, jeśli chcesz, i uznać, że między chwilą, kiedy opuściłeś przystanek i zniknięciem Claire minęły cztery minuty, a nie dwie.

– W porządku. – Wzruszyłem ramionami. – Co z tego?

– To znaczy, że on tam był – powiedziała Fabiana. – To znaczy, że był nie więcej niż cztery minuty od tego miejsca, kiedy wsiadłeś do swojego samochodu i odjechałeś. Minus czas, jaki zabrało mu wyjście z samochodu, podejście do dziewczyny i schwytywanie jej. Wepchnięcie do samochodu, odjechanie. To niewiele czasu. On był blisko – bardzo blisko – w czasie, kiedy ty tam byłeś.

– Cztery minuty. Mógł podjechać, zobaczyć ją i schwytać w tym czasie – powiedziałem. – Albo...

– Albo już tam był, obserwował sytuację, kiedy nadjechałeś – powiedziała. – Może już miał zaatakować, ale wstrzymał się, kiedy pojawiłeś się tak nagle i nieoczekiwanie. A kiedy ruszyłeś dalej...

Poczułem, jak pot występuje mi na plecy. Cienka strużka spływała wzdłuż kręgosłupa.

– Co pamiętasz z tamtej chwili? Z tych kilku minut? – zapytała. – Widziałeś coś? Słyszałeś? Pamiętasz jakieś samochody stojące w pobliżu?

Spojrzałem na góry. Za dużo tego było, tego wszystkiego. Chciałem to już skończyć. Wstałem i wziąłem butelkę z ganku, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– Tylko ją – powiedziałem. – Pamiętam tylko tę dziewczynkę.

Świeża pościel zwykle pomaga mi od razu zasnąć. Ale po wyjściu Fabiany nie byłem w stanie zasnąć. Leżałem w ciemności, a przed moimi oczami przesuwały się sekundy sprzed momentu, kiedy podjechałem na przystanek.

Myślałem o kłótni z Kelly. Kłóciłem się z nią w myślach, a błędne koło winy zawsze w końcu wracało do mnie, bo przecież ona właśnie urodziła dziecko i powoli zaczynała odchodzić od zmysłów. Nikt w naszym domu nie sypiał dobrze. Ja byłem w pracy nieprzytomny ze zmęczenia, źle wypełniałem formularze, myliłem dokumenty. Kiedy miałem wolny dzień, spałem za długo i nie włączałem się wystarczająco w prace domowe. Za mało ją przytulałem. Za mało z nią rozmawiałem.

O północy wstałem i ubrałem się, zerknąłem na śpiące gęsi i wyszedłem frontowymi drzwiami. Pole trzciny tętniło życiem stworzeń, które trzepotały i brzęczały w świetle księżyca; chmary skrzydlatych istot nadleciały, zwabione ciepłem mojego ciała, kiedy zatrzymałem się na poboczu drogi. Przed domem podszedłem do niskiego ceglanego muru i usiadłem na nim, słuchając odgłosów nocy. Gdzieś na autostradzie zatrafił samochód, w dalekim lesie hałasowały nocne ptaki. Powietrze było gęste od wilgoci, czułem, że na skronie występują mi krople potu. Lato będzie tu nie do zniesienia. Kiedy się przeprowadzałem, nie wybiegałem tak daleko w przyszłość.

Dopiero po jakiejś godzinie zobaczyłem światła na drodze. Wpełzłem za murek i kucnąłem. Światła zgasły mniej więcej sto metrów od mojej kryjówki. Samozwańczy strażnicy prawa. Śmieszna nadzieja, że może przyjadą, rozkwitła w mojej piersi; niemal uśmiechałem się do siebie, kiedy samochód przejeżdżał obok, chrzęszcząc kołami na żwirze. Datsun bluebird, szary. W środku siedziały

cztery osoby, może pięć. Samochód przejechał powoli obok, nie zatrzymując się. Sprawdzali, czy w domu nie świeci się światło. Nie świeciło się. Mój plan działał.

Kiedy samochód zaczął zawracać przed lasem, wypełzłem zza murku i skryłem w mroku pod krzewami. Moja skóra jakby ożyła, czułem mrowienie z każdym uderzeniem serca. Samochód wracał, teraz jechał szybciej, szybciej, niż mógłby biec człowiek. Zobaczyłem, jak obniża się szyba z tyłu, ta za kierowcą. Podniosłem się w chwili, kiedy w okna wychyliła się dziewczyna.

– Dzieciojebca! – wrzasnęła i zapaliła lont tłącej się petardy. Jej twarz rozjaśniło landrynkowo-różowe światło, cisnęła petardę w stronę ganku. Rozpoznałem tę dziewczynę.

– Hej! – krzyknąłem. Nie miałem żadnego planu, nie przygotowałem się do tego. Było to widoczne, kiedy samochód skręcił nagle i ruszył prosto na mnie. – Hej! Hej! Hej!

– O kurwa! – wrzasnął jeden z nastolatków. Uderzyłem w maskę dłońmi, kiedy samochód przemknął obok, ale kurz, który wzbił się nad drogą, oślepił mnie, więc nie mogłem za nim pobiec. Stałem w ciemności, kaszląc. Na języku czułem smak siarki z petardy.

22

Pogratulowałem sobie zdolności detektywistycznych, kiedy siedziałem w samochodzie na drodze gruntowej we wschodniej części Crimson Lake. Obserwowałem Harrisona Scully'ego i jeszcze jednego, wysokiego, chudego chłopaka, którzy pojawili się w polu mojego widzenia dokładnie w momencie, który przewidziałem. Przyjąłem, że właśnie teraz mogę spotkać tu Harrisona. Przede wszystkim założyłem najpierw, że Harrison nie chodzi do najbliższej państwowej szkoły w Smithfield, na północy. Nie, zgodnie z regułami chrześcijańskiej, heteroseksualnej farsy Jake'a, chłopak musiał zostać zapisany albo do Szkoły Świętego Franciszka Ksawerego albo do Chrześcijańskiego College'u we Freshwater. Obie szkoły stały przy drodze nr 91. Założyłem też, że Harrison złapie autobus, zamiast dać się podwieźć swojej dziewczynie, bo jego rozgniewana męskość odrzuciłaby taki gest. Założyłem też, że Harrison należy do tych dzieciaków, które zamiast zjeść śniadanie w domu, wolą kupić lody albo paczkę chipsów w drodze na przystanek, i że będzie krążył jakiś czas po mieście z kumplem, zamiast jechać prosto do szkoły. I oto był, wychodził właśnie zza rogu poczty, ze zniszczoną dzinsową torbą przewieszoną przez ramię i mrożoną kawą w ręce. Genialne.

– Harry – powiedziałem, wysiadając z samochodu. Chłopak odwrócił się i chyba w pierwszej chwili mnie nie poznał, ale zaraz powiedział kumplowi, żeby poszedł przodem. Po łagodnym Harrisonie Scullym nie został żaden ślad. Chłopak był teraz wcieleniem agresji. Podszedłem do niego i przystanąłem w wilgotnej trawie. Kościsty chłopak zmrużył oczy pod czapką z włóczki.

– Harry? – powtórzył szyderczo.

– Przepraszam. W takim razie Harrison.

– Czego pan znowu chce? – Ruszył przed siebie.

– Szczerze mówiąc, chciałem spytać, czy byłeś wczoraj w nocy ze swoją dziewczyną – powiedziałem.

– Jaką dziewczyną?

– Tą rozczochną. Ma różowe kucyki. Wiesz, o kim mówię.

– No nie, o co panu chodzi? – westchnął. – Jezu, ma pan obsesję na moim punkcie czy co?

Zaśmiałem się.

– Nie mam obsesji na twoim punkcie. Chciałbym, żebyś przekazał wiadomość swojej dziewczynie. I może sam też to usłyszał. Ona jeździ koło mojego domu i obrzuca go różnymi gównami, z gromadą takich samych matołów. To się robi nudne.

Harrison zatrzymał się i zrobił mocno sceptyczną minę. Ja też się zatrzymałem.

– Tak? – powiedziałem.

– Po co mieliby obrzucać czymś pański dom?

Zagryzłem wargi. Może to był jednak kiepski pomysł. Poczułem skurcz w żołądku.

– Jej starszy brat mówił o tym pedofilu, który mieszka nad rzeką – powiedział Harrison. – Podobno facet przeprowadził się tu z Sydney, żeby ukryć się przed policją. Wiem, że chcieli pojechać i trochę tego gościa nastraszyć. Ale mówili, że to jakiś staruch.

Potałem twarz i odwróciłem wzrok.

– Pan nie jest...

– Nie, nie jestem – powiedziałem. – Może to nie ta gromada matołów.

– Zabawne. – Harrison uśmiechnął się szeroko, co zdarzało mu się rzadko. – Ludzie obrzucają pański dom gównem. To znaczy, że co, dosłownie gównem czy...

– Nie. Petardami. Farbą.

– To przezabawne.

– Tak. Przezabawne.

– To, co robią inni, to nie moja sprawa – powiedział chłopak. – Więc może pan sobie wsadzić swoje wiadomości dla niej. W ogóle radzę, żeby trzymał się pan od niej z daleka.

– Więc tak mi radzisz, tak?

– Tak, do diabła – odparł i zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, przede wszystkim na dół. – Niech pan nie będzie głupi.

– Postaram się – powiedziałem. – Jak ma na imię twoja dziewczyna?

Harrison drgnął, tylko raz. Napięcie. Może pomyślał, że naprawdę będę się trzymał z daleka od niego i jego dziewczyny. Ale cała ta brawura, którą prezentował na użytek swojego chudego kumpla, który patrzył na nas z pewnej odległości, w ogóle mnie nie przekonała. To już nie był żart. Naprawdę wchodziłem zbyt głęboko w jego mały sekretny świat.

– To nie jest moja dziewczyna – powiedział w końcu. – Nie wiem, jak ma na imię.

Odszedł, zgarbiony, ze spuszczoną głową. Kiedy zrównał się ze swoim towarzyszem, chudy chłopak obejrzał się na mnie z troską, jakby wiedział, że właśnie mocno Harrisona nastraszyłem.

23

Amanda jechała żółtym rowerem po szerokich, kamiennych schodach stacji kolejowej Cairns. Trzymała się boku mojego samochodu i mało brakowało, żeby przez nią bezdomny przewrócił swój wózek z torbami, próbując uniknąć zderzenia. Szeroko się uśmiechała, wiedziałem, że znaleźliśmy się na kolejnym szczycie kolejki górskiej jej nastrojów.

– Ze wszystkich miejsc, do których mogliśmy pójść, żeby ścigać mordercę, najlepszym jest chyba księgarnia – uśmiechnęła się. – Prawda?

– Są gorsze miejsca – ziewnąłem.

Bocznymi uliczkami pojechaliśmy na północ miasta, przerywając rozmowę, kiedy przejeżdżaliśmy przez główne ulice. Amanda śmigała między samochodami jak kolorowa plama, a ja czekałem na zmianę świateł. Bardzo dobrze radziła sobie na rowerze. Znudzona czekaniem na mnie robiła kółka, skręcała w boczne uliczki, imponując opalonym na wszelkie odcienie brązu mężczyznom, którzy leżeli na poplamionych potem gazetach.

Mieliśmy zamiar wpaść do Dymocks i porozmawiać z wszystkimi, którzy mogli coś widzieć albo znać napastnika biorącego udział w podpisywaniu książek przez Jake'a. Ponownie przejrzałem listy od fanów, odrzuciłem wszystkie od kobiet, próbowałem odszukać w słowach zapisanych na kartkach wściekłość i niepokój, który widziałem w tym człowieku na kadrach z kamer nadzoru. W większości wypadków gniew w listach od fanów miał podłoże prawości duchowej. Próbowali pouczać Jake'a, w których miejscach zblądził, płacząc zawartość Pisma Świętego, chcieli pokazać mu „światło”. Był to gniew parszający śliną z ambony. Nie taki w stylu bicia kobiet na ulicach.

Amanda, kiedy się z nią zrównałem, położyła rękę na boku samochodu i dała się ciągnąć rozpędowi wozu. Oparłem łokieć o okno.

– Ofiara napaści ulicznej – powiedziałem. – Myślisz, że fan uderzył ją, bo nie wiedziała, kto to jest Jake?

– Najpierw pyta faceta, co to za okazja – odparła Amanda. – Z chęcią odpowiedział. Dopiero kiedy pyta, kto to taki Jake Scully, dostaje w dziób.

– Dlaczego ten fanatyczny wielbiciel miał skrzywdzić Jake'a, skoro tak bardzo go kochał? – zastanawiałem się. – Wyobraźmy to sobie. Facet tak szaleńczo kocha Jake'a, że wścieka się, kiedy ktoś nie wie, kto to jest. Jake staje się jego obsesją. Jakoś kontaktuje się z Jakiem i zwabia go pewnego wieczoru, żeby się z nim skonfrontować. Sprawy idą w złym kierunku. Jake kończy jako pokarm dla krokodyla.

– Jak go zwabia? – Amanda ściągnęła brwi.

– Ale wcześniej – jak się z nim kontaktuje? Nie widzę go w listach od fanów. Nie widzę go w billingach telefonicznych. Czy on go zna? – pytam, Amanda milczy, omijając rowerem wielkie kępy trawy, które wyrastają z pęknięć w asfalcie. Wilgoć jest taka, że nienasycona dzicz rozpełza się wszędzie.

– Myślałam, że gość w bluzie z kapturem miał świra – powiedziała Amanda. – To Cairns. Kto nosi bluzę z kapturem? Jeśli w upał nosi się coś takiego, to tylko, żeby nie zostać rozpoznanym.

– Przez Jake'a?

– Może. A co z Carym? – Amanda spojrzała na mnie. – Co z człowiekiem z personelu księgarni? Był tam wydawca Jake'a z Sydney. Może fan to jakiś niedoszły autor? Wszyscy tacy niespełnieni pisarze to świry jak cholera.

– Dlaczego tak uważasz?

– Przez jakiś czas w mojej celi, w więzieniu dla kobiet w Brisbane była taka jedna. Na imię chyba miała Frieda. A może Freddie? Jakiś wydawca zainteresował się jednym z jej wczesnych kawałków i dziewczynie wydawało się, że musi tylko poczekać na tę kobietę w wydawnictwie, żeby powiedziała „tak” w sprawie jednego z jej manuskryptów. Wiesz, jacy są młodzi ludzie. Poniosła ją wyobraźnia i zaczęła mówić ludziom, że właściwie to już ma kontrakt. Potem uzyskała kontrakt ustny. Potem na piśmie. Dziunia pisała latami, zaczynała powieść, potem kolejną powieść, potem kolejną. Wysyła kobiecie pierwsze trzydzieści tysięcy słów książki, a ta mówi, „Och, to jest świetne, kochana. To jest świetne. Nie nadaje się do publikacji, ale już się zbliżasz”.

– Jakież to frustrujące – powiedziałem.

– Frieda to przeboleła. Powiedziała przyjaciółom i rodzinie, że to nieporozumienie, że wydawca przyjął ją na szkolenie, a nie do właściwej publikacji. Nadal wciska kit, ale to ratuje twarz, prawda? I podtrzymuje urojenia. Myśli, że jest coraz bliżej. Po paru latach Frieda oddała tej kobiecie siedem czy osiem manuskryptów. Były w kontakcie od kilku lat. A potem ta kobieta odeszła z wydawnictwa. Ciach, ot tak, postanowiła zostać mamą i zostać w domu.

– No nie – powiedziałem.

– O tak. Przekazała Friedę jakiemuś facetowi z wydawnictwa, ale kiedy dostał pierwszy manuskrypt, powiedział, że to badziewie: „Naiwna pisanina bez istotnej fabuły”. Frieda chodziła po celi, mamrocząc do siebie. „Naiwna pisanina bez istotnej fabuły. Naiwna pisanina bez istotnej fabuły”.

– O kurczę.

– Co gorsza... – Amanda drgnęła. – Frieda nadal miała obsesję na tle poprzedniej przedstawicielki wydawnictwa. Zaczęła śledzić jej nowy blog o rodzicielstwie. Była wydawca, z której zrobiła się mamuńcia, pisze o swoich dzieciach, pisze jak zachęca chłopczyka, nawet kiedy dzieciakowi coś zupełnie się nie udaje. Pisze, że tak robiła, kiedy pracowała w wydawnictwie. Że czasem dzieło jest tak złe, że nie ma sensu uczyć autora czegokolwiek. Próbowwała poprawiać im samopoczucie: „To świetne, kochanie. Świetne. Próbuje dalej!”

– Frieda źle to przyjęła?

– Wcale nie.

– Więc co się stało? – zapytałem.

– Frieda wpadła do mamuńci do domu i spartaczyła – powiedziała Amanda. – Sfiksowała.

– Dzieciom się upiekło? – zapytałem.

– Nie.

– Jezu. – Cofnąłem się do samochodu i spojrzałem na drogę przede mną. – I to za książki.

– Książki to chyba coś innego – powiedziała Amanda. – Z nimi jest jak z własnymi flakami. Wyrywasz sobie flaki, dajesz komuś na talerzu, a on zadziera nosa. I tyle z tego masz. Jesteś pusty, bez flaków. Przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Nigdy niczego nie napisałam.

– Przedstawiasz to bardzo obrazowo – powiedziałem. – Może powinnaś zacząć pisać.

– Oda do Teda! – Podniosła palec. – Był raz człowiek z Sydney taki...

– To chyba limeryk.

– Który miał wargi! Czerwone jak! Buraki!

– Chyba jesteś coraz gorsza – westchnąłem. – Czy to możliwe, żebyś była jeszcze gorsza?

W uliczkę przed nami wjechał samochód, niezdarnie skręcił z głównej drogi między dwa zaparkowane wozy. Nadepnałem na hamulec, chociaż między nami była spora odległość, zastanawiając się, czy to nie ja pojechałem jednokierunkową ulicą pod prąd. Zanim zdążyłem to powiedzieć, Amanda podeszła z rowerem do mojego okna i stanęła. Patrzyła przed siebie, wargi miała ściągnięte.

– To Damford i Hench – powiedziała, patrząc za siebie w stronę początku uliczki. – Zawracaj.

– Co? – zapytałem. – Nie mogę. Co... Skąd wiesz, że to oni?

W naszą stronę toczył się samochód, biały džip. Ale kiedy lepiej się przyjrzałem, a na szybę przednią padł cień, zauważyłem zarysy dwóch mundurów.

– Kurwa – powiedziałem.

– Jeszcze jest czas – stwierdziła Amanda.

– Nie. – Zatrzymałem samochód. – Idź do księgarni. Tam się spotkamy. Nie będę przez resztę życia uciekał przed tymi skurwielami.

Nie wiem, co mnie napadło, ale było to coś zupełnie sprzecznego z logiką. Odgłos roweru Amandy oddalającego się ulicą wyrwał mnie z chwili pełnych przemocy marzeń. Stałem w pełni sił umysłowych, wystraszony przy otwartym samochodzie. Dżip zatrzymał się jakiś metr ode mnie. Zerknąłem do wozu, żeby sprawdzić, czy mam jakąś broń zarejestrowaną na moje nazwisko, ale niczego tam nie było – pusty karton, w którym było parę moich rzeczy, kiedy się przeprowadzałem, i trochę rozrzuconych papierów.

Przez lata spędzone w policji poznałem kilku policjantów, którzy w ten sposób prześladowali przestępców. Kilka pierwszych spotkań wyglądało na przypadkowe, ale teraz już wiedziałem, że policjanci zaczną wyskakiwać przed sprawcą w miejscach i o czasie, którego nie sposób przewidzieć. Znaleźli mnie w Cairns, ścigali mnie nieoznaczonym samochodem. To miało mi uświadomić, że ciągle

o mnie myślą. Że to, co mnie spotyka, zostało zaplanowane i dokądkolwiek bym poszedł, znajdą mnie.

Spróbuj zasnąć w nocy z tą świadomością. Kiedy wiesz, że zawsze są gdzieś, za twoimi plecami. Obserwują.

Ponieważ od chwili, kiedy się spotkaliśmy, zacząłem o nich myśleć „świnie”, trudno było nie stosować wobec nich zwierzęcych porównań, widzieć absurdalność ich kaczego chodu, jakby byli przyzwyczajeni do chodzenia na czworakach. Lou Damford, ten z głębokimi bliznami po trądziku, podszedł do mnie z poufałością przyjaciela.

– Opróżnij kieszenie i połóż ręce na dachu samochodu.

– Nie – powiedziałem.

Jego partner Steven roześmiał się.

– Nie bądź głupim skurwielem – rzucił.

– Czy to wóz policjantów po cywilnemu? – zapytałem kiwając głową w stronę ich samochodu. – Nie ma kamery na desce rozdzielczej?

– Nie – odparł z uśmiechem Damford. – Nie ma.

– Więc nie jesteście w pracy.

Damford wyciągnął pałkę, tę, którą kilka dni temu rąbnął mnie w kolano. Poczułem, jak mięśnie w nogach napinają mi się, palce zwinęły się w pięści.

– Jak nie poddasz się przeszukaniu, będzie bolało.

– Chyba i tak będzie bolało – odparłem.

Damford zamachnął się na mnie pałką, chybił, bo cofnąłem się w stronę samochodu. Podniosłem ręce do góry przestraszony siłą, jaką włożył w zamach.

– Współpracuję – powiedziałem. Położyłem ręce na dachu. – Współpracuję.

Hench otworzył drzwi po stronie pasażera i zaczął przetrząsać zawartość samochodu, chwycił papiery i zerkał na nie, potem wyrzucał je na chodnik. Damford odłożył pałkę i zaczął mnie obszukiwać, klepał mnie twardymi, płaskimi dłońmi po obojczykach.

– Ludzie, kurwa, czego wy chcecie, hę? – zapytałem. – Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

– Chcemy tego, czego chcą wszyscy prawdziwi policjanci – powiedział, oklepując mnie wzdłuż boków. – Chcemy bezpiecznych ulic, szczęśliwych kobiet i dzieci.

– Prawdziwi policjanci? – zapytałem. – Więc przykro wam, że jestem, kim jestem, a szczególnie obraża was to, że byłem jednym z was.

– *Morderstwo w Top End* – powiedział Damford, wyjmując książkę ze schowka. Pokazał ją partnerowi nad dachem samochodu. Wymienili znaczące spojrzenia, jakby znalezienie tej książki potwierdzało wszystko, co przez cały czas myśleli. Tylko nie wiedziałem, co to było. Obaj wiedzieli, że pracuję z Amandą. Widzieli ją w moim towarzystwie. Dwa razy.

– Czego wy chcecie od Amandy?

– A jak myślisz, dupku? To pojebany rzeźnik.

– Wiedzieliście, że jest zabójczynią, zanim się pojawiłem – powiedziałem. – Jaki macie problem z nią i ze mną?

– Zamknij się, kurwa. – Hench dźgnął mnie w plecy na wysokości nerek.

– Przeszukajcie samochód, a potem odpierdolcie się – powiedziałem.

– Widzisz, Ted, z twoim przestępstwem jest tak, że statystyki recydywy są nie z tej ziemi – powiedział Hench, obmacując mi nogi z dołu do góry. – Nielecczeni gwałciciele dzieci ze skłonnością do przemocy, tacy jak ty, to sześćdziesiąt pięć procent recydywy.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taki uczony – powiedziałem.

– To znaczy, że raczej znów coś takiego popełnisz – ciągnął, trzymając ręce na moich biodrach. – Jeśli masz bodźce seksualne, szanse są tym większe. A więc, gdybyśmy mieli znaleźć stymulujący seksualnie materiał dla mężczyzny z twoimi upodobaniami...

– Ted, a co to jest? – zapytał Damford z drugiej strony wozu, podnosząc egzemplarz *Powstania*, trzeciej książki Jake'a Scully'ego, z nastolatką na okładce. Postukał książkę. – Ile lat ma ta dziewczyna?

– Zauważyłem, że Amanda Pharrell ma interesujący typ budowy cielesnej, jak na dorosłą kobietę – powiedział Hench, nadal trzymając dłonie na moich biodrach. – Jest szczególnie... nierozwinięta. Jak sądzisz, Ted?

Wypuściłem powietrze przez zęby.

– Chodzi mi o to, że nie ma cycków. – Hench przesunął dłonie wokół moich bioder i złapał mnie całą ręką za krocze. Wycisnął ze mnie oddech. – Staje ci przy niej, Ted?

Próbowałem przesunąć się w bok, Hench szybko uniósł ręce pod moje pachy

i pociągnął mnie. Straciłem równowagę, odwróciłem się i dostałem od niego kolanem w podbródek. Zęby wbiły mi się w dolną wargę. Zachwiałem się, opadłem na jedno kolano, próbowałem się wyrwać.

– Nie ma żadnej cholernej kamery na desce rozdzielczej – powiedziałem. – Nic nie może mnie powstrzymać przed stawianiem oporu.

– No, spróbuj. – HENCH uśmiechnął się, a jego partner obszedł za mną samochód.

Musiałem być nieprzytomny krócej niż godzinę, bo to nie Amanda mnie znalazła. Zauważyła mnie kelnerka z restauracji położonej trochę dalej przy uliczce, kiedy wynosiła śmieci. Zauważyła parę moich dobrych butów wystającą zza samochodu. Obudziłem się, kiedy przyciskała mi do twarzy ścierkę do naczyń i wołała do kolegów.

– Sprowadźcie karetkę!

– Nie, nie róbcie tego. – Sięgnąłem do ust, dotknąłem szczyrby z tyłu szczęki, gdzie wcześniej był ząb. – Nigdzie nie dzwońcie.

Rozpoznają cię w szpitalu. Wezwą policję, jeśli obrażenia okażą się poważne.

Jak poważne były te obrażenia?

Kręciło mi się w głowie. Chwyciłem się kołyszącego się betonu i próbowałem usiąść, poczułem trzeszczenie żeber. Dam radę kierować samochodem? Krew bulgotała mi w gardle.

– Koleś, tobie jest potrzebna karetka. Zbili cię na miazgę.

Przyjrzałem się zakrwawionym dłoniom. Skórę ze wszystkich kostek miałem zdartą. Czy wyprowadziłem parę celnych ciosów? Miałem nadzieję, że tak.

– Dajcie mi telefon. – Machnąłem w stronę alejki. – On... on gdzieś tam jest. Wyrzucili go. Znajdźcie go i dajcie mi. Wiem, do kogo zadzwonić.

Nie bardzo pamiętam, jak przyjechała po mnie doktor Gratteur i jak zawiozła mnie swoim samochodem do Szpitala Cairns. Moje pierwsze naprawdę żywe wspomnienie, to że leżę na płask i patrzę, jak drobna stara kobieta siedzi i zaszywa rozcięcie w moim przedramieniu, jak zakrzywioną igłą ściąga ciało z obu stron rany. Myślałem, że leżę na łóżku, ale zauważyłem, że moje odrętwiałe palce leżą w dziwnej rynience biegnącej wzdłuż stołu. Przekręciłem głowę i poczułem pod nią

stal.

– Czy to stół do sekcji zwłok? – zapytałem. Valerie spojrzała na mnie.

– Tak.

– Mogła tu leżeć Lauren Freeman – wyszeptałem. Cudownie było zamknąć oczy.

– Cóż! Uwierzysz albo nie, ale to najmniej zwariowana historia, którą opowiedziałeś w ciągu ostatniej godziny. – Lekarka wstała, stołek zatrzęszczał na podłodze. – Chyba nadszedł czas na przepyszne lekarstewka.

Pogmerała przy dożylniej kroplówce w moim drugim ramieniu. Wyciągnąłem się i usłyszałem trzeszczenie kolan. Przypomniałem sobie, jak mnie w nie kopnięto. Tępy ból ogarnął wszystko.

– Czy policja wie, że tutaj jestem? – zapytałem.

– Mówiłeś, że to zrobiła ci policja.

– Nie, tak. Ale. Inna policja...

– Nikt nie wie, że tutaj jesteś – odparła.

– Poza mną – odezwał się jakiś głos. Usłyszałem stukanie obcasików. – Jezu Chryste, Ted, co się, kurwa, stało?

Ciepła dłoń na moim czole. Otworzyłem oczy, miałem rozmazane widzenie. Skupiłem się, próbowałem rozróżnić, który kolorowy kształt to Valerie, a który to Fabiana.

– Bardzo chciałabym wiedzieć, jak się tu dostałaś – powiedziała Valerie.

– Zmieniłam strony – odparła Fabiana. – A przynajmniej już nie jestem... już nie jestem taka pewna. Zrobiłam się neutralna. Słuchaj, nie mam zamiaru być wrzodem na dupie. Chcę tylko dowiedzieć się, czy z nim w porządku.

– Jak się dowiedziałaś, że tutaj jestem? – zapytałem.

– Mam swoje sposoby. Parę kelnerek zawiadomiło policję w Cairns, że pobito dużego, czarnowłosego faceta. Powiedziano, że jakaś stara kobieta zabrała go, zanim przyjechała karetka. Nie odpowiadałeś na telefony. Nie trzeba do tego geniusza.

– Stara kobieta? – prychnęła Valerie.

– Kto ci to zrobił? – Fabiana pomogła mi usiąść. – Chcę znać nazwiska. Zbierzemy szczegóły do wieczornych wiadomości w Sydney.

– Ogłupiałaś dziewczyno? Jak myślisz, dlaczego on tu jest? – warknęła Valerie.

– Jest tutaj, bo nie może teraz pójść do pieprzonego szpitala publicznego, żeby nikt

go nie rozpoznał. Jeśli napiszesz słowo do wiadomości, zetrę ci szminkę z twarzy.

– Co za kompromitacja! Zarzuty przeciwko niemu oddalono. Nie wolno go traktować w ten sposób!

– Cóż, wybacz, że nie padam na kolana przed twoją krucjatą w obronie sprawiedliwości, kochana – powiedziała Valerie. – Pozwól, że ci przypomnę. Parę dni temu przyjechałaś tutaj i próbowałaś go powiesić na miejskim placu.

– Możecie przestać? – zapytałem. – Ja tylko chcę do domu. Zawieź mnie do domu, proszę.

– Nawet gdyby był winny, nie stałabym obok, nie pozwoliłabym, żeby człowieka pobito na ulicy jak pieprzonego psa – powiedziała Fabiana.

– Bo ja wiem. – Valerie wzruszyła ramieniem. – Z tego byłby wspaniały news.

– Dość. – Złapałem najbliższy rozmyty kształt. Okazało się, że to Fabiana. – Zawieź mnie po prostu do domu.

24

Drogi Jake'u!

Wczoraj wybrałem się na wycieczkę rozpoznawczą. Wiesz dlaczego? Bo chciałem wiedzieć, jak to jest, kiedy ma się tyle do stracenia.

Sam niewiele mam do stracenia. Nie liczę spraw materialnych, chociaż masz taki piękny dom, wygląda na to, że wypchany bezużytecznymi śmieciami. Mnóstwo sztuki nowoczesnej. Wyobrażam sobie, że to wszystko sprawka Stelli. Nie, to, o czym mówię, to ściany i konstrukcje, które budujemy w swoim wnętrzu. Większość z nas zaczyna to robić od samego początku, kiedy jesteśmy dziećmi. Twoi rodzice pomogli ci położyć fundamenty. Płytę. Podłogę. Kafelki. Twoją pewność siebie. Twoją siłę. Sprawy zasadnicze, jak na przykład, dawanie i przyjmowanie miłości. Wprowadziłeś to wszystko w ruch. Obserwowałem cię wieczorem. Byłeś z synem i żoną trofeum. Kochasz ich, chociaż on jest najwyraźniej jeszcze niezrealizowaną porażką, a ona ma wewnętrzną złożoność szkolnego pudełka na lunch, i tak ich kochasz. Jesteś do tego zdolny.

Moje fundamenty popękały, pokruszyły się. Nie wiem, po co się urodziłem. Nikomu nie ufam. Chodzę po świecie schowany w sobie, pełen nienawiści. Jestem jak pająk w dziurze. Zimno tutaj.

Ty. Ty masz piękne, mocne fundamenty. Na nich zbudowałeś ściany i dach, żeby cię chronił przed deszczem. Na pewno czujesz się bezpieczny. Na pewno masz szczęśliwy mózg w tej swojej pięknej czaszce. Mocno zbudowany.

Uwielbiam niszczyć, zawsze to uwielbiałem. Lubię rozkładać rzeczy na części i patrzeć, jak działają. Kiedy byłem dzieckiem, własnymi rękami niszczyłem zabawki. Rozpruwałem misie, odrywałem głowy lalkom. Niektóre zabawki są mocne, musiałem brać młotek taty, żeby je rozbić. Ostatniej nocy siedziałem w ciemności i patrzyłem na twój wspianiały dom, obserwowałem, jak chodzisz po

pokojach, i myślałem, żeby rozerwać cię na sztuki, Jake. Najpierw uderzyć w twoją pewność siebie. Potem w twoją siłę. A co, gdybym zagroził ludziom, których kochasz, Jake? Ile czasu zajęłoby, zanimbyś popękał?

A co, gdybym wszedł do twojego domu i zadzgał w łóżku twojego syna, wielbiciela muzyki gotyckiej, Jake? Czy zrzuciłby maskę twardego i zapłakałby za tatą?

Co trzeba zrobić, żebyś zwrócił na mnie uwagę?

Słuchałem stukania przez dłuższy czas, zanim odważyłem się podnieść głowę z poduszki i popatrzeć w nogi łóżka. To była Amanda, siedziała tam i pracowała na swoim laptopie. Tylko od czasu do czasu przerywała, żeby okręcić kosmyki rozczochranych włosów wokół długich palców. Stoliczek nocny usiany był pomiętymi paczuszkami pigułek. Trochę się odwróciłem, wziąłem jedną i wciągnąłem ją w ciemność pod prześcieradłem, gdzie istniałem. Wyłuskiwałem kapsułki w ciemnościach.

– Nie śpisz? – zapytała.

– Aha.

Całe łóżko zatrzęsło się, kiedy skoczyła z nóg łóżka na poduszkę obok mnie. Uruchomiła natychmiast wszystkie moje bóle i cierpienia.

– Nareszcie! Jezu! To były trzy dni!

– Nie – jęknąłem. – Na pewno nie.

Wtuliła się w prześcieradło. Leżałem, patrząc na nią. Dziwiłem się kobiecie, która wzdraga się przed moim dotknięciem jak pająk, ale radośnie wślizguje się pod moje prześcieradło, zapewne nie mając pojęcia, co mam na sobie. Sprawdziłem. Byłem ubrany w spodnie od pizamy. Żebra miałem obandażowane, a rozcięcie w lewym ramieniu mocno obwiązane bawełną. Nie miałem pojęcia, jak wygląda moja twarz, ale bolała mnie.

– Przygotuj się na pobieranie danych – powiedziała Amanda.

– Jestem gotów.

– Jeden. – Wystawiła palec. – Żadne z pracowników księgarni nie rozpoznało rozgniewanego fana z promocji książki. Ale jedna z pracujących tam pań pomogła, bo powiedziała, że facet był młody, miał ciemne włosy i kucyk.

– W porządku – stwierdziłem.

– Dwa – powiedziała Amanda. – Ulica, przy której stoi Dymocks, nie należy do najbezpieczniejszych na świecie. Ale jest tam parę kamer nadzoru. Skontaktowałam się ze sklepem zaopatrującym baseny, parę przecznic od księgarni, i poprosiłam, żeby przejrzyli swoje kasety i sprawdzili, czy nie zobaczą na nich tego gościa. Zajęło im to cały dzień.

– Co znaleźli?

– Znaleźli tego gościa.

– I?

– I przechodził tuż obok sklepu. W kapturze na głowie. Zupełnie nie do użytku.

– To po co mi o tym mówisz? – Zmarszczyłem brwi.

– Bo uważam, że powinieneś poznać każdy niuans mojego niezależnego, przeprowadzonego solo, jednoosobowego śledztwa, kiedy ty leżałeś tutaj, jak na wpół przetrawiona larwa – powiedziała. – Spracowałam się, że aż boli mnie zadek. Czy mógłbyś to docenić, nie znając każdego...

– Już dobrze, już dobrze, już dobrze.

– Trzy – mówiła dalej, uważając, żebym jej nie przerwał. – Uzyskałam także bezużyteczne kadry z gościem przechodzącym obok sklepu z alkoholem i sklepu obuwniczego.

– Jesteś naprawdę zdumiewająca.

– I wtedy znalazłam ten wspaniały kadr z nim przed stacją kolejową! – zawyła triumfalnie, obracając laptop w moją stronę. Patrzyłem na pociągłą twarz mężczyzny po dwudziestce z oczami wbitymi w komórkę, z kapturem kurtki zwisającym z ramion.

– Popatrz! Oto stoi nasz wróg! – zatrąbiła.

– Nikczemnik zdemaskowany! – Wreszcie się dołączyłem. – No i kto to jest?

– Nie mam pojęcia. – Amanda wtuliła się w poduszkę. – Przejrzałam parę profili na Facebooku, na stronach Fanklubu Jake'a Scully'ego, żeby sprawdzić, czy jest tam ktoś podobny.

Oparłem się o poduszki i patrzyłem, jak przewija zdjęcia profilowe na ekranie. Co jakiś czas zatrzymywała się, kiedy nazwisko pojawiało się obok pustej ramki na zdjęcie. Brała z profilu ubogie informacje i samo nazwisko, żeby wyszukać w Google fotografię. Była to mozolna praca, ale wykonywała ją mechanicznie, nie odwracała oczu od ekranu, minę miała skupioną. Pomiotalem się i odwróciłem,

żeby trochę się przespać. Amanda nie poruszała się, nie licząc palców na klawiaturze, wklepujących dane jak robot.

Zdałem sobie sprawę, że znów się zdrzemnąłem, kiedy obudziło mnie jej ciche:

– Ha.

– Co?

– Przeszukiwałam zdjęcia z wszystkich eventów czytelnicznych Jake’a na Facebooku, u różnych wydawców – powiedziała. – Co sądzisz o tym koleśiu?

Pokazała mi fotografię Jake’a, który siedział za biurkiem obok czegoś, co wyglądało na scenę w teatrze. Na dole zdjęcia były jego szerokie plecy – masa szarej wełny. W rogu ujęcia widać było młodego człowieka o pociągłej twarzy, ponurych oczach ukrytych pod potężnym czołem. Jedno ramię bezwładnie zwisało mu u boku, drugie wpijało się w nie niezdarnie. Stał z dala od ludzi cisnących się przy stoliku.

Na tym zdjęciu był młodszy niż na ujęciu z kamery nadzoru.

– Na oko jest bardzo podobny – powiedziałem. – Możesz to pokazać pod jakimś innym kątem?

Amanda parę razy kliknęła i zatrzymała się na innym zdjęciu pełnym ludzi. Ta sama przestrzeń w teatrze wykorzystana była teraz na urządzenie party.

– Czy to Jake? – Amanda pokazała najwyżej położony skraj zdjęcia. Ten sam szary, wełniany sweter. Młody człowiek z kucykiem. Jake wyglądał, jakby szeptał młodemu człowiekowi do ucha.

– Jak sprawdzimy, kto to jest? – zapytałem.

– Może jest oznaczony. – Amanda wróciła do oryginalnej fotografii, przejechała strzałką po twarzach w tłumie. Nazwiska pojawiały się i znikwały. Przy człowieku z kucykiem nie pojawiło się żadne.

– Zaczynaj pisać do tamtych ludzi. Sprawdź, czy jest ktoś, kto go zna. Zobaczymy, czy jego nazwisko pojawia się w listach od fanów.

Oparłem się o poduszki i zamknąłem oczy, próbowałem przypomnieć sobie coś z trzech dni straconych na sen. Coś tam przypominało mi się, że Amanda była tutaj. Pamiętałem, że wychodziłem do holu, że drzałem owinięty w prześcieradło, że podglądałem ją, jak w środku nocy siedziała z laptopem przy stole w kuchni. Amanda stała przed toaletą, mówiła do mnie, a ja usiłowałem zachować pionową pozycję i byłem zbyt zmęczony, żeby wstydzić się odgłosów mojego siusiania

i zbyt nafaszerowany lekami, żeby rozumieć, co do mnie mówi. Było też bardzo niepokojące wspomnienie, jak podchodzę do szczeliny w zabitych deskami oknach i widzę, jak wcześniej rano albo późno po południu, Amanda stoi na zarośniętym kawałku działki i rozmawia z Damfordem i Henchem.

Wiedziałem, że to prawdziwe wspomnienie, bo Amanda, ten promienny, podekscytowany i niezmożenie radosny typ ludzki, była tak przygnębiona, stojąc przed dwoma grubasnymi, czarnookimi policjantami, że aż mną to wstrząsnęło. Patrzyła sobie pod nogi, słuchała, jak ją pouczają. Grożą jej. Nie była tym wiecznym dzieckiem, które znałem. Wyglądała na swój wiek.

O czym oni rozmawiali?

Na dworze silnik samochodu zwiększył obroty. Razem z Amandą odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na drzwi. Usłyszałem, jak Kobieta na werandzie zaczęła gęgać wraz z coraz głośniejszymi obrotami silnika i wyrzucanym żwirem.

– Co to, kurwa, jest?

– Nie wiem. To nie są samozwańczy stróże prawa. Oni nie przychodzą za dnia.

Wstałem z łóżka, wszystkie bóle natychmiast wróciły. Biodra strzelały, żebra chrzęściły, w głowie się kręciło. Wlokłem się do pokoju od przodu, Amanda szła za mną. Stała przy jednej szczelinie w zabitym deskami oknie, ja stanąłem przy drugiej.

Na drodze stał zielony sedan, podkręcał ciągle obroty, a kierowca od czasu do czasu wrzucał bieg i wypuszczał spod kół glinę i kamienie. Ręce mi się trzęsły, kiedy trzymając się desek, próbowałem rozpoznać twarze w samochodzie. Byli tam sami dorośli mężczyźni.

– To nie oni – powiedziałem Amandzie. – Nie ci, co zwykle.

– Umrzesz, Tedzie Conkaffey! – ryknął mężczyzna na fotelu pasażera. – Umrzesz, ty gnojku!

– Cóż – westchnęła Amanda – to nie jest zbyt uprz...

Przed domem rozległy się strzały, usłyszałem, jak kule wbijają się w deski na oknie w drugim pokoju. Zobaczyłem, jak strzelec z tylnego siedzenia celuje w stronę domu.

– Padnij!

Amanda leżała na podłodze, zanim mi się to udało. Przykucnąłem cały obolały, potem rzuciłem się na brzuch, kiedy kule przebiły się przez deski w oknie,

obsypując nas drzazgami.

Samochód odjechał z rykiem, a ja przetoczyłem się na plecy i patrzyłem na smugi światła przedostające się przez dziury. Było ich osiem czy dziewięć. Krzywa, złota drabina wiodąca ku sufitowi. Amanda leżała na brzuchu i patrzyła na mnie. Wyciągnięte ręce pokryte miała wiórami drewna.

– To najbardziej podniecająca rzecz, jaką zaliczyłam od... – przerwała, żeby się zastanowić. – Co najmniej paru tygodni.

– Jakoś nie podzielałam twojego entuzjazmu. – Z trudem wstałem. Miałem miękkie kolana. – Nakarmię gęsi i zamknę je. Ty zbierz swoje rzeczy. Wynośmy się stąd, przynajmniej na jakiś czas.

Powiedziałem Amandzie, że spotkam się z nią u niej w biurze, bo mam sprawę do załatwienia. Ale prawdę mówiąc, chciałem być sam, żeby oswoić się z myślą, że ktoś właśnie strzelał do mojego domu. Myśli świszczały mi w głowie, kiedy jeździłem bez celu samochodem po plantacjach trzciny.

Jakie to szczęście, że nie mieszkałem już z żoną i dziećmi.

Powinienem wezwać policję.

Trzy dni wcześniej policja mała mnie nie zabiła.

Powinienem zabrać stąd gęsi. Nie były bezpieczne.

Ta ostatnia myśl wywołała łaskotanie w nosie, które przychodzi, zanim pojawią się łzy, ale emocje nie posunęły się dalej. Nie mogłem teraz stracić panowania nad sobą. Nie z powodu gęsi. Ale nie mogłem zaprzeczyć, że Kobieta i jej dzieci przyniosły mi wielką ulgę tutaj, w Crimson Lake, zastępując mi utracone dzieci i przypominając, że nie jestem najbardziej bezradnym stworzeniem w okolicy – że w sumie niebezpieczeństwo i strach są tutaj wszędzie i jeśli te maleństwa mogą przetrwać, to ja też. Przyjemnie było siadywać rano na werandzie i patrzeć na nie, przypominać sobie, jak skulone w kartonie niosłem do weterynarza, a pióra miały zmierzwione od przyrodzonego, pierwotnego strachu. Ich życie było – dosłownie – w moich rękach. To, co sprowadziło je do moich drzwi, już się skończyło. Może pewnego dnia, tak jak one, znajdę ratunek dla siebie.

Zatrzymałem się na poboczu i złapałem się za głowę. Ognie w czaszce były coraz większe, zaczynały wirować. Robiło się niebezpiecznie. Poczulem, że wszystkie moje obrażenia ożywają w chwili, gdy ogarnia mnie gniew. Gniew na

Damforda i HENCH, gniew na kmiotów strzelających do mojego domu, gniew na tego złośliwego gnojka Harrisona Scully'ego. Dzieciak najpierw rzucił się z płaczem na moją pierś i domagał się fizycznego pocieszenia, a chwilę potem patrzył na mnie jak na śmiecia i rozmawiał ze mną na ulicy, jakby był dorosły.

Kiedy ja byłem dzieckiem i dorosły prosił mnie o coś, robiłem to kurwa. Bo tak już jest. Dorosli to dorośli, bez względu na to, kim są. Oni rządzą. Nie zastanawiasz się, co mogą, a czego nie mogą, nie zastanawiasz się nad wyborem.

Zdałem sobie sprawę, że oszołomiony patrzę przez okno trzymając w dłoni telefon. Zanim zdołałem się powstrzymać, zacząłem wyszukiwać w Google lokalną szkołę. Miałem zamiar znaleźć dziewczynę Harrisona, zanim ze swoimi małymi strażnikami prawa rozniosą jeszcze dalej informację o mojej obecności w miasteczku. Jak widać już zdążyli powiadomić niebezpiecznych typów, o co byłem oskarżony i gdzie mieszkam. Jak tak dalej pójdzie, za parę dni będę miał tłum na moim progu. Może uda mi się jakoś natchnąć ją bojaźnią bożą. Może, jak nią trochę potrząsnę, uda mi się załatać przeciek. Coś jednak mi mówiło, że nic z tego nie będzie. Ale strzelanina tak mną wstrząsnęła, że potrzebne mi było działanie, natychmiast, jakiś projekt, żeby się na nim skoncentrować i nie spaść z krawędzi.

Przejrzałem listę szkół państwowych wokół Crimson Lake i kliknąłem na pierwszą. Ręce mi drżały, kiedy wybierałem numer. Odchrząknąłem przez zaciśnięte gardło i wyprostowałem kark, kiedy odpowiedziała recepcjonistka.

– Szkoła państwowa Edge Hill, mówi Marion.

– Jak tam leci, Marion. Nazywam się Tom Collins. Jestem podwykonawcą w Departamencie Transportu i Dróg, pracuję tutaj, na drodze państwowej 91. Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziałem i pociągnąłem nosem. – Ale prowadzę roboty tutaj, przy drodze, a banda uczniów w Datsun Bluebird robi z siebie mały na zjeździe z autostrady.

– Ojej.

– Tak, słuchaj paniusiu nie chcę robić z siebie kapusia. – Znow pociągnąłem nosem. – Ale poprosiłem ich, żeby sobie poszli, a oni mi, żebym się odpiardolił, zasadniczo.

– O mój Boże – westchnęła recepcjonistka Marion. – Gdzie to jest?

– Trochę dalej, na autostradzie. Zjazd w pobliżu Anderson Street. Prowodyrem

jest dziewczyna, co ma czarne i różowe włosy. Warkoczyki. Wszyscy palą, kopcą jak z komina w mundurkach szkolnych i w ogóle.

– Różowe włosy? – Marion ożywiła się. – Och nie, ona nie wygląda na którąś z naszych dziewczyn. Mamy najsurowsze na cały region przepisy co do wyglądu.

– Naprawdę?

– O tak. Nasze podejście do mundurków wypełnia najwyższe standardy. Jesteśmy bardzo dumni z wyglądu naszych uczniów, z tego jak reprezentują szkołę. W klasach wyższych mamy czterdzieścioro troje uczniów i żadne z nich nie ma pofarbowanych włosów. Jest pan pewien, że to uczniowie?

Rozłączyłem się z Marion i zadzwoniłem do szkół w Whitfield, Cairn West i Trinity Bay. Gorączka zaczęła mi opadać. Oparty o okno opowiedziałem swoją historyjkę Gregowi, recepcjoniście z państwowego liceum w Smithfield.

– Zgadza się – warknął nagle Greg. – Wygląda na to, że to znowu ta cholerna Zoe Miller.

– Przepraszam. – Wyprostowałem się na fotelu. – Kto?

– Jessie. – Słysząc było, jak recepcjonista Greg mówi coś nie do słuchawki. – Jessie, dzwoni do Carmel, dobrze? Zoe Miller i tamci chłopacy wyszli, żeby zapalić sobie na poboczu autostrady. Panie Collins? Panie Collins, nadal tu jestem. Dziękuję za telefon. Wyślemy naszego wychowawcę, żeby przyprowadził uczniów.

– Okej, dziękuję...

Rozłączył się.

Jechałem zżerany niespodziewanym poczuciem winy, że zamąciłem w głowach grupie ciężko pracujących recepcjonistów szkolnych i zapewne wrobiłem Zoe Miller w kłopoty, na które nie zasługiwała, a wszystko po to, żeby ją dopaść i obsobaczyć, że wygadała moją tajemnicę. Głupia sprawa. Mocno ścisnąłem kierownicę. Była dzieckiem. Co ja zrobiłem? Zaczynałem być lekkomyślny, próbowałem chronić moją tajemnicę, próbowałem dojść do sedna sprawy, która naprawdę nie miała nic wspólnego z poszukiwaniem zabójcy Jake'a Scully'ego. Musiałem się skoncentrować. Trzymać się zlecenia. Uczyć się ostrożności.

Zobaczyłem Dynah Freeman, jak stała na poboczu, i zapomniałem o ostrożności.

Dynah czekała na przystanku autobusowym na przedmieściu Crimson Lake w grupie ludzi w jej wieku. Domyśliłem się, że jadą na uniwersytet, na popołudniowe zajęcia.

Potruchtałem w stronę przystanku, kiedy właśnie nadjeżdżał autobus. Dynah zobaczyła, że się zbliżam, i nie była uszczęśliwiona, że mnie widzi.

– Tylko dwie minutki. – Podniosłem kilka palców. – Góra trzy.

– To mój autobus.

– Zapłacę za taksówkę – powiedziałem. Przyjaciele Dynah wymienili z nią znaczące spojrzenia, żeby dała znać, gdyby miała jakiś problem. Chyba się nad tym zastanawiała.

– Jest w porządku. To przyjaciel mojej mamy – powiedziała przyjacielom i machnęła, żeby pojechali. Zobaczyłem tę samą ponurą minę, kiedy patrzyła, jak autobus odjeżdża. Z taką miną oswoiła się zapewne podczas pogrzebu swojej siostry i teraz ta maska pojawia się za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o niej. Pewnie nosiła ją w każde Boże Narodzenie, w każde urodziny.

– Papierosa? – zapytała, wysuwając jednego z paczki. Wziąłem go ze względów towarzyskich. – Co się, kurwa, z tobą stało?

– Wypadek drogowy – powiedziałem. – Ze mną wszystko w porządku.

– To nie był wyraz troski z mojej strony – prychnęła.

– Wtedy, u twojej matki, jakoś tak mi się zdawało, że masz mi coś więcej do powiedzenia o twojej siostrze – stwierdziłem.

– Dlaczego po prostu nie zapytasz Amandy, co się stało? – zapytała Dynah, uważnie patrząc mi w oczy. – Słyszałam, że z nią pracujesz.

– Gdzie to słyszałaś?

– To małe miasteczko. – Wydmuchała dym. – Wyrasz się i wszyscy o tym się dowiedzą.

Zastanawiałem się nad znaczeniem jej słów. Czy zamknęła się teraz przede mną? Była okienkiem na świat Lauren, przez które było widać, dlaczego dziewczyna znalazła się z Amandą w samochodzie tamtego wieczoru, lubiana dziewczyna ze szkolnym dziwadłem, w wozie zaparkowanym w odległym miejscu, w ciemności.

– Ludzie chętnie mnie informują, co ona robi – powiedziała Dynah. – To dziwaczne. Nie rozumiem, dlaczego myślą, że to pomaga. Nie mogę ich powstrzymać. Esemesują: „Widziałem Amandę tu. Widziałem Amandę tam”. Ktoś powiedział, że widział ją z wielkim, czarnowłosym facetem. Coś znajomego.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Wzruszyłem ramionami.

– Co wy dwoje macie zamiar zrobić? – zapytała Dynah. – Próbujecie udowodnić

jej niewinność? Po niesprawiedliwym uwięzieniu ma dostać odszkodowanie, czy coś takiego?

– Nie. – Zmrużyłem oczy w słońcu. – Nie. Ona w ogóle nie wie, że zajmuję się jej sprawą.

– Więc zajmujesz się tą sprawą?

Przyszedłem na przystanek autobusowy z mnóstwem pytań do Dynah, a teraz czułem się jak pod ostrzałem. Wpijała się we mnie wzrokiem.

– Bo ja wiem. Chyba po prostu zaciekawiło mnie to – powiedziałem. – To niezwykle stworzenie. Nie mogę się zdecydować: niebezpieczne czy zabawne.

– Aha. Jest bardzo śmieszna.

– Nie o to mi chodziło. – Twarz mi płonęła. – Myślę o jej osobowości, a nie o jej czynach.

– Tak.

– A wtedy powiedziałaś, że Lauren nie była taką dziewczyną, za którą wszyscy ją mieli.

– Tak. – Dynah pociągnęła nosem. – Nie była. I co z tego? Co za różnica, jaką dziewczyną była? Wiesz, mnóstwo czasu zajęło mi zakopanie brudów w grobie Lauren. I kiedy myślę, że już po wszystkim, tacy ludzie jak ty przychodzą i odkopują ją na powrót.

– Przepraszam. – Dotarło do mnie, że nie jestem w stanie na nią patrzeć. – Nie powinienem zawracać ci tym głowy.

– W porządku. – Westchnęła po chwili. – To nie pierwszy raz.

Obok mojego samochodu stał jakiś mężczyzna. Nie zauważyłbym go, gdybym nie unikał kontaktu wzrokowego z Dynah, bo wstydziłem się, że tak jawnie szarpałem pamięć jej siostry tylko po to, żeby uciec od własnych problemów. Mężczyzna nachylił się i podniósł wielki, czarny aparat fotograficzny. Zaczął trzaskać zdjęcia.

– O kurwa. – Podniosłem dłoń do twarzy.

– Co?

– Nic, nic. Dziękuję, Dynah, dziękuję. – Odwróciłem się i zacząłem iść w stronę mężczyzny z aparatem, potem przypomniałem sobie, że obiecałem Dynah pieniądze na taksówkę i zacząłem wracać. Nagle zatrzymałem się, przerażony myślą, że fotograf robi ujęcia, jak daję młodej kobiecie pieniądze na poboczu

drogi.

– Uf. – Wyrwało mi się bolesne jęknięcie. – Pamiętam, że obiecałem ci pieniądze na taksówkę.

– Cholernie jasno to powiedziałeś.

– Tak. Tylko że teraz, jak po prostu, hm...

– Idź już. – Machnęła ręką, żebym poszedł. – Palant.

Szedłem na człowieka przy moim samochodzie, ledwie hamując wściekłość. Był chudzielcem z czarnymi kręconymi włosami i krótką, szarą bródką. Nadal robił zdjęcia. Media.

– Zrób mi jeszcze jedno zdjęcie, a każę ci zjeść ten cholerny aparat – powiedziałem.

Opuścił aparat, uśmiechnął się i pstryknął przełącznikiem na jego wierzchu. Pewnie przełączył mechanizm na wideo.

– Blondyneczki i przystanek autobusowy, Tedzie Conkaffey – powiedział. – Po prostu nie możesz się powstrzymać, prawda?

– Wsiadam do samochodu i odjeżdżam. – Ominąłem go szerokim łukiem, podchodząc do drzwi od strony fotela kierowcy, żeby nie mógł mnie oskarżyć o brutalność w stosunku do dziennikarza.

– Ponurak z ciebie – roześmiał się.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytałem, stojąc jedną nogą w samochodzie. – Proszę, tyle możesz zrobić.

– Co? Jeszcze nie widziałeś moich taśm? – O mój Boże, to bezcenne. Mogę sfilmować cię, jak oglądasz je w swoim telefonie? Sfilmować twoją reakcję? Poważnie, koleś, zapłacę ci za ten przywilej.

Zaczął obchodzić samochód. Nerwy mnie zawiodły. Wsiadłem, trzasnąłem drzwiami i zablokowałem je.

– To jest we wszystkich wiadomościach – oznajmił, machając telefonem. – Zakochasz się w tym!

Włączyłem silnik i odjechałem.

Zastałem Amandę za biurkiem, tłum jej kotowatych jak zwykle powitał mnie od drzwi miauczeniem. Zamknąłem drzwi i sprawdziłem ulicę, ale reporterów nie było. Kolana miałem miękkie, kiedy obszedłem biurko i zgoniłem ją z krzesła.

– Co? Co z tobą nie tak?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Palce miałem zdrtwiałe, kiedy wstukiwiałem własne nazwisko w wyszukiwarke Google. Najpierw pojawiły się wideo. Wszystkie z tym samym miniaturowym zdjęciem.

Ja. Siedzę na werandzie.

– Jezu – wyszeptałem. – Jezu. Jezu.

– Co? – Amanda ukucnęła obok mnie, patrzyła na ekran, gdy włączyłem odtwarzanie:

Ted, dlaczego mi o tym nie mówiłeś?

Co?

Tamtego dnia. Dlaczego o tym nie porozmawialiśmy?

– O mój Boże. – W głosie miałem przerażenie. – Po co ona to zrobiła?

– Kto? – zapytała Amanda.

– Fabiana, dziennikarka. – Pokazałem ekran. – To moja weranda z tyłu domu. Musiała mieć z sobą ukrytą kamerę i sfilmowała całą naszą rozmowę.

Przewinałem do przodu i przeczytałem tytuł nad materiałem wideo:

TAJNY ŚWIADEK OBRONY W SPRAWIE CONKAFFEYA NIE ZOSTAŁ PRZESŁUCHANY.

– Ted Conkaffey, podczas pierwszego publicznego wystąpienia, odkąd odrzucono zarzuty, ujawnił szczegóły na temat świadka nieprzesłuchanego przed sądem, który może skomplikować powszechny odbiór winy Conkaffeya – czytała na głos Amanda. – Postarzały, brodaty Conkaffey rozmawiał z reporterką «Sidney Morning Herald», Fabianą Grisham, o ewentualności, że człowiek, który napadł na trzynastolatkę, był w pobliżu, kiedy świadkowie widzieli, jak Conkaffey podchodził do dziewczynki.

– To nie było publiczne wystąpienie! – jęknąłem. – To nie był wywiad. Nabrała mnie.

– Podstępna dziwka! – Amanda rąbnęła pięścią w blat. – Kiedy przyjdzie przeproszać, kopnę ją prosto w muszelkę.

– Nie żyję – powiedziałem, przewijając artykuł. – Już mnie nie ma.

Podawały to wszystkie ważniejsze gazety. Na pierwszej stronie „The Age” dano moje stare zdjęcie policyjne. Poniżej były cytaty z artykułu Fabiany:

„Prawie miałem kogoś, kto mógł mnie ocalić”, biada Conkaffey.

Przejechałem w dół i przejrzałem komentarze czytelników. Razem było ich tysiąc czterysta trzydzieści dwa:

Jerry34: Ten, kto wierzy temu śmieciowi, zasługuje na śmierć. System sądowniczy jest pojebany.

Littlebittykitty: Palmy w tle. Wygląda na to, że Conkaffey przeprowadził się na północ????

S8888er: Chciałbym wiedzieć, gdzie on jest! Przywrócić karę śmierci!

JaybeBaybe92: Ludzie powinni powstać i dopaść tego psa gwałciciela.

Amanda przeciągnęła się i zegnała kota z klawiatury.

– Kto wie, Ted – powiedziała. – To może być dla ciebie przełom. Albo początek końca. Wiem tyle, że takie sprawy nie trwają wiecznie. Wierz mi. – Trąciła mnie łokciem, próbując odebrać krzesło. – W każdym razie nudzą mnie twoje problemy. Chcę dalej polować na tego superfana.

– Nie mogę się skupić na sprawie Scully’ego. – Opadłem na podłogę i oparłem głowę na dłoniach. – Nawet oddychać nie mogę. Jezu Chryste, czy ty już niczego się nie boisz?

– Nie bardzo – odparła wesoło, podążała wzrokiem za ruchami strzałki na ekranie.

– Chcą mnie zaszczuć i spalić na stosie!

– Grillowany partner – powiedziała. – Interesujący pomysł. Ted upieczony. Ted usmażony. Choć o to nie zabiega, pójdzie do nieba!

– Amando, proszę.

– Kto go schrupie w zupie?

– Amando!

– Masz spluwę, prawda? – Patrzyła na mnie, ale mnie nie widziała. – Będzie dobrze. Po prostu wyjdź na dwór i pomachaj nią, kiedy zbierze się tłum. To zawsze działa.

– Nie mów, że masz broń.

– Mam parę przekonujących replik – powiedziała. – Robią trach i w ogóle.

Koty chyba wyczuły, że jestem zrozpaczony, i wbrew swojej naturze dwa z nich otarły się o mnie. Amanda znów wpadła w trans wywołany ekranem i zaczęła szukać fana z kucykiem. A ja wahałem się między telefonem do Fabiany, żeby ją opieprzyć, a strachem, że nagra wszystko, co powiem, że wszelkie kontakty z nią

są trujące.

Zacząło być dla mnie jasne, że przeprowadzka do małej miejsciny na skraju zamieszkanego świata nie była najlepszą z decyzji, którą mógłbym podjąć, próbując uciec przed moją zbrodnią. Powinienem zostać w wielkim mieście, schować się w tłumie i od czasu do czasu przeprowadzać się trochę dalej, kiedy mnie wykryją, jak ptaka w koronach drzew. Fotograf, który przyłapał mnie z Dynah, musiał widzieć palmy i mokradła na wideo oraz starą architekturę Queensland mojego domu i zgadł w ciemno, że uciekłem do Cairns. Poczynając od tego, stary weteran mediów zaczął rozpytywać się o mnie na mieście, aż ktoś potwierdził, że jestem tutaj. Możliwe, że ktoś skontaktował się z Kelly, a ona mnie wydała. A może zhakowano teczkę mojego adwokata. Może Zoe Miller i jej grupka samozwańczych strażników prawa szerzej, niż mi się wydawało, rozpowszechniła informację o mojej obecności. Tak czy inaczej, dopadło mnie dwoje dziennikarzy. To nie była trudna sprawa dla zwyczajnego człowieka. Dla wielu zwyczajnych ludzi.

– W porządku – Amanda strzeliła palcami przed moją twarzą – obudz się człowieku. Mam tutaj odpowiedź od jednej z fanek Scully’ego.

Przywlokłem się do skraju biurka i czekałem, nadal z głową opartą o dłonie. Całe ciało miałem jak z ołowiu. Dla moich oczu patrzenie było wielkim wysiłkiem.

– Zapytałam tę laskę o gościa ze zdjęcia – powiedziała Amanda. – Chyba jest prezeską fanklubu. Odpisała: „Cześć Amanda. Gość na zdjęciu to Ormund Smitt, członek jednego z naszych oddziałów w Brisbane. Trochę dziwny z niego typek i nie zawsze odpowiada, kiedy próbujemy się z nim skontaktować. Powodzenia w poszukiwaniach! Niech Bóg błogosławi cię i twoich”. Ojej, jak miło. Błogosławi nam. Czujesz się pobłogosławiony?

– Nie.

– Interesująca uwaga: „dziwny z niego typek”. To niezbyt po chrześcijańsku powiedziane. Wpływa na mój stosunek do niego, zanim w ogóle z nim porozmawiałam.

– Musi być naprawdę dziwny w jej oczach, skoro się z tym wyrwała.

– Miejmy nadzieję! – Amanda zatarła ręce.

– Ormund Smitt – powiedziałem. – Czy on ma konto na Facebooku?

– Nie. – Amanda postukała klawiszami. – To chyba zbyt mainstreamowe.

Rozglądałam się, czy nie ma strony w sieci... Ma. Naprawdę ma stronę w sieci.

Przyciągnąłem krzesło i usiadłem obok niej. Kiedy kliknęła na stronę Ormunda Smitta, DarkWorldRising.com, ekran pociemniał i pośrodku monitora pojawił się symbol ładowania.

– Teraz zaczynają się emocje – powiedziała Amanda.

– „Nasz świat ciemnieje. – Z głośników popłynął głos młodego człowieka, niski i złowrogi. – Znaki nadchodzącego sądu są wszędzie...”

Ekran zaczęły zalewać obrazy, mroczna muzyka była coraz głośniejsza. Rozpoznałem ścieżkę z jednego z filmów o Batmanie. Przelatywały migawki przedstawiające uderzenie porwanych samolotów w World Trade Center. Spadający ludzie. Uchodźcy uciekający łodziami z Syrii. Rozbity samochód księżnej Diany w tunelu Pont de l’Alma. Złowieszcza muzyka pozostawała w silnym kontraście do zdjęć. Zdjęcie pustej wanny zachlapanej krwią unosiło się nad fotografią zatrzymania O.J. Simpsona.

– „Rozpoznanie tych znaków wymaga wielkich umiejętności i oświecenia – mówił dalej głos. – Potrzeba do tego wyćwiczonego umysłu, żeby zdjąć z oczu ślepotę wmuszaną nam od urodzenia”.

Amanda oglądała wstępne wideo ze złowieszczymi ostrzeżeniami przed upadkiem człowieka. Uśmiezek igrał jej w kącikach ust. Kiedy wideo się skończyło, dostała ataku śmiechu, kiwała się na krześle, obejmując się ramionami.

– To było zdumiewające! – zawyła. – Obejrzyjmy to jeszcze raz!

– Skupmy się na zadaniu, które nas teraz czeka – powiedziałem, przekrzykując jej chichoty. Wyrwałem jej myszkę z ręki. – Mamy rozwiązać sprawę morderstwa, a nie dostarczyć ci rozrywki.

– O Boże – jęczała w zachwycie, ocierając łzy z oczu. – O.J. Simpson...

Szybko przeczytałem sekcję „O stronie”. Była poświęcona głównie interpretowaniu wiadomości i spraw bieżących jako biblijnych znaków początku końca świata. Najnowszy wpis dotyczył uchodźców z Syrii. Ostrzeżenia z Księgi Rodzaju, że człowiek nie będzie miał dokąd uciec od swojej grzesznej przeszłości, zabłysnęły czerwienią na ekranie. Cała strona utrzymana była w wyraźnym stylu lat dziewięćdziesiątych z ruchomymi obrazami i wielką liczbą dużych liter dla podkreślenia treści.

– Sprawdźmy, czy uda się nam skontaktować – powiedziałem.

Napisałem szybkiego maila do Ormunda, że chcę porozmawiać o Jake'u Scullym i tylko tyle. Czekać, obszedłem Internet, szukając jakichś informacji o tym człowieku. Poza zdjęciami na stronie fanklubu Facebooka niewiele pokazało się na jego temat. Amanda siedziała na podłodze z kotami. Nie głaskała ich, ale pozwalała im chodzić sobie po kolanach. Jednocześnie dzwoniła, żeby dowiedzieć się czegoś o naszym podejrzanym.

– W 2011 roku był oskarżony o napaść – powiedziała. – Incydent podobny do tego. Znokautował innego fana Jake'a Scully'ego podczas promocji książki za zadanie niewłaściwego pytania podczas spotkania pisarza z wielbicielami.

– Ile lat ma ten facet?

– Dwadzieścia cztery.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi samochodu na ulicy i spięty, z wysoko uniesionymi ramionami zamarłem nad klawiaturą. Kiedy przez kilka chwil nikt nie zastukał do drzwi, znów zacząłem oddychać.

Już miałem ulec strachowi, i podejść do okna i sprawdzić, czy nie zbiera się tłum, żeby po mnie przyjść. Ale zaczęła błyskać ikonka czatu na Facebooku Amandy i wyskoczyła informacja.

– O mój Boże. – Zrzuciła koty z kolan i przesiadła się na krzesło. – To on! To kapitan Pięścią Go!

W informacji było tylko jedno słowo: „Skype?”

Amanda przełączyła się na Skype'a i wysłała Ormundowi wezwanie. Zamieniłem się z nią krzesłami i wycofałem się w cień. Ostatnie, czego chciałem, to żeby gość rozpoznał mnie z dzisiejszych newsów i wycofał się z kontaktu.

Kiedy włączyło się okienko z kamerą Ormunda, na ekranie pojawił się chudy, młody człowiek w czarnej masce zasłaniającej twarz do nosa. W moich oczach wyglądało to jak maska Gya Fawkesa przemalowana z biało-czarnej na czarną. Cienkie, wysokie łuki brwiowe oświetlało światło z laptopa Ormunda. Miał cienkie wargi ściągnięte w skupieniu. W tle było betonowe pomieszczenie, prawdopodobnie garaż. Zobaczyłem, jak policzki Amandy unoszą się w uśmiechu, i kopnąłem jej krzesło, zanim zaczęła się śmiać.

– To jest na poważnie – wymruczałem.

– Jesteś tam? – zapytał Ormund.

– Jesteśmy. Tu jest Amanda. Ted chowa się tam, w cieniu. – Machnęła ręką

w moim kierunku. – Dzięki, że się z nami spiknąłeś.

– Czego chcesz? – wyrzucił z siebie Ormund. Najwyraźniej nie lubił, żeby mu zwracano głowę, kiedy poświęca czas komputerowi. Zauważyłem puszkę red bulla przy klawiaturze i jakieś porzucane śmiecie w rogach ekranu. Gracz? Czas odpowiedzi od mojego maila do połączenia na Skypie przekonująco dowodził, że Ormund już siedział przed ekranem, albo był niedaleko, kiedy czytał moje słowa.

– Hm, jak wiesz, razem z partnerem prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Jake’a Scully’ego. Zajmujemy się tą sprawą od...

– To napisaliście w mailu. – Ormund uśmiechnął się szyderczo. – Jak wiecie, gdy zaczyna się zdanie od „jak wiesz”, marnuje się czyjś czas. A teraz to mój czas.

Amanda drgnęła, obróciła się i spojrzała na mnie.

– Cóż! – powiedziała ze śmiechem. – Przepraszam!

– Marnujecie mój czas, jeśli skontaktowaliście się ze mną, bo prowadzicie śledztwo w sprawie śmierci Jake’a. – Ormund wytarł nos grzbietem dłoni, aż maska uniosła się lekko w stronę jego puszystych włosów. – Jake nie umarł. Zostawił wszystko i ukrywa się.

– Doprawdy? – powiedziała Amanda. – Hm, to interesujące. Czy ty... hm, czy wiesz, gdzie on jest? Bo anatomopatolog z Cairns ma jedną z jego kości biodrowych i Jake chyba chciałby ją odzyskać.

Sięgnąłem i zabrałem Amandzie myszkę. Kliknąłem ikonkę nagrywania na dole ekranu. Ormund roześmiał się, poprawił maskę.

– Jeśli myślicie, że to naprawdę kość Jake’a, to może nie warto kontynuować tej rozmowy, bo najwyraźniej włożyliście głowy w piasek. – Ormund dramatycznie westchnął i znudzony odwrócił wzrok od ekranu. – Nie mam czasu, żeby wam wszystko wyjaśniać.

Amanda kliknięciem wyłączyła mikrofon i zwróciła się do mnie.

– Taki narcyzm musi być męczący – zauważyła. – Brakuje mi sporo do aż takiego narcyzmu, prawda?

Uśmiechnąłem się. Znów włączyła mikrofon.

– Jestem bardzo zajęтым człowiekiem – kontynuował Ormund. – Gdybyście się pofatygowali i przeczytali chociaż jeden z setek artykułów, które napisałem na temat *Kronik Gasnącego Światła* i australijskiego rządu, mielibyście jakiegokolwiek

pojęcie na temat tego, co się dzieje.

Amanda wyłączyła mikrofon.

– Tym ludziom zawsze chodzi o cholerny rząd – powiedziała i znów włączyła mikrofon.

– Słuchaj, razem z Tedem bardzo się martwimy o Jake’a – powiedziała do Ormunda. – Naprawdę lubimy tego faceta. Ted jest wielkim miłośnikiem jego książek, prawda Ted? – Klepnęła mnie w klatkę. – Całe tygodnie płakał w brodę i zastanawiał się, co się stało. Dlaczego nie powiesz nam, dwojgu idiotom, co naprawdę się dzieje?

Ormund znów westchnął dramatycznie. Za nim zobaczyłem betonowe schody wznoszące się ponad rzędem półek. Ktoś wszedł przez drzwi i zawrócił, usłyszałem trzaśnięcie drzwi lodówki. Pewnie to matka tego gościa. Zinventaryzowałem pokój. Narzędzia. Pudła. Rzędy gier na konsolę. To była z pewnością piwnica. Ten facet wcześniej stał się banalnym, przypochlebnym nastolatkiem, który teraz zapuścił korzenie w domu rodziców. Chłopiec mężczyzna, którego rodzice będą mogli się pozbyć dopiero, kiedy przestaną płacić za jego subskrypcje gier. To mogłoby być śmieszne, gdyby nie było tak przerażająco podobne do historii paru bardzo niebezpiecznych ludzi, tak jak on opętanych rządem, spiskami, końcem świata. Pomyślałem o Andersie Breiviku w Norwegii, o matce, która go oplakiwała, gdy zaciągnięto go do więzienia.

– Ludzie myślą, że Jake zaczął sygnalizować koniec świata w *Kronikach Gasnącego Światła*, ale prawda jest taka, że pisał o tym znacznie wcześniej – powiedział Ormund. – Wszystkie jego wczesne prace są online, a ludzie najczęściej uważają je za nieistotne, bo Jake stawiał dopiero pierwsze kroki jako pisarz.

– Porno wampiryczne. – Amanda roześmiała się. – Czy pisał porno wampiryczne?

– Ha. – Ormund poprawił maskę na twarzy. – Zrozum, dlatego nie rozmawiam z ludźmi takimi jak ty. Od literatury gotyckiej zaczęła się część najbardziej cenionych konwencji erotycznych w nowoczesnej literaturze. Czytałaś to kiedy?

– Więc Jake również wtedy wieścił początek końca – wciąłem się, zanim Amanda zdążyła zerwać współpracę, na którą Ormund się zdecydował.

– Próbował znaleźć sposób, żeby powiedzieć ludziom, że społeczeństwo upadnie – powiedział. – Gdybyście chociaż trochę się przygotowali, wiedzielibyście, że

ojciec Jake'a był asystentem zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego Australijskiej Komisji Bezpieczeństwa. Współpracowali blisko z A.S.I.O.

– Szpieczy! – Amanda klasnęła w dłonie.

– Jezu, ależ z ciebie idiotka. – Ormund uśmiechnął się szyderczo. – Nie pracował ze szpiegami. Pracował w bezpieczeństwie narodowym. Stwierdził, że sprawy mają się ku końcowi, kiedy próbował wciągnąć Jake'a do swojej pracy. Jake też się o tym dowiedział. Chciał wszystkich ostrzec.

– To dlaczego nie powiedział tego jasno? – zapytała Amanda. – Nie chwycił za megafon: „Do wszystkich! Koniec jest bliski!”

– I jak to się skończyło dla ludzi, którzy tak zrobili? – zapytał Ormund, przekrzywiając z zainteresowaniem głowę.

– Hm... nie najlepiej.

– Jake nie chciał, żeby widziano w nim wariata i nie chciał zniknąć za ujawnienie tajemnic rządowych.

– Więc ujął to w postaci literackiej – wtrąciłem. – Żeby tylko najmądrzejsi spośród czytelników to zrozumieli.

– Odniesienia biblijne to wskazówki – odparł Ormund. – Mówią nam, kiedy nadejdzie koniec, jak to nastąpi i co mamy zrobić, żeby przetrwać.

– I co takiego nam mówią? – zapytała Amanda. – Jak mamy to przetrwać?

– Nie sądzę, żeby tacy durnie, jak wy, zasługiwali na taką wiedzę – roześmiał się Ormund.

Amanda popatrzyła na mnie. Przygryzała wargi, żeby się nie roześmiać.

– Pod koniec *Kronik Gasnącego Świata* Jake pisze o czymś ciemnym, co go prześladowa – rzekł Ormund. – Píše, że coś go nawiedza.

– Też to zauważyliśmy! – Amanda podniosła dłoń, żeby przybić piątkę. Zrewanżowałam się jej z niechęcią.

– Jake wiedział, że *Kronikami* wkurzył mnóstwo ludzi. Jego ostrzeżenia o końcu świata stawały się coraz bardziej dobitne. W istocie Jake chciał dać nam szansę. Chciał się upewnić, że tylko właściwi ludzie odszyfrują kod z jego dzieł i przeniosą go do następnego świata. A jeśli wy nie potraficie tego, nie mam zamiaru dać wam darmowego biletu. Jake to dobry człowiek. Najprawdopodobniej podzielił się tą wiedzą z paroma ludźmi, którzy na to nie zasługiwali. Ze swoim godnym politowania, dziwnym agenciną i ze swoją żalną rodziną. Kiedy nadchodzi

koniec, tylko ci, którym naprawdę można zaufać, powinni być przygotowani.

– No dobrze. – Amanda westchnęła. – Nie musisz podawać nam tajnego hasła na statek kosmiczny do nowego świata. Tylko powiedz, gdzie ukrywa się Jake. Zostaliśmy wynajęci do tej roboty i chcemy dostać pieniądze.

Ormund parsknął z obrzydzeniem i sięgnął w stronę ekranu. Zatrzasnął swój laptop i okienko czatu zrobiło się puste.

– To było jakieś wariactwo – powiedziała Amanda.

– Bardzo śmieszne.

– Ty to powiedziałaś, koleś!

– I co myślisz? – zapytałem. – Coś w tym jest?

– Hm, wiemy, że ma problem z opanowaniem wściekłości – zaczęła się zastanawiać. – I bardziej zaangażował się w sprawy Jake’a niż inni, których do tej pory poznaliśmy. Nie wykluczam go. Może spotkał się z Jakiem, zarzucił go wszystkimi tymi głupotami na temat końca świata i spisku rządowego, a Jake zepsuł te jego głupiutkie mrzonki i powiedział to, co oboje teraz myślimy – że jest fiutem i całkowicie się myli. Może jego wielki prorok Jake Scully okazał się jakimś facecikiem, który pisze powieści, a nie kluczem do światka urojeń Ormunda.

– Ormund nie powiedział ani słowa, że Jake był gejem – zauważyłem. Jeśli chciał udowodnić nam, głupcom, że wie, co naprawdę zamierzał Jake, jaki naprawdę był, to dlaczego nie napomknął o największej tajemnicy Jake’a?

– Albo nie wie – uznała Amanda – albo mu z tym dobrze. Uważa, że to rozsiewane przez rząd kłamstwo. Tak jak ta kość biodrowa.

– Chciałbym zobaczyć te wcześniejsze utwory Jake’a – powiedziałem. – Ormund mówił, że wszystkie są dostępne online.

Amanda zaczęła buszować po Internecie, szukała prac Jake’a. W kieszeni zadzwonił mi telefon. Nie rozpoznałem numeru.

– Halo?

– Panie Collins – odezwał się głos. – Tu Eleanor Chapman.

Zakaszlałem. Amanda spojrzała na mnie.

– A, cześć! Cześć.

– Wysłał pan do mnie maila z pytaniem o moją książkę, *Morderstwo w Top End*.

– Wysłałem – odparłem. – Pani pozwoli, że przejdę w bardziej prywatne miejsce. – Zakryłem mikrofon ręką i wyszeptałem do Amandy. – Mój adwokat.

Zapominając o strachu związanym z pokazywaniem się w publicznych miejscach, kiedy australijskie media rozrzuciły na lewo i prawo moje zdjęcie, wyszedłem przed drzwi od frontu i stanąłem na ulicy.

– Dlaczego interesuje się pan tą sprawą? – zapytała Eleanor. – Od dawna nikt się ze mną nie kontaktował.

– Och, jestem kolegą po fachu, piszę o prawdziwych zbrodniach. Pracuję nad... hm... kompilacją na temat młodych australijskich zabójców. To moja pierwsza książka. Mam zamiar opisać morderstwo Lauren Freeman w jednym z pierwszych rozdziałów. Pani książka jest bardzo dobra. Była bardzo pomocna.

– Cóż, dziękuję. – Eleanor roześmiała się. – Książka bardzo szeroko się rozeszła. To niezła rzecz.

– Naprawdę wstrząsająca. – Zajrzałem przez szybę. Amanda siedziała przy komputerze. – Jak to mówią? Koszmar każdego rodzica?

– Niektórzy z detektywów, którzy pracowali przy tej sprawie, odeszli z policji – powiedziała z westchnieniem Eleanor. – Nie mogli tego znieść.

– No pewnie.

– Więc w czym konkretnie mogłabym panu pomóc?

– Cóż, proszę posłuchać. Mam zamiar zaczynać każdy rozdział od analizy każdej z ofiar, od tego, jakie naprawdę były – powiedziałem. – Napisała pani trochę o Lauren, ale nadal nie wiem o niej paru rzeczy.

– Ach tak – powiedziała Eleanor – to jedyna rzecz, której żałuję w tej książce. Tylko tyle udało mi się uzyskać. Im bliżej czasu morderstwa napisze się książkę, tym lepiej się ona sprzedaje, ale tym trudniej nakłonić ludzi do mówienia. Rodzina ofiary jest jak zamurowana, a rodzina zabójcy kombinuje, żeby treść była dla niej strawna.

– O rodzinie Amandy w książce też nie było za dużo – zauważyłem.

– Tu jest niewiele do opisania. Tato to pyskacz i pijak pokryty tatuażami i miał niewiele wspólnego z jej rodziną. Umarł na zawał serca, kiedy Amanda miała sześć lat. Matka po morderstwie to zamknięty kramik. Kiedy adwokat przesłuchiwał ją w sprawie moralności oskarżonej, odpowiadała krótko, bezbarwnie. Jak pan wie, Amanda od razu została uznana za winną, więc proces składał się właściwie tylko z serii postępowań wstępnych i przesłuchań w sprawie zarzutów. Ale właściwe zeznanie mamy mogłoby utracić parę lat z wyroku.

– No proszę – powiedziałem.

– Nie wydaje mi się, żeby mama i córka były sobie bliskie. Z Amandy zawsze był trochę włóczyki, wolny duch. Nie można było ściągnąć jej z chmur na ziemię.

– Więc trochę dziwne, że była tak bliską przyjaciółką Freeman – powiedziałem.

– Odwiedziłem Freemanów, byli bardzo sztywni.

– Och, tacy są – stwierdziła Eleanor. – Przynajmniej tacy byli. Lauren była typową dziewczyną z sąsiedztwa. Gdyby była Amerykanką, awansowałyby na kapitanę cheerleaderek. Doskonała uczennica w szkole podstawowej. Ulubienica nauczycieli. Rozciągały się przed nią wspaniałe perspektywy. Jej siostrę śmierć Lauren kompletnie przybiła. Dianne. Prawda?

– Dynah.

– Wydaje mi się, że tam były jakieś spięcia, zazdrosne siostrzyczki. Obie dziewczyny pobiły się na tydzień przed morderstwem i Dynah podrapała Lauren twarz. Kiedy zadrapania trzeba było umieścić w raporcie z sekcji zwłok i matka musiała zapytać Dynah, co naprawdę się stało, dziewczyna załamała się. Byłam przy tym, kiedy zbierałam informacje. To jedna z najgorszych rzeczy, jakie widziałam. Dzieci. Robią głupstwa. Pewnie do dzisiaj tego żałuje.

– Więc, hm. – Przygryzłem wargę, próbując jak najlepiej ująć w słowa kolejne pytanie. – Proszę pani, właśnie wspomniała pani, że Lauren w Stanach byłaby cheerleaderką... Rzecz w tym, że widziałem mnóstwo akt prawdziwych zbrodni. Kiedy ginie cheerleaderka, zawsze wychodzą jakieś mroczne tajemnice... Mam nadzieję, że to nie zostanie odebrane jako brak szacunku z mojej strony. Wie pani, zawsze mają po cichu chłopaka albo za bardzo flirtują z nauczycielem angielskiego...

– Chyba wiem, do czego pan zmierza. – Eleanor roześmiała się.

– Czy jest coś, o czym pani nie wspomniała w książce, a wtedy dotarła pani do tego? Coś, czego lepiej nie ujawniać, bo sytuacja jest tak napięta i w ogóle?

– Z całą pewnością nie – odparła. – Proszę mi wierzyć, kopałam wszędzie. Byłabym bardzo zadowolona, gdyby ta sprawa okazała się czymś więcej niż tylko dziełem maniaczki, kiedy jakaś psychiczna dziewczyna, miłośniczka muzyki gotyckiej, dostaje świra. Ale Lauren była po prostu aniołem. To było naprawdę dobre dziecko.

– I nadal pani obstaje przy takim powodzie morderstwa? – zapytałem. – Że jakaś

psychiczna dziewczyna, miłośniczka muzyki gottyckiej, dostaje świra?

– Tak – odparła. – Podczas pierwszego przesłuchania przyjrzałam się Amandzie Pharrell. Wiedziałam, że w tym nie ma niczego szczególnego. Była zimna jak lód. Lauren próbowała zrobić coś dobrego, zawieźć tę małą psychopatkę na party w weekend, na które inaczej nikt by jej nie zaprosił. I Amanda nie wytrzymała.

Znów spojrzałem przez okno na Amandę. Poklepywała bosą stopą jednego z tłustych kotów.

– Trochę jestem zagubiony, jeśli chodzi o narzędzie zbrodni – powiedziałem. – W książce przedstawia pani raport z sekcji zwłok i pisze pani, że to był prawdopodobnie dziesięcio- lub dwunastocentymetrowy scyzoryk. Odkryła pani, skąd się tam wziął? Czy ktoś pytał, dlaczego nie znaleziono go na miejscu zbrodni?

– Proszę pana, przepraszam, ale obawiam się, że już muszę iść. Wkrótce mam spotkanie, do którego muszę się przygotować.

– Przeszukali krzaki wykrywaczem do metali i niczego nie znaleźli – mówiłem dalej. – Chodzi o to, czym to zrobiła.

– Proszę mi przesłać kolejne pytania mailem. Spróbuję na nie odpowiedzieć najlepiej, jak potrafię – powiedziała Eleanor. W tle usłyszałem odgłos drzwi samochodu. Przerwała, myślała. – Chyba gdzieś mam stare zdjęcia, jakieś fotografie, które nie zmieściły się do książki. Nie przedstawiają Amandy, tylko Lauren. Chyba nie ma pan zamiaru rozmawiać z Amandą o swoich planach, prawda?

– Hm. O tym nie pomyślałem.

– Niech pan z nią nie rozmawia. Jeśli mogę panu coś poradzić, to żeby dał pan sobie z nią spokój. Po mistrzowsku potrafi manipulować. Pomiesza panu tylko w głowie i zniszczy integralność pracy. Niech pan się trzyma z daleka od Amandy Pharrell.

Poczułem ukłucie bólu w piersi. Przypomniałem sobie coś sprzed paru dni. Właśnie te słowa wibrowały mi w kanałach słuchowych, wywoływały obraz mnie samego w uliczce w Cairns. Lou Damford stał nade mną w rozkroku, trzymał mnie za koszulę. Przypomniałem sobie jego uniesioną pięść, w gorącym, białym świetle słońca.

„Trzymaj się z daleka od Amandy Pharrell”, powiedział.

25

Drogi Jake'u!

Dziś rano zrobiłeś sobie śliczną sesyjke samobadania, prawda? Jeśli wejdzie się na wielką skałę nad stromym zboczem obok domu, można zajrzeć wprost przez okno w łazience przy pokoju. Kiedy projektowałeś dom, chyba nie bardzo się tym zajmowałeś, prawda? Kto by się fatygował i przedzierał przez dżunglę przy Danbury Road, idąc za światłem w ciemnościach, jak za złotą latarnią morską? Kto by ryzykował brnięcie po kostki w miękkiej, wilgotnej ziemi, bycie podrapanym przez bujne, kolczaste liście i zmoczenie rosą padającą z koron drzew, żeby rzucić okiem, jak Jake Scully czesze się przed lustrem na wysokość ściany i patrzy sobie w oczy? Dziś rano przyglądałem się Tobie, jak przechylałeś głowę i szukałeś pod brodą niedoskonałości, jak wyrywałeś sobie włoski spomiędzy ciemnych brwi, jak obracałeś się i próbowałeś zgadnąć, czy przytyłeś, odkąd Stella za Ciebie wyszła, jakby siedzenie i klekotanie w klawisze miało zrobić z Ciebie mięczaka.

Oczywiście, że nie przytyłeś. Jesteś piękny nie tylko dla żony, ale i dla przypadkowych kochanków. Tak, wiem o Rayu. Wiem o chłopcach, których podrywasz w klubach, kiedy jedziesz na spotkania w Melbourne, w Sydney, nie tak daleko od pnączy oplatających Twój dom, żebyś nie czuł się bezpiecznie. Przyglądałem się, jak dziś rano przejechałeś palcami po twardym brzuchu i zagłębiłeś je w ciemne włosy wokół kutasa, i zastanawiałem się, czy myślisz o tych młodych mężczyznach, kiedy Twoja żona śpi w pokoju obok. Po raz pierwszy wyczułem Twoje upodobania, kiedy obserwowałem Cię, jak siedziałeś w gabinecie na parterze. Przełączyłeś program, a małe, czarne słówka przestały pełznąć po ekranie, i mogłeś przyglądać się pieprzącym się mężczyznom, jak jakiś nadzorca o nieprzeniknionej twarzy.

Jest mi coraz trudniej nie poświęcać całego czasu na obserwowanie Ciebie. To

jest tak, jak z czytaniem Twoich książek. Porywasz mnie wtedy, nawet nie wiedząc, że to robisz. Patrzę, jak piszesz. Patrzę, jak bierzesz prysznic. Patrzę, jak pierdolisz żonę. Stałem przy Tobie, kiedy spałeś. Siedziałem na Twoim krześle, za Twoim wielkim złym biurkiem i udawałem, że jestem Tobą. Dotykałem Cię za pośrednictwem Twoich rzeczy. Jestem duchem, który Cię nawiedza.

Patrzę, jak otwierasz listy od wielbicieli. Tak jak podejrzewałem, właściwie ich nie czytasz. Oczy masz tylko dla siebie.

Jestem mrocznym satelitą, który orbituje wokół Ciebie, o Ty moje złote, gorące słońce. Widać mnie tylko, kiedy mnie zaćmiewasz. Na sekundę robisz się zimny, rozejrzyj się wtedy.

Cześć, piękny.

Zostawiłem Amandę przy komputerze, gdzie próbowała znaleźć online oryginalne dzieła Jake'a Scully'ego. W większości wypadków były to fankluby, które bardzo wybrednie dobierały sobie członków. Wychodziło na to, że jeśli chcemy się dowiedzieć, czy nas dopuszczą, będziemy musieli poczekać, aż administratorzy, a wszyscy mieszkali w Stanach, obudzą się i wejdą na swoje strony. Amanda tworzyła dla siebie profile, a czasem dla mnie, jeśli w grupie występowały głównie męskie awatary. Wyznała wieczną miłość i uwielbienie dla Jake'a, a nawet tu i ówdzie napomknęła, że nie wierzy w jego śmierć. Potem rozesłała profile.

Byłem całkowicie bezużyteczny. Siedziałem i próbowałem nie szukać siebie przez Google w telefonie, ale co jakiś czas ulegałem i oglądałem zdjęcia i nagłówki, żeby zaraz je skasować. Moje zdjęcia z Dynah już dotarły do pism takich jak „Daily Mail” i „Daily Telegraph”. Na szczęście zamazali twarz Dynah. Dziennikarz, który przyłapał mnie na przystanku autobusowym, musiał podejść do niej i z nią porozmawiać, a zamazana twarz oznaczała, że nie pozwoliła mu na wykorzystanie jej wizerunku. Ale to pewnie znaczyło, że wiedziała, kim jestem. Przynajmniej Amanda, jeśli natrafi na to online, nie zobaczy mnie z siostrą dziewczyny, którą zamordowała.

Poturbowany i posiniaczony Conkaffey znów grasuje, głosił tytuł.

Oskarżony z przystanku poluje na blondynki w Crimson Lake.

Przyjrzałem się swojemu zdjęciu. Twarz była z profilu, z podbitym okiem

i spuchniętą dolną wargą. Całkiem możliwe, że Stella Scully mnie nie rozpozna. Ale jeśli Harrison zobaczy artykuł, najprawdopodobniej skojarzy starego pedofila, którego nęka jego dziewczyna i jej przyjaciele, z pytaniami, które zadałem mu po drodze do szkoły. Wkrótce zacząłem się niecierpliwić i okłamałem Amandę, że wybiorę się tam i z powrotem, żeby sprawdzić adres domowy Ormunda Smitta i zobaczę, czy nie da się z chłopakiem pogadać twarzą w twarz. Amanda bez trudu znalazła jego adres w ograniczonej bazie danych, do której miała dostęp jako licencjonowany prywatny detektyw. Poczułem, że strach mi trochę mija, gdy wsiadłem do samochodu. Kiedy będę w ruchu, to samozwańczym obrońcom prawa, gniewnym ludziom z miasteczka i wściekłym dziennikarzom trudniej będzie mnie dopaść.

– Pamiętaj – krzyknęła Amanda, gdy wychodziłem – kiedy przyjdą po ciebie z widłami i pochodniami, nie uciekaj do wiatraka! To głupi pomysł.

Dom Valerie Gratteur w Północnym Cairns stał tyłem do wody, balkon okalający całe piętro dawał widok z dwóch stron na Smiths Creek. Drut kolczasty przeciwko krokodylom był pomysłowo schowany w zaroślach, nie było go tylko w przejściu prowadzącym na pomost z furką zamkniętą na kłódkę. W ogródku od frontu pełno było brzoskwiniowych bugenwilli, które Valerie wyrywała, kiedy nadjechałem. Próbowła powstrzymać je przed rozrośnięciem się na poręcz długich schodów prowadzących do domu. Zaparkowałem na podjeździe, nic nie mówiłem. Bałem się, że jak otworzę usta, zacznę płakać.

Podeszła, kiedy wziąłem karton z tylnego siedzenia i postawiłem go na ciepłej masce. Ściągnęła ogrodnicze rękawice i podniosła klapę kartonu na tyle, żeby zobaczyć zaciekawione oko Kobiety.

– Ile gąsiątek?

Odchrząknąłem.

– Sześć.

Potarła mnie małą rączką po ramieniu i popatrzyła na mnie w zachodzącym świetle. Poczułem się głupio. Dorosły mężczyzna na skraju załamania i stadko gęsi. Roześmiałem się na tę myśl i przełknąłem ból w gardle.

– Spodoba im się tutaj.

– Wiem. – Kiwnąłem głową. – Wiem. To pieprzone gęsi, Jezu, co ja mówię.

Weź się w garść człowieku.

– Widziałam wiadomości – powiedziała. – Tu nie chodzi tylko o gęsi.

Poszedłem za nią z torbą pokarmu i postawiłem ją na blacie kuchennym, kiedy ona zajmowała się stadkiem. Czułem się tak jak w dniu, kiedy w Sydney zapakowałem to niewiele, co miałem do samochodu, i próbowałem obmyślić, jak by tu zacząć wszystko od nowa i czy nie powinienem zostać, dokąd z Kelly jakoś nie dogadamy się co do rozwodu. Nie było jej przy tym. Najtrudniej było zdecydować, które rzeczy Lillian zabrać ze sobą, żeby dotrzymywały mi towarzystwa, póki znów jej nie zobaczę. Nie wiedziałem, jak długo to potrwa. Chodziłem po pokoju dziecięcym, dotykając jej rzeczy, króliczków z dzianiny, bawełnianych piżamek, książek dla dziewczynek. Pomyślałem, że najlepiej zabrać coś, co pachnie jak ona, ale nie spodobała mi się myśl, że czegoś ją pozbawię. W końcu zrobiło się nie do wytrzymania. Wyszedłem z pokoju z pustymi rękami.

Nie wiem, kiedy Kelly przestała mi wierzyć. Zadała mi pytanie. Chyba nie powinienem być tym zaskoczony. Przez pierwsze dni, na początku, musiało być dla niej ważne, po której stanąć stronie. Czekwały nas trudne czasy. Wszyscy jej przyjaciele zobaczą dowody w gazetach i opuszczą ją, gdyby trzymała się mnie. Ludzie wrzeszczeliby na jej widok po drodze do sądu. Jeśli miała jakieś wątpliwości, to nieźle udawała w pierwsze dni, kiedy postawiono mi zarzuty. Oboje przebrnęliśmy przez męczące przesłuchania na temat tamtej nieszczęsnej niedzieli na przystanku autobusowym. O co pokłóciliśmy się tamtego dnia rano. Jak często chodzę na ryby. Jakiego sprzętu używam. Jak często uprawiamy seks. Czy tamtego dnia rano uprawialiśmy seks.

Kiedy wreszcie przedstawiono Kelly w całej złożoności to, o co zostałem oskarżony, przestała drzeć się i ryczeć z wściekłości na moich kolegów i zaczęła ich słuchać. To chyba Frankie przedstawiła Kelly proponowany przebieg wydarzeń. Frankie i Kelly zawsze się z sobą zgadzały. Dwie dziewczyny, co to chichoczą i plotkują w kuchni przy białym winie. Wysyłają do siebie esemesy. Kelly ufała Frankie. A Frankie nie była w stanie mi uwierzyć.

Jeśli nawet Kelly po paru tygodniach przestała mi wierzyć, i tak przyłożyła dłoń do szyby i powiedziała, jak ją to wszystko przeraża, jak bardzo będziemy musieli walczyć i kogo chce wynająć, bez względu na to, czy będzie nas na to stać.

Ciągnęła z sobą Lillian do więzienia, maleńkie dziecko w łóżeczku w pokoju

rozmów, wielcy mężczyźni na maleńkich stołkach, którzy nachylali się, żeby zerknąć na puciołowatą twarzyczkę, i moja żona z niesmakiem zasuwająca osłonę przed słońcem.

Chyba po czterech miesiącach nie przyszła na wizytę, potem na kolejną, a kiedy wreszcie przyszła, była w stanie rozmawiać tylko o tym, że schudłem i powinienem iść do lekarza. A potem przestała przykładać dłoń do szyby, żeby dopasować ją do mojej.

Właściwie nigdy nie powiedziała, że mi nie wierzy. Po prostu przestała wyznaczać wizyty. To Sean kazał mi usiąść i powiedział, że się rozwodzę. Powinienem wiedzieć, że do tego dojdzie, od chwili, gdy mnie zapytała, czy to zrobiłem, parę dni po aresztowaniu:

„Nie zrobiłeś tego. Prawda?”

Patrzyłem, jak Valerie krząta się po kuchni, i zastanawiałem się, czy też mnie o to zapyta. Za oknami, za balustradą balkonu, papużki hasały po drzewach w zasięgu ręki od werandy. W niektórych oknach były szyby witrażowe. Czerwone słońce wtaczało się przez nie po kawałku, odbijając się na mojej koszuli. Valerie postawiła przede mną kawę i mimo upału gorąco ogrzewające mi palce przez porcelanę przynosiło ukojenie. Było zimno tamtego dnia, kiedy spakowałem swoje życie i zostawiłem żonę z dzieckiem w Sydney. Trochę z tego zimna zostało wokół mnie i we mnie, przeciąg, którego źródła nie byłem w stanie znaleźć.

Drgnąłem, kiedy Valerie się odezwała.

– Ona tego nie zrobiła, prawda?

– Kto?

– Amanda.

– Och. – Pokręciłem głową, próbowałem ułożyć splątane myśli. – Och, nie wiem. Coś na pewno zrobiła. Ta dziewczyna jest popaprana.

Opowiedziałem Valerie o wieczorze spędzonym z Amandą w pubie, jak patrzyła na mnie kocimi oczami iskrzącymi w ciemności i mówiła, że mnie zabije.

– Dźga się kogoś dziewięć razy w plecy... – zastanawiała się po cichu Valerie, popijając herbatę. – Dlaczego?

– Bo się tego kogoś nienawidzi? Bo zdradził?

Machnęła na to ręką.

– To gównie warte bzdury z kryminalów.

Roześmiałem się. Nadal mnie dziwiło, że ktoś tak stary i sztywny z wyglądu bez problemu rzuca przekleństwami.

– Jest tak – mówiła dalej. – Zdrajca zostanie dźgnięty w plecy. Co za gówniany pomysł. „Wybacz, koleś. Spałeś z moją dziewczyną. Zaraz cię dźgnę. Odwróć się na chwileczkę, dobrze?”

– Jesteś doświadczoną anatomopatolog. Powiedz, jak to wygląda.

– Nie widziałam zbyt wielu ciosów nożem w plecy – powiedziała Valerie. – Ale widziałam wiele ciosów nożem. Według mojego doświadczenia albo dźga się kogoś raz, dwa razy, albo kurwa dwadzieścia pięć tysięcy razy.

– Dziwna zasada – zauważyłem.

– Raz? Walczysz. Machasz nożem. Skaczesz i myślisz: „O cholera, czy go dźgnąłem? Kurwa! Właśnie dźgnąłem tego gościa!” A potem szybko uciekasz.

– Okej. – Kiwnąłem głową.

– Dwa razy? – Podniosła dwa palce. – Cóż, jeśli trafiłeś go przypadkowo, ale myślisz: „O cholera, właśnie dźgnąłem tego gościa. Lepiej dźgnę go drugi raz, żeby już nie wstał, a ja dam nogę”.

– A te „kurwa dwadzieścia pięć tysięcy razy”? – zapytałem.

– Hm, kiedy jesteś tak nawalony wściekłością albo narkotykami, że nawet nie wiesz, że go dźgnąłeś – odparła. – Fizycznie tniesz i dźgasz, ale umysłowo latasz z wrózkami. Słyszałam o gliniarzach, którzy wkraczali na miejsce krwawej zbrodni, a sprawca nadal dźgał i ryczał na ofiarę, a ofiara już kurewsko długo nie żyła. Skórę miała pokrytą dziurami jak czerwony lampart.

– Jezu.

– W większości przypadków dźganie nie ustaje, bo ofiara nie chce się przestać ruszać. Ma śmiertelne skurcze. To napędza nożownika.

– Zgadza się – westchnąłem, trochę mi było niedobrze.

– Więc dziewięć razy? – Popatrzyła na mnie. – I w plecy? To jakieś dziwactwo.

– Co o tym sądzisz? – zapytałem.

– Myślę, że ten, kto zasztyletował Lauren Freeman, dążył do, kurwa, dwudziestu pięciu tysięcy dźgnięć – powiedziała Valerie. – Ale mu przerwano.

– To nie ma sensu w połączeniu z logistyką miejsca zbrodni – powiedziałem. – Brakuje tego, co jest potrzebne do takiej akcji. Tam jest tylko Lauren i Amanda. Żadnych narkotyków. Żadnej oczywistej wściekłości.

– A więc logistyka miejsca zbrodni nie ma sensu – stwierdziła Valerie.

Głośny sygnał mojego telefonu przerwał rozmowę. Mail od Eleanor Chapman. Otworzyłem załącznik i przewinąłem zdjęcia Lauren, złotej dziewczyny na plaży. Na party. Ściśniętej między siostrą a matką w zatłoczonym autobusie. Siedzącej samotnie na ławce w parku.

Kiedy patrzyłem na ekran, przyszedł esemes od Amandy:

„Spotkamy się u Scullych”.

Przy samochodzie pożegnałem się z Valerie i podziękowałem, że zaopiekowała się moimi gęsiami. Zaczął wiać łagodny wietrzyk, przebijał się przez gęstą wilgoć, a ja zastanawiałem się, czy nie zbiera się na deszcz.

– Byłoby świetnie, gdyby wreszcie zaczęło padać – powiedziała Valerie, patrząc na góry. Wiatr unosił jej krótkie, siwe włosy, które rozbłyskiwały za uszami. Wyglądała jak stary elf.

Wsiadłem do wozu i patrzyłem, jak wchodzi do domu, ale zanim przekręciłem kluczyk w stacyjce, przypomniałem sobie coś z maila. Znów go otworzyłem i przewinąłem do ostatniego zdjęcia, gdzie Lauren siedziała na ławce w parku. Obraz był węższy, niż powinien, jakby fotografia, z której został zeskanowany została przecięta na pół.

Na prawym ramieniu Lauren było widać rękę mężczyzny. Obejmowała jej szyję i zwisała nad piersią.

26

Drogi Jake'u!

Kiedy byłem chłopcem, matka dała mi brązowego jamniczka. Zupełnie zniecka. Wcale nie mówiłem, że chciałbym mieć jakieś zwierzątko, ale coś do niej dotarło, pragnienie choćby jednej, magicznej chwili dzieciństwa, jak z disnejowskiego Bożego Narodzenia. Więc włożyła psa do długiego niebieskiego pudełka z wstążką i dała mi go. Życie, które należało do mnie. Właśnie tym zwierzątko było od samego początku, właśnie życiem. Jego sierść skrzyła się i trzęsła od życia i nawet kiedy spało, zwinięte w ciepły, miękki obwarzanek, życie w widoczny sposób w nim tętniło, w szybko uderzającym sercu, w pulsujących żyłach i w poruszającym się brzuszku, różowym jak prosiątko.

Coś się ze mną działo, kiedy byłem w pobliżu zwierzątka. Zgrzytałem zębami. Od pierwszego razu, ledwo na nie spojrzałem, mocno kłapnąłem zębami, aż od ściskania zaboląły mnie wbite w siebie przednie zęby. Nacisk przeszedł ze szczęki na szyję. Jedyne, co mogłem zrobić, to powstrzymać to, żeby nie poszło dalej, wzdłuż ramion do dłoni, bo musiałbym wycisnąć życie z maleństwa. Jednak po jakimś czasie zgrzytanie, ściskanie zębów przeniknęło do reszty ciała. Uświadomiłem sobie, że trzymam pieska pod podbródkiem, który wciskam w czaszkę stworzonka. Wiedziałem, że to dla niego bolesne, ale nie mogłem się powstrzymać. Kochałem go tak bardzo, że byłbym w stanie go pokąsać. Zjeść go. Moja miłość była niebezpieczna, szalona.

Przecież o tym są wszystkie cklive reportaże dokumentujące prawdziwe zbrodnie, prawda? Kochankowie tak trawieni obiektem pożądania, że pewnego dnia wybuchają i dławią go. Wyciskają z niego samą istotę. Przyciągają go do piersi, miażdżą o swoje serca, a ludzkie kluczyki tak pięknie pasują do swoich pustych dziurek, które już za długo były puste. Kiedy się pierdolimy, trzymamy się

nawzajem. Czyż nie próbujemy zrobić tego samego? Wypełnić się sobą nawzajem?

Nie oglądasz tego ciągle w wiadomościach? W przeddzień jakiegoś kryzysu ludzie przyciągają się błyskawicznie, jak magnesy, łączą się, pierś do piersi, policzek do policzka. Trach. Klik.

Chcę wsunąć Cię, Jake, w siebie i sprawdzić, czy pasujesz. Sprawdzić, czy wypełnisz pustkę, która tam jest. Może gdybym wrzucił twoje ludzkie ciało w otchłań mojego serca, tylko byś się potoczył, obijając się o ściany, które tworzę, jak kamień wrzucony do szybu kopalni. Może będę musiał zabrać wszystko, czym jesteś, Twoje dziecko, Twoją żonę, Twój dom, Twoje rzeczy, Twoje pisanie i je także cisnąć w głąb mnie.

Jestem wirem. Umiem tylko pożerać.

Amanda czekała na mnie przed domem Scullych, koszulę po jeździe miała moką od potu. Gorący wiatr lizał liście palmowe przy drodze.

– W wiadomościach podali ostrzeżenie przed cyklonem – powiedziała. – Jeśli będzie wystarczająco duży, może zaćmić twoją obecność w miasteczku.

– Mogę mieć tylko nadzieję – odparłem. – Powiesz, że mnie porwał i zabrał do krainy Oz.

– Miałaś jakieś wiadomości od tej dziennikarki?

– Tak. – Fabiana parę razy próbowała się do mnie dodzwonić, kiedy jechałem do Valerie i potem, gdy od niej wracałem. Nie odebrałem. – Nie mam dla niej czasu w tej chwili. Mleko już się rozlało. Mam zamiar zasnąć i skupić się na tym śledztwie, i mieć nadzieję, że jak się znów obudzę, będzie po wszystkim.

Patrzyła na mnie z czułością albo litością, a może to był spokojny, pusty wzrok na poły oszalałej morderczyni? Może przez cały czas wmawiam sobie, że Amanda odczuwa litość i smutek? Po rozmowie z Valerie o zaszytym Lauren Freeman jest mi trochę niedobrze. Od czasu do czasu mam wizję wielkiego noża wbijanego w smukłe mięśnie jej pleców.

Dźgnięcie w plecy musiało być mocne. Musiało w nim być mnóstwo wściekłości. Należało pomyśleć o kościach. O żebrach i szerokich, ochronnych łopatkach. Trzeba było użyć siły, której ta mała kobieta stojąca przede mną raczej nie mogła mieć jako nastolatka. Chyba że tak dławiała ją adrenalina, że prawie była opętana.

Podeszliśmy do drzwi, a Stella otworzyła je szeroko, zanim zdążyliśmy zapukać. Owinęła się w puszysty, biały szlafrok z plamami po winie na mankietach. Nawet nieporuszona Amanda wydawała się zaskoczona.

– Ty. – Wskazała palcem moją twarz. – Ty kłamco.

– No, no – powiedziała Amanda.

Stella roztarła makijaż spływający jej spod oczu.

– Nie dziwię się, że nie chciałeś mnie dotknąć. Jesteś pierdolonym pedofilem. To pedofil! – zawyła bełkotliwie do Amandy. – Wiedziałaś?

– Tak. Wiedziałam.

– Wiedziałaś? – Ramiona Stelli obwisły.

– Cóż, nie jest prawdziwym pedofilem, ale o to został oskarżony. To jest pewne.

– Amanda mało się nie roześmiała. – Ale co to za oskarżenia?

– Wychodzę stąd. – Odwróciłem się na pięcie.

– Zostań. – Amanda złapała mnie. – Ted, zostań. Jezu, Stello, chcesz znaleźć męża, czy nie? Co cię obchodzi, co gadają o Tedzie? To nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Jesteśmy prawie u celu.

– Naszą sprawą?! – zawyła Stella. – Nie ma żadnej sprawy. Jesteś chora umysłowo. Z tym koniec.

– Co? – Amanda zachwiała się.

– Tacy ludzie to nie ludzie. – Stella machnęła ręką w moją stronę i zaszlochala. – Nie rozumiesz? O mój Boże, nie rozumiesz, a może jednak? Tak cię rozjechała własna świrowata egzystencja, że nie wyczuwasz...

– Słuchaj, jesteśmy blisko. – Amanda nie wiedziała, o co chodzi. Zaczęła wyliczać na palcach. – Mamy bardzo dobrego podejrzanego. Mamy trochę materiału od Cary’ego, który musimy sprawdzić. Mamy...

– Wy pierdolone świry – powiedziała Stella.

Amanda powoli zamknęła usta.

– Ty świrze. Oczywiście, że ci tego nie dam. Jak mogłaś? Ty też jesteś świrem, tak jak on.

Z twarzy Amandy zniknęły wszelkie uczucia. Trudna sprawa. Włoski na karku najeżyły mi się, znów się odwróciłem i zacząłem iść ścieżką w jej stronę.

– Amando, nie!

Skoczyła na kobietę w drzwiach, jej wyciągnięte ramiona znalazły się

w szczelinie, którą Stella rozpaczliwie próbowała domknąć. Amanda wiała się, wykręcała, próbowała wślizgnąć się siłą. Objąłem ją ramieniem w pasie i rzuciłem się do tyłu, ale była w niej niewiarygodna siła. Jakby ważyła dwa razy więcej. Ręce i nogi miała twarde, jak ze stali.

– Nie zostawimy sprawy, ty głupia kurwo! – wrzasnęła Amanda. – Teraz jest nasza, zrozumiałaś? Teraz jest nasza!

Wyrwała mi się i kopnięciem przewróciła palmę w doniczce, rozbijając terakotę o kamienne schody. Odwróciła się, a ja zrobiłem unik. Bałem się, że zamachnie się na mnie.

– Ted, nie jesteśmy świrami – warknęła, dźgając palcem w moją stronę. – Bez względu na to, co zrobiliśmy, nie jesteśmy świrami.

Trudno było obmyślić, co zrobić, żeby sprawy potoczyły się bezpiecznie. Jechałem do domu i zastanawiałem się, jak postępować dalej, ale nie udawało mi się namierzyć najlepszego rozwiązania mojego problemu. Czy znowu powinienem uciec? Wrócić do Sydney, zapytać Seana, czy mógłbym na jakiś czas zamieszkać u niego? Ale co się stanie ze wszystkimi moimi rzeczami w Crimson Lake, kiedy będę spał na kanapie mojego adwokata? Czy samozwańczy obrońcy prawa nie spalą mi domu, jeśli się z niego wyprowadzę? Na pewno zajmą się Amandą, żeby mnie znaleźć. Czy to w porządku kazać jej tłumaczyć, dokąd odjechałem?

Skręciłem na gliniastą drogę do mojego domu, obgryzałem paznokcie. Naprzeciwko działki, na poboczu, stali ludzie. Rozpoznałem dziennikarza, który zrobił zdjęcie moje i Dynah Freeman na przystanku autobusu, i paru innych ludzi, którzy stali przy swoich samochodach. Chyba byli jego kolegami. Kiedy zatrzymałem się na podjeździe, dalej na ulicy zauważyłem cienie. Kształty bez twarzy chronione przed światłem lianami dżungli. Dwie policjantki stały na mojej działce przy werandzie. Przyglądały się, jak parkuję. Czy były w zмовie z Damfordem i Henchem? Czy przyjechały, żeby mnie aresztować? Chyba nie stłuką mnie w obecności prasy, ale kiedy wysiadałem z wozu, poczułem, że odnawiają się wszystkie stare urazy.

– Ted Conkaffey? – zapytała jedna z nich.

– Tak – powiedziałem.

Chwilę mi się przyglądały, oceniały rozmiary i kształt mojego ciała, widziały

powagę malującą się na mojej twarzy. Czy wyglądałem na człowieka zdolnego do czynu, o który go oskarżono? Próbowałem domyślić się, do jakich doszły wniosków, ale miały zacięte miny funkcjonariuszek zaczynających służbę patrolową. Zerknąłem na identyfikatory. Taylor i Sweeney z regionalnej policji z Holloways Beach.

– Przyjechałyście po mnie?

– Nie – odparła Sweeney. – Jesteśmy tutaj, żeby cię chronić.

– Och. – Naprawdę mnie to poruszyło. – Cóż, jeśli o mnie chodzi, to miłe. Domyślałem się, że w komisariacie wyciągnęłyście najkrótsze słomki, co?

– Nie wiem – powiedziała Taylor. Obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów, poprawiła sobie pas. – Ja już nic nie wiem.

Staliśmy skrepowani we troje i patrzyliśmy na dziennikarzy po drugiej stronie ulicy. Trzeszcząca skóra policyjnych butów, miedziany zapach pistoletów i wyposażenia poprawiały mi samopoczucie. Na chwilę zamknąłem oczy i próbowałem sobie wyobrazić, że wróciłem do Sydney, do komisariatu, słyszę, jak młodzi krawężnicy siadają ciężko przy moim biurku, w wielkich, ciężkich buciorach.

– Co się dzieje z milczącym świadkiem? – zapytała Sweeney. Taylor w geście upomnienia klepnęła ją po ramieniu. Najwyraźniej umówiły się, że gdybym pojawił się dziś wieczorem, nie będą rozmawiać ze mną o mojej sprawie. A może powiedziano im, żeby właśnie tego nie robiły.

– Z Fullerem? Widział mnie na stacji benzynowej. Ale nie pozwolili mu zeznawać.

– Dlaczego?

– To pijaczek – powiedziałem. – Bezdolny pijaczek. Ma problemy ze zdrowiem psychicznym. Mieliśmy powalczyć o jego wiarygodność, ale oni orzekli, że wykreślają go z listy, zanim zdążyliśmy.

Sweeney zmrużyła oczy, podrapała się z zażenowaniem w szyję. Przez dłuższy czas przysłuchiwałem się żabom kumkającym w mokradłach na tyłach działki.

– Dlaczego nikt nie widział, jak wędkowałeś? – zapytała. – Czytałam, że nikt nie widział cię na moło.

– Byłem tam. – Wzruszyłem ramionami. – Byłem jakieś półtorej godziny. Może dwie.

– Hej, nie jesteśmy tutaj, żeby tym się zajmować. – Taylor wystawiła obie ręce, podwójny znak stopu dla jej partnerki i dla mnie. – Jesteśmy po to, żeby nikt nie wdarł się na działkę. Panie Conkaffey, pańska wina, albo niewinność nie są obiektem naszego zainteresowania.

– Dla mnie tak – powiedziała cicho Sweeney. Uśmiechnąłem się do niej z wdzięcznością i poszedłem przez werandę do domu. Na werandzie, niedaleko zabitego deskami okna, leżało pięć balonów na wodę. Wyczułem mocz. Doszedł nowy balon. Stałem i zastanawiałem się nad mechaniką napełniania moczem małych baloników, nad niebezpieczeństwem związanym z transportowaniem ich do celu, żeby nie eksplodowały i nie przemoczyły wszystkiego odorem.

– Detektywi Damford i Hench – powiedziała nagle Taylor. Zatrzymałem się przy drzwiach. – Znasz tych facetów?

Położyłem rękę na klamce, w drugiej ścisnąłem klucze, aż zabolą.

– Czy ich znam?

– Tak. Miałeś już z nimi do czynienia? Wiem, że dali ci popalić, odkąd się tutaj przeprowadziłeś, ale czy wcześniej też coś było?

– Nie – powiedziałem. – Poznałem ich dopiero, kiedy tu przyjechałem. Dlaczego pytasz?

Taylor wzruszyła ramionami. Obie policjantki odwróciły się w stronę drogi, ręce trzymały na pasach.

– Serio. – Puściłem klamkę. – Powiedz, proszę. Dlaczego pytasz?

Brunetka znów wzruszyła ramionami, blondynka gapiała się pod nogi. Wszedłem. Czuję, że czekają mnie kłopoty nowego rodzaju.

Noc pełna była głosów. Leżałem w łóżku na boku i słyszałem słowa policjantek, kiedy dziennikarze i miejscowi próbowali wejść w granice działki. Od czasu do czasu na oknach i suficie błyskały czerwone i niebieskie światła. Miałem wrażenie, że czuję siki na werandzie nawet z sypialni, ale po jakimś czasie przyzwyczałem się do tego. Gapie przez cały czas przejeżdżali obok działki, zatrzymywali się, żeby popatrzeć, rozmawiali z miejscowymi i dziennikarzami stojącymi od frontu.

Pytanie Taylor nie dawało mi spokoju. Prawdopodobnie razem z partnerką przeniesiono ją z innego okręgu, żeby chronić mój dom, bo Damford i Hench nie mieli ochoty tego robić albo zbyt zajmowały ich inne obowiązki w Crimson Lake.

Może Taylor zastanawiała się, dlaczego nie wyznaczono tamtych dwóch. Ile innych przestępstw może być w takiej małej mieścinie?

W ciemności przez cały czas słychać było głosy.

– Sir, niech pan stąd idzie. Niech pan stąd idzie.

– On tam jest?

– Proszę pani, proszę odejść od płotu.

– Nie chcemy tego faceta w naszym mieście.

– Proszę zjechać samochodem z trawy. To własność prywatna. Proszę wrócić do wozu i odjechać do domu.

– Ona miała trzynaście lat! Czy wy możecie spać w nocy?

– Chronicie cholerną świnię, gwałciciela. Powinniście ścigać takich, a nie chronić, kiedy śpią!

– Sir, proszę wrócić do samochodu i odjechać do domu.

Warczenie silników. O północy pomyślałem, żeby zrobić kawy policjantkom, ale kiedy wyjrzałem przez szczeliny w deskach na oknach, zobaczyłem dwoje nowych policjantów, mężczyznę i kobietę. Nie wiedziałem, czy równie łagodnie się ze mną obejdą, jak poprzednia zmiana. Już miałem wyjść i przytulić gęsi, ale przypomniałem sobie, że ich tu nie ma.

Już zasypiałem w chłodzie błękitnych godzin wczesnego poranka, gdy obudził mnie ból brzucha i dziwne uczucie, że słyszałem głośny hałas. Wróciłem myślami na tyły działki. Nikt ich nie chronił i chociaż intruzi musieliby przejść pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów niechronionej ziemi pełnej krokodyli, żeby dostać się do furtki, to chyba nie byłoby to wiele dla kogoś, kto już pofatygował się do mnie, żeby stanąć oko w oko z policją.

Chwyciłem latarkę, podpełzłem do tylnej werandy i po cichu, wstrzymując oddech, otworzyłem drzwi. Nawet żaby zamilkły. W krzakach cicho cykały świerszcze i koniki polne, a w oddali słychać było ten straszny odgłos – podobne do kaszlu szczekanie krokodyli, nawołujących się przez czarne wody. Przysłuchiwałem się tak odległym dźwiękom, że kiedy usłyszałem ruch powietrza w samochodzie, całe moje ciało drgnęło. Na prośbę pierwszej zmiany chroniących mnie policjantek, przestawiłem samochód na tyły działki. Kiedy znów usłyszałem ten dźwięk, wiedziałem, że to kaszel.

– Hej! – Włączyłem latarkę i oświetliłem ciemności. – Hej!

Zza kierownicy uniosły się dwie postacie. Chwyciłem się za tył spodni.

– Mam pistolet.

Nie miałem. Ale zapisałem w pamięci, że to dobry pomysł, gdyby znów miało się coś takiego zdarzyć, uzbroić się w coś więcej niż latarkę. Kiedy zaszedłem samochód z boku, promień latarki wychwycił dwie blade, młode twarze. Jedna z nich była do połowy schowana pod czarną, wełnianą czapeczką. Harrison schował coś do kieszeni.

Wyrwał mi się gorzki śmieszek. Harrison i jego dziewczyna Zoe, odsunęli się, mrugając w świetle.

– Chcieliśmy pociąć ci opony – powiedział chłopak. Przyznał się szybko, słowa wytoczyły mu się z ust. Dziwaczne słowa. Przypisałem to szokowi.

– Widzę. Chodzi o twojego tatę czy o wiadomości? – zapytałem Harrisona.

– Chodzi o to, że jesteś potworem – powiedziała z pogardą dziewczyna. Po raz pierwszy mogłem przyjrzeć się z bliska Zoe Miller. Zobaczyłem, że pod bladym podkładem ukrywała gęsto rozsiane brązowe piegi na nosie i policzkach z piercingiem. Piegami nie są nazbyt gotyckie. Była w niej pewność siebie taka jak w Harrisonie, ta zarozumiała złośliwość, która teraz, w świetle latarki, zupełnie zniknęła. – Dowiedzieliśmy się, co zrobiłeś, ty chory skurwielu.

– A ja dowiedziałem się, kim jesteś, Zoe Miller – powiedziałem. Nabrałem powietrza, żeby mówić dalej, żeby zapytać ją, co myślą jej rodzice o rzucaniu fajerwerkami w domy w środku nocy, o jeżdżeniu samochodami z chłopakami nad ranem. Ale wyraz twarzy dwojga dzieciaków mi wystarczył. Popatrzyli na siebie, oboje byli naprawdę wystraszeni.

Znałem jej nazwisko. Co w tym było takiego przerażającego?

– Idziemy. – Harrison chwycił ją za ramię. – Zoe, chodź. Chodź.

– Nie ma mowy – powiedziałem i zrobiłem krok, żeby zablokować im ścieżkę. – Oddasz mi nóż. Daj go. Nie odejdziesz z niebezpiecznym narzędziem pod ręką.

Dwoje nastolatków patrzyło na mnie. Zrobiłem krok do przodu i przyparłem ich do płotu.

– Nóż. – Wskazałem ręką kieszeń Harrisona, w której schował narzędzie. – Oddaj.

– Nie.

– Oddaj.

– Pierdol się!

Rzuciłem latarkę, złapałem dzieciaka za ramię i kaptur cienkiej bluzy. Zebrałem wielką dłońią tyle materiału, że koszula uniosła mu się aż do pach na spiętym brzuchu. Pogrzebałem mu w kieszeni i chwyciłem za gumową rączkę noża.

– Zostaw mnie! Odpierdol się człowieku!

Oboje rzucili się na mnie, przyparli mnie do balustrady werandy. Uciekli na tył działki. Zadźwiewał drut kolczasty.

Podniosłem latarkę i oświetliłem narzędzie, które trzymałem w dłoni. To nie był nóż.

27

Ormund Smitt mieszkał z matką w szerokim, niskim domu na przedmieściach Cairns. Trawa na wielkiej działce była krótko przycięta, żeby powstrzymać węże pełzające przez trawnik od kęp palm między działkami. Chyba mi się spodobał stereotypowy styl Ormunda, gracza, młodego człowieka, bladego i mizernego od przesiadywania godzinami w piwnicy, kiedy wszyscy w Cairns byli spieczeni słońcem od samego sprawdzania skrzynki pocztowej. Młodzieńczy bunt był zdyscyplinowany, zgorzkniała mina robiła za maskę, a pisanie bezwzrokowe od lat stanowiło warunek wstępny członkostwa w pokojach czatowych i na forach. Proste, jasne włosy Ormunda Smitta i nie wiadomo do czego potrzebna, wełniana czapeczka Harrisona Scully’ego stanowiły część uniformu przekazującego wyraźną wiadomość: „pieprzyć was” do wszystkich, bez prawa do przeprosin.

Znali się. Chyba właśnie to uwielbiałem u ludzi takich jak Ormund Smitt. Siebie pamiętam jako policjanta. Miałem mundur. Umiejętności. Misję. Kim, do diabła, jestem teraz?

Siedziałem w samochodzie pół przecznicy od domu Smittów i obserwowałem Amandę kryjącą się w cieniu palm na poboczu. Siedziała wyprostowana w pozycji lotosu, oczy miała zamknięte, a brodę opartą o pierś. Chyba już zdążyłem przejść od niej niektóre zachowania potrzebne do uzyskania członkostwa w klanie pariasów. Nie byłem wytatuowany, ale zmieniłem powierzchowność – gęsta, ciemna broda nadal szokowała mnie co rano, kiedy patrzyłem na siebie w lustrze. Otoczyłem się, chociaż przypadkowo, stadem bezbronnych zwierząt – natychmiast stając się przywódcą grupy istnień, które były w gorszej niż ja sytuacji i jednocześnie akceptowały mnie. Amanda miała drgawki i nastroje, ja nie spałem, ledwo jadłem i zagłębiłem się w paranoję.

Kiedy patrzyłem na cętkowaną słońcem Amandę, uznając nasze dziwne

pokrewieństwo, nagle wyrwała się z medytacji i podczołgała do okna samochodu. Uklękła w trawie.

– Już skończyłam – powiedziała. – Wystraszymy świra.

Z tylnej kieszeni wyjęła telefon, którego jeszcze nie widziałem. Był to aparat starego typu, ekran otwierał się z miłym trzaskiem. Zaczęła pisać z językiem wkliniowanym między przednie zęby. Kiedy skończyła, podniosła wzrok i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Co zrobiłaś?

Popatrzyła na komórkę.

– Napisałem esemes do Ormunda: „Wiemy, że rozmawiasz z policją i śledczymi o Jake’u Scullym. Chcielibyśmy, żebyś zrozumiał, że to nie jest dobry pomysł”.

– Podoba mi się. – Zrobiłem zadowoloną minę i popatrzyłem z zamyśleniem w dal. – Jest zdecydowany, surowy, chociaż niejasny. Właściwie na co liczysz?

– Mam nadzieję, że narobi w portki. Będzie myślał, że to iluminaci, skorumpowani, rządowi władcy działający z ukrycia, którzy zmusili Jake’a do ukrywania się za to, że zdradził tajemnice Apokalipsy. – Popatrzyła na telefon. – Może powinnam to zaszyfrować.

Czekaliśmy, Amanda dostała lekkich drgawek. W końcu wyjęła z kieszeni chusteczkę, odgryzła kawałek i zaczęła żuć papier wilczymi zębami. Kiedy telefon zapiszczał, roześmiała się gwałtownie i zakołysała do tyłu na piętach.

– „Kto pisze?” – przeczytała i pochyliła się gwałtownie do przodu, żeby odpisać

– „Smitt, po prostu daj sobie spokój” – przeczytała, jednocześnie wstukując tekst.

– Dzieciak będzie miał przez ciebie koszmary – powiedziałem.

Po stronie Ormunda zapanowało milczenie. Minęła godzina. Amanda patrzyła z wyczekiwaniem na dom. Nie byłem pewien, co chciała zobaczyć czy usłyszeć, czy spodziewała się, że strach Ormunda, wywołany jej psikusiem, zmusi go do działania. Ale miała rację co do Sama i Raya i okazała się znacznie bardziej wydajna w opartym na Internecie śledztwie niż ja. Miałem ochotę usiąść przy niej na poboczu i przez parę godzin mieć na coś nadzieję. W głębi duszy zdawałem sobie sprawę z tego, że ta ochota wynika z takich rzeczy, jak strach przed ludźmi przed moim domem i przerażeniem przed nocnymi godzinami, które będę tam musiał spędzić jeszcze dzisiaj.

Kiedy mój telefon zapiszczał, Amanda aż podskoczyła, a;e zaraz zauważyła, że to do mnie. Od Kelly.

60 minut znów tu jest.

Złapałem się za pierś. Na widok jej imienia na ekranie dostałem ostrych bólów mięśni wokół serca. Odkąd wyszedłem na wolność, nie odpowiedziała na żadną próbę nawiązania kontaktu. Ekran nad jej esemesem pełen był wiadomości ode mnie, w większości długich i pisanych późną nocą.

Kelly udzieliła *60 minutom* wywiadu podczas ostatnich, przerażających dni mojej rozprawy, ignorując błagania Seana, żeby nie podkopywała mojej pozycji. Wywiad został prawnie zaakceptowany pod warunkiem, że Kelly nie będzie komentowała procedur sądowych, ale odpowie na pytania, jakim byłem mężem i ojcem. Ale tytuł programu brzmiał: *Zamężna ze złem*. Tak go zmontowano, żeby przyłapać ją w najbardziej wrażliwych momentach, kiedy nie wiedziała, że jest filmowana, i patrzyła na samotną plażę w pobliżu naszego domu, gdy wzdychała, kołysząc płaczące dziecko. Porzucona żona. Żona zdradzona.

Nie sądzę, żeby wywiad pogorszył mój wizerunek. Wtedy chyba nie mógł być gorszy, a pomysł, że to, co zrobiłem Claire Bingley, sprawił, że żona została na lodzie, nie był wart medialnego szumu.

Jednak drżały mi palce, kiedy odpisywałem:

Będiesz z nimi rozmawiać?

Odpowiedziała po chwili przerwy:

Nie wiem. Myślałam, że sprawa przycichła. Ale tamto wideo znów ją obudziło. Ludzie ciągle pytają, czy wiedziałam. To może być szansa, żeby powiedzieć, że nie.

Widziałem artykuł na blogu o przestępstwach. Było to zaraz po tym, jak mnie wypuścili, kiedy jeszcze co wieczór wściekle szukałem w Google swojego nazwiska, żeby zobaczyć, jakie nowe potworności dodano do mojej osobistej historii online. Tytuł brzmiał: *Chroniła drapieźnika?* Autor zastanawiał się, jak to możliwe, żeby żona nie wiedziała, że jej mąż to drapieźnik seksualny wobec dzieci. Wykorzystał nasze małżeństwo jako studium przypadku. Same bzdury i spekulacje z mnóstwem przerażających czarno-białych zdjęć, na których prowadzą mnie do sądu. Ale czas dobrany został z ogromnym wyczuciem. Tekst rozprzestrzenił się jednocześnie z wiadomością, że wypuszczono mnie z więzienia. Ludzie

zastanawiali się, czy ona wiedziała?

Kiedy nie odpowiedziałem, znów przysłała esemesa:

Byłoby doskonale, gdybyś przez jakiś czas unikał mediów.

Esesesy od Kelly rozpały we mnie ogień, bolesny, pobudzający niepokój, który moja matka nazywała „mrówki w gaciach”. Dopadło mnie nieświadome dążenie do zmiany miejsca. Wtedy byłbym o krok przed moimi problemami. Zostawiłem Amandę przed domem Ormunda Smitta. Siedziała w cieniu i łuszczyła gałązkę kawałek po kawałku. Powiedziałem, że przyniosę lunch, ale nie powiedziałem, dokąd idę ani dlaczego idę sam. Nie pytała. Pewnie wiedziała, jak się czuję.

W tym problem. Brutalni pedofile nie są tacy jak ja. I przez to byłem dla opinii publicznej jeszcze bardziej przerażający niż taki, który doskonale pasowałby do stereotypu.

Stanowiłem zaprzeczenie powszechnego wyobrażenia pedofila. Brutalny pedofil, według przeciętnego obywatela, robi to, co robi, z paru powodów. Jest stary i zepsuty. To jako przystawka. Według powszechnego mniemania pedofilem jest starszy mężczyzna, którego żona zmarła albo się z nim rozwiodła, albo odeszła do domu opieki i zostawiła go w małym, ciemnym domku z wszelkimi symbolami zaufania, które dzieci kojarzą ze swoimi dziadkami – różane krzewy od frontu, szklane słoje ze staromodnymi łakociami w kuchni, przyjazny pies, z którym pedofil codziennie wychodzi na spacer. Stary prawdopodobnie został zbrukany podejrzanymi zamiłowaniem przed sześćdziesięciu laty, jako ministrant w bezimiennym podmiejskim kościółku, lejąc wodę święconą w jakiejś pełnej grobowej ciszy zakrystii, pod drapieżnym spojrzeniem zwiędłego księdza. Od tamtej chwili utrzymywał traumatyczne przeżycie w tajemnicy, a jego mroczne pożądanie zaspokajała żona. Nagle odeszła, a grupka dzieciaków z sąsiedztwa, która za nią się włóczyła, nadal wpadała do domu.

Poza utrzymywaną w tajemnicy zastarzałą traumą typowy pedofil ma mnóstwo plakatów z chłopcami, co dokłada się do listy znaków ostrzegawczych. Może jest oślizgłym, przygarbionym typem z jawnej rozprawy sądowej, jak Dennis Ferguson, znany australijski pedofil, przerażającym publiczność gniewną linią obrony, oblizującym wargi, podrygującym, ciskającym się na aparaty fotograficzne przed

ośrodkiem resocjalizacyjnym, w którym się przyczaił. Może jest w typie Jimmy'ego Saville'a, dziennikarza, didżeja i pedofila o szalonych oczach, który żuje wielkie, falliczne cygara i uśmiecha się, szczerząc długie zęby, a oczy ukrywa za różowymi okularami, nietykalny, bogaty, o pajęczych ruchach.

Na pewno to nie ja. Obraz, który wyrobiłem sobie w oczach publiczności, nie miał w sobie nic z tych rzeczy. Przeszedłem właściwe wychowanie na zachodnich przedmieściach Sydney. Nigdy mnie nie molestowano seksualnie ani fizycznie. Ted Conkaffey, który uświetniał pierwsze strony gazet, był wysoki, potężnie zbudowany, miał pod czterdziestkę i był raczej przystojny. Pracowałem zarobkowo, miałem żonę i córeczkę niemowlaka. Przeszedłem testy psychologiczne na policjanta, więc żaden ukryty niewypał neurologiczny nie stanowił wyjaśnienia dla tego, co podobno zrobiłem. Nie miałem szczególnie dużo kontaktów z małymi dziećmi. Sam byłem ojcem niemowlaka, ale nie licząc czasu spędzanego z Lillian, nie włóczyłem się po parkach czy placach zabaw, nie przyglądałem się małym dzieciom, nie prowadziłem z nimi rozmów. I nigdy nie zdarzyło mi się zaprosić takiego dziecka do domu, czy żona była, czy jej nie było. Nie szukałem pracy, która dawałaby mi dostęp do dzieci. Nie próbowałem, korzystając z uroku osobistego, znaleźć się z nimi samotnie w cichym pokoju, dbać o nie, zabawiać, uczyć albo doradzać.

Na wszelkie sposoby udowadniałem, że skłonności pedofilskie to stek bzdur, że to straszak na ludzi. Australijska publiczka wmówiła sobie, że wie, jak wygląda seksualny drapieżca napastujący dzieci, jak mówi, czym go czuć. Wydawało im się, że nad tym panują. I wtedy pojawia się Ted Conkaffey. Zupełnie nowy, jeszcze bardziej wyrafinowany rodzaj potwora.

Któż mógłby rozpoznać tak innowacyjne przebranie?

Moja żona.

Jasne, że coś widziała. Coś słyszała. Tego rodzaju pokrętny, zdeprawowany apetyt nie objawia się natychmiast na widok dziecka stojącego samotnie na poboczu. Musiało być coś, co od dawna ukrywałem. Może przez całe życie. To jasne, że ujawniłem Kelly swoje prawdziwe ja przez osiem lat trwania małżeństwa – zrobiłem dziwną uwagę po pijanemu, zostawiłem w wyszukiwarce jakieś podejrzanе internetowe materiały, pewnego sobotniego popołudnia nie potrafiłem utrzymać przy sobie rąk wobec dziecka sąsiadów na basenie za domem.

Na sam koniec prawdziwym sprawdzianem karygodności mojego przestępstwa były dla Kelly narodziny naszej córki. To jasne, że kiedy Kelly urodziła Lillian, a ja po raz pierwszy trzymałem ciepłego, machającego nóżkami noworodka w swoich wielkich dłoniach, włączył się jakiś pierwotny macierzyński alarm.

Te ciemne myśli opanowały mnie całkowicie, więc kiedy wreszcie wyrwałem się z nich, stwierdziłem, że zaparkowałem na Holloways Beach, trzymam ręce na kierownicy, patrzę wprost przed siebie, zęby mam zaciśnięte. Przyglądały mi się dwie kobiety, które siedziały na dworze tuż przy oknie samochodu. Pewnie zastanawiały się, o czym myślę, że aż tak zeszywniałem. Wyskoczyłem z wozu i szybko odszedłem, zanim zdążyły mnie rozpoznać.

Rozpoznałem turkusowy fartuch Dynah, kiedy po raz pierwszy spotkałem ją w kuchni Freemanów przy kawiarni Starfish, na głównej ulicy Holloways Beach w wieczór, kiedy poszedłem szukać Amandy. Chodnik był tak gęsto zastawiony stolikami, że musiałem prześlizgiwać się bokiem między ludźmi raczącymi się lunchem. Przypadkowe spojrzenia gości sprawiały, że przenikały mnie małe wstrząsy elektryczne. Czy rozpoznali mnie? Co by zrobili, gdyby tak było?

Zastałem Dynah, jak wbijała rachunki na kasę fiskalną. Dopiero kiedy na mnie spojrzała zmęczonymi, zjechanymi przez świat oczami, zdałem sobie sprawę, jak niewiarygodnie po chamsku postąpiłem, że tu wparowałem, żeby znowu wyciągać od niej coś na temat dawno zmarłej siostry.

Zerknęła w bok, na menedżera. To spojrzenie powiedziało mi, że nie tylko oglądała wiadomości, ale miała zamiar powiedzieć mu, co widziała i jak się to ma do wielkiego, brodatego gościa przy barze.

– Proszę. – Podniosłem rękę. – Proszę nie.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Złożę zamówienie. – Spojrzałem na wielką tablicę za jej plecami. – Nie chcę robić ci kłopotów. Wezmę kanapkę z kurczakiem, szynkę i ser. Na wynos.

Niechętnie nabiła jedzenie na kasę. Ręka, która wysunęła się po pieniądze, była szybka, pełna przerażenia. Poszedłem do stolika z boku, żeby poczekać, a kiedy przyniosła jedzenie w torebce, zaskoczyła mnie, bo usiadła naprzeciwko mnie i złapała za rękę. Dotyk był twardy, nieuprzejmy.

– Masz się odpiardolić. – Nachyliła się tak blisko, że zobaczyłem wściekłość w jej oczach. – Koleś, teraz masz dość własnych problemów.

Wyjąłem telefon i otworzyłem maila od Eleanor Chapman. Położyłem komórkę na stoliku i pokazałem zdjęcie Lauren Freeman, to z tajemniczą ręką zwisającą jej z ramienia.

– Czyja to ręka?

– Jezu Chryste, czy ty w ogóle mnie słuchasz? – warknęła Dynah. Ze smutkiem pokręciła głową. – Nie dziwię się, że wpadłeś po uszy w gówno. Jesteś kompletnym jełopem. Koleś, pokazują cię we wszystkich wiadomościach. Mówią, że próbowałeś zabić jakieś dziecko w Sydney.

– Tak. – Kiwnąłem głową, nadal trzymając telefon. – Tak mówią.

– Więc po co za mną łazisz? Gdybym była tobą, schowałabym się w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Dynah, w mojej sprawie jest więcej niż w wersji oficjalnej – powiedziałem. – Chyba potrafisz to wyczuć, bo nie rozmawiałabyś teraz ze mną. Sądzę, że dobrze potrafisz oceniać charaktery. I wiesz co? Ja też. I myślę, że w sprawie twojej siostry też jest więcej niż w wersji oficjalnej.

Westchnęła. Zerknęła na drzwi do kuchni, skąd uważnie przyglądał się nam menedżer. Zapewne dał jej pięć minut na załatwienie sprawy z tajemniczym gościem. Potem ma wracać do pracy i to jak cholera. Czas się kończył.

– Przeczytałem *Morderstwo w Top End* – powiedziałem. – I parę rzeczy nie daje mi spokoju. Po pierwsze, maluje ono obraz Amandy Pharrell jako skończonej świruski. Dziwadła. No dobrze, zgadzam się z tym. Ona jest skończoną świruską i wtedy też nią mogła być. Może nie złą, gwałtowną świruską opisaną w tej książce, ale na pewno nie normalnym człowiekiem.

– Więc na czym polega twój problem? – zapytała Dynah.

– Mój problem polega na tym, że nad Amandą nikt nie znęcał się w szkole – powiedziałem. – Przemyśl to. Dziewczyna jest zbzikowana. Jest samotniczką. Tato jest alkoholikiem, a matka nie chce z nią mieć nic wspólnego. Jest marzycielką. Społecznym wyrzutkiem. Więc dlaczego lubiane dziewczyny nie urządzają jej piekła za życia?

Dynah siedziała i gapiła się na mnie, ręce miała skrzyżowane na piersi.

– Mój drugi problem to twoja siostra – ciągnąłem. – Jest oszałamiająco piękna. Mądra. Wysportowana. I nie żyje, a połowa ludzi, z którymi chodziła do szkoły, nadal twierdzi, że byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Wszystkich okręciła sobie

wokół małego palca, nawet z za grobu.

Dynah nic nie powiedziała.

– Więc dlaczego nie ma chłopaka? – zapytałem. – Ani wzmianki o jakichś chłopakach. Wiesz, to mnie najbardziej niepokoi. Nie zrozum mnie źle, mnóstwo rzeczy mnie niepokoi w tej sprawie. To przecież śmieszne, żeby dziewczyna taka jak Lauren i ktoś taki jak Amanda miały razem zaparkować samochód w krzakach niedaleko szkolnego parkingu. Po co? Żeby pogawędzić? Żeby nawzajem pomalować sobie paznokcie? Mówi się, że na party przyjechały razem, wypityły razem przed zabawą, miały zamiar poszaleć przez cały wieczór na oczach wszystkich szkolnych kumpli Lauren. A jednak nie ma najmniejszych dowodów, żeby Lauren chociaż raz spojrzała na Amandę przed tamtym wieczorem. Że łączyło je choćby powierzchowne koleżeństwo. Że rozmawiały. Że wymieniały liściki. Że bywały u siebie w domach. I Lauren miała odwiedzić ją na party? I zupełnie nie przejmowała się, co to mogło znaczyć dla jej statusu?

Dynah ciężko westchnęła.

– Ale żeby nie było chłopaka? – powiedziałem drwiąco. – Daj spokój. Do dziewczyny takiej jak Lauren ustawiłaby się kolejka potencjalnych...

– Nikogo więcej tam nie było – odparła Dynah. Szybko wstała, górowała nade mną przy stoliku. – Tam nie było nikogo innego, w porządku? Po prostu zostaw to. Zostaw, kurwa, tę sprawę.

– Ja nie pytałem...

Stałem, ale menedżer szedł w naszą stronę zza baru. Najwyraźniej zauważył rozpacz swojej pracowniczki. Dynah otarła oczy. Jeszcze raz pokazałem jej zdjęcie siostry i rękę zwisającą jej z ramienia.

– Kim jest ten facet? – zapytałem, jednym okiem śledząc zbliżającego się menedżera. – Przyjaciół? Nauczyciel? Dlaczego ten związek został utajniony?

– On nie ma z tym nic wspólnego – wyrzuciła z siebie Dynah. Okręciła się na pięcie i mało nie przewróciła menedżera, który szedł, żeby dać mi to, na co zasługiwałem.

Nie dostałem tego, na co zasługiwałem. Ale miałem to, co mi było potrzebne.

28

Długie godziny siedziałem w samochodzie przecznicę od domu Ormunda Smitta, kiedy Amanda wpędzała go w paranoiczną gorączkę. Za bardzo bawiła ją ta sytuacja. Od czasu do czasu kładła się na trawie i chichotała nad tym, co napisała, kciuki szalały jej po klawiaturze. Udawała, że jest jakimiś rządowymi upiorami, gdzieś w lodowatym urzędzie, które pichcą strategię zdołowania Ormunda. Przerazające, z jaką łatwością potrafiła wydobyć z chłopca jego śmiechu wartę strachy. I jak bardzo bawiło ją jego przerażenie.

Kiedy już nie mogłem wytrzymać, zapytałem, co wypisuje.

– Pisałam esemesa, że wiemy, że Ormund wie, gdzie jest Jake i że mamy zamiar go zmusić, żeby nam powiedział, nawet gdybyśmy mieli użyć tortur według starej szkoły.

– Trochę zbiera mi się na mdłości, przecież to nieetyczne – powiedziałem, opierając ramię o drzwi samochodu. – Co się stanie, jeśli przekonasz tego dzieciaka, że wszystkie jego teorie spiskowe to prawda, a ważni agenci rządowi przyjdą, żeby podtopić mu dupę...

– Nie jeśli, ale kiedy go przekonam – uśmiechnęła się.

– Kiedy to zrobisz – westchnąłem – i okaże się, że on nie ma pojęcia, co się stało z Jakiem?

– Jeśli jest niewinny, to zmarnowaliśmy popołudnie i daliśmy samotnemu młodemu człowiekowi mnóstwo materiału do brandzlowania i dla niego samego i dla jego kumpli, speców od końca świata. – Usiadła, wyciągnęła trawę z potarganych włosów. – Ted, znam tego rodzaju ludzi. Mnóstwo takich siedzi w więzieniu. Teoretycy spiskowi. Z urojeniami paranooidalnymi. Paranormalni i wpadający w trans. Obmyślają te głupie teorie, bo są samotni i chcą się poczuć ważni. Wyobraź sobie, że naprawdę zbliża się koniec świata, a ty jesteś jedyną

osobą, o szczególnym, wielkim umyśle, zdolnym odgadnąć to z paru skądinąd nieszkodliwych książek. Fajny sposób, żeby zacząć wmawiać to paru silnym chłopakom, którzy czepiali się ciebie w liceum.

– Chyba tak. – Spojrzałem na dom. Słońce już zachodziło.

– I wyobraź sobie, że ktoś naprawdę wyciąga cię z opresji, bo mówi, że masz rację: „Tak, Ormundzie, odkryłeś naszą tajemnicę. Jedenasty września to był numer, który wykreślił rząd Stanów Zjednoczonych. Na porośniętym trawą pagórku naprawdę był strzelec. Nadchodzi wniebowzięcie, a Jake Scully naprawdę o tym wiedział. Nie jesteśmy zadowoleni, ale przyznajemy, że tak jest. Ormundzie, przez cały czas miałeś rację”.

Przekręciła się na bok i przeczytała kolejnego esemesa od chłopca.

– On to uwielbia – powiedziała. – Z całego serca uwielbia.

Podniosłem wzrok, kiedy trzasnęły drzwi z siatką przeciw owadom i z domku wyłoniła się smukła postać Ormunda Smitta. Coś krzyknął za siebie, przez drzwi, i poszedł zdecydowanym krokiem do samochodu, rozglądając się pobieżnie po ulicy. Schylił się i zajrzał pod silnik, dopiero potem wsiadł i przeszukał cały wóz. O co mu chodziło? O bomby? Urządzenia śledzące? Dobijało mnie okrucieństwo tej sytuacji. Dzieciak najwyraźniej oszalał.

– Lee Harvey Oswald – wymruczałem.

– Hę?

– Strzelec z porośniętego trawą pagórka. Przypomniało mi się. Lee Harvey Oswald mówił, że nie zastrzelił JFK. Powiedział, że był tylko kozłem ofiarnym. Ześwirowanym frajerem, którego potrzebował ten, kto chciał śmierci Kennedy’ego.

– Włącz silnik. – Amanda klepnęła mnie po ramieniu. – Ormund odjeżdża. Trzymaj się go. Gdybym cię zgubiła, zadzwoń, kiedy skończysz go śledzić.

Włączyłem silnik w tej samej chwili co nasz figurant. Ormund wyjechał samochodem, prawdopodobnie jego mamy niebieskim tarago i ruszył ulicą.

Śledziłem Ormunda, słońce schowało się za górami. Właśnie wtedy ponownie zadzwoniła Fabiana. Nie odbierałem telefonów od niej, ale teraz było to coś, na czym mogłem się skupić, zrobić coś z rękami. Pomyślałem, że to lekkomyślność z mojej strony. Odebrałem telefon i włączyłem głośne mówienie.

– Czym mogę służyć?

– Nie sądziłam, że odbierzesz – powiedziała po dłuższej chwili ciszy. Pewnie musiała się pozbierać. – Ted, przepraszam. To, co zrobiłam, było...

– Nielegalne? Nieetyczne? Całkowicie naruszyło zaufanie? – zapytałam.

– Wszystko naraz – westchnęła.

– Podłe. Aż dziwne, jak podłe. Nie wyglądałaś na takiego człowieka, gdy po raz pierwszy się z tobą spotkałem. Ale może oszukiwałem sam siebie.

– Ted – Fabiana dyszała – słuchaj. Ta sprawa... ta sprawa tak mi namieszała w głowie. Wysłali mnie, żebym złapała potwora i coś z niego wycisnęła. Albo jakieś szkaradnie podświetlone zdjęcia, albo jeszcze lepiej nagrany na wideo potok zniewag na pierwszą stronę w sieci. Ale ty nie jesteś taki, jak się spodziewałam. Jesteś... Jesteś...

– Łagodny?

– Cóż. – Pomyślała, trochę się roześmiała. – Tak.

– Łagodny, przystojny, wysoki – powiedziałem. – Młody facet. Miły facet. Lubi kobiety. Lubi zwierzęta. Wszystkie rachunki mam popłacone. Wszystkie ścierki w kuchni mam porządnie złożone.

– Tak.

– Cóż, jak przyjemnie. – Starłem się ukryć gniew. – A ty, jak to jest, że przestałaś myśleć, że taki fajny ze mnie facet i skupiłaś się na mojej, kurwa mać, sprawie?

Milczenie, musiała przemyśleć moje słowa. Samochód Ormunda wślizgnął się między wozy przede mną i skręcił w stronę wybrzeża.

– Tak sobie myślę, że gdybym był garbatym draniem o wściekłym wzroku, którego się spodziewałaś, i tak chciałabyś udowodnić moją niewinność, bo widziałaś dowody. Nie chcę, żeby mnie popierano, bo łatwo się ze mną rozmawia. Chcę, żeby mnie popierano, bo jestem niewinny.

– Tak się rozzłościłeś. Co się stało? – zapytała już cichszym głosem. Trochę urażonym.

Prowadziłem w milczeniu. Telefon na desce rozdzielczej mrugał, rozmowa była aktywna. Zastanawiałem, czy po prostu się nie rozłączyć. Zacząłem powoli oddychać, uspokajałem się. Znowu pojawiło się zmęczenie, próbowało stłumić ogień.

– Ludzie dręczą moją żonę. – Potarłem twarz dłonią, drugą trzymałem

kierownicę. – To trudne. Okej, porzuciła mnie. Ale nie miała z tym nic wspólnego. To dotyczy jej tak samo jak mnie. Ona nie zasługuje na to, żeby ją dręczyli. Próbuję zająć się pracą, żeby od tego wszystkiego odejść, ale ludzie zbierają się teraz przed moim domem. To przerażające.

– Posłuchaj – znów się odezwała. – Moglibyśmy spotkać się dziś wieczór?

– Nie – roześmiałem się. – Absolutnie nie.

– Nie będę cię nagrywała.

– To po cholere chcesz się ze mną spotkać?

– Bo ci wierzę, Ted. – Wyczułem napięcie w jej głosie. – Inni też zaczynają ci wierzyć. Wiesz, to boli. Wiem, że źle postąpiłam. Ale dzięki temu wideo paru ludzi zaczęło zmieniać na twój temat zdanie. Chyba możemy zrobić coś więcej. Chyba nie będziesz musiał zawsze tak żyć.

Trzymałem kierownicę, próbowałem jej uwierzyć. Nie mogłem.

– Dałbyś mi chociaż parę minut na rozmowę?

Popatrzyłem na telefon na desce rozdzielczej, zrezygnowani ludzie schodzili przede mną z rampy prowadzącej z autostrady w bujny las rosnący wzdłuż szarego paska oceanu w oddali.

Otworzyłem mapę Google w telefonie i wysłałem ją do Amandy. Zakładałem, że pojechała trasą przez busz, żeby zrównać się z Ormandem i ze mną, ale nie byłem pewien, czy w ogóle się jej to udało. Ormund zaparkował na poboczu, a ja zatrzymałem się tuż za zasięgiem jego wzroku. Wślizgnąłem się w busz i wsadziłem pistolet za dzinsy z tyłu. Nadal nie bardzo wierzyłem, żeby Ormund miał coś wspólnego ze zniknięciem Jake'a. Dzieciak chyba naprawdę cierpiał na urojenia. Widać to było po rozmowie na Skypie. Tak bardzo wplątał się w swój wymyślony świat, że z trudem funkcjonował w prawdziwym. Ale niedocenianie go byłoby błędem. Kiedy szedłem za chudym chłopakiem ścieżką prowadzącą do mangrowców, zagrzmiął nad nami grzmot.

Weszliśmy już głęboko na terytorium krokodyli. Powietrze było gęste od wymiotnie słodkiego zapachu pytonów, a od czasu do czasu z oddali dochodziło coś jak szczeknięcie krokodyla. Wielkie gady wychodziły na wieczorne polowanie i nawoływały się przez wodę. Między drzewami zobaczyłem strumień, ale był daleko, płynął równolegle do naszej ścieżki przez busz. Co jakiś czas Ormund

zatrzymywał się, żeby spojrzeć w gęstniejące ciemności. W roztargnieniu odrywał pełne nasion kolby trzcin rosnących na brzegu ścieżki. Przykucnąłem i czekałem, rąbkiem T-shirta otarłem pot z czoła. Potrzebny był mi deszcz. Kiedy zaczęło dżdżyć, z zadowoleniem oblizalem górną wargę.

Nagle, bez ostrzeżenia dotarło do mnie, że obok jest Amanda. Pojawiła się jak duch między rosnącymi za mną drzewami. Ręce trzymała na biodrach, pytająco podniosła brew. Pokazałem ścieżkę, którą szedł Ormund. Amanda podeszła do mnie na paluszkach, jeszcze dyszała po szalonej jeździe, dzinsy miała ochlapane błotem aż po biodra, a śliskie od potu włosy szczesane do tyłu.

Szliśmy za Ormundem przez pół godziny, potem mangrowce skończyły się i zobaczyliśmy brzeg strumienia. Młody człowiek zrywał liście palmowe i pnącza pokrywające wielki, kwadratowy przedmiot.

Podniosłem pistolet i wyszedłem z buszu na polanę.

– Kładź się – powiedziałem. – Na ziemię, Smitt.

Ormund obrócił się na pięcie i popatrzył na mnie. Miał zaciętą minę, oczy błyszczały mu w gasnącym świetle. Strach i poczucie winy synka przyłapanego w gabinecie ojca. Miało się wrażenie, że w ogóle nie zauważył pistoletu.

– Nie powiem wam, gdzie on jest – rzekł, cały drżąc. Nagle zrobił się bardzo mały.

– Ormundzie, wiemy, gdzie on jest. Nie żyje. Masz obsesję na jego tle. Jakoś wyprowadziłeś go tutaj w środku nocy i zabiłeś.

Młody człowiek prychnął, odwrócił wzrok.

– Kontaktowałeś się z Jakiem? – zapytałem. – Powiedział coś, co ci się nie spodobało?

Ormund wyglądał tak, jakby chciał się na mnie rzucić, wystawił stopę, oczy mu błyszczały. Poruszyłem się, a on przemyślał sprawę i wycofał się za samochód.

– Ormundzie, dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem.

– Nie jesteście w stanie tego zrozumieć. – Ormund zadrżał. Coś wymamrotał, nie usłyszałem. – Nie jesteście w stanie...

Spojrzał na Amandę, potem na mnie, odwrócił się i runął w stronę wody.

– Kurwa! – krzyknęła Amanda, trochę ze złością, trochę ze śmiechem. – On biegnie do strumienia!

Krzyczeliśmy za chłopakiem, żeby się zatrzymał, ale on gnał w stronę

strumienia, wyciągnął ramiona i wpadł w błotnistą wodę, jak dziecko na plaży. Amanda nie zwalniała, kiedy pobiegliśmy na brzeg. Położyłem jej dłoń na ramieniu i zatrzymałem ją.

– To nie jest tego warte. – Rozejrzałem się po brzegu, sprawdzałem, czy nie widać jakiegoś krokodyla, który na tłustym brzuchu ześlizguje się do wody za chłopcem.

Kiedy patrzyliśmy, jak Ormund płynie na drugi brzeg, dotarło do mnie, że dyszę, płuca przywierały mi ściśle do żeber. A jeśli zobaczę, że go wciąga? Obrzydliwy plusk. Wyciągnięte ramię. A potem czerwona, nieruchoma woda. Nie byłem w stanie patrzeć. Zakryłem twarz dłońmi i odwróciłem się, wbiłem palce w uszy.

– Boże, proszę, nie – jęknąłem. Nie chciałem słyszeć krzyku. – Proszę. Proszę.

– Udało mu się. – Amanda roześmiała się po chwili i trzepnęła mnie mocno w ramię. – Udało się temu pierdolonemu, małemu świrowi.

Pnącza, które Ormund ściągnął z drzew wokół samochodu Jake'a, nie uschły. Jak wszystkie rośliny dżungli były zbyt odporne, za silne. Ich mechate paluszki przyssały się do okien i drzwi, liście nadal się rozwijały na szybach i wokół dźwigni zmiany biegów. Gdybyśmy nie znaleźli tego wozu, dżungla z czasem całkowicie by go pochłoneła, otoczyłaby mackami okna i drzwi i wciągnęła tak, jak ośmiornica wciąga wyrywającego się kraba w bezzębne usta. Zerwaliśmy pnącza, odrzuciliśmy liście palm, których ostre jak brzytwa brzegi podrapały nam dłonie. W środku było ciemno. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy i pstryknąłem włącznikiem światła pod dachem.

Światła nie było. Akumulator się wyczerpał. Czuć było pleśń i dania na wynos. Tylna kanapa pokryta była pustymi torbami z fast foodów, zmiętymi, rzuconymi za ramię przez kierowcę. Przypomniałem sobie, co mówiła Stella, że Jake był nałogowcem. Stare kwity zakładów z wyścigów chartów. Wstydlive przyjemności. Tajemnice, których nie chciał przynosić do domu.

W stacyjce nie było kluczyków. Amanda pojawiła się po nieoświetlonej stronie, przy drzwiach pasażera, otworzyła je, zaczęła szukać w schowku. Koniuszkami palców rozsuwała papiery, żeby nie zostawić odcisków palców.

– A więc w to miejsce zwabił go Ormund – powiedziała. – Może przedstawił mu swoją teorię na temat jego książek. O ukrytej w nich tajemnicy końca świata. Może

Jake nie zgodził się, powiedział, że to bzdury. Że książki to po prostu książki. Ormund zabił go i wrzucił do strumienia. Przywłókł się jakiś tłusty krokodyl i usunął zwłoki.

– Bo ja wiem – westchnąłem, szperając w papierkach od lizaków w środkowej konsoli. – Zwabił go, ale jak? Nie było maili. Nie było esemesów. Nie było telefonów.

Wyszedłem z samochodu, obszedłem go, zrywając pnącza. Szukałem dziury po kuli albo smugi krwi, czegoś, co wskazywałoby, że odbyła się tutaj walka między tymi dwoma i Jake zajął drugie miejsce. Przykucnąłem, żeby poszukać lśniącej łuski. Nie było niczego. Nie było połamanych gałęzi, nie licząc tych, którymi przykryto samochód. Nie było poprzewracanych kamieni ze śladami krwi. Nie było zdeptanej trzciny.

– Co to jest? – zapytała Amanda.

Opierała się o fotel pasażera, trzymała plik papierów. Kartki były suche i popękane, zmięte, bo złożono je w plik. Zostały wsunięte z boku pod fotel. Rozłożyła je na centralnej konsoli.

– Listy od fana. – Usiadłem na fotelu pasażera i przejrzałem papiery. – Te są nowe. Jeszcze ich nie widziałem.

– Nie było ich w zbiorze, w domu?

– Nie. – Szybko przeleciałem tekst wzrokiem. – Nie. Te są inne.

Zacząłem mieć złe przeczucia, kiedy przyglądałem się treści. Listy były coraz dłuższe:

Wpadłem w obsesję na twoim tle.

Nie jestem w stanie powiedzieć, jaki jestem z ciebie dumny.

Jesteśmy tacy sami. Gdybyś tylko wiedział. Byłbyś zadowolony, że w końcu mnie znalazłeś.

– Patrz. – Pokazałem je Amandzie. – Nie przyszły pocztą. To są maile. Wydrukowane maile.

Włoski na karku zjeżyły mi się. Drżałem, patrząc na te słowa:

To musi być wspaniałe, stać się bogiem.

Pewnie myślisz, że jestem świrem.

A gdybym zagroził ludziom, których kochasz, Jake?

Co trzeba zrobić, żeby zyskać Twoje zainteresowanie?

– Dlaczego Cary nie zwrócił nam na to uwagi? – Amanda patrzyła na jedną z ostatnich stron. – Kompletny odlot.

– To nie jest zwykły adres poczty elektronicznej Jake’a. – Pokazałem nagłówek.

– To musi być stary adres. Stary adres mailowy ze starej strony sieci, gdzie można znaleźć dostęp do wszystkich wcześniejszych prac Jake’a. To ma sens. Ormund był fanem Jake’a Scully’ego już od dawna, zanim Jake zyskał sławę. Pisał do niego na stary adres. Cary nie mógł o tym wiedzieć.

– Zagorzały wielbiciel – wyszeptała Amanda. Wzrok miała szalony z ekscytacji.

– Zamknijmy sprawę i wezwijmy policję – powiedziałem, zatrzaskując drzwi od strony kierowcy. – Nie będziemy dalej zanieczyszczać dowodów. Powiemy im, co znaleźliśmy, i damy cynk o Smitcie.

– Zabieramy to. – Amanda wepchnęła mi listy w dłoń. – Za bardzo się napracowaliśmy, żeby niebiescy zagarnęli całe uznanie.

29

Drogi Jake'u!

Myślałeś kiedy, jak muszą się czuć Twoje postacie? Bierzesz je i przesuwasz po szachownicy, chociaż tego nie chcą. Są torturowane, porywane, wyrzucane, kiedy kończy się ich użyteczność. Żal ich Ci czasem? Czy chociaż wiesz, jak brutalnie obchodzą się z nimi Twoje palce, jak mocno naciskasz ich szczęki, żeby coś powiedziały, żeby Twoje pacynki coś naplotły? Kiedy zabawiasz się swoją ekipą, Twoim głównym oddziałem faworytów, postacie takie jak ja czekają w kącie, żeby je znaleziono. I czekają, i czekają. Nie poczułem jeszcze Twojego boskiego uścisku na sobie. Myślę o tym bez przerwy.

Wychowywanie postaci musi jakoś przypominać wychowywanie dziecka. Wszystkie te lata starannego formowania. Intencji. Marzeń. Jak to było, kiedy Twój syn, Harrison, przestał być Twoją pacynką i zaczął ruszać się na własną rękę, używać słów, na które nigdy mu nie pozwalałeś? Widziałem, jak wczoraj siedział z nim na podwórku, próbowałeś go dotknąć, zrobiłeś bolesną minę, kiedy się odsunął. Zrobiłeś go, a teraz on jest poza Twoją władzą. Jego los jest już wypisany, chociaż jak szalony tłuczysz w klawiaturę i próbujesz znowu zamknąć go w klatce.

Może to jest początek końca. Straciłeś kontrolę nad jedną z postaci. Może zaczniesz tracić wątek? Czy Bóg chciał, żeby jego syn umarł? A może to był wynik panicznej ucieczki krnąbrnych postaci, które stworzył w Biblii? Co by się stało, gdyby jakiś cierpliwy cień, którego zaczęłeś już ignorować, zadał cios i zmienił reguły gry? A gdybym ukradł jednego z Twoich faworytów?

Wszystkim podoba się dobry zwrot akcji, prawda?

Na mojej ulicy było pełno ludzi. Wóz transmisyjny był zaparkowany na rogu, na

polu trzciny, a faceci od kamer filmowali mężczyznę w garniturze po drugiej stronie szosy, z moim domem w tle. Softboksy rzucały ze stojaków złote światło. Grupka ludzi przyszła po prostu, żeby popatrzeć. Byli neutralni, ramiona mieli założone, a twarze ukryte w cieniu. Pozostali wchodzili w kadr, wychodzili z niego, białe kartonowe plansze, pospiesznie sklecone chwiały się w rytm skandowania tych, którzy je trzymali. Zatrzymałem samochód w ciemnościach na końcu ulicy, przeczytałem napisy, wysłuchałem haseł niesionych przez wiatr:

SPRAWIEDLIWOŚCI DLA CLAIRE.

CHROŃMY NASZE DZIECI.

PRECZ Z TEDEM, PRECZ.

Ścisnąłem kierownicę, przyglądałem się im. Nie będą tutaj przecież przez całą noc. Aż tak zawziętych ludzi nie ma. Kiedy kamery skończą filmować, przecież tłum się rozproszy. Rozparłem się w fotelu kierowcy i zacząłem pisać esemesy. Ci ludzie nie przerwą mojej pracy. Mogą nie dopuścić mnie do własnego domu, ale nie odbiorą mi mojej jedynej rozrywki – polowania na Ormunda Smitta, nieodpartego pragnienia złożenia tego, co stało się z Jakiem w elegancką paczkę prawdy. Były rzeczy, których mogłem się trzymać. Jedną z nich był Jake. Mogłem udawać, że rozwiązanie jego sprawy rozwiąże moją. Nie raz w moim życiu wchodziłem w całkiem solidne urojenia. Tym razem nie będzie inaczej.

Zadzwoiłem do ziewającego, rozłoszczonego Cary'ego i powiedziałem, żeby dał mi dostęp do starego konta Jake'a, którego używał, kiedy był młodym pisarzem z wielkimi nadziejami i małym uznaniem. Cary'emu nie zaimponowało, że odnaleźliśmy samochód Jake'a. Chyba wiedział, że Jake nie żyje. Wszyscy wiedzieli. A okoliczności śmierci nie miały dla niego znaczenia. Jake'a nie było. Niech inni sprawdzą, jaką śmiercią zginął.

– To adres, który ma dziesięć lat – powiedział. W tle słychać było brzęczenie garnków i rondli. – Policja już go przeglądała. Tam nie ma niczego interesującego.

– Mylisz się – powiedziałem. – Nie mogę za dużo powiedzieć, bo policja zapewne chciałaby zachować w tajemnicy fakt, że znaleźliśmy samochód Jake'a. Ale mamy powód, żeby sądzić, że stary adres mailowy był nadal aktywny.

– To jakiś fan, prawda? – Cary chyba się ożywił. – Mój Boże. Któryś z czytelników?

– Dziękuję za szczegóły hasła – powiedziałem. – Więcej nie mogę powiedzieć.

Otworzyłem konto Jake'a i przejrzałem maile. W skrzynce przychodzących ostatnie listy były tylko od Ormunda. Przewinąłem ostatni, ten w którym była mowa o Harrisonie i Jake'u siedzących na podwórku ich domu, gdzie starszy z nich próbował przemówić do rozsądku krnąbrnemu chłopcu:

„Zrobiłeś go, a teraz on jest poza Twoją władzą”.

Ktoś przeszedł w ciemności obok drzwi samochodu. Drgnąłem. Skuliłem się, przycisnąłem telefon do piersi. Nagle zrobiło się znacznie ciemniej, niż było, kiedy przyjechałem. Kiedy nieznajomy odszedł, znów obudziłem stuknięciem ekranik.

W folderze „usunięte” był tylko jeden mail. Otworzyłem go i przeczytałem nagłówek:

W sprawie: Twoje pytanie na temat Sugarbell Ranch.

Kolejny przechodzień w ciemności. Tu nie byłem bezpieczny. Ukryłem samochód w dżungli i przeszedłem przez krzaki do mangrowców. Macając drogę w ciemności, starałem się nie myśleć o krokodylach. Pajęczyny oplatały mi dłonie, a palmy smagały po ramionach, gdy przedzierałem się do tylnej furtki. Kiedy wyszedłem na podwórko, z boku domu pojawiła się policjantka, Sweeney, jedna z dwóch z patrolu, który poprzedniego wieczoru chronił mój dom. Buty miałem pełne błotnistej wody, a dół dżinsów był przemoczony.

– Och – powiedziała. – To pan.

Podszedłem do kranu obok werandy, zdjąłem buty i wylałem śmierdzący muł, wsadziłem stopy pod strumień wody i spłukałem brud spomiędzy palców.

– Znowu byłyście całą noc? – zapytałem.

– Ktoś będzie strzegł domu, aż to wszystko się skończy – powiedziała, patrząc, jak spłukuję mankiety dżinsów. – Według rozkładu dyżurów ochrona ma potrwać dwanaście dni. Jeśli nadal będzie pan prześladowany, szef może to przedłużyć.

Z miejsca, w którym staliśmy, słyszałem skandowanie. Słuchaliśmy, niezręcznie spoglądając na siebie:

„Chrońmy nasze dzieci!”

„Nie czekajcie, aż będzie za późno!”

– Dzieci nie rymuje się z późno – powiedziałem. Sweeney popatrzyła na mnie, jakbym oszalał. Nagle zaczęło mi brakować Amandy. Doceniłaby mój szacunek dla rymowanek i niełatwą próbę wprowadzenia wesołego nastroju w sytuacji, którą większość uznałaby za nie do wytrzymania. W obecności Amandy nic nie było

nazbyt dziwne lub kłopotliwe. Policjantka odeszła.

Przeszedłem do sypialni, usiadłem przy szczelinie w oknie i zacząłem słuchać informacji. Mężczyzna w garniturze stał na trawie obok tłumy, w rękę trzymał mikrofon. Odtwarzał nagrane wcześniej kawałki dla Dzisiaj wieczorem. Nagrał dłuższe wypowiedzi mieszkańców, parę wstępów, które wydawcy będą mogli wybrać sobie później, kiedy zmontują materiał.

– Miasto jest przerażone – powiedział, podnosząc i opuszczając gwałtownie brodę, żeby złapać światło. – To spokojna, tropikalna wspólnota Crimson Lake, gdzie jedynym zagrożeniem dla młodzieży są zazwyczaj parne letnie upały. Rodziny czują się tutaj bezpiecznie, a przyjacielsko nastawieni miejscowi farmerzy zawsze chętni byli do pomocy. Cóż, to już się skończyło.

Kamery zjechały niżej. Kobieta w garsonce wystąpiła z cienia.

– Dobry greps, Mike. – Wyjęła mu z ręki kartkę, zastąpiła ją następną i wyszła z zasięgu kamer. – Jedziemy dalej na trzy, dwa...

– W cichym miasteczku Crimson Lake czai się strach – powiedział facet w garniturze, wystawiając kwadratową szczękę. – Ta mała tropikalna społeczność, gdzie jedynym zagrożeniem dla młodzieży są zazwyczaj...

Nie mogłem już tego słuchać. Przypomniałem sobie, że na tylnej werandzie mam dwie butelki Wild Turkey. Próbowałem się ululać fałszywym poczuciem spokoju, kiedy przeglądałem maile, które z Amandą znaleźliśmy w samochodzie Jake'a. Jednak kiedy wróciłem do holu i spojrzałem w stronę drzwi od frontu, zauważyłem światło.

Drzwi były uchylone. Przeraziłem się. Podeszedłem do drzwi i gwałtownie je otworzyłem. Spojrzałem na policjantki, które stały na skraju werandy. Usłyszały skrzypienie i odwróciły się.

– Wchodzącyście? – zapytałem.

– Co?

– Drzwi były uchylone – powiedziałem. – Czy dzisiaj ktoś tu wchodził? Przez ten czas, kiedy mnie nie było?

– Nie. Niech pan wraca, panie Conkaffey, zanim ludzie pana zobaczą.

Zamknąłem drzwi, byłem coraz bardziej przerażony. Pamiętałem, że zamknąłem drzwi na klucz, kiedy rano wychodziłem, żeby śledzić Ormunda Smitta. Poszedłem do sypialni i policzyłem nieliczne przedmioty, które tam były – laptop, pudła

z papierami. Poszedłem do kuchni i wziąłem telefon z ławy. Było wszystko, tak jak kiedy wychodziłem. Ale dreszcze w ramionach mówiły mi, że coś nie jest w porządku. Telefon zawibrował mi w ręce. Tak się przestraszyłem, że upuściłem go na linoleum.

– Halo?

– Ted, tu Francine.

Poczułem zawroty głowy. Wszystko było nie tak. Nie rozmawiałem z Małą Frankie od czasu przesłuchania przed moim aresztowaniem, odkąd wyszła z pokoju przesłuchań, odkąd usłyszałem, jak płacze w gabinecie i błaga kolegów, żeby powiedzieli, że to nieprawda.

– Cześć – powiedziałem, próbowałem coś wymyślić, żeby wypełnić koszmarną ciszę. – Cześć.

– Ja, hm... – Frankie westchnęła.

– Czy to Kelly prosiła, żebyś zadzwoniła do mnie?

– Nie, dlaczego miałyby mnie prosić?

– Och, *60 minut* znów ją prześladowuje, to wszystko.

– Nie, ja, hm, dzwonię właściwie dlatego, bo zastanawiam się, czy znasz dwóch facetów. – Zaszleściła papierami. – L. Damforda i S. Hencha?

Chwyciłem krzesło przy kuchennym stole, opadłem na nie.

– Dlaczego pytasz?

– Są z twoich okolic. Kilka razy składali wniosek o nakaz przeszukania twojego domu. Odrzucano go, ale ciągle przychodzili. Zastanawiam się, czy, hm... – umilkła. Trzymałem telefon przy uchu. – Czy polują na ciebie. Przy tych wszystkich newsach i w ogóle. Rozumiesz?

– Tak – powiedziałem. – Ci faceci polują na mnie. Chodzi im nie tylko o moją sprawę. To coś głębszego. – Oni... Mam partnerkę. Nie chcą, żebym z nią pracował.

Przez rozpościerające się między nami kilometry słuchaliśmy swoich oddechów, nic nie mówiliśmy. Na dworze skandowanie się zmieniło. Nie rozróżniałem słów.

– Nie wiem, czy powinnam cię ostrzec – powiedziała.

– Dziękuję ci – odparłem. Myślałem o wszystkich rozmowach, które przeprowadziłem z nią w głowie po aresztowaniu. O bezsennych nocach w więzieniu, kiedy próbowałem ją przekonać, że jestem niewinny. Że jest mi

przykro. Że za nią tęsknię. Tęskniłem za nimi wszystkimi – za twardymi gliniarzami, których nazywałem braćmi i siostrami, za zmęczonymi twarzami, które mijalem, kiedy przychodziłem na swoją zmianę, za pijanymi chamami, z którymi świętowałem Boże Narodzenie w komisariacie.

Zanim zdołałem powiedzieć którąś z tych rzeczy, Frankie rozłączyła się.

Panika. Tak piekąca i realna jak upał, który mnie przenikał, sięgał gardła, pulsował w uszach. Odłożyłem telefon na kuchennym stole i poszedłem do pokoju od frontu. Wywaliłem rzeczy z pudła na podłogę. Podniosłem książki w miękkich okładkach i przekartkowałem je. Odsunąłem na bok ubrania. Kiedy nic nie znalazłem, przeszedłem do sypialni, zdarłem prześcieradła z łóżka, ukucnąłem i podniosłem materac, oparłem go o ścianę, przebiegłem go ręką od tyłu, szukając rozcięć albo dziur.

Damfordowi i Henchowi potrzebny był oficjalny powód, żeby przyjść do mnie do domu. Potrzebna im była zgoda. Kawałek papieru, żeby nim pomachać. Wcześniej nie przejmowali się tym. Przychodzili do mnie z własną zgodą.

Pomyślałem, że może być tylko jeden powód, że ubiegali się o zgodę. Wiedzieli, że coś u mnie znajdą.

Kiedy zauważyłem, że w drzwiach sypialni stoi Fabiana Grisham, prawie nie zwróciłem na nią uwagi. To nie ona była teraz groźna.

– Drzwi od frontu były otwarte. Co ty do diabła robisz?

– Będzie przeszukanie – powiedziałem. Wyrwałem szufladę z kredensu i wyrzuciłem jej zawartość na łóżko. – Coś podrzucili.

Zamilkła, patrzyła na mnie. Dotarło do mnie, że nie była zbyt starannie ubrana, że wrzuciła na siebie miękką, białą, bawełnianą sukienkę, żeby uporać się z upałem, a długie włosy upięła w kucyk, wysoko, z dala od spoconej szyi. Widziałem też, że patrzy ze zdumieniem, ale nie byłem w stanie skupić na niej wzroku. Moje oczy krążyły gorączkowo po pokoju, potem po przylegającej do niego łazience. Wbiegłem do niej, otworzyłem szafki toaletowe, przebiegłem dłońmi pod umywalką, gdyby coś pod nią przykleili.

– Ted – powiedziała. Nagle stanęła blisko mnie, położyła mi ręce na ramionach.

– Ted, panikujesz. Zaczynasz wariować.

Odepchnąłem ją i schyliłem się pod toaletą, przebiegłem rękami od tyłu po

zakurzonej cysternie. Szukaj wszędzie, pomyślałem. Szukaj u góry. Wróciłem do sypialni, zaciągnąłem materac z powrotem na łóżko i stanąłem na nim. Przejechałem dłońmi po łopatach górnej części wentylatora sufitowego. Wiedziałem po latach spędzonych w wydziale antynarkotykowym, jak twórczy potrafią być ludzie, kiedy chcą schować coś ważnego. Dilerzy odrywali listwy przypodłogowe, przyklepiali rzeczy pod krzesłami, wszywali je w boki materaców. Możliwości były nieskończone. Przypomniałem sobie, że muszę sprawdzić kieszenie w moich ubraniach. Buty. Zajrzeć do rur za pralką.

Fabiana stała w drzwiach łazienki i przyglądała mi się.

Nie wybaczyłem jej. Ale pomoc wroga podczas kryzysu jest lepsza niż brak jakiegokolwiek pomocy.

– Możesz się na mnie gapić albo możesz pomóc – powiedziałem.

Przez chwilę zastanawiała się, potem poszła do kuchni. Słyszałem, jak przesuwa rzeczy pod zlewem. Wkrótce do niej dołączyłem. Podnosiłem i przesuwałem z jednej strony półek na drugą całą zawartość spiżarni. Stanąłem na krześle i sprawdziłem wentylatory pod sufitem, potem wyszedłem na werandę i rozmontowałem trzciniową leżankę.

W górnej szufladzie komody natrafiłem na pistolet. Trzymałem go przez kilka sekund, czułem, że coś ciągnie mnie do tyłu, że kusi mnie cisza. Guzik awaryjny. Tak łatwo byłoby wydostać się z tej pułapki.

Okolo północy skończyłem poszukiwania za pomocą latarki pod werandą. Stanąłem na ciemnym podwórku, stukąłem się latarką w dłoń, próbowałem myśleć. Fabiana zeszła ze schodów, przyniosła dwa kieliszki wina, w świetle z kuchni jej smukłe ciało zarysowywało się pod bawełnianą sukienką. Byłem brudny, pokryty potem. Kiedy szła w moją stronę, ropuchy uciekały po mokrym trawniku. Staliśmy bosi, patrzyliśmy na zalaną światłem księżycą wodę między drzewami.

– W Internecie jest grupa, która nosi nazwę Niewinny Ted – powiedziała cicho.

– Powstała po nowym nagraniu. Próbuje wydobyć pisemne zeznanie od Trevora Fullera, żeby opublikować je na blogu. Chcą też sprawdzić, czy uda im się dotrzeć do namiarów masztów telefonii komórkowej na tym obszarze. Chcą sprawdzić, kto tam jeszcze był.

– Co to za ludzie? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu ludzie. Nieznajomi, którzy ci wierzą.

Patrzyłem na wodę, wiedziałem, że Fabiana przygląda mi się. Chciała, żebym powiedział, że jej przebaczam. Ale nie przebaczyłem. Właśnie teraz nie miałem w sobie przebaczenia. Była tylko panika. Tylko gwałtowny napływ wizji tego, co może nadejść. Przeszukują. Znajdują. Aresztują. Zamykają w celi.

Tam gdzie zacząłem. Znow za kratą.

Fabiana wyciągnęła rękę, chwyciła mnie za dłoń, uścisnęła. Popatrzyłem na jej dłoń, nie byłem pewien, czy chcę spojrzeć jej w oczy. Aż do tej pory nie docierało to do mnie, ale skandowanie przed domem ustało. Od czasu do czasu słyszałem cichy śmiech policjantek, ale to były jedyne ludzkie głosy, które do mnie docierały. Fabiana i ja wyglądaliśmy na dwoje normalnych ludzi, którzy stoją na własnym podwórku i cieszą się gorącym nocą. Po raz pierwszy, odkąd mnie wypuszczono, znalazłem się tak blisko normalności.

Panika ustąpiła, zaczęły się marzenia. Odpowiedź brzmiała tak. Zapomnij o wszystkim. Daj spokój temu, co zrobiła Fabiana. Zapomnij o ludziach na drodze. Zapomnij o niezaprzeczalnej prawdzie, że wszystko zmierza ku końcowi i chwyc się rozpaczliwie iluzji. Byłem spokojnym pasażerem, piłem szkocką w barze statku wycieczkowego, chociaż pokład nachylał się pode mną, a zimna woda sięgała mi kostek.

– Ted, nie jesteś sam – powiedziała Fabiana.

Puściłem jej dłoń, uniosłem rękę i dotknąłem jej miękkiego policzka.

Udawałem, że jestem kimś innym. Pocałowałem ją.

30

Sierżant Leighton: Mówi sierżant Anthony Leighton z Policji Wiejskiej Crimson Lake, odznaka numer 477177. Obok mnie siedzi sierżant Veronica Prince, a przesłuchanie dotyczy zabójstwa Lauren Jessiki Freeman, lat siedemnaście z Crimson Lake. Jest dziewiąta czterdzieści dziewięć rano, jedenastego stycznia 2006 roku. Sierżant Prince, proszę potwierdzić swoją obecność.

Sierżant Prince: Veronica Prince, odznaka numer 481911.

Sierżant Leighton: Amando proszę podać do protokołu nazwisko, adres i datę urodzenia.

Pharrell: Hm. Jestem Amanda Joy Pharrell. Wtorek, pierwszy grudnia 1988 roku to dzień moich narodzin.

Sierżant Leighton: Twój adres?

Pharrell: 14 Possum Place, Crimson Lake. Biały dom.

Sierżant Leighton: Amando to nasze drugie przesłuchanie. Na koniec pierwszego zaczęliśmy rozmawiać o twoich związkach z ofiarą, Lauren Freeman.

Pharrell: Tak.

Sierżant Leighton: Chciałem do tego wrócić i dowiedzieć się, dlaczego przyjęłaś propozycję podwózki przez Lauren w ostatni wtorek wieczorem. To był ten wieczór, kiedy Lauren została zabita. Mogłabyś mi powiedzieć, czy byłyście z Lauren przyjaciółkami?

Pharrell: Czy byłyśmy przyjaciółkami?

Sierżant Leighton: Tak.

Pharrell: Hm. Nie. Nie bardzo. Nie chodzi o to, że nie byłyśmy przyjaciółkami. Nie mam wielu przyjaciół. Ja...

Sierżant Leighton: Może zastanowisz się, dlaczego przyjęłaś propozycję podwózki. Dlaczego razem pojechałyście na party.

Pharrell: Hm, powiedziała, że tam jest party. W Kissing Point. Mnie tam nie zawadza chodzić na party i w ogóle. Na niektórych nie pytają ludzi, bo nie ma zaproszeń i w ogóle...

Sierżant Leighton: Amando...

Pharrell: To znaczy, że to frajerstwo robić teraz zaproszenia na różne imprezy. Chyba tylko dzieci robią zaproszenia. Nigdy nie byłam na party. Bo ja wiem. Skąd mam wiedzieć, co jest w porządku.

Sierżant Leighton: Ale czy Lauren poprosiła cię, żebyś pojechała z nią na party? Czy powiedziała coś takiego: „Hej, pojedziesz ze mną dzisiaj wieczorem?” Że pojedziecie razem?

Pharrell: Hm, nie, to nie było jej party.

Sierżant Prince: Słuchaj, Amando, przede wszystkim chcielibyśmy dowiedzieć się, dlaczego Lauren poprosiła cię, żebyś z nią pojechała. Ludzie nam mówili i ty nam mówisz, że nie byłyście przyjaciółkami.

Pharrell: Kiedyś rzuciła we mnie ołówkiem.

Sierżant Leighton: Słucham?

Pharrell: W szkole podstawowej. Chyba w piątej klasie. Obie byłyśmy u pani Grace. Lauren rzuciła we mnie ołówkiem. To znaczy, wszyscy rzucali we mnie ołówkami i ona do nich dołączyła, ale gdybyście ją teraz zapytali, to pewnie nie pamiętałaby tego. Gdyby żyła.

Sierżant Leighton: Dlatego to zrobiłaś?

Pharrell: Co zrobiłam?

Sierżant Leighton: Amando, dlatego ją zasztyletowałaś? Pytam, czy dlatego ją zasztyletowałaś, bo były sprawy z przeszłości, takie jak rzucanie w ciebie ołówkiem w piątej klasie, które cię rozgniewały. Czy dlatego ją zasztyletowałaś?

Pharrell: (niezrozumiale)

Sierżant Leighton: Amando, gdybyśmy zrozumieli, o co poszło, wszystkim byłoby znacznie łatwiej. Rodzinie Lauren. Chodzi o to, że mógł być powód, dla którego to zrobiłaś. Mogło być coś...

Pharrell: Kiedy będę mogła pójść do domu? Jestem taka zmęczona. Naprawdę chciałabym zaraz pójść do domu.

Sierżant Leighton: Czy jest ktoś jeszcze, kto mógłby rozumieć i lepiej wytłumaczyć związek między tobą a Lauren? Czy kiedykolwiek mówiłaś komuś,

co sądzisz o Lauren?

Sierżant Prince: Amando, można kogoś nienawidzić. Każdy kogoś nienawidzi. Nienawidziłaś Lauren? Może Lauren zabrała cię na party, żeby w ten sposób przeprosić cię za coś, co zrobiła?

Pharrell: Jestem przekonana, że to była miła dziewczyna.

Sierżant Leighton: (niezrozumiale)

Sierżant Prince: Tony, muszę zrobić sobie przerwę. To dla mnie bardzo trudne.

Sierżant Leighton: Przesłuchanie zakończono o...

Pharrell: Jej rodzina pewnie bardzo za nią tęskni.

Sierżant Leighton: Przesłuchanie zakończono o dziesiątej jedenastej, jedenastego stycznia 2006 roku.

Obudził nas trzask o deski na oknach frontowych. Ktoś pewnie rzucił kawałek cegły. Na dworze słychać było mnóstwo głosów, przebijał się przez nie wrzask policjantów, którzy nas chronili.

– Hej! Koleś, jak jeszcze raz to zrobisz, spiszę cię!

Fabiana leżała zwinięta na boku, plecami do mnie. Przewróciła się i schowała twarz w moim ramieniu. Leżałem, patrząc w sufit, ledwie pamiętałem, co robiliśmy. Uciekłem, schowałem się w sobie, pozwoliłem innemu Tedowi, który nie był Tedem, żeby wyszedł i przejął mój mózg. Miałem wrażenie, że już to robiłem, że w środku był inny ja, który potrafił sobie lepiej dawać radę z trudnymi przeżyciami i ze strachem. Może w ten sposób dawałem sobie radę ze swoim zawodem przez wszystkie te lata, z martwymi niemowlakami w narkotycznych melinach i z żonami dilerów z poderżniętymi gardłami na brudnych materacach. Tego Drugiego Teda nic to nie obchodziło. Był zwyczajnym facetem. Facetem bez problemów. Facetem, któremu nic nie groziło. Facetem niezwykłym.

Drugi Ted, kimkolwiek był, już sobie poszedł i przeszył mnie cały ból, odczuwany przez zwyczajnego ja. Fabiana obejmowała mnie. Ale jej nie powiedziałem. Nie zapomniałem, co zrobiła. Obudziłem się do końca, usiadłem i podrapałem się po głowie.

Fabiana postanowiła spać dalej, przyłgnęła do mnie jak kotwica do lądu snów, ramieniem obejmowała mnie w pasie, nogi splotła z moimi nogami.

– Zawzięty motłoch. – Westchnęła, kiedy jej starania spełzły na niczym.

– Nie sądzę, żeby zebrała się połowa tego, gdyby nie było *Dzisiaj wieczorem* – powiedziałem. – Rozwścieczony tłum uwielbia takie przedstawienia. Kawy?

– Chyba będzie mi potrzebna – powiedziała.

Poczłapałem do kuchni. Zatrzymałem się, żeby obejrzeć podwórko. Trochę się spodziewałem, że samozwańczy stróże prawa coś mogli zniszczyć. Zamknąłem tylną furtkę na łańcuch, ale wyglądała, jakby ktoś próbował ją wyważyć. Druciany płot wygięty był od góry podczas próby sforsowania go. Pewnie policjanci przegonili tych ludzi.

Zdjąłem kawę z półki i postawiłem dwa kubki na blacie. Byłem wykończony. Wpadłem w Fabianę i jej atrakcyjność, jak w ostatni okop chroniący mnie przed realnością. Teraz urok prysł. Chciałem na nią krzyczeć, że tym przeklętym wideo rzuciła mnie psom na pożarcie. Obrazy z poprzedniego wieczoru napierały na mnie. Pomyślałem, że ją lubię. Ale naprawdę, to nie lubiłem tego, co mi zrobiła.

Jak jej powiedzieć, że już jej nie chcę widzieć, ale nie chcę, żeby sobie poszła?

Kiedy Fabiana weszła do kuchni, zamarłem. Patrzyłem na suchą, brązową zmieloną kawę w otwartym słoiku.

– Z tobą w porządku?

Z kawy wystawał maleńki plastikowy trójkącik, przezroczysta góra wznosząca się nad czekoladowymi głazami. Sięgnąłem po nią, ostrożnie pociągnąłem kciukiem i palcem wskazującym. Mielona kawa przemieściła się, opadła, ustąpiła. Znów pociągnąłem i z słoika zaczęła się wynurzać torebka.

– O mój Boże – powiedziałem. Fabiana stanęła obok mnie.

Zdjęcia w zapinanej na ekspres torebce były zwinięte, żeby mogły zmieścić się w słoiku. Włożyłem słoik do zlewu i wyciągnąłem torebkę. Rozprostowałem zdjęcia na blacie. Był ich cały stos, dziesięć czy dwanaście polaroidów. Nie musiałem dokładnie im się przyglądać, żeby wiedzieć, co przedstawiały.

– O mój Boże. – Fabiana wyrwała mi torebkę i podniosła na wysokość nosa. – Jezu. Jezu!

Rozległo się walenie do drzwi frontowych. Rozpoznałem głos HENCH na tle głosów tłumu. Patrzyłem, zdrętwiały ze strachu, jak Fabiana chowa torebkę ze zdjęciami w majtki, obciąga T-shirt, który ode mnie pożyczyła, tak żeby sięgał jej do bioder.

Damford i HENCH nie czekali, aż im otworzę. Urządzili przedstawienie dla tłumu

i kopnięciem sforsowali drzwi. Przed domem rozległy się wiwaty. Obaj policjanci weszli i zobaczyli scenę rozgrywającą się przed nimi.

Mielona kawa rozsypana w zlewie. Fabiana przy mnie z potarganymi włosami nerwowo trzyma się za dekolt T-shirta. Nie tego się spodziewali. Hench wyjął pałkę zza pasa.

– Ręce do góry Conkaffey. Mamy nakaz przeszukania domu.

Dźgnął mnie w brzuch. Niezbyt mocno. Nie tak, jak przy innych okazjach. Nie wiedzieli, co myśleć o Fabianie. Była zbyt czysta, zbyt piękna jak na prostytutkę, którą mógłbym przywieźć z Cairns. Ale jaka kobieta przy zdrowych zmysłach, chciałaby teraz mieć ze mną cokolwiek wspólnego? Jak to jest, do diabła, że zabawiam się z kobietą, kiedy pod drzwiami stoi tłum, który chce mnie zlinczować?

– Przeszukajcie dom – powiedziałem. – Niczego nie znajdziecie.

– Nie teraz. – Hench popatrzył z niesmakiem na zlew. Wsunął palec za gumkę moich bokserów i strzelił nią elastycznie. – Wygląda na to, że przyszliśmy parę sekund za późno, co Ted? Zdejmuj koszulę. Oprzyj ręce o zlew.

– Czy nakaz obejmuje przeszukanie osobiste? – pisnęła Fabiana. Podeszła do kuchennego stołu i usiadła. Skrzywiłem się, myślałem, że zapinany na ekspres plastik głośno zgniecie się w jej majtkach. Ale nic nie było słychać. – Na pewno nie. Na pewno chodzi w nim tylko o zabudowania.

Odwrócili się w jej stronę jak psy.

– Jak się pani nazywa?

– Nie muszę wam mówić.

– Hę – kpiąco powiedział Damford. – Typowy dla kryminalistów chłam. Wiesz, kto to jest ten facet? To Ted Conkaffey, kotku. Słyszałaś to nazwisko?

– Słyszałam.

– Więc wiesz, że twój chłopak zazwyczaj lubi, żeby były znacznie młodsze od ciebie. Jakies dwadzieścia lat młodsze. To dla ciebie nie problem?

– Moglibyście po prostu zrobić, co do was należy i pójść? – Odsunąłem się od Hencha, poza zasięg jego pałki. Przewrócił karton z mlekiem tak, że spadł na podłogę i jego zawartość wylała się pod lodówkę.

– Ojej.

Damford patrzył na Fabianę, próbował zgadnąć, czy ukrywa zdjęcia. Było jasne,

że znaleźliśmy je w ostatniej chwili, zaledwie sekundy przed najściem. Miałem je albo ja, albo ona. Hench, dla próby, idąc w stronę kredensu, trącił mnie biodrem. Sprawdzał, czy torebka nie zachrząści mi w pasie albo w kroczu. Otworzył kredens, rozejrzał się. Otworzył szuflady i z brzękiem przegarniał sztućce.

– Niczego nie znajdziecie – powtórzyłem powoli. Uchwyciłem spojrzenie grubego policjanta. – Wierzcie mi.

Damford i Hench, wychodząc, przewrócili jeszcze parę rzeczy, zatrzymali się i przez drzwi popatrzyli na moją sypialnię. Ale wiedzieli, że tym razem, po raz pierwszy wygrałem. Kiedy zamknąłem za nimi drzwi, dał o sobie znać odruch wymiotny. Wróciłem do kuchni, gdzie Fabiana położyła zdjęcia na kuchennym stole. Jej rola jako mojej zbawczyni już się skończyła.

Otworzyłem torebkę i ostrożnie wyjąłem sześć zdjęć. Były wygięte, bo ukryto je w słoiku. Pozy były takie same, ale dziewczyny różne. Leżały na plecach, na różnych powierzchniach. Dwie na łóżku, jedna na dywanie jakiejś zagraconej sypialni, jedna na tylnej kanapie samochodu. Każda miała uniesione ramię, przesłaniające oczy z łokciem wystającym do góry. W ten sposób chroniły swoją tożsamość. Były nagie, ich guzowate kolana nastolatek rozłożone były na boki, a mlecznobiałe ciała były mocno rozciągnięte. Groteskowo rozłożone w świetle flesza.

Fabianę zastałem w sypialni, patrzyła sobie na ręce. Spojrzała na mnie tak, jak patrzy kobieta, która nie wie, czy właściwie postąpiła.

Siedziałem w samochodzie przed kawiarnią Starfish, przekładając rękami listy fana Jake'a Scully'ego. Ledwie mogłem się na nich skupić. Do tej pory zostawiałem pistolet w domu, ale dziennikarze i samozwańczy stróże prawa działali mi na nerwy, więc zacząłem go nosić z tyłu dzinsów. Burza jakby niosła z sobą całą straszną energię obu spraw, Amandy i mojej. Nadchodziła trudna prawda. W radiu, co pół godziny, w skrócie wiadomości powtarzano, że policja znalazła samochód Jake'a i poddaje go badaniom kryminalistycznym. Wspomnieli Smitta, mówiąc, że policja chce przesłuchać młodego człowieka w związku ze zniknięciem słynnego pisarza. Prezenter radiowy nieustannie kierował ludzi na stronę sieci Crime Stoppers, gdzie przedstawiono zdjęcie Smitta. Jego matka już zdążyła pójść na policję. Nie wiedziała, gdzie jest jej syn. Nie wiedziała nic

o sprawie.

Nie miałem wątpliwości, że listy do Jake'a napisał Smitt. Była w nich jego przyrodzona arogancja, protekcyjna elokwencja. Ledwie skrywana rozpacz, żeby starszy mężczyzna chociaż raz spojrzął mu w oczy. I znajoma uraza, kiedy tego nie zrobił. Zraniona duma ignorowanego dziecka, zawiedzionego, że jego wyjątkowość nie została rozpoznana. Twarz w tłumie, rozpromieniona, wyczekująca.

Patrzyłem na powoli ciemniejące słowa. Kiedy Dynah przysłała do kawiarni z kluczami w ręku, musiałem wydobyć się z tego czarnego, przerażającego światła, który stworzył Smitt, i znów wyjść na światło dnia. Wszechświat Smitta był mroczny i głęboki, wiedziałem, że gdzieś na jego dnie wirowały zwłoki Jake'a Scully'ego. Zwierzę, które go zabrało, było tylko narzędziem. Byłem pewien, że jest dno tego bagna, ale tylko Ormund wiedział, gdzie ono jest i co się na nim czai.

Odłożyłem listy Smitta do Jake'a i wziąłem fotografie ze słoika na kawę z mojej kuchni. Zdezorientowane dziewczynki.

Dynah zatrzymała się, patrzyła, jak wysiadam z samochodu. Kiedy szedłem w jej stronę, na jej ustach pojawił się uśmiech pokonanej. Widać było, że w jej oczach zaczynają gromadzić się łzy.

Wiatr smagał palmy, kiedy wyszedłem z kawiarni, a gdy otworzyłem drzwi samochodu, nadchodząca burza wyszarpnęła mi z ręki klamkę. Popatrzyłem na góry, niebo nad nimi było groźnie ciemnoniebieskie, nad szczytami zaślnęła błyskawica. Tutaj jeszcze nie było deszczu, ale ziemia chyba wiedziała, że nadchodzi, asfalt już parował. Stworzenia w ogródkach za budynkami nawoływały się. Tego popołudnia Dynah nie będzie miała klientów. Będzie stała w ciemnej kuchni, wyglądała, patrzyła, jak z rynien leje się woda.

Przez dłuższy czas siedziałem w samochodzie, patrzyłem na listy leżące obok, zastanawiałem się, czy powinienem odnaleźć teraz Amandę i powiedzieć jej, że wszystko wiem. Miałem pulsujący ból głowy. Zawróciłem wóz i pojechałem w stronę Crimson Lake. W głowie dźwięczały mi słowa Dynah. W myślach mieszały mi się głosy nastolatek, obrazy ciał z rozciągniętymi kończynami, zakryte oczy, przerażone wygięte w podkówkę usta, bo robiono zdjęcia.

Kiedy przyjechałem do małego biura przy Beale Street, dwóch dziennikarzy

stało na drewnianych schodkach i piło kawę z kubków, które rozpoznałem jako kubki Amandy. Zrobiła naszym prześladowcom kawy, ale nie poczuła do nich aż takiej sympatii, żeby zaprosić ich do środka. Cała Amanda: między jednym a drugim logicznym zachowaniem. Obaj dziennikarze spojrzeli na mnie, kiedy zamknąłem samochód i włożyłem zapinaną torebkę ze zdjęciami nagich dziewczyn do tylnej kieszeni dżinsów. Teraz już się nie martwiłem, że mnie z tym złapią. Wkrótce i tak to wyjdzie na jaw. Mężczyźni przy drzwiach przyjrzeni się mojej twarzy, próbowali ocenić, czy odpowiem na ich pytania, zanim jeszcze poszedłem do biura.

– Tylko jeden komentarz – powiedział dziennikarz z prawej strony, wyciągając kubek, jak przyjazną rękę. – Cokolwiek, Ted.

– Bez komentarza – stwierdziłem przepychając się między nimi.

Amanda stała w kuchni z własnym kubkiem kawy, mieszała ją powoli, jej niewidzące oczy utkwily w kręcącym się w kółko czekoladowobrązowym płynie. Przypominała pogodę na dworze, powoli zbierającą się burzę, aż bez sensu zacząłem się zastanawiać, czy wie, czego dowiedziałem się o niej od Dynah. Może jakoś potrafiła usłyszeć głos Dynah w mojej głowie, chaotycznie malujący przerażającą sieć obrazów. Podszedłem do biurka, usiadłem, spojrzałem na ekran komputera z aktywnym blogiem z najnowszymi wiadomościami o poszukiwaniach Ormunda Smitta. Policja przyszła do miejscowego sklepu żelaznego, gdzie był zatrudniony jako kasjer i przesłuchiwała pracowników. Nie było śladu po młodym człowieku. Przesuwałem rzeczy na biurku. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Amanda nadal mieszała w kuchni kawę, oczy jej błyszczały.

– Amando – zacząłem.

– Tak.

– Amando, wiem. Wiem, co się stało. W Kissing Point.

Cisza. Trzymałem plik papieru, tylko po to, żeby mieć się czego trzymać, kiedy będę rozwałkał na kawałki świat mojej partnerki. Wydruki zrzutów z ekranu, ze strony internetowej Ormunda. Maile od Cary'ego. Egzemplarze listów od fana, które znaleźliśmy w samochodzie Jake'a. Waga papieru dodawała mi pewności siebie. Powtórzyłem to, co powiedziałem, ale Amanda nie zareagowała. Mieszanie bezszelestnie nabrało rozpędu. Trzy koty siedziały bez ruchu na podłodze kuchni i patrzyły na swoją panią zaklętą w jakiś ruch. Zastanawiały się, jak przerwać to

zaklęcie.

Miałem tego dosyć. Moją stanowczość diabli wzięli. Miałem zbyt wiele pytań do Amandy i te pytania pulsowały mi w gardle, bolesne i ciężkie, i nie mogłem już ich ignorować. Ale kiedy z ciężkim trach położyłem papiery na biurku, zrozumiałem, na czym polega nasz błąd. Popatrzyłem na stos zadrukowanych stronic. Usłyszałem w głowie echo ich grzechotu, kiedy uderzały w stół. Od tego dźwięku całe moje ciało aż drgnęło.

– O mój Boże – powiedziałem.

Amanda wreszcie ożyła, z tikiem zwróciła głowę w moją stronę.

– Co?

– Musimy iść – powiedziałem i potykając się, podszedłem do regału za biurkiem. Chwyciłem kluczyki ze stołu. – Bierz rower. Natychmiast musimy jechać do domu Scully'ego!

Samochód Stelli Scully był zaparkowany na podjeździe wielkiego domu otulonego dżunglą. Zaparkowałem za nim i patrzyłem na ulicę, w stronę, gdzie Amanda miała wyłonić się spomiędzy ścian trzciny. Patrzyłem, jak błyskawica uderza w żółte równiny. Horyzont był w czarne paski. To, co nadchodziło, miało zalać bagna i podnieść bulgoczące, błotniste wody wokół domów na ich brzegach. Poczułem przypływ wdzięczności dla Valerie Grateur. Wiedziałem, że moje gęsi są bezpieczne w jej mocnym queenslandzkim domu blisko Cairns. Woda na krańcu mojej działki miała podnieść się i nie wiedziałem, co będzie pełzało wokół domu wraz z samozwańczymi stróżami prawa, kiedy wrócę.

Nie mogłem czekać na Amandę. Za dużo wiedziałem, zdałem sobie z tego sprawę, kiedy rzuciłem ciężkie papiery na biurko w jej gabinecie. Ten dźwięk uruchomił to we mnie.

Głuche, ciężkie bum papierów o blat. Ich ciężar. Myślałem o pisarzach i ich słowach, o słowach na stronach głaskanych i trzymanyh przez czytelników, o tym, jak cenne stały się te słowa. Jak dręczyły Ormunda Smitta. Jak krążyły w nim bez końca, aż zrobiły z niego potwora.

Podbiegłem do drzwi od frontu i mocno w nie załomotałem, naciskałem dzwonek, zaglądałem do środka przez szybę. Korytarz był zimny i ciemny. Nikogo nie zobaczyłem. Wróciłem na podjazd i popatrzyłem na balkon Harrisona.

W oknach na piętrze odbijała się nadciągająca burza. Już nie dzwoniłem, wziąłem kamień z ogródka przed domem i cisnąłem nim mocno w szybę przy drzwiach. Roztrzaskane szkło wpadło do środka. System alarmowy zaczął piszczeć. Otworzyłem drzwi i wbiegłem do środka, przebiegając, rąbnąłem dłonią w panel kontrolny, na próżno usiłując wyłączyć hałas.

– Stella?! – krzyknąłem, wbiegając do jadalni. Przebiegłem przez kuchnię, wielką pralnię, wpadłem przez salon do gabinetu, w którym chwyciła mnie dłońmi za klatkę, próbując przyciągnąć do siebie. Twarz miałem rozpaloną. Na poły bolesne upokorzenie, na poły pragnienie, żeby ją teraz odnaleźć, zrobić co, trzeba, i uratować. – Stella!

Znalazłem ją na dywaniku, na podłodze. Leżała zwinięta na boku. Wokół niej rozrzucone były te same talerzyki z herbatnikami i przekąskami, jakby chwila, kiedy we dwoje byliśmy razem, nadal trwała. W zagłębieniu jej ciała leżała pusta butelka po szampanie. Rzuciłem się na kolana, odsunąłem z policzków złote loki, które opadły jej na twarz. Była bardzo ciepła, ale sztywna jak deska. Próbowałem pociągnąć ją za ramię, przewrócić na plecy, ale ona jakby się opierała.

– Z nią w porządku?

Amanda weszła za mną, włosy miała zroszone deszczem, szyję czerwoną od wysiłku. Uklękła i przystawiła palce do szyi Stelli.

– Ona ledwo oddycha – powiedziałem. Odsunąłem butelkę i talerzyki. – Trzeba ją posadzić. Stello? Słyszysz mnie?

Usłyszałem jakiś dźwięk, wyciągnąłem pistolet z dzinsów, odwróciłem się i zobaczyłem Harrisona stojącego w drzwiach. Twarz miał bez wyrazu, patrzył to na mnie, to na matkę, to na Amandę, która nie zwracała na niego uwagi, bo ciągnęła nieprzytomną kobietę za biurko, żeby ją posadzić. Za Harrisonem pojawiła się Zoe, bardziej zainteresowana, jak ostrożny pies, przyłapany na czymś, czego nie powinien robić, niepewny, czy zostanie ukarany. Machnąłem pistoletem w stronę dwojga nastolatków, próbując zagnać ich do pokoju, ale tylko drgnęli, niemal oburzeni, że biorę ich na cel.

– Włazić – powiedziałem. – Oboje.

Harrison wszedł do pokoju. Naciągnął sobie narciarzkę tak głęboko, że obrębką dotykała mu brwi. Dziewczyna została w drzwiach. Widziałem, jak myślą, cichą energią informacji i pytań, przebiegającą między nimi po niewidzialnych liniach.

Nie mogli się zdecydować, zostać czy uciekać. Nogi mieli trochę za szeroko rozstawione.

– Co dostała? – zapytałem. – Harrison, co jej dałeś?

– Rohypnol – odpowiedziała dziewczyna za niego.

– Ile?

– Dwanaście.

Harrison patrzył pod nogi, na swoje czarno-białe buty z rysunkami wokół podeszwy przedstawiającymi nagryzmołone, uśmiechnięte gęby z kłami.

Stałem, trzymałem chłopaka pod pistoletem. Amanda przyglądała mi się z miejsca, w którym klęczała obok Stelli. Palce nadal trzymała na szyi kobiety, wyczuwała bardzo powolny rytm serca pod karmelową skórą.

– To jest Zoe Miller – powiedziałem do Amandy. – Pół roku temu jej matka, Teresa Miller, zginęła w wypadku samochodowym. Tylko że to nie był wypadek samochodowy. Prawda? Kiedy znalazłem was dwoje w nocy, obok mojego domu, mówiliście, że chcieliście pociąć opony.

Ledwie mogłem oddychać. Klatkę miałem napiętą jak bęben.

– Pomyślałem, że to jakieś dziwactwo – powiedziałem. – Harrison, ty po prostu wyrzuciłeś z siebie te słowa: „Chcieliśmy pociąć ci opony”. Dlaczego to powiedziałeś? Bo nie chciałeś, żebym się dowiedział, co naprawdę miałeś zamiar zrobić. Nie chciałeś, żebym wiedział, że chodzi ci o przewód hamulcowy, o to samo, o co chodziło Zoe w samochodzie jej matki. Dlatego przyniosłeś przecinak do drutu. Dlatego nie miałeś noża.

Zoe uśmiechnęła się gorzko. Harrison patrzył na mnie.

Zrobiłem kilka kroków wokół biurka. Nie chciałem wystraszyć dziewczyny z drzwi, ale nie chciałem też stracić chłopaka. Stał przy kijach golfowych, głowę miał opuszczoną, co jakiś czas zerkał na partnerkę, komunikował się z nią.

– Harrison, dlatego nie chciałeś, żebym się dowiedział, jak się nazywa twoja dziewczyna – mówiłem dalej, przyglądając się chłopcu. – Bo jeśli już wiedziałem, że jej matka nie żyje, zacząłbym się zastanawiać, jak to możliwe, żeby dwoje niewinnych dzieci straciło rodziców w odstępie pół roku. Widziałem nazwisko jej matki po całym mieście. Teresa Miller, nieodżałowana. Teresa Miller, przedwcześnie odeszła. Wiedziałeś, że będziemy drążyć i patrzeć na wszystko, i na pewno nie chciałeś, żebyśmy to zobaczyli.

– Ten facet. – Harrison roześmiał się z oburzeniem, pokręcił głową. – Kurwa.

– Niezły plan – powiedziała cicho Amanda. – Matka Zoe ginie w niecodziennym wypadku samochodowym. Tatę Harrisona zabija zwariowany fan. Dwoje rodziców nie żyje. Zostało jeszcze dwoje.

– Pół roku – powiedziałem. – Wystarczy, żeby ludzie nie zobaczyli powiązania. Czekać jeszcze parę lat i wtedy... co? Czyja kolej?

– To miał być mój tato. – Zoe nie potrafiła utrzymać na wodzy dolnej wargi. Jakby chciała krzyknąć. Albo płakać. Pokazała Stellę. – Ale ona... Ona wynajęła was, pierdoleni frajerzy.

Dziewczyna załkała na głos, sześć czy siedem razy. Do ust przytknęła rękawy długiego czarnego T-shirta. Harrison patrzył na mnie spode łba. Zębami przesuwając w górę i w dół ćwiek w dolnej wardze.

– Tamte listy. – Amanda roześmiała się krótko, gniewnie. – One nie były od Ormunda Smitta. One były od ciebie. Wymyśliłeś to gównem i przesłałeś mailem do taty. Żeby dostał paranoi. Groziłeś... groziłeś sobie.

– Zamknij się – warknął Harrison. Pożerała go panika. Widziałem, jak pełźnie po jego skórze, jak czerwienieje mu od niej szyja, jak płonie mu twarz. – Jak do tej pory macie tylko popierdolone teorie. Kto uwierzy jakiemuś pierdolonemu miłośnikowi dzieci i jego dziewczyniomorderczynie, kiedy przyniesiecie im te bzdury?

– To jest w listach – odparłem. – Wszystko jest w listach. Pięknie napisane. Bardzo cwane. Oddałeś doskonale szajbnięte słowa superfana. Do tego, informując Ormunda, gdzie jest samochód twojego taty, wplątałeś go w cały ten bałagan. Oczywiście, wiedziałeś, że pójdzie do samochodu. Zostawi na nim odciski palców i włókna. Bo jakże inaczej? Twój tato był całym życiem Ormunda. Jego celem. Jego tajną misją. Miałeś do wyboru sporo maniaków. Ale wybrałeś miejscowego. Kogoś, kto mógł zwabić Jake'a nad wodę.

Nagle poczułem zmęczenie. Cała premedytacja, która za tym stała. Zimne, długie godziny planowania.

– Ale posunąłeś się za daleko. Ostatnie listy to było zbyt wiele. Pisałeś w imieniu Ormunda, że krąży po domu jak duch. „Patrzę, jak bierzesz prysznic. Patrzę, jak pierdolisz żonę. Siedziałem na twoim krześle, za twoim wielkim złym biurkiem i udawałem, że jestem tobą”.

Pokręciłem głową.

– Ormund Smitt nigdy nie siedział za tym biurkiem – powiedziałem.

Sięgnąłem po manuskrypt leżący na biurku, na pierwszej stronie odłożyła się warstwa kurzu. Pomachałem papierami, aż strony zwiły mi po drugiej stronie dłoni. Przypomniałem sobie ten manuskrypt, kiedy kilka minut wcześniej siedziałem za biurkiem Amandy, kiedy czułem, jak ciężkie papiery wyslizgują mi się z dłoni i upadają na stół. Gdybym nie zapamiętał... zdrząłem. Gdybym nie zapamiętał tego manuskryptu...

– Nowa książka – powiedziałem. – Jake musiał być w połowie drogi. Twój plan był prawie doskonały. To prawdopodobne, żeby ogarnięty obsesją, niebezpieczny dziwak taki jak Ormund Smitt napisał te zwariowane listy do twojego taty. Ale to niemożliwe, żeby ten sam ogarnięty obsesją niebezpieczny dziwak zostawił to tutaj. Jeśli naprawdę dostał się do tego domu, obserwował Jake’a, obserwował ciebie, to zabrałby ten manuskrypt. A przynajmniej zajrzałby do niego i wspomniał o tym w listach. Żaden chory, ogarnięty obsesją morderczy fan nie zostawi najnowszego, niedokończonego manuskryptu pisarza na biurku, jakby nic dla niego nie znaczył.

– Pierdol się. – Harrison znów mnie sklął. – Co ty, kurwa o nim wiesz? Co ty w ogóle wiesz?

– Dlatego nikt nie dzwonił. Nikt nie wzywał Jake’a, żeby poszedł gdzieś w nocy. W ostatnich listach jest mowa o tym, że superfan zajął się synem Jake’a. Twój ojciec musiał się martwić, co Ormund chce ci zrobić. I wtedy budzisz go w środku nocy i mówisz, że dostałeś wiadomość, że masz wyjść na spotkanie z nim: „Tato, jakiś facet jest online i chce spotkać się ze mną nad rzeką. Mówi, że chce porozmawiać ze mną o tobie. Boję się”. Jake idzie zamiast ciebie, myśli, że w końcu stanie z tym facetem twarzą w twarz. Odgoni go od syna.

– To jest zupełnie popierdolone. – Zoe płakała teraz na głos, ale kiedy odjęła dłoń od twarzy, zobaczyłem, że łez nie ma. – Harry? Harry wpierdoliliśmy się. Oni wszystko wiedzą. Wpierdoliliśmy się!

– Z nami jest w porządku. – Głos Harrisona drżał. – Jest okej, kochanie. Jest okej.

– Z wami nie jest w porządku – powiedziałem. – Amanda wezwie karetkę do twojej matki, a wy dwoje idziecie ze mną.

Harrison zamachnął się kijem do golfa, który wyjął z torby i trzymał za plecami.

Cała torba zabrzęczała na podłodze, rozsypując piłki do golfa. Zamachnął się lśniącym kijem. Raz. Drugi raz. Potem cisnął nim we mnie. Kij odwrócił się i rozbił wiszący za biurkiem oprawiony w ramki plakat reklamujący książkę.

Nie miałem zamiaru strzelać. W ogóle do niego nie celowałem. Nawet kiedy się ujawnił wobec mnie, kiedy zobaczyłem, że już nie zaprzecza, kiedy spoza maski wyłoniło się głupie, bezwzględne, pełne nienawiści dziecko, które zamordowało własnego ojca, nie miałem zamiaru strzelać do Harrisona. Chciałem tylko ich zatrzymać, bo na twarzy Harrisona zobaczyłem obrzydliwą, szarą bladość i wiedziałem, że młody umysł powoli mu płonie, że traci wszelką nadzieję. Stracił panowanie nad sobą. Teraz był dla siebie znacznie bardziej niebezpieczny niż ja dla niego. Ale kiedy uchyliłem się przed lecącym kijem golfowym i potem wyprostowałem się, dwoje nastolatków zniknęło.

31

Wybiegłem z domu i skręciłem w lewo, obok znaku ostrzegającego przed kazuarami przechodzącymi przez szeroką, ciepłą drogę. Deszcz padał łagodnymi, ukośnymi płachtami, uderzał o asfalt i znów się wznosił w pozwijanych smugach pary. Dalej, na rogu, zobaczyłem ich oboje. Biegli ręka w rękę. Ruszyłem sprintem, usłyszałem pisk Zoe, kiedy odwróciła się i zobaczyła mnie.

Zniknęli w bujnym poszyciu, dwa czarne króliki ślizgające się po wilgotnej ściółce. Minęły chyba wieki, kiedy dotarłem do miejsca, w którym weszli w las. Nie było ich widać, ale zostawili ślady stóp w czarnej ziemi. Poślizgnąłem się i wpadłem do dżungli, chwytając się wilgotnych, kosmatych pnączy, zadowolony, że pojawiła się ścieżka, którą chodziły zwierzęta. Prowadziła na płaski teren. Usta miałem otwarte, wdychałem gęste, wilgotne powietrze. Tutaj nie docierał deszcz. Żaby były ogłuszające, wydawały głęboki, spójny ryk.

Biegłem dziesięć minut kierowany tylko myślą, że musieli skręcić w lewo, z powrotem w stronę domu, gdzie las był rzadszy i jaśniejszy. Dżinsy miałem mokre od paproci zwisających nad wąską ścieżką. Smagały mnie po biodrach. Parę razy się odwróciłem, ale nie zobaczyłem Amandy. Kiedy zawołałem do dwojga nastolatków, nie uzyskałem odpowiedzi, słyszałem tylko szelest stworzeń wokół mnie.

Kiedy burza znalazła się nad nami, byłem pewien, że ich straciłem. Ale kiedy ostro skręciłem, zobaczyłem Zoe stojącą przy drzewie. Długie rękawy nadal miała w ustach. Jeden kieł trzymał się jej na luźnej nitce. Deszcz zmył jej makijaż, który spływał po policzkach dwoma wąskimi strumykami. Zatrzymałem się z poślizgiem i chwyciłem ją za ramiona.

- Spierdoliliśmy wszystko! – zawyła.
- Gdzie on jest? – zapytałem.

– Zabiliśmy moją mamę. – Z trudem przełknęła, szukała moich oczu, roztrzęsiony szloch mieszał się jej z oddechem. – Zabiliśmy moją kurewską mamę! O mój Boże, mamę zabiliśmy!

– Dokąd pobiegł Harrison? – Potrząsnąłem nią. – Powiedz, zanim jeszcze kogoś skrzywdzi!

Miałem ochotę dać jej w twarz. Wydawała z siebie tylko jęki. Tę roztrzęsioną, wyjąca dziewczynę przygarnąłem do siebie, przytuliłem do piersi. Pomyślałem, że będzie najbezpieczniej, kiedy ją przytrzymam, przyglądając cienkie, różowe włoski, powiem, że wszystko jest w porządku, na wypadek gdyby istotnie była taka bezradna, a po policzkach nie spływały jej krokodyle łzy.

Zrozumiałem, że się mylę, kiedy poczułem nóż w plecach.

Pierwszy cios był źle umiejscowiony. Wbiła mi scyzoryk w łopatkę, koniuszek noża wszedł mi w plecy nie więcej niż na kilka centymetrów, zanim zatrzymał się na kości. Mocniej ścisnąłem ją ramionami, znów spróbowała, raz po raz dźgała gorączkowo w kość. Rzuciłem ją na ziemię, wstrząśnięty, poraniony. Podniosła się węzowym ruchem i wsadziła całe ostrze w moje prawe biodro.

Zagrzmiało nad naszymi głowami. Zawyłem z bólu, wyciągnąłem nóż z nogi, zacisnąłem pięść i rąbnąłem dziewczynę w twarz. Opadła na ziemię u moich stóp, głowę położyła mi na bucie.

– Cholera! – ryknąłem, chwytając się za ranę w nodze. Cios był jak ukłucie owada, ale kiedy oprzytomniałem, ból ogarnął całą górną część nogi i biodro, tępy, mocny i czerwony. Szybko traciłem krew. Wsunąłem nóż do kieszeni i kuśtykając, odszedłem, pomrukując. Nagle, noga zaczęła ważyć tyle, co całe ciało.

Zostawiłem Zoe w ciemności i poszedłem ścieżką, wołając chłopaka. Ścieżka prowadziła w dół. Szybko wyszedłem między drzewami błotnistą rzekę i początki gęsto rosnących, powykęcanych mangrowców. Zwolniłem, wyszukiwałem ruchu. Ani śladu Amandy za mną. Kiedy zobaczyłem chłopca między drzewami, zatrzymałem się i wyciągnąłem pistolet.

Stał na końcu długiego, wysokiego pomostu, zaprojektowanego na wysoki przypływ, podpartego cienkimi palikami jakiś metr nad wodą. Chociaż wołałem go po imieniu, kiedy wyszedłem z lasu na lekki deszcz, nie odwrócił się. Z czapki narciarskiej spływały strużki wody na jego wąskie ramiona, a czarny T-shirt leżał na nim krzywo. W rękę trzymał długi patyk, którym szybko uderzał w skraj

przystani. Wycelowałem w niego pistolet, ale spojrzałem w górę, w stronę drzew, bo usłyszałem szelest i nie byłem w stanie rozpoznać, czy to moja partnerka, czy jego.

– Harrison – powiedziałem, robiąc pierwszy krok na pomoście. – Masz się odwrócić i położyć ręce na głowie.

Pomost miał jakieś piętnaście metrów długości. Czułem zapach rybich wnętrzności wzmocniony deszczem. Zbliżałem się, a chłopiec ciągle stukał, pukał patykiem w końce desek. Nie wiedziałem, co robi, póki nie wydał paru krótkich, mocnych chrząknięć, jakby próbował oczyścić sobie gardło. Znałem ten dźwięk. Przyzywał je. Szczekał jak krokodyl.

Wszystkie mięśnie miałem napięte. Przyjrzałem się błotnistej, czarnej wodzie, ale pod kółkami robionymi przez deszcz nic się nie ruszało.

– Harrison – powiedziałem. Spojrzał na mnie. Wyzywająco. Znałem to spojrzenie. Widziałem je we własnych oczach. Świat się walił, a Harrison Scully robił, co w jego mocy, żeby się nie wycofać, pozwalał, żeby pokierował nim kaprys. Żeby działał zamiast Harrisona, który przestał być sobą.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytałem. Podszedłem ździebko bliżej. – Czyj to był pomysł?

Stukał patykiem o brzeg pomostu. Z początku myślałem, że nie odpowie. Ale po jakimś czasie pojawiły się słowa.

– Z początku miała być tylko Teresa – powiedział. Pokręcił głową. – Mama Zoe. Ona... ona ciągle się nas czepiała. Od początku nie chciała, żebyśmy byli razem. Człowieku, to było... to było przerażające, tak bardzo nas nienawidziła. Samej myśli o nas. Jakbyśmy byli czymś najgorszym, co można sobie wyobrazić. Zoe chciała uciec. Ale ona jest tylko dzieckiem. Wiedziałem, że nie nadaje się do tego. Musieliśmy zostać. Musieliśmy zmienić sytuację.

Dziecko, które stało przede mną, drżało na deszczu. Uderzyła mnie ironia jego słów, że nazwał Zoe dzieckiem. Sam był taki mały. Ramiona miał pochylone jak kościste skrzydła ptaka.

– Spróbuj sobie wyobrazić – mówił z trudem Harrison. Słowa niezbyt czytelnie formowały się na jego wargach. – Spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest z człowiekiem, który chce być twoim bogiem. Z prawdziwym człowiekiem. Nie tylko, że prawdziwym, ale też samolubnym idiotą, który nie potrafi nawet

zapanować nad swoją żoną. Spróbuj wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy zostaje się czymś niewolnikiem. Ja byłem jego niewolnikiem. – Harrison walnął się w pierś. Zamroczony spojrział w przestrzeń.

– Harry...

– Chciał mnie gdzieś wysłać. Pozbyliśmy się mamy Zoe, a mój tato jakby podjął wendetę przeciwko nam dokładnie w miejscu, w którym Zoe zakończyła. Byliśmy przekłeci. Chcieliśmy tylko być razem, dlatego zabiliśmy człowieka. To powinno wystarczyć. Nie interesował się mną. W ogóle. I nagle on zaczyna to robić, bo mu się to nie podoba, i myśli, że jak wsadzi w to swój nos, to nas rozdzieli.

Patrzyłem, jak chłopak dyszy, kipi. Cienkie ramiona okryte przemoczoną koszulką trzęsą mu się z wściekłości.

– Przeciąłem przewód – powiedział. – Ale najpierw ją zapytałem. Chciałem mieć pewność.

– Zabiłeś matkę Zoe – stwierdziłem. – Oboje ją zabiliście. I nic się nie stało. Uszło wam na sucho.

– Właśnie. – Harrison popatrzył na mnie z niedowierzaniem. – Właśnie. Nic się nie stało. Nic, kurwa, się nie stało. Był pogrzeb. Była stypa. Wszyscy płakali. Rozeszli się do domów. Ja i Zoe razem poszliśmy do domu. To było... to było...

Harrison wyciągnął ręce, prosił, błagał mnie o zrozumienie.

– To było wspaniałe – dokończyłem.

– To było wspaniałe! – Harrison roześmiał się, zaczął szlochać. – Byliśmy tacy popierdoleni. Rozumiesz? Ja i Zoe byliśmy tacy popierdoleni, że zabiliśmy jej matkę, i to było wspaniałe.

Chłopiec głośno szlochał. Zginał kijek, chodził w tę i z powrotem po wąskim końcu przystani.

– Harrison. – Zbliżyłem się.

– A kiedy Teresa nie żyła i było tak wspaniale, musieliśmy się zastanowić, prawda? Dlaczego wszystkich nie załatwić? – Przełknął z trudem. – To było takie łatwe. Takie wspaniałe. Dlaczego nie zorganizować pogrzebów dla wszystkich? Dlaczego nie zrobić dla wszystkich styp? Zaczęliśmy bawić się tym pomysłem. Wiesz, po prostu robiliśmy z siebie durniów. Tato Zoe to świnia. Po prostu... ludzka świnia. Ale wtedy mój tato zaczął się czepiać, że jesteśmy razem. Że jesteśmy młodzi i głupi. A ja wiedziałem, że to jakby Teresa wróciła. Że zaraz

będzie się nas czepiać i czepiać, aż już nie będziemy mogli wytrzymać. Napisał do tego rancza rehabilitacyjnego dla trudnej młodzieży. Uwierzysz? Chciał wsadzić mnie na półroczny program za to, że, kurwa, byłem z moją dziewczyną.

Błagał mnie teraz. Chciał, żebym go zrozumiał.

– W dwa lata mogliśmy pozbyć się ich wszystkich – powiedział. – I razem z Zoe przejęlibyśmy nasze życie, które oni porzucili. Nie korzystali z niego. Błądzili po kurewsko pustym domu i unikali się nawzajem, próbowali nie wpaść na siebie na schodach. Jaki w tym sens? Dlaczego mieliśmy im pozwolić nadal być naszymi pieprzonymi bogami, skoro tak łatwo było z tym skończyć?

Amanda nagle wypadła z hukiem z krzaków za mną i z poślizgiem zatrzymała się obok mnie. Jej trampki ślizgały się po gładkim, mokrym drewnie.

– Ha! – Chwyciła mnie za ramię. – O mały włos przekroczyłam limit czasu! Szefie, z tobą w porządku? Cały jesteś we krwi.

– W porządku. – Spojrzałem na nią. – Minęłaś Zoe?

– Jak błyskawica.

– Harrison – powiedziałem. – Harrison, podnieś ręce do góry.

Nie skończyłem jeszcze z chłopcem. Patrzył w wodę, w zaciśniętej dłoni trzymał patyk. Musiał myśleć o swoich wściekłych fantazjach, o tym, co zrobił razem ze swoją dziewczyną. Znów zaczął wydawać przypominające szczekanie dźwięki. Okręcił się na pięcie i popatrzył na mnie. Stałem jak wryty.

– To było takie łatwe.

Amanda zrobiła dwa kroki do przodu, ale chwyciłem ją za ramię i pociągnąłem do tyłu. Coś błyskawicznie ruszało się w wodzie, kilka metrów od końca przystani. Harrison odwrócił się w naszą stronę, nadal stukał tym długim kijkiem, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Chcesz się spotkać z moim zwierzątkiem? – zapytał.

– Ożeż ty – powiedziała Amanda niepewnym, cichym głosem. – Nasza gaża chyba tego nie pokrywa.

– Harrison, podejdź powoli do nas – powiedziałem. – Porozmawiamy o tym, co się stało, kiedy zejdziesz z pomostu.

Dzieciak nie posłuchał. Był jak zbuntowany uczeń, który nie chce schować się przed deszczem i popisuje się przed kolegami z klasy. Zagubiony w swoim małym świecie. Znów szybki ruch na końcu pomostu. Harrison wychylił się za chybotliwe

ogrodzenie, machając kijkiem w lewo i prawo. Nie wiedziałem, czy mam na niego krzyczeć, czy się z nim dogadywać. Zobaczyłem, jak czarna masa wyłoniła się z wody i zalśniła w deszczu. Nozdrze albo oko. Nie potrafiłem rozróżnić. Wiedziałem tylko, że to coś żywego.

– Nie rób tego Harry – powiedziałem. – Jak skoczysz do wody, nie rzucę się za tobą.

Harrison Scully popatrzył na mnie. Jakby zapomniał o Amandzie. Moja partnerka wyjęła splotkę, replikę, wielki srebrny rewolwer Smith and Wesson. W jej rączce tak ogromny, że aż komiczny. Patrzyłem, jak łamie lufę, sprawdza kule. Nie wiedziałem, że repliki mają ruchome lufy. Miała stężały, pozbawiony uczuć wyraz twarzy.

– My tylko chcieliśmy być wolni – powiedział Harrison. – Trafia do was, co?

Drgnąłem, gdy usłyszałem huk. Na sekundę spuściłem Amandę z oka. W tym czasie podniosła broń i strzeliła Harrisonowi w górną część klatki piersiowej. To nie była replika. Chłopiec poleciał do tyłu i upadł na końcu pomostu.

– Amando!

– Nie mam cierpliwości, żeby tego dalej słuchać – powiedziała. Poszła w stronę końca pomostu. Kiedy zbliżała się do chłopaka, jej stopa zniknęła w gładkim drewnie, jakby to była sztuczka magiczna. Deski były przecięte w samym środku i zaklinowane nad pustką. Pułapka. Ta sama pułapka, w którą Harrison wprowadził Jake'a w tamtą nieszczęsną noc, kiedy udało mu się wywabić ojca z łóżka udawanymi groźbami od nieznajomego. Patrzyłem, jak Amanda zapada się na pomoście, i widziałem Jake'a, on też się zapadł, chwycił się powietrza, krzyczał, wznosił oczy do chłopca stojącego na końcu pomostu. Okazało się, że to nie jakiś nieznajomy, nie zagrożenie, ale jego dziecko.

Widziałem, jak Jake próbuje złapać się desek, ześlizguje się, niknie w głębinie, gdzie czeka drapieżnik, dzikie zwierzę oswojone przez jego syna.

Amanda zniknęła z pola widzenia, zanim zdołałem wykrzyczeć jej imię. Jej rewolwer załomotał o deski przed dziurą.

– Amando! Amando! – Podbiegłem do skraju dziury, w którą wpadła, ale kiedy tam dotarłem, usłyszałem, jak Harrison wstaje. Krwawił. Próbowałem podnieść pistolet, ale on odciągnął kurek rewolweru Amandy z obrzydliwym trzaśnięciem.

– Nie rób tego – powiedział.

Deski zwisały na grubych gwoździach, kliny, które je podtrzymywały, wpadły do błotnistej wody. Po Amandzie nie było ani śladu. Woda pode mną wirowała. Wydawało mi się, że słyszę krzyk, ale to mogła być szalejąca wokół nas burza. Deszcz spływał mi z głowy i po twarzy nieustającym strumieniem. Żołądek zwinął mi się w twardy węzeł.

– Odłóż broń – powiedział Harrison.

Zrobiłem, jak kazał.

– Proszę. Proszę, ona jest moją partnerką – powiedziałem. – Nie znasz mnie, nie zasługuję na śmierć. Moja partnerka nie zasługuje na śmierć. Odłóż rewolwer.

Wydawało mi się, że słyszę sprężyny spustu naciskanego przez chłopca. Moja skóra ożyła z przerażenia na myśl o przeszywającej mnie kuli. Lufa celowała w moje prawe oko. Chłopak nie odpowiadał. Zaryzykowałem.

– Nie zastrzelisz mnie, kiedy broń jest zabezpieczona – powiedziałem.

Harrison trochę obrócił broń na bok, zamiast w oko celował w przestrzeń za moim lewym uchem. Tego potrzebowałem. Rzuciłem się na jego nogi, omijając dziurę przede mną. Upadłem na koniec pomostu. Rewolwer zagrzemiał. Ślizgaliśmy się, ręce i nogi mieliśmy splątane, koniec pomostu był zastraszająco blisko. Moje ciało poruszało się samorzutnie, zapominając o ranach w plecach i nogach, zapominając o partnerce. Ręce chwyciły Harrisona, kiedy on wpił się we mnie. Wykręcał się, prześlizgiwał mi się między nogami, próbował mnie zepchnąć ze skraju pomostu. Zamachnąłem się mocno, trafiłem w ramię, w którym utkwiała kula Amandy, i rozłożyłem Harrisona na deskach.

Wydawało mi się, że wygrałem. Byłem pewien, że rewolwer Amandy wpadł do rzeki, gdy rzuciłem się na chłopca, ale kiedy wstałem i podszedłem do niego, obrócił się, podniósł rewolwer i strzelił do mnie z bliska. Chybił, kula minęła głowę o kilka centymetrów, śmignęła obok prawego ucha tak blisko, że poczułem rozgrzane powietrze.

Huk ogłuszył mnie, w uszach dzwonił mi alarm przeciwpożarowy. Rozpaczliwym rąbnięciem wykopałem rewolwer z dłoni chłopca i upadłem na niego. Trzymał mnie w pasie, znalazł nóż, którym dźgnęła mnie Zoe. Złapałem chłopca za nadgarstek, zanim zdołał wbić mi nóż w szyję, i odwróciłem broń ostrzem w dół, z dala od siebie. Łokieć wyslizgnął się spode mnie, kiedy chłopak kopnął do góry. Nóż wbił mu się w szyję, rączka utkwiała tuż pod jego szczęką.

– Idiota – wyszczałem, wyciągając ostrze. Mówiłem i do chłopca, i do siebie. – Pierdolony idiota.

– O Boże – zbulgotał chłopiec, chwytając się za zakrwawione gardło. Zakaszłał, czując, jak ciepła krew płynie mu między palcami. – O Boże, umieram. Umieram.

– Nie umierasz. – Oderwałem kawałek swojej mokrej koszuli, zwinąłem go i wepchnąłem w ranę. Ręce chłopca drżały, kiedy wyminął moje dłonie, żeby przytrzymać materiał. Dziecięcy strach, prowokujący morderca gdzieś zniknął. – Ale moja partnerka prawdopodobnie umiera, więc zostawiam cię tutaj i idę jej poszukać.

– Nie, nie, nie. – Zakaszłał, chwytając się jak szalony koszuli. Wyciągnął do mnie rękę. – Umieram!

Słyszałem syreny po drugiej stronie wzgórza. Po Stellę przyjechała karetka. Zobaczą samochody, otwarte drzwi. Miałem nadzieję, że któryś z sąsiadów usłyszał strzały i wysłał policjantów do lasu. Miałem nadzieję, że Zoe nadal była nieprzytomna i nie uciekła. Takie krótkie, gorączkowe myśli, kiedy przeskakiwałem przez dziurę w pomoście, żeby pobiec w stronę mangrowców. Moją prawdziwą misją było odszukanie Amandy. Tylko to się liczyło. Dwoje głupich dzieci zamordowało rodziców, każde po jednym. Już nikt nie powinien zginąć.

Biegłem po szarej plaży, patrzyłem na wodę, szukałem jakiegoś śladu po Amandzie. Patrzyłem na brzeg lasu, zadrżałem na samą myśl i wtedy zobaczyłem jakiś ruch w wysokiej trawie.

– Amando! – krzyknąłem. Wróciłem biegiem do pomostu i zacząłem przeszukiwać wzrokiem wąską, błotnistą plażę po drugiej stronie.

Biegając, przypomniałem sobie, co powiedziała mi Dynah. Jakbym na własne oczy zobaczył zbrodnię Amandy, jednocześnie szukając jej, wołając z nadzieją, że żyje.

32

To jest głupie – powiedziała dwunastoletnia Dynah z tylnego siedzenia samochodu Lauren. – Powinniśmy po prostu pojechać do domu.

Starsza siostra zignorowała ją, nie odwracała wzroku z drogi, dłonią przygładziła ondulowane włosy, przesuwając ją aż do koniuszków kosmyków. Lauren zawsze dotykała swoich włosów, kiedy była zdenerwowana, więc kiedy miało nadejść coś naprawdę ważnego, jak szkolne przedstawienie albo publiczne odczytanie pracy domowej, koniuszki całe były zatłuszczone. Dynah nigdy nie potrafiła dotrzeć na taką wysokość nerwowej energii. Kiedy miała coś powiedzieć do zgromadzonych albo kiedy zapraszano ją na ważne party, czuła się niedobrze, potem była zmęczona, aż wreszcie rezygnowała. To był jej sposób.

Teraz było jej niedobrze, bo wiedziała, co się stanie, gdy dojadą na punkt zbiórki. Nadaśała się, założyła ręce na piersi, próbowała skupić się na dżungli przelatującej za oknem, kiedy samochód wspinał się w ciemność, jadąc do Kissing Point. Dynah nie знаła Amandy, dziewczyny siedzącej przed nią. Ale jak na Projekt Specjalny była głupim wyborem. Lauren i chłopcom potrzebne były do tego dziewczyny, które nie rozpaplałyby wszystkiego, a ta Amanda nie zamykała się, odkąd wsiadła do samochodu. Dynah potarła się po brzuchu, próbowała oddychać.

– Ilu ludzi weźmie w tym udział? – zapytała Amanda. – Dwudziestu? Trzydziestu? Kto to organizuje? Czy będzie Troy Ledwidge? Jest przerażający ten Troy Ledwidge. Ktoś mi powiedział, że on mieszka sam. Ma szesnaście lat i mieszka sam.

– Tyle pytań zadajesz, że nie ma czasu na nie odpowiedzieć. – Lauren zaśmiała się zażenowaniem. – Dziewczyno, jesteś nadpobudliwa. Wyluzuj!

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że mnie zaprosiłaś. Jestem taka podniecona, że

zostałam zaproszona. Ha! To się rymuje. Taka podniecona, że zaproszona. Wcześniej nie brałam udziału w czymś takim. Wiem, że w ubiegłym roku, po oficjalnym przyjęciu, było naprawdę fajne party. Byłaś na nim?

– Co? A tak, chyba byli tacy, którzy wybrali się na plażę. – Lauren odchrząknęła i trochę podniosła się na fotelu kierowcy.

– Powinnyśmy pojechać do domu. – Dynah kopnęła w fotel siostry.

– A więc, Amando – powiedziała Lauren – zaparkujemy trochę obok drogi, a potem przejdziemy się na party. Może być? Nie chcemy utknąć, kiedy wszyscy będą już odjeżdżali.

Dynah wierciła się. Lauren powiedziała: „a więc Amando”, tak jak pierwszy raz powiedziała: „a więc Dynah”, kiedy prosiła, żeby wzięła udział w Projekcie Specjalnym. Słodko, łagodnie, jakby prosiła o drobną przysługę, za którą czeka ogromna nagroda. A więc Dyyyyynah... A więc Amaaaaando... Prawie jakby się poświęcała, dając jej okazję, na którą bardziej zasługiwali inni jej przyjaciele. Jakby sama Amanda wygrywała na tej zamianie, a Lauren była ach, jaka uprzejma, że rezygnowała ze swojej miejscówki.

Samochód zjechał z głównej drogi, potoczył się wąską ścieżką gruntową i zatrzymał się na polanie między gęstymi drzewami. Dziewczyny wysiadły. Dynah usłyszała niesioną z wiatrem muzykę. Amanda dokończyła mrożoną herbatę i odłożyła puszkę na środkową konsolę samochodu.

– Wiesz, właściwie, to mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała Lauren, przeczesując palcami włosy. – Przywiozłam sukienkę, żebyś włożyła ją na party. Jest na tylnym siedzeniu, Dynah, bądź tak miła i wyjmij ją.

Dynah sięgnęła na tylne siedzenie po torbę. Rzuciła ją na ziemię obok koła samochodu. Torba przewróciła się na bok, ale nie otworzyła się. Nie pozwoliła na to taśma biegnąca przez wierzch. Dynah wiedziała, że w środku nie ma sukienki, tylko stary koc, żeby wypchać torbę. Kłamstwo. Uważała, że kłamstwa to najgorsza rzecz na świecie, a tutaj był szczególny rodzaj kłamstwa, takie, które można trzymać w rękach. Przedmiot. Amanda już miała zacząć wibrować z podniecenia. Słyszała, jak starsze dziewczyny szczękają zębami.

– Słyszę muzykę – powiedziała, patrząc na korony drzew, jakby dźwięki z party można było zobaczyć w powietrzu, nuty rozświetlone na tle tłumu. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Nie możesz w tym pójść. – Lauren popatrzyła na dzinsy Amandy, na jej prążkowaną koszulę. – Zdejmij ubranie, a my damy ci nowe, co?

W słabym świetle wewnątrz samochodu Dynah obserwowała Amandę rozebraną do majtek i biustonosza – krótkiej bluzeczki z Kmart odsłaniającej brzuch. Dynah zaczęła od czegoś takiego, ale teraz już nosiła stanik z fiszbinami. Ciało Amandy było cienkie i szczupłe. Biała jak mleko skóra rzadko oglądała słońce. Dynah niewiele wiedziała o tej dziewczynie, ale musiała być ześwirowana, skoro Lauren wybrała ją do Projektu Specjalnego. Musiała być kimś bez znaczenia. Kimś, komu nikt nie uwierzy. Tak jak jej. Nikt nie uwierzyłby Dynah, nawet gdyby została kapusiem. Wiedziała o tym.

Amanda stała na polanie, przed dwiema dziewczynami, w skąpych majtkach, pocierała długie, pajęczne ramiona. Dynah przełknęła mdłości gromadzące się jej w gardle.

– Okej. – Lauren spojrzała w stronę drzew, kiedy na tle powolnej muzyki dał się słyszeć odgłos męskich kroków. – Teraz nie panikuj, co?

Z krzaków wyszli Lou i Steve. Obaj byli w mundurach. Dynah słyszała, jak po południu Lou rozmawiała ze swoim chłopakiem z telefonu w kuchni i szeptem pytała, kiedy kończy służbę. Na tablicy przy lodówce nabazgrała LD, potem szybko to starła, żeby matka nie zobaczyła. Lauren myślała, że jest taka niesamowita, bo umawia się na randki z kimś spoza szkoły. Z dorosłym mężczyzną. I do tego policjantem. To było podniecające. I takie niebezpieczne. Dynah przecierpiała wiele razy wypytywanie w szkolnym autobusie, przyjaciele Lauren nie dawali jej spokoju, szturchali ją, próbowali wydobyć szczegóły. Kim on jest? Naprawdę jest po trzydziestce? Czy kajdanki są prawdziwe? Lauren powiedziała, że jak Dynah dorośnie, to będzie mogła chodzić z Lou, przyjacielem Steve’a. Trądzik Steve’a był taki okropny, że czasem kąciki oczu miał napuchnięte i przymknięte od bąbli, Dynah podkraśla się do samochodu, w rękach i nogach czuła znajome drżenie.

– Cześć dziewczyny – rzucił z uśmiechem Lou.

– Policja. – Amanda miała twarz pozbawioną emocji. – To policja.

– Właśnie – potwierdziła wesoło Lauren. – Lou to mój chłopak, okej? Amando, to dla nas naprawdę wielki zaszczyt. Okej? To naprawdę specjalny, naprawdę ważny projekt i chcemy, żebyś zrobiła to, co on powie.

– Nie idziemy na party? – Dłoń Amandy uniosła się do piersi, chwyciła za biustonosz bez fiszbinów. – Czy my...?

– Jasne – odparła Lauren. – Jasne, że idziemy. Chcemy być przyjaciółkami, prawda? Nie chcesz się ze mną przyjaźnić? Hm, wyświadczysz mi tylko tę przysługę, a potem będziemy przyjaciółkami.

Amanda popatrzyła na Dynah. Dziecko przełknęło z trudem ślinę.

– To pójdzie naprawdę szybko – powiedziała Lauren, trącąc Lou. – Nie zrób jej krzywdy, okej? Po prostu rób, co masz robić, i wynosimy się stąd.

– Zdejmuj gacie – powiedział Steve, podchodząc do Amandy. Dynah patrzyła, jak policjant chwycił tyczkowate ramiona nastolatki i ściągnął jej majtki. – Masz się położyć na ziemi, a my tylko pstrykniemy parę fotek.

– Połóż ją na tylnej kanapie samochodu – powiedział Lou. – Skorzystamy ze światła w samochodzie.

Dynah nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Podeszła do skraju polany, słuchając krzyków Amandy. Wyrażały protest i dezorientację. Dziewczyna bała się. Dynah za pierwszym razem też się bała. Płakała w dłonie, wkrótce poczuła rękę siostry na ramieniu.

– Jest w porządku, Dy, jest w porządku – powiedziała Lauren. – Boże, to nic takiego, to tylko zdjęcia.

– Dlaczego nie wystarczą im zdjęcia mnie i ciebie? Nie mogą na tym skończyć?

– Jesteś za mała, żeby zrozumieć. Te fotki są naprawdę ważne. Wykorzystują je, żeby bardzo ważni ludzie robili, co im każą – uspokajała ją Lauren. – A im więcej mają zdjęć, tym łatwiej jest im powiedzieć: „Cóż, proszę pana, ma pan poważne kłopoty. Musi pan zrobić to, co chcemy”.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Dynah. – Dlaczego oni... Jak to jest, że nie...

– To się nazywa szantaż – powiedziała ostrożnie Lauren.

– Nie podoba mi się to!

– Tak nie będzie zawsze – wyszeptała Lauren. – Wykorzystają te zdjęcia, żeby zarobić trochę pieniędzy. To naprawdę dobry plan. Nikomu nie dzieje się krzywda. Lou i Steve są naprawdę mądrzy. Jesteś za mała, żeby zrozumieć. To nic wielkiego. Lou mówi, że pewnego dnia się pobierzemy. Możesz zostać druhną. Chciałabyś być moją druhną?

Amanda walczyła z dwoma mężczyznami w otwartych drzwiach samochodu.

Nagle przestała walczyć, a Steve chwycił ją za rękę i położył ją na oczach dziewczyny. Prawe kolano Amandy trzęsło się. Błysk flesza odbił się od ciemnych drzew wokół nich.

Mężczyźni poszli na środek polany, a Lauren dołączyła do nich. Dynah miała problem z chodzeniem. Ręce i nogi zeszywniały jej ze strachu. Kiedy podeszła do grupy, Steve dotknął jej ucha, dziewczynka odsunęła się od niego.

– Dobre ujęcia – ocenił Lou, obejmując ramieniem Lauren. – To chuda myszka. Niczego nie powie, co?

– Nie, to szkolne dziwadło. – Lauren wyjęła paczkę papierosów z kieszeni Lou. – Kompletny świr. Nikt jej nie uwierzy, nawet gdyby powiedziała.

– Ty też nic nie powiesz, prawda śliczna? – zapytał Steve, ściskając Dynah za biceps. – Nie naskarżysz na nas, prawda?

– Słuchajcie, a może pójdziemy na party? – powiedział Lou. – Pójdziemy. Dynah, idziesz z nami. Steve odwiezie Amandę do domu.

– Nie. – Lauren odtrąciła Lou. – Nie chcemy jej zostawiać samej.

– Nie będzie sama. Będzie ze mną. Jest w porządku. – Steve poprawił pas. – Zajmę się nią.

Dynah złapała starszą siostrę za ramię.

– Lauren, nie zostawiaj jej z nim samej.

– Co? Że niby co zrobię? Nie skrzywdzę jej.

– Obie dajcie spokój. – Lou złapał Dynah za nadgarstek, położył rękę na ramieniu Lauren. Mrugnął na partnera. – Z nią będzie w porządku! On jest policjantem, prawda Stevie?

Steve wyjął scyzoryk z kieszonki w pasie. Otworzył go z trzaskiem w świetle reflektorów samochodu.

– Chcę jej tylko pokazać moją nową zabawkę. – Błysnął ostrzem przed oczami Dynah. – Ładny, co?

– No, idziemy. – Lou pociągnął Dynah, jednocześnie popchnął jej siostrę. – Dalej.

– Lauren – błagała Dynah.

– Daj spokój Dynah. Jest w porządku.

– Proszę. – Dynah spojrzała za siebie na samochód wśród drzew. Zobaczyła, jak Steve zbliża się do wozu. Stopy Amandy nadal zwisały z tylnego siedzenia przez

otwarte drzwi. – Lauren nie możemy jej zostawić.

Starsza siostra i jej chłopak policjant szli ścieżką w stronę głównej drogi. Dynah poszła za nimi, obejmowała się mocno rękami. Zaczął padać lekki deszczyk. Wyrwał się jej szloch. Chciała tylko wrócić do domu.

Zatrzymała się. Lauren chyba to wyczuła. Oczy sióstr spotkały się w ciemności.

– Nie możemy – powiedziała Dynah. Odwróciła się i pobiegła w stronę polany.

– Dynah! – Lauren była teraz wściekła. – Dynah! Kurwa, zostaw ją!

Dynah pędziła ścieżką. Kiedy dotarła do samochodu, Steve leżał z nogami wystającymi z otwartych drzwi, ramiona miał na tylnym siedzeniu. Amanda leżała pod nim. Dynah kopnęła go mocno w nogę i pociągnęła za biodro.

– Co jest, kurwa?

– Dynah zostaw ich! – Lauren chwyciła siostrę i odepchnęła ją. – Co z ciebie za kurewska nudziara! Jezu!

– Lou opanuj te dziwki, dobrze? – Steve złapał się za rozpięty pas, mocno popchnął Dynah, aż upadła plecami na ziemię. Lou już przy nich był, chwycił Dynah. – Kurwa! Zabierz je stąd.

Przez całe lata od tamtego wieczoru Dynah zastanawiała się, czy ruchy Amandy były takie ciche, czy może ona tak się bała, że jej mózg nie zarejestrował odgłosów dźgania w ostatnich, szalonych sekundach życia siostry. Chociaż nie słyszała, to widziała, jak Amanda podnosi się z tylnego siedzenia samochodu, czarna sylwetka na tle złotego światła wewnętrznego, z nożem w ręku. Lauren drgnęła kilka razy, kiedy nóż wbijał się jej w plecy. Amanda dźgała szybkimi, maniakalnymi ruchami, ale kiedy Lauren upadła, Dynah zrozumiała, że wcale nie celowała w siostrę. Dźgała to, z czym miała pierwszy kontakt, pierwszą postać, którą rozpoznało jej ciało. Amanda nie chciała zaszytytować Lauren. Po prostu wzięła nóż z siedzenia obok, wstała i zaczęła dźgać.

Po chwili ślepego strachu dźwięki wróciły do uszu Dynah. Steve wył, rwał sobie włosy z głowy, patrzył na Lauren leżącą płasko na ziemi pod stopami Dynah. Lou złapał Amandę i rzucił nią o bok samochodu, wykopując nóż z jej dłoni. Chwycił zakrwawione narzędzie i popatrzył na partnera.

– Idź Steve – powiedział. – Uciekaj! Zabierz Dynah z sobą. Ja tu posprzątam.

33

Wiedziałem, że znalazłem Amandę, kiedy zobaczyłem pierwsze ślady krwi na piasku. Szedłem za tropem, aż zrobiła się z niego długa, wlokąca się smuga. Prowadziła ukośnie w stosunku do linii brzegu, a potem prosto do skraju lasu. Amanda upadła na małą kłodę, głowa i ramię zwisały w dół, oczy patrzyły w niebo. Myślałem, że nie żyje. Najgorsze rany miała na nogach, długie, otwarte nacięcia, spod jednej, całkowicie oderwanej nogawki dżinsów wychodziło zakrwawione ciało. Krwi było niewiarygodnie dużo. Amanda była nią pokryta od szyi do pasa. Podbiegłem, wziąłem ją na ręce, zgiąłem ją i podniosłem do piersi.

Ku memu zaskoczeniu chwyciła zimną dłonią za włosy na mojej klatce.

– Nie masz koszuli – wydyszała. Jej głowa zwisała przy moim ramieniu. Wargi miała pokrwawione.

– Trzymaj się Amando – powiedziałem. – Trzymaj się.

– Strip... – wyszeptwała. Próbowwała się roześmiać. – Striptizer.

Pobiegłem do pomostu. Byli tam dwaj policjanci, zajmowali się Harrisonem. Zobaczyli mnie i wskazali w kierunku wzgórza. Na ścieżce nie było sanitariuszy. Musiałbym pójść do karetki przy drodze. Zranioną nogę miałem odrętwiałą. Biegłem ścieżką coraz wyżej, w oddali migąła mi przed oczami droga. Stopy zagłębiały się w miękką ściółkę. Na chwilę przyklęknąłem i oparłem się o drzewo, żeby odpocząć. Podniosłem Amandę i mocniej ją przycisnąłem. Na jej ramieniu, pod moimi palcami, były ślady zębów, rząd dziur w tatuażach, tam gdzie bestia zwarła na niej szczęki.

– Wiem o Kissing Point – powiedziałem. Jeśli miała umrzeć w moich ramionach, niechby wiedziała, że poznałem prawdę. Że nie pozwolę, żeby Stevenowi Henchowi i Lou Damfordowi uszło na sucho to, co jej zrobili. Co zrobili Lauren. Co zrobili Dynah. Co zrobili wszystkim dziewczynkom, które zagnali przed aparat,

żeby zrobić zdjęcia ich niesamowicie niewinnym, nagim ciałom.

Stałem wtedy w kuchni i patrzyłem na sześć fotografii. Ze zbioru wyłączyli tę z wystraszoną Amandą. Myśleli, że na podstawie zdjęć z miejsca zbrodni w *Morderstwie w Top End* w mogę rozpoznać tylne siedzenie samochodu Lauren. Że może rozpoznam samą Amandę, jej ostry podbródek i pajęczce członki. Ale nie mogli przewidzieć, że rozpoznam Dynah Freeman. Dynah na zdjęciu wyglądała na jakieś dwanaście lat. Zagryzała wargi, tłumiła płacz. Niemal słyszałem, jak jej siostra przekonuje ją, żeby wyświadczyła tę niewielką, dziwną przysługę jej dorosłemu chłopakowi i pod groźbą przemocy nikomu o tym nie mówiła. To tylko zdjęcia, wmawiała dziecku. Żadna sprawa.

Siedziałem z Dynah Freeman, teraz dorosłą, w pustej kawiarni i słuchałem jej płaczu. Słuchałem, jak mówi o tamtym wieczorze, kiedy starsza siostra poprosiła, żeby z nią się wybrała, sądząc, że Amanda łatwiej wejdzie w całą sprawę, jeśli głupiutka siostra Lauren będzie siedziała z tyłu. Obietnica świetnej zabawy w towarzystwie lubianej dziewczyny. Śliczna, nowa sukienka.

Dynah więcej nie rozmawiała z Damfordem i Henchem. Widywała ich na mieście. Oni widywali ją. Widywała Amandę, wiedziała, że ta kobieta, już jako dorosła, była wariatką. Nie bardzo wiedziała, w jakim celu Lou Damford i Steven Hench używali tamtych zdjęć, ale mogła się domyślać. Zastraszali ważnych ludzi. Szantażowali, wyciągali pieniądze. Garść świńskich zdjęć z dziewczynkami prawdopodobnie przez całe lata otwierała drzwi przed tymi dwoma. Podrzucali je w domach. W sypialniach. W gabinetach. Potem pojawiali się, znajdowali je i stawiali żądania. Nie chodziło nawet o pieniądze. Dynah o tym wiedziała, chociaż mogła się domyślać, że ci dwaj pławili się w gotówce. Chodziło o władzę. Dzika, zwierzęca siła, którą pokazali tamtego wieczoru, dwaj dorośli mężczyźni i trzy małe dziewczynki wmieszani w podejrzaną sprawę w ciemnościach dżungli, dziewczynki bezbronne, ale zmuszone czynić to, co mężczyźni im kazali. Dynah złapała Steve'a za nogi i biodra, próbowała ściągnąć go z maleńkiego ciała Amandy, które leżało pod nim na tylnym siedzeniu samochodu. Nawet nie drgnął. Martwy ciężar. Dorosła Dynah wiedziała, że Steve Hench był nienaruszalny, nietykalny dla mężczyzn, którymi manipulował, tak jak dla niej tamtego wieczoru.

Szalała burza, siedziałem pod drzewem, trzymałem partnerkę i mówiłem jej, że dopadnę ludzi, którzy jej to zrobili. Była na skraju przytomności. Jej głowa opadła

mi na ramię. Ale nie pozwalałem jej zasnąć. Jeszcze nie. Musiałem wiedzieć.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym wszystkim? – zapytałem. Przycisnąłem ją do siebie, próbując obudzić. – Dlaczego pozwoliłaś, żeby wsadzili cię do więzienia?

Amanda popatrzyła na mnie, oczy się jej zamykały.

– Bo tam byłem szczęśliwa – powiedziała.

Epilog

Amanda nacisnęła butem przednie koło roweru, wbiła piętę w ziemię i nachyliła się. Ból wędrował przez pokryte bliznami, gruzłowate mięśnie jej łydki, powoli zmniejszał się do ciepłego niedomagania. Odetchnęła, poczuła słońce na karku. Przerzuciła nogę nad rowerem i odbiła się, kiedy właśnie zaczęła padać lekka mżawka.

Patrzyła, jak kropelki zaczynają spływać między cienkimi włoskami na wytatuowanych ramionach, wyciągnęła się do przodu i mocno ścisnęła zakrzywioną kierownicę. Ramiona były dla niej obce. Od chwili, kiedy przed laty policjanci pstryknęli jej zdjęcia na tylnym siedzeniu samochodu Lauren, Amanda pragnęła pokryć swoją skórę. W więzieniu zaczęła się tatuować, wzory wykonała ręcznie, za pomocą igły do szycia i atramentu, który kradła z piór w biurze administracji. Zaczęła od pokrzywionego drozda na biodrze. Rysunek za rysunkiem, warstwa, po warstwie, kwiaty, żuki, kobiety, zwierzęta wspinały się po nogach, rękach, piersi. Zaczęła czuć, że jej nagie i bezbronne jestestwo jest zakryte i chronione. Policjanci obnażyli ją. Rozłożyli ją naga. Nigdy więcej nie chciała być naga. Ani centymetra nagości.

Przyzwyczała się do pokolorowanych, wycieniowanych ramion. Ale teraz różowe pęknięcia i rozcięcia, które zrobiły w niej szczęki krokodyla, odebrały jej niektóre z warstw ochronnych. Pod spodem nadal miała ciało. Różową tkanę blizn koloru wnętrza kociego ucha. W paru miejscach były rzędy dziur, tam gdzie bestia zwarła na niej szczęki. Inne części ciała były porysowane bladymi błyskawicami, monstrum potrząsało nią i obracało się w wodzie. Była stłuczonym wazonem posklejanym na nowo, a nowa, różowa skóra była dla niej przypomnieniem starego ciała, tego, które skalali Damford i Hench. Ale teraz to nie było takie przerażające. W szpitalu miała czas, żeby przypatrzeć się, jak goją się pęknięcia. Była w stanie

zaakceptować je.

Pedałowała błotnistą drogą, między wysokimi ścianami trzciny, spoglądała w niebo, na jaskółki, które siedząc na drutach, znaczyły jej drogę, jak strażnicy na tle szarego nieba. Przypominała sobie, jak siedziała w szpitalu i w telewizorze stojącym w rogu sali oglądała konferencję prasową Dynah Freeman. Wokół niej zgromadziła się grupa pielęgniarek, żeby obejrzeć tę relację. Widziała materiał filmowy o zatrzymaniu Damforda i Hencha w ich domach, widziała płaczącą Dynah, która siedziała przy stole pod wielkim zdjęciem roześmianej twarzy zmarłej siostry. Minęło zaledwie dwanaście godzin, odkąd detektywi policyjni, których Amanda nie знаła, przyszli do jej szpitalnego łóżka, żeby zapytać ją o wieczór sprzed lat w dżungli. Opowiedzieli jej wersję Dynah, zapytali, czy to prawda. Czy Steven Hensch i Lou Damford zrobili jej te zdjęcia? Czy Steven Hensch położył się na niej? Czy jej dotykał? Czy ją zgwałcił? Pokazali jej fotokopię jej zdjęcia jako dziecka.

Amanda patrzyła na pokryte bliznami ramiona. Przejeżdżała palcami po nowych liniach. Po liniach skazy w historii, którą opowiadała sobie przez wszystkie te lata. Że była zabójczynią. Że prawda będzie na zawsze uwięziona pod jej skórą. Teraz prawda wyszła na wolność. Dynah ją wypuściła.

Do szpitala przyszli dziennikarze. Powiedzieli jej o Ormundzie Smitcie, o terapii, którą teraz przechodzi, o tym, co nadal pisze online na temat Jake'a, rządzie i tajnych stowarzyszeniach. Powiedzieli jej, że Stella wychodzi ze śpiączki na wyższym piętrze tego samego szpitala, o testach, które wykażą, czy środki, które podało jej własne dziecko, nie uszkodziły jej mózgu. Dziennikarze chcieli wiedzieć o Lauren Freeman więcej niż o dwojgu nastoletnich mordercach, których zapuszkowali z Tedem. Żaden nie wiedział, jaki dać tytuł. „Sprawa Scully'ego rozwiązana, syn za kratami. Morderczy spisek nastoletnich kochanków, dwoje rodziców nie żyje”.

Amanda przyzwyczała się do tych gryziپیórków i ich śmiesznych, małych notatników, do tego, że patrzyli na nią jak na niebezpiecznego drapieżnika. Nikt teraz nie wiedział, jak na nią patrzeć. Czy była ofiarą? Czy była potworem? Czy była detektywem bohaterem, który rozwiązał zagadkę kryminalną? Ta dezorientacja nie przeszkadzała Amandzie. Lubiła dezorientować ludzi.

Skręciła kierownicę i pojechała okrężną drogą przez Beale Street, obok Shark

Bar, gdzie Vicky myła okna. Potem rower potoczył się po żwirze przed jej biurem, nad którym lśnił w deszczu nowy szyld. Conkaffey & Pharrell. Ted chciał dodać „dochodzenia”, ale Amanda miała dość dodawania czegokolwiek do witryny. Nie lubiła zmian. Oświadczeń, proklamacji, enuncjacji. „«Dochodzenia» to szufladkowanie”, powiedziała Tedowi, kiedy usiadł obok niej i pokazał nowy wzór na swoim telefonie. „To nas ogranicza. Będziemy mówić ludziom, że zajmujemy się tylko dochodzeniami”.

„Bo też tylko tym się zajmujemy”, odparł partner. Boże, temu człowiekowi tak brakowało wizji.

Jechała przez pola trzciny, przez tunele dżungli wyrżnięte przez drogę, uważała na kazuary, w rozczochranych włosach czuła wiatr. Skręciła na drogę prowadzącą do domu Teda i podjechała do ceglanego płotu, zeskoczyła z siodła i poprowadziła rower przez krótką trawę. Z tylnej kieszeni dżinsów wyjęła złożoną wpół kopertę.

Kiedy dotarła do rogu domu, zobaczyła go. Leżał na trawniku w popołudniowym słońcu, podparty na łokciach, nogi miał wyciągnięte przed siebie. Przy płocie, na końcu działki, sześć szarych gęsi łąziło w luźnej gromadce i szczypało trawę. Tutaj jeszcze nie padało. Zamknął oczy w złotym świetle. Minęły zaledwie trzy dni, odkąd odwiedził ją w szpitalu, ale znowu się zmienił. Za każdym razem, kiedy pojawiał się przy jej szpitalnym łóżku, Amanda dostrzegała coś innego. Przybrał na wadze. Spędzał czas na dworze, skóra mu pociemniała. Dzisiaj nie miał brody. Powiedział jej, że skończyły się napaści samozwańcych strażników prawa. Czasem słyszał, jak samochody przejeżdżające późną nocą zwalniają z ciekawości. Ale nie było już cegieł, fajerwerków, sikania. Żadnych tłumów, był spokój.

Dziennikarka chyba pomogła. Fabiany już nie było. Dostała od Teda to, co chciała – sprawę, misję, coś do napisania. Po tym, jak w wiadomościach pojawił się wywiad o milczącym świadku, powstał blog grupy Niewinny Ted, a Fabiana została jej rzecznikiem w Sydney. Amanda oglądała wideo tej kobiety ze szpitalnego łóżka, czytała setki komentarzy czytelników. Z początku Fabianę obrzucono online obelgami za wstawienie wideo z wywiadem, a sprawy pogorszyły się, kiedy do publiczności dotarło, że Ted i ona przez krótki czas byli kochankami. Ludzie powiedzieli, że „zdradziła wszystkie kobiety”, idąc do łóżka z „potworem”. Porównywali ją do kobiet, które wychodzą za mąż za seryjnych

morderców siedzących w więzieniu. Pojawiały się komentarze na blogu, w których błagano ją, żeby nie miała dzieci z Tedem, bo na pewno padną kolejnymi ofiarami jego choroby. Ze stoicką godnością pojawiała się w porannych talk-show. Nie reagowała na groźby śmierci otrzymywane online, mówiła, że jej życiową misją jest teraz walka o sprawę Teda, więc nie ma czasu na takie bzdury. Z czasem komentarze zaczęły się zmieniać. Narastały pytania. Sam Ted nie pojawiał się w Internecie. Wielkolud pozwolił dziennikarce, żeby sama zajęła się ratowaniem jego reputacji. Amanda była zadowolona. Ta kobieta była mu to winna. I więcej.

Podniosła kopertę do ust. W zamyśleniu nadgryzła jej róg. Wielka biała gęś wyłoniła się zza domu. Stała i przypatrywała się Amandzie. Jej paciorkowate oczy patrzyły dociekliwie. Amanda też była dociekliwa.

W kopercie były wydrukowane strony, zrzuty z ekranu na temat jej dochodzenia w sprawie białego psa. Amandę zainteresowały napomknienia o białym psie na taśmach z przesłuchania Claire Bingley, które oglądała w kółko, odkąd Ted pojawił się w jej życiu. Dziewczynka, o której zgwałcenie oskarżono Teda, miała głęboki uraz psychiczny. Owszem, powiedziała mnóstwo dziwnych rzeczy podczas wielogodzinnych nagrań i przesłuchań na temat tego, co się jej stało. Ale Amanda podliczyła, że razem wzięwszy, biały pies wspomniany został trzy razy. Najpierw dziewczynka mówiła o białym psie podczas przesłuchania w szpitalu. Potem wspomniała o nim, kiedy przesłuchiwał ją specjalista od urazów psychicznych. I raz, podczas przesłuchania przeprowadzonego w komendzie policji w Parramatta. Amanda była pewna, że dziewczynka wybełkotała „pies”, kiedy zostawiono ją w pokoju samą z włączonym magnetofonem.

Amandzie to wystarczyło. Podjęła trop i pobiegła za nim.

Teraz przywiozła ze sobą trzy kawałki papieru. Pierwszy to fotokopia lokalnej gazety z Mount Annan, wydanej na cztery dni przed uprowadzeniem Claire Bingley. W dziale „Darmowe ogłoszenia” była wzmianka o średniej wielkości mieszkańcu, białym psie, za darmo w dobre ręce. „Przeprowadzamy się do Anglii i nie możemy wziąć jej ze sobą”. Z tyłu strony Amanda zrobiła notatki z rozmowy z ludźmi, którzy zamieścili ogłoszenie. Z łóżka szpitalnego zadzwoniła do małżeństwa, które było właścicielami psa, i rozmawiała z nimi w nocnej ciszy, słuchając w tle rozmowy odgłosów poranku w Londynie. Chociaż niezbyt pamiętali człowieka, który wziął od nich psa, to zapamiętali jego

ciemnoniebieskiego pikapa.

Amanda zaczęła szukać ciemnoniebieskiego pikapa we wszystkich dowodach, które dotyczyły chwili, kiedy porwano Claire Bingley. Zaczęła od kamer w pobliżu Mount Annan, skąd uprowadzono dziecko, potem spiralnym ruchem szła coraz dalej. Jedyńm powodem, dla którego właściciele sklepu zatrzymali taśmę z dnia, kiedy porwano Claire Bingley, było to, że następnego dnia obrabowano ich i skradziono im kasę, więc taśmy z całego tygodnia znalazły się w dokumentacji policyjnej. Amanda znalazła niebieskiego pikapa czekającego na światłach przed sklepem. Ocieniona sylwetka mężczyzny siedziała na fotelu kierowcy. Na skraju okna od strony pasażera widać było dwa małe trójkąci. Jakość wideo była słaba, odległość duża, więc było możliwe, że dwa białe trójkąci w oknie pikapa to odbłyski światła odbite od witryny sklepu albo słońce docierające pomiędzy budynków.

Ale Amanda uważała inaczej. Pomyślała, że to szpiczaste uszy średniej wielkości białego psa.

Ostatnim kawałkiem papieru w kopercie był kolejny zrzut ekranu. Pochodził z kamery przed schroniskiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Yagoona. Towarzystwo zachowuje zdjęcia wszystkich, których przyłapią na porzucaniu zwierząt przy ich bramie. Na fotografii jakiś mężczyzna przywiązywał smycz średniej wielkości białego psa do bramy ośrodka. Mężczyzna był zgięty w pasie, twarzy nie było widać. Lepszego zdjęcia z tej kamery nie było. Kiedy następnego dnia przyjechała ekipa ratująca zwierzęta, znaleźli przed bramą psa. Lewą łapę miał złamaną.

Kiedy Amanda zamknęła oczy, widziała jak Claire Bingley stoi na przystanku autobusu. Dziewczynka odwraca się od odjeżdżającego samochodu Teda, bo słyszy skowyt dochodzący z krzaków za przystankiem. Biały pies w ciemnych, ocienionych krzakach, utyka na jedną łapę, skomląc z bólu. Które dziecko nie podejdzie do nieszczęśliwego zwierzaka?

Amanda stała teraz na rogu domu Teda i zastanawiała się. Wiedziała, że te parę miesięcy śledzenia mężczyzny z białym psem dają jej nadzieję. W końcu go złapie. Była dobrym śledczym, a czas spędzony w więzieniu nauczył ją cierpliwości niezbędnej do odszukania potwora tak sprytnego i śliskiego, na jakiego wyglądał mężczyzna w niebieskim pikapie. Ale Amanda wiedziała też, że jeśli dalej będzie

działać, jeśli przekaze informację Tedowi i razem upolują porywacza Claire Bingle, to straci partnera.

Kiedy Ted całkowicie oczyści swoje nazwisko, Amanda znów zostanie sama. Nie będzie miał powodu, żeby zostawać w małym więzieniu, które zbudował sobie obok ciemnych wód Crimson Lake. Amanda lubiła jego towarzystwo, chociaż niezbyt podobały mu się jej zabawy i nie był skłonny do rymowanek nawet za cenę życia.

Była szczęśliwa dzięki niemu. Przez wszystkie te lata, odkąd wtrącono ją do więzienia, do aresztu śledczego, gdzie czekała na proces, nie była tak szczęśliwa. Stała w drzwiach celi ze szczoteczką do zębów, mydłem i porcją papieru toaletowego i patrzyła, jak mieszkanki tej nowej, betonowej krainy cudów ożywiają się na jej widok. Patrzyła, jak wynurzają się spod koców, opierają się o prycze, dokładnie ją oglądają. Nagle przestała się trząść.

Rozpoznała je.

To były zepsute lalki. Dziwadła. Świry. Jedną z nich była przez całe życie. Wreszcie je znalazła. Wreszcie znalazła swoje miejsce.

Takie samo poczucie powrotu w rodzinne pielesze miała, kiedy ten wielki człowiek pojawił się w drzwiach Shark Bar, próbował ukryć swoje zmartwienia, ukryć twarz. Był jeszcze jednym outsiderem. Był jednym z takich ludzi jak ona.

Amanda głęboko odetchnęła i mocno ścisnęła kopertę. Kiedy wyszła na słońce, mężczyzna w trawie zauważył ją. Ted odwrócił się i uśmiechnął, kiedy do niego podchodziła.

Zgadła, że musi mu po prostu zaufać.